

Martin D. Lorena

Dom tajemnic

Pamięci

Hilarii G. de Martin, 1900-1979

Francisca Ramira Martin, 1901-1951

Caroliny Fletes Echeagaray, 9 grudnia 1913-16 lutego 2006

Davida Anasosy, 11 grudnia 1913-18 lutego 2006

Druga wojna światowa zaczęła się w chwili zatańczenia pierwszej.

JEFF SHAARA

Chleb oszustwa miły jest człowiekowi.*

KSIĘGA PKZYSŁÓW

*W przekładzie Biblii Tysiąclecia.

Niniejsza powieść jest dziełem wyobraźni. Wyjąwszy daty, postacie i fakty znane z historii, wszyscy bohaterowie, wydarzenia i dialogi są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do istniejących osób jest całkowicie przypadkowe.

Marsylia, 1939

Port był wielki i zatłoczony, a pluskająca woda cuchnęła tranem. Maciek za ostatnie pesety kupił dla każdego *piat du jour* w pensjonacie przy nabrzeżu. Bardzo przepłacił, ale i tak jedli zachłannie. Po przedostaniu się przez granicę hiszpańską jakimś cudem dotarli do Perpignan, a potem, na pokładzie łodzi rybackiej, przez Zatokę Liońską do Marsylii. Nadal czuli na sobie smród setek ryb, które musieli wypatroszyć, żeby opłacić przejazd. Po jedzeniu Maciek poprowadził ich do budynku władz portowych, żeby kupić Ramirowi bilet na najbliższy statek do Ameryki.

Ramiro przeszył go spojrzeniem na wylot, ale nic nie powiedział, choć myśli miał mordercze.

Skierował się z Leą w stronę drewnianych pali trzeszczących pod naporem fal. Kuśtykał, starając się oszczędzać zranioną stopę. Stanęli i czekali na Maćka, który wypytywał o miejsce na statku. Ramiro oparł łokcie na desce i zmrużył oczy, obserwując wypływającą na otwarte morze łódeczkę. Lea przyglądała mu się pytająco, ale on nic nie mówił, ura-

żony. Tymczasem kremowy żagiel rozwinął się i wypełnił powietrzem, a łódka nabrała prędkości i mocno przechyliła, wyprostowali ją dopiero wychyleni przez drugą burtę marynarze. Na wodzie za nią błyskała smuga światła.

Ramiro zdawał sobie sprawę, że robi Lei przykrość tym upartym, niesprawiedliwym milczeniem. Ale jak miał jej powiedzieć, że serce pęka mu na tysiąc kawałków, bo niedługo się rozstaną?

- Popłyn z mną - odezwał się w końcu.

- Co?!

- Do Meksyku. Popłyn z mną.

Na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie. Pokręciła głową.

- Moglibyśmy się pobrać, kiedy już... — urwał, bo nie potrafił wykrztusić z siebie tego, co pomyślał. Nie wolno mu przecież nic obiecywać.

Lea przycisnęła palce do jego warg, żeby nie kończył.

Ramiro objął ją wzrokiem. Podpierała się na łokciu; jej miedziane włosy falowały na wietrze, oczy były nieznośnie zielone, a nos po wielu dniach na słońcu cały pokrył się piegami. W jego wnętrzu coś zawyło, jak gdyby naśladując pokrzykiwania mew.

- Naprawdę. - Ramiro ze wszystkich sił usiłował utrzymać się w ryzach. — Nie chcę się z tobą rozstawać.

Jej spojrzenie posmutniało.

- W Polsce czeka na mnie ojciec. Ma prawo wiedzieć, że żyję. Poza tym muszę zobaczyć się z matką tamtego i przekazać jej, że syn oddał życie w przegranej sprawie.

- Był twoim kochankiem. Przytaknęła. -Kochałaś go?

— Byliśmy zaręczeni. Uważałam za swój obowiązek iść tam, gdzie on.

Nie spodziewał się takiego ciosu. Niczym pięścią w brzuch. Ani ryzyko dostania się w ręce wroga, ani nawet balansowanie na granicy życia i śmierci nie przygotowało go na coś podobnego. Przyjrzał się twarzy Lei, jakby w poszukiwaniu śladu mężczyzny, przez którego aż skręcało go z zazdrości. Żałował, że nie może zabić go jeszcze raz. Zrobiłby wszystko, byle tylko wymazać z jej serca pamięć o nim.

— Kiedy zginął?

— W lecie.

— To czemu zostałaś w Hiszpanii?

— Po co miałam wracać? — Wyglądała na tak przygnębioną, że aż krajało mu się serce. - Życie płynie dalej - dodała, żeby zabić ciszę.

Wcisnął pięści w kieszenie i chciał coś wrzasnąć, ale nie dał rady. Przytłoczyła go rozpacz i lęk, że ją straci - tę złamaną kobietę, która jego samego postawiła na nogi. Ich uczucia były teraz zupełnie odmienne.

— Boję się powrotu. Nie wiem, jak jej powiedzieć, że syn... — Głos jej się załamał.

— Nie musisz wracać - oświadczył z większą stanowczością, niż zamierzał.

Opatuliła się mocniej wojskową kurtką i odwróciła twarz.

— Nic nie rozumiesz.

Strach przed rozstaniem zakrzepł mu w piersi niczym lodowata bryła.

— Wrócę po ciebie. Dam ci adres, na który możesz pisać. Opłacę ci podróż do Ameryki, jeżeli będziesz chciała przyjechać. - Ramiro mówił Lei to samo co niemal dwadzieścia lat temu Hildzie, mniej więcej z podobnym przekonaniem.

Nie wiadomo, czy dostrzegł tę analogię; czas jednak lubi się zapętlić i przypomina nam minione sytuacje w momentach, kiedy się tego najmniej spodziewamy.

— Masz szczęście, kolego. - Maciek klepnął go w ramię.

- Za cztery dni odpływa statek do Nowego Jorku. Musimy tylko sprzedać aparat, żeby mieć pieniądze na bilet dla ciebie. No a potem trzeba będzie zarabiać na jedzenie śpiewem i tańcem.

Ramirowi nic nie sprawiłoby większej przyjemności, niż zacisnąć palce na gardle Maćka. Zasłużył sobie na najgorsze

- chciał go rozłączyć z Leą.

— Daj torbę — rzucił tylko.

Maciek podał mu chlebak. Ramiro usiadł na betonowym brzegu, wyjął nóż myśliwski i zaczął wyładowywać wściekłość, jaka się w nim nagromadziła, dźgając podszewkę.

— Zwariowałeś? - Maciek próbował wyrwać mu chlebak i prawie stracił palec.

— Masz. — Ramiro klepnął go dłonią, w której trzymał wydobyty spod podszewki banknot studolarowy.

— Rany, czemu wcześniej ich nie wyjąłeś?

— Bo ty przyssałeś się do torby.

Dzięki pieniądzom Ramira po raz pierwszy od prawie tygodnia mogli przespać się pod dachem, starczyło też na luksus kąpieli. Zmyli wreszcie z siebie odór ryb i namoczyli ubrania w wannie. Zjedli obfity obiad, kupili sobie koszule nocne. Na stole leżały bochenek chleba i ser, ale Ramirowi najcudowniejsze wydało się spanie na prawdziwym materacu.

Był wykończony. Żałował, że Maciek w ogóle po niego wrócił. Ze uratował mu życie, po to by zaraz znowu mu je

zabrać, wsadzając go na statek. Zamknął oczy i zmusił się do oddychania.

Potem nastał ranek. A z rankiem wrócił ból. Ramiro przygotowywał się psychicznie na chwilę, kiedy Lei przy nim nie będzie. Na myśl o tym, jak Maciek na nią patrzy, ścisnęło go w dołku. Był przekonany, że on coś do niej czuje. Przeszedł go zimny dreszcz. W dodatku Maciek nie był duchem, tylko człowiekiem z krwi i kości. Co gorsza, to Maciek odwozi ją do domu, a Ramiro za trzy dni odpływa. Wysunął się z pościeli i sięgnął po leżący na stoliku nocnym nóż myśliwski.

Maciek otworzył oczy i uśmiechnął się radośnie na jego widok. Ramiro zawstydzony czym prędzej czmychnął do łóżka, żeby ukryć nóż pod kołdrą. W końcu zbudziła się Lea. Ramiro miał wrażenie, że w jego duszy zaświeciło słońce. Kochał ją nad życie. Maciek też nie mógł oderwać od niej wzroku. Ramiro ścisnął rękojeść noża. Mógłby wykluć mu oczy za to, że tak się jej przygląda. Lea, zupełnie nieświadoma uczuć, jakie w tej chwili miały Ramirem, przeciągnęła się, a potem na powrót zakopała w pościeli.

— Wstawaj, leniuchu — powiedział Maciek.

— Nie ma mowy. Zostaję w łóżku. -Nic z tego.

— A to czemu? - Lea uniosła brew.

— Bo jestem głodny.

Ramiro wsunął nóż pod poduszkę.

— To idź się najeść. I przy okazji przynieś mi croissanta. Maciek zmarszczył czoło. Najwyraźniej lubił się z nią przekomarzać.

— Nie za dobrze ci?

— Moje ciuchy są w wannie. Nie wiem jak ty, ale ja nie mam co na siebie włożyć.

— Cholera! - Maciek popędził do łazienki. - Zapomnieliśmy o ubraniach.

Ramiro wyskoczył z łóżka; ani Maciek, ani Lea nie zwrócili uwagi na nóż, który z brzękiem upadł na podłogę i potoczył się pod stół. Zadowolony, że ma na czym wyładować gniew, porządnie wyszorował ubrania, a Lea rozwiesiła je w pokoju.

— Mamy przynajmniej chleb i ser. - Maciek oparł się o framugę okna i zapalił papierosa. Mógł sobie pozwolić na palenie tylko dzięki pieniądzom Ramira.

— Kiedy ja mam ochotę na kawę i croissanty — odparła.

— Jak sobie księżniczka życzy. — Maciek udał, że się jej kłania, a potem zaciągnął się ostatni raz i wyrzucił niedopałek za okno. Na boscie nogi wsunął wojskowe buty, zgarnął ze stołu garść banknotów i wyszedł.

— Mam nadzieję, że dojdzie gdzieś w takim stroju — rzekła Lea i wskoczyła z powrotem do łóżka.

— Ja też. - Ramiro zamknął drzwi na klucz. - Oby jak najdalej. - Wszedł za nią do łóżka i posiadł ją z takim zapamiętaniem, że zapomniiał skończyć na jej dłoniach.

Następne dni minęły bardzo szybko. Kiedy Lea się myła, Maciek wrócił do pokoju obładowany paczkami. Ich nowe wełniane spodnie i grube marynarskie swetry źle leżały, ale przynajmniej były suche. Ubrali się i poszli na stację kupić bilety dla Maćka i Lei. Ramiro uświadomił sobie nieodwracalność ich rozstania. Zrobiło mu się słabo.

— Wszystko w porządku, przyjacielu? - zapytał Maciek.

— Tak — wychrypiał Ramiro, zataczając się do tyłu. Maciek podtrzymał go za ramię.

— Jesteś cały spocony.

Lea chciała przyłożyć mu rękę do czoła, ale Ramiro się odsunął.

— Na stacji było strasznie duszno.

Łykał chłodne portowe powietrze. Wydawało mu się, że w sercu ma dziurę. Pod badawczym spojrzeniem Maćka i Lei poczuł się nieswojo, wyjął więc z torby aparat fotograficzny. Maciek nie wypuszczał chlebaka z rąk — prawdopodobnie w nadziei, że w ten sposób uchroni go przed ewentualnymi kolejnymi atakami Ramira.

Ramiro cofnął się o krok. Zamknął oczy, usiłując zapisać w pamięci obraz kochanki, ale bezskutecznie. W głowie huczała mu rozpacz. Otworzył oczy, popatrzył w wizjer i ustawił ostrość na Leę. Chciał uchwycić na filmie jej duszę, a nie tylko podobieństwo. Ścisnęło go w gardle. Nagle ktoś postukał go w ramię.

— Daj mi aparat — powiedziała Lea. - Chce nam zrobić zdjęcie.

— Zaraz... — Maciek pomyślał chwilę. — Dlaczego nie przyznałaś się, że znasz francuski?

— Nie pytałeś.

— A ja robiłem z siebie idiotę na farmie.

Ramiro dał aparat przechodniowi i wszedł w kadr. Przekomarzanki ucichły. Fotograf policzył do trzech, ale nacisnął spust dopiero po sekundzie.

Sześćdziesiąt lat później David Anasosa przyglądał się twarzy Lei, starając się odgadnąć, kim jest ta zagadkowa kobieta na zdjęciu. Zadręczał się myśleniem, jak mogłoby potoczyć się jej życie, gdyby nie on. Z bijącym mocno sercem patrzył w jej smutne oczy. Otaczała ją aura żałoby, bo tak jak Ramiro i ten drugi mężczyzna była ubrana cała na czarno. Za ich plecami widniał kawałek napisu *Gare de*

Mar. Z tyłu poplamionego na brązowo zdjęcia ktoś zanotował „1939”, ale teraz atrament już wyblakł.

Rano w dzień wyjazdu Ramiro z rozpaczy prawie nie mógł oddychać. Umył się i ubrał w czystą odzież. Do kieszonki na piersi schował trzysta dolarów, paszport i bilet. Pewną pociechę znajdował w rutynie, inaczej rzuciłby się na Maćka z pięściami. Najbardziej wściekało go, że nie mógł zabronić Maćkowi kochać się w Lei. Chciał krzyknąć: „Ona jest moja!”, ale nie miał do tego prawa. Jego czas dobiegł końca. To Maciek zabierał ją do Polski. Ramira zżerała zazdrość.

Na skrawku papieru zapisał adres studia fotograficznego i wręczył go Lei. Ona dała mu swój adres, a potem zamknęła się w łazience i gubiła łzy w kąpieli.

Jakiś czas później wyszli z hotelu i spacerowym krokiem skierowali się w stronę portu. Ramiro miał wrażenie, że maszeruje na własną egzekucję. Między nimi zawisła ciężka cisza. Usiłował skupić całą uwagę na załadunku skrzynek francuskiego wina na niemiecki okręt m/s Wilhelm Gustloff. Jego statek stał zacumowany tuż obok, ale omijał go wzrokiem, bo nie był dla niego niczym więcej niż pływającą trumną. Zerknął na Maćka, potem na Leę. Wszystko w nim krzyczało na myśl o powrocie do tamtego życia w innym świecie. Nie chciał wracać, ale nie miał wielkiego wyboru. Nie potrafił zbuntować się przeciwko niewoli domowego ogniska. Całe lata uciekał. Teraz - dzięki Lei - jakby narodził się na nowo, ale musiał wracać do obowiązków. Co za ironia losu.

Nie miał ochoty się żegnać. Nie chciał jej opuszczać. Powinien uścisnąć jej dłoń czy raczej cmoknąć w policzek? Najbardziej na świecie pragnął namiętnie ją pocałować. Albo jeszcze lepiej — porwać za ocean i schować tam, gdzie

oboje mogliby zapomnieć o płaczącej matce zmarłego kochanka czy wściekłej, odrzuconej żonie.

Maciek uratował ich przed niezręcznością i poszedł kupić papierosy. Ramiro przycisnął do siebie Leę, uważając, żeby nie zmiażdżyć jej siłą swojej rozpacz. Pocałował jej włosy, oczy, usta, ręce.

— Napiszę do ciebie — powiedział.

Opuściła głowę, żeby ukryć łzy. Nieco dalej Maciek zatrzymał się, zapalił gitana. Potem podszedł do nich i podał Ramirovi torbę.

— Jest twoja - rzekł Ramiro. - Mnie nigdy się nie podobała.

— A aparat? - Maciek uniósł klapę i zajrzał do środka. Z kącika ust zwisał mu niedopałek. -1 pieniądze?

— W Meksyku mam drugi taki sam. A pieniędzy potrzebujecie na dokumenty.

Maciek wyrzucił papierosa i mocno potrząsnął ręką Ramira, po czym go wyściskał.

— Uważaj na siebie.

— Spróbuję — wykrztusił Ramiro, kiedy odzyskał dech.

— No, wsiadaj. Musimy z Leą zdążyć na pociąg. Nie możemy cały dzień kręcić się po nabrzeżu i czekać, aż się zdecydujesz.

— Opiekuj się nią - wyszeptał.

— Oczywiście.

Ramiro popatrzył na Leę. Z przejęcia dudniło mu w uszach. Wszystko by oddał, żeby poprosiła go, aby został.

— Idź - szepnęła i otarła łzy.

Dopiero kiedy wypuścił z siebie całe powietrze, zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech. Jej obojętność spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Czuł się pokonany. Wszedł

na rampę. Idąc, dwa razy oglądał się przez ramię. Wiele go kosztowało, żeby zachować godność i nie pobiec do niej z powrotem. Lea i Maciek machali mu z uroczystymi minami.

Potem ktoś poprosił go o dokumenty pokładowe i bagaż. Pokazał bilet, wręczył stewardowi paczkę z rzeczami i jakimś cudem nie spojrzał jeszcze raz za siebie. Steward zaprowadził go do kajuty na jednym z górnych pokładów. Maciek najwyraźniej był w dobrym nastroju, kiedy kupował mu bilet, ale luksus posiadania okna wcale nie ukoił żalu Ramira.

- Którędy na pokład? - zapytał, nie wchodząc nawet do kajuty.

Pokuśtykał przez korytarze i schody najszybciej, jak potrafił, ale kiedy wynurzył się na górnym pokładzie, Lei i Maćka już nie było. Miał wrażenie, że wpada w otchłań.

ROZDZIAŁ 1

Po kwiaty

David odsunął od siebie stertę papierów. Czuł na kartkach zapach starej maszyny do pisania Olivetti, należącej do Ramira. Nieomal widział go walącego w klawisze ze zmarszczonymi brwiami i zatopionego w myślach o miejscu, gdzie przeszłość trwała nadal. Jedyne sprawne oko Davida zaszło łzami. Pomyślał o innym statku, który całą wieczność temu dobił do portu na krańcu świata.

Wdrapał się wtedy na kamienny murek, żeby mieć lepszy widok na przecinający fale okręt. Nad oceanem wciąż wisiała mgła. Był rok 1928. David otrzymał zadanie powitania pasażerów starego, kaszłającego statku w miasteczku wciśniętym niezgrabnie między ocean a dżunglę. Uśmiechnął się z niemądrym samozadowoleniem - w wieku siedemnastu lat wydaje nam się, że wiemy wszystko. Włożył rękę do kieszeni i brzęk-nął srebrnymi monetami, które dostał rano od ojca.

Stary David westchnął na myśl o swej młodszej arogancji.

To była próba. Wreszcie to rozumiał, ale teraz nie miało to już znaczenia. Powinien był to pojąć wtedy, kiedy mógł jeszcze zapobiec katastrofie. „Przestań”, strofował go we-

wewnętrzny głos. „Przeszłości nie można zmienić”. Ale David uwielbiał żyć wspomnieniami.

Spojrzał do góry. Ogrom statku zapał mu dech w piersiach. Okręt rzucał właśnie kotwicę. Przeczytał napis na jego burcie: Ipiranga.

Ten sam statek zabrał stąd Porfiria Diaza w roku 1911. Gdyby Carmina nie była tak przewrażliwiona na punkcie swojej rodziny, z chęcią by jej to powiedział. Zeskoczył z murka. Najwyższy czas dołączyć do gromady krewnych witających podróżnych na lądzie. Naokoło kręcili się marynarze, bagażowi, sprzedawcy, dzieci - cały ten tłum ruszył na pasażerów, cudem ich nie trając. Bijący ze straganów aromat dojrzałych owoców mieszał się ze słonym zapachem morza i ryb, których skrzynie przeładowywano na wóz ciągnięty przez konia. Po niebie krążyły pokrzykujące mewy.

Od całego tego rozgardiaszu Davidowi trochę zakręciło się w głowie. Skierował się niespiesznym krokiem do strefy przeładunku, nie zauważył jednak, że koń ruszył. Idąca przed nim kobieta z walizką zatrzymała się gwałtownie, przepuszczając wóz, ale David wpadł prosto na nią. Niewiele myśląc, przytrzymał ją w pasie, żeby się nie przewróciła. Walizka spadła na deski. Nieznajoma była drobniutka; bez trudu mógł objąć ją jedną ręką w talii, a sięgała mu ledwie do ramienia. Na nogach miała espadryle. W ogóle ubrana była dosyć ekstrawagancko. Miejscowe kobiety nadal ścisnęły się gorsetami, tymczasem jej sukienka przypominała te, które oglądał tylko w magazynach w salonie piękności Carminy.

Zaskoczyło go, że ktoś może nosić stroje, które — jak sądził — przynależały do świata niemych filmów. Przyjrzał się luźnej sukience w stylu marynarskim, ozdobionej granatową kokardą na kołnierzu. Ciemne loki przykrywał kapelusz z nasuniętym

na oczy rondem. Uniosła twarz, a jej czerwone usta otworzyły się w zaskoczeniu, tworząc „O”. Było na co popatrzeć.

- Najmocniej przepraszam. Powinienem uważać.

- Przepuszczałam konia — odparła z rozkosznym hiszpańskim akcentem i wysunęła się z jego ramion.

Podniósł walizkę.

- Czy mogę zanieść pani bagaż? Jestem to pani winien.

- Dziękuję, ale nie trzeba. — Najwyraźniej chciała już odejść. Co w rzeczywistości zresztą zrobiła, ale David nie tak chciał zapamiętać ich spotkanie.

- Nalegam — powiedział w poprawionej wersji swoich wspomnień, po czym pokierował ją z dała od hałaśliwych straganów. - Proszę mi wybaczyć złe maniery. Nazywam się David Anasosa.

- Hilda Gonzaga. - Tak naprawdę poznał jej imię dużo później.

I w prawdziwej historii, i w tej wycyzelowanej przez niego popędził jej śladem. Udało mu się nawet nadepnąć jej cień, ale zaraz uciekła z jego życia. Teraz wiedział, że przyjechała do Ameryki wypełnić swój los, który zaplanowała na długo, zanim się spotkali. Ale co może wiedzieć siedemnastolatek?

- Cholera! — rzucił, kiedy Hilda wspięła się na dwa stopnie i zniknęła w salonie Carminy.

Pięćdziesiąt lat po tych zdarzeniach jej prochy miała pochłonąć dziura w ziemi.

- Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz - wyrecytował ksiądz. Serce Davida rozpadło się na tysiąc kawałków.

Do rzeczywistości przywołało go walenie w drzwi. Nie był w specjalnie towarzyskim nastroju, dlatego zamarł bez ruchu w swoim regulowanym fotelu, modląc się o niewi-

działność. Ale intruzka miała tupet i zajrzała przez okno. Ta twarz. Mgła niepamięci uniosła się jak kurtyna. Uświadomił sobie, skąd zna tę kobietę.

Trumnę powoli opuszczano do ziemi, a żałobnicy rzucali kwiaty. David tak bardzo zapatrzył się na kwiaty ześlizgujące się z wypukłego wieka, że dziewczynkę zauważył dopiero, gdy stanęła po drugiej stronie dołu, dokładnie naprzeciw niego. Była jeszcze dzieckiem, ale lustrowała go nieprzeniknionymi oczyma Hildy.

Przyjrzał jej się. Patrzyła na niego z dziecięcym nieskrępowaniem, po chwili jednak matka coś syknęła, a dziewczynka opuściła głowę i dotknęła zaczerwienionego policzka. David zauważył, że przyciska do siebie kuferek.

Po błogosławieństwie goście zaczęli się rozchodzić. Z trudem maskowali ulgę, że mogą opuścić to przygnębiające miejsce i cieszyć się życiem aż do czasu, kiedy następny krewny wyzionie ducha. Zeby przepuścić żałobników, David oparł się o dąb rzucający długi cień na mogiły.

Dziewczynka stała na skraju dołu. Z tego miejsca mógł dobrze przyjrzeć się jej profilowi, samemu będąc niewidzianym. Była wysoka i koścista. Spod zbyt luźnej sukienki wystawały chude kolana i łokcie. Gdyby nie te oczy, wyglądałaby kubek w kubek jak Carmina jako dziecko. Miała tak samo pełne usta, mocne ramiona i długie nogi, a także — niestety — duże stopy. David przesunął wzrokiem po zgromadzonych, ale nie znalazł Carminy. Potem sobie przypomniał. Przecież Hilda i Carmina się nie lubiły. Niechęć ta wręcz pogłębiła się po ślubie ich dzieci. Swoją drogą, David też uważał ten związek za nie najlepszy pomysł. Był tak zajęty przyglądaniem się twarzom gości, że nie zauważył, jak dziewczynka wrzuciła kuferek

do dołu. Jego uwagę przyciągnęło dopiero głucho stuknięcie o wieko trumny.

- Zrobiłam, jak mi kazałaś - powiedziała cicho mała. Potem nachyliła się nad grobem, jakby spodziewała się stamtąd dalszych instrukcji. Wtedy spod bramy cmentarza zawołała ją mama. Dziewczynka wytarła łzy nasadą dłoni i oddaliła się.

David zaczekał, aż kawalkada samochodów zniknie z cmentarza, i wyłowił kuferek.

A teraz zjawiała się u niego. Po tylu latach przyszła, żeby go dręczyć. Nie mógł dłużej znieść bezruchu, więc podniósł powieki. Ona uśmiechnęła się z ulgą. David zmusił się, żeby wstać z fotela, i szurając nogami, poszedł otworzyć.

- Nie udostępniam już biblioteki — oświadczył, zanim zdążyła otworzyć usta.

- Nie jestem studentką historii.

- Tym gorzej. - Chciał zamknąć jej drzwi przed nosem, ale ona była szybsza. Wsunęła nogę w szparę.

- Proszę. Te jej oczy.

Pokręcił głową i wykrzywił twarz w karykaturze uśmiechu. Sądząc po jej reakcji, nieudanej.

- Nie mam czasu na przepychanki. Może pani cofnąć stopę?

- Niełatwo pana wytropić.

- Może mnie pani z kimś pomyliła?

- Widziałam pana na pogrzebie mojej babci.

- Jak wiele innych osób. Była poważaną damą.

- To dlatego wskoczył pan do jej grobu? David udał, że aż krztusi się z oburzenia.

- Młoda damo, trochę szacunku dla starszych.

— Dwadzieścia lat temu nie był pan taki stary. Popatrzył w dół.

— Może pani zabrać nogę? Robi się przeciąg.

— Najpierw proszę mi oddać kuferek babci. David zmrużył oczy.

— Strzela pani na oślepa, prawda?

— Jest pan moją ostatnią deską ratunku — rzuciła do wycieraczki. I jakby nagle zdając sobie sprawę, że jej stopa tkwi w drzwiach, cofnęła ją szybko.

— Jak pani na imię?

Ze zmarszczonym czołem uniosła głowę.

— Amada.

Amada. Ulubione imię dyktatora. Zastanawiał się, czy dziewczyna o tym wie. Odsunął się i otworzył szeroko drzwi.

— No dobrze, proszę wejść. Robi się zimno. Wiedział, że będzie tego żałował, ale ciekawość wzięła górę. Ona wypuściła powietrze, które wstrzymywała, i przestąpiła przez próg.

— Ma pan wspaniałą bibliotekę. ! -Ach.

— Musi być warta majątek.

— Ma dla mnie wartość przede wszystkim sentymentalną.

— Przeczytał pan te wszystkie książki?

— Żałuję, ale nie. — Machnął ręką, choć ani trochę nie żałował. -

Możemy przejść do rzeczy?

Dziewczyna uniosła brwi tak samo jak Carmina, ilekroć chciała nakłonić kogoś do odpowiedzi na niewypowiedziane pytanie.

— Jeżeli nie, to chciałbym dokończyć drzemkę — dodał. Usiadł w fotelu, odsłonił w uśmiechu sztuczną szczękę i zamknął oczy.

- Pracował pan dla mojego dziadka, prawda?
 - Tak. Krótko, po wojnie — odparł, nie otwierając oczu.
 - Jeżeli jedenaście lat to dla pana krótko... Gwałtownie podniósł powieki. Stała oparta o regał.
 - Proszę usiąść. - Przyglądał się jej, jak idzie przez pokój i siada na kanapie. - Widzę, że się pani przygotowała.
 - Tylko odkurzyłam parę starych pudeł.
 - Pracuje pani w rodzinnej firmie, tak?
 - Uhm. — Roześmiała się sucho. - W dzieciństwie tata * zabierał mnie do sklepów, żebym zamiatała podłogi. Kiedy miałam osiem lat, awansowałam do szorowania łazienek. Od tamtego czasu wspinam się po drabinie kariery. Ma pan przed sobą nowego dyrektora finansowego. Odpowiadam za wypisywanie świstków.
 - Pewnie niełatwo połapać się w mnożeniu, prawda?
 - Jedyne, w czym nie potrafię się połapać, to historia mojej rodziny. A poza tym, używam kalkulatora.
- Na chwilę przeniósł wzrok na regał z książkami, potem spojrzał znowu na nią i zapytał:
- Czego pani szuka?
 - Kuferka babci. Pokręcił głową.
 - Widziałam, jak sięga pan do jej grobu.
 - Ale czy widziała pani, jak zabieram kuferek?
 - Po co miałby pan tam wchodzić, jeśli nie po niego?
 - Po kwiaty.
 - Proszę posłuchać. Usiłuję zrekonstruować historię mojej rodziny. Ten kuferek jest mi bardzo potrzebny.
 - Dlaczego nie zapyta pani rodziców?
 - Pytałam Carminę — wytłumaczyła jak dziecku. — Spojrzała na mnie tak, że krew prawie ścięła mi się w żyłach.

Nie chcę dramatyzować, ale muszę się wreszcie dowiedzieć, o co chodzi w naszym domu tajemnic.

— Dom tajemnic! — zachichotał. — A to dobre.

— To nie jest żart. W jednym z pudeł znalazłam zapiski dziadka. Uznałam, że to pewnie jego pamiętnik, i pokazałam tacie, ale on stwierdził, że to tylko bredzenie alkoholika. Według niego opisane tam przygody to wytwór wyobraźni. Kazał mi zapomnieć, co przeczytałam.

— Naprawdę? — David ledwo maskował radość. — I co, zapomniała pani? - Jego niemal pozbawione warg usta mimowolnie wygięły się w szerokim uśmiechu. Stwierdził, że pewnie wygląda teraz jak podstarzały pyton.

— Zapomniałabym, gdyby nie to. - Wyjęła z kieszeni stare zdjęcie w sepia. Miało pożółkłe brzegi i rozmyte tło, ale twarze były widoczne doskonale, wręcz jakby wychodziły z kadru. Kobieta była niezwykle piękna. Patrzyła w aparat jasnymi oczyma, a włosy powiewały jej na wietrze. Mężczyzna miał brodę, kręcone włosy i przewieszony przez ramię karabin. Oboje mieli na sobie kurtki wojskowe i tak samo skonsternowany wyraz twarzy.

David poczuł, jak z płuc uchodzi mu całe powietrze, a łomoczące serce podchodzi aż do gardła. Oddał jej fotografię. Serce nadal dudniło w oszalałym tempie, starając się chyba uciec przed przeszłością, którą ta dziewczyna przywołała.

— Jaką to okropną tajemnicę babcia chciała przed nami ukryć? Mogła przecież przedstawić nam podkolorowaną wersję wydarzeń. Wszyscy tak robią. Lepsze to niż udawanie, że przeszłość nie istnieje.

Prawie wypalił: „Ależ przedstawiła podkolorowaną!”. Na głos powiedział jednak:

- Może historia waszej rodziny jest tak przeciętna, że nie warto strzepić sobie na nią języka.

- To po co ją ukrywać? Zawsze gdy pytam o dziadka albo chcę wiedzieć, czy moja ciocia była akrobatką, wszyscy zmieniają temat. Babcia przed śmiercią kazała mi przysiąc, że wrzucę go do jej grobu. Widział pan kuferek, więc wie pan, że nie zmyślam.

- Wierzę pani. Hilda potrafiła być despotyczna.

- Ciągle zapominam, że znał pan moich dziadków.

- Pracowałem dla nich. Nigdy mi się nie zwierzali. Lepiej w to nie wnikać.

- A jednak, znał ich pan. David pokręcił głową.

- A kuferek?

- Leży z nią w grobie.

Było widać, że kłamie. Oczy Amady zaszyły łzami. Wstała i wyczyściła spodnie z nieistniejących paproszków.

- Niepotrzebnie zawracałam panu głowę.

David odprowadził ją wzrokiem do drzwi. Szła wyraźnie przygnębiona. Wyjęła z kieszeni kluczyki samochodowe. „Co mnie to obchodzi?“, pomyślał. Przez chwilę walczył ze swoim sumieniem. Pewnych rzeczy lepiej nie ruszać. Jaki jest pożytek z grzebania w przeszłości? Podniosła na niego pełne wyrzutu spojrzenie; najwyraźniej w ostatniej chwili powstrzymała się przed wypowiedzeniem tego, co myśli: że jest kłamcą i złodziejem. Wtedy coś w nim drgnęło. Jaki sens miało dalsze ukrywanie prawdy? Dziewczyna wciąż patrzyła na niego — w zamierzeniu gniewnie, ale tak naprawdę w jej oczach czaił się smutek. Ani śladu po wściekłości, która trzęsła Carminą, kiedy widział ją po raz ostatni.

- Spróbuję pani pomóc.

Puściła klamkę.

- Naprawdę?

- Ale proszę pamiętać, że babcia nie bez powodu ukrywała przed panią przeszłość. To może być bolesne.

- Dla mnie?

- Dla was wszystkich. Proszę obiecać, że nigdy nie pójdzie pani do babci z tym, czego się dowie.

- Pan wszystko wie!

- Proszę obiecać.

- Żadne z was nie jest właścicielem przeszłości. Nie wolno wam zmiatać jej pod dywan tylko dlatego, że tak wam wygodnie.

- Nie powiem pani nic, dopóki pani nie obieca.

- Obiecuję.

Był pewien, że za plecami skrzyżowała palce.

- A więc dobrze. - David wstał z fotela. Nie znosił skrzywienia zastałych kości, ale chciał wykorzystać to, że górował nad nią wzrostem. - Najpierw musi pani coś dla mnie zrobić.

Przechyliła głowę tak samo jak Hilda. Potem uniosła pytająco brwi - zupełnie jak Carmina.

- Zamieniam się w słuch. - Całe szczęście głos przynajmniej miała swój.

- Proszę zapytać Carminę o Davida Anasosę.

ROZDZIAŁ 2

Po prostu David

Dwa dni później Amanda wparowała do jego domu trzema wielkimi susami, trzaskając ramą z moskitierą o framugę drzwi. Włosy miała spięte ołówkiem. Pachniała świeżo, jakby deszczem. Czarne spodnie garniturowe i czarna koszula wysmukliły ją i wydłużyły, wyglądała jak jednopasmówka. David rozciągnął usta w niespiesznym, wilczym uśmiechu. Dawno tak dobrze się nie bawił.

-No i?

- Proszę przestać ze mną pogrywać.

- Co mówiła Carmina?

- Dlaczego mi pan nie powiedział, że się znacie?

David nieomal ślinił się z niecierpliwości. Czekał na kontakt z Carminą przez ostatnich czterdzieści lat. Napięcie sięgało zenitu.

- Do licha, co powiedziała?

Dziewczyna obesła stół zavalony książkami i nieproszona rozsiadła się na kanapie.

- Powiedziała, żebym nie wypytywała jej o duchy z przeszłości.

-Nazwała mnie duchem?!

Zamiast odpowiedzieć, tylko wzruszyła ramionami.

— Co jeszcze mówiła?

— Niewiele. Podobno dawno temu był pan jej znajomym. -
Znajomym... - David wbił wzrok w swoje dłonie.
W oczach zapiekły go łzy. „Znajomym”.

— Panie Anasosa?

— Mów mi Davidzie.

— Panie Davidzie - spróbowała.

— Po prostu Davidzie. Wreszcie się uśmiechnęła.

— Po prostu Davidzie, skąd wiedziałeś, że cię znajdę? Pokręcił
głową. Dla tej chwili było warto.

— Miałem nadzieję, że nikt mnie nie znajdzie. I prawie mi się udało!
Jeszcze parę miesięcy i nie złapałabyś mnie żywego.

— Błagam. Nie wyglądasz na umierającego.

— Tak myślisz? W nowym milenium stuknie mi dzie-więćdziesiątka.
Stanowczo nie chcę dożyć setki.

— Wyglądasz na młodszego. Ona chce mu złamać serce.

— Chodzi mi o to, że przeżyłeś przecież rewolucję. Myślałam, że
jesteś sędziwy.

Au.

— Masz mi coś do opowiedzenia — przypomniała mu.

David popatrzył na siedzącą naprzeciwko niego dziewczynę.
Wnuczkę dwóch kobiet, które ukształtowały jego los. Wreszcie
nadeszła szansa na oczyszczenie z win. Chociaż w tym wieku, z coraz
gorszym zdrowiem, co to za różnica? Przyjrzał się jej twarzy.
Wyglądała jak mieszanka obu swoich babć. Miała wydatne kości
policzkowe i szerokie usta; nie była klasyczną pięknnością jak babki, ale
gładkie połą-

czenie - niezwykle dzieło genetyki - dało efekt zapierający dech w piersi.

- Minęło tyle czasu. Być może niewiele zostało do odkrycia.

- Skąd znałeś moją babcię?

- Mieliśmy się pobrać.

- Jak to, czyli mogłeś być moim dziadkiem? - Na jej twarzy powoli rozkwitł uśmiech, niczym brakujący element układanki. - Czyli to, że się tu pojawiłam, było nieuniknione.

Obrócił się lekko w fotelu i wbił w nią spojrzenie jedyne go sprawnego oka.

- Nie tak szybko. Nie jestem rozwiązaniem twojej zagadki. Nie mam dzieci.)

Jej uśmiech znikł.

- Dlaczego zerwałeś z moją babcią?

Przymknął powieki. Przed oczyma mignęła mu przeszłość.

- Bo zakochałem się w Hildzie. - Otworzył oczy akurat na czas, żeby dobrym okiem zobaczyć, jak opada jej szczeka. - Wiem, wiem. Myślisz sobie: „Co ten stary plecie?”.

- Czy kiedykolwiek...

- Nie. Byłem tylko obserwatorem.

- Czyli po prostu biernie siedziałeś i patrzyłeś?

- Kiedy się nad tym zastanowić, to tak.

- Przyznajesz się do podglądactwa.

- Nie mam wyjścia. Wiesz, że niewiarygodnie je przypominasz?

- Dlatego tak się na mnie gapisz?

- Trudno się nie gapić.

Nagle uśmiechnęła się z sympatią. Być może jakaś jej cząstka przypomniała sobie, co czuła do niego Carmina.

- Czy obie strzegły tej samej tajemnicy?

— Skąd mam wiedzieć?

— Przecież byłeś obserwatorem.

— Czasami, chcąc nie chcąc, musimy strzec cudzych tajemnic. A czasami swoich własnych.

Amada wstała i podeszła do zastawionej książkami ściany.

— Jak uzbierałeś taką bibliotekę?

— Mój ojciec był kupcem. Kiedy rewolucja wywróciła kraj do góry nogami, wiele osób uciekło z Meksyku przed represjami. Pewien profesor też chciał wyjechać, ale nie miał pieniędzy, więc sprzedał ojcu zawartość biblioteki uniwersyteckiej.

— Twój ojciec nie miał wyrzutów sumienia, że ogołaca uczelnię?

— Wręcz przeciwnie. Ocalił wiele cennych rękopisów, bo rewolucjoniści spalili potem uniwersytet. Kiedy atmosfera się uspokoiła, wszyscy sądzili, że książki przypadły razem z resztą budynku. A ojciec przekazał pieniądze na stworzenie nowej biblioteki.

— Ale książki zachował.

— Tak. - David spojrzał czule na regały. — Nikt nie wiedział, że są u niego. Z własnej woli sfinansował bibliotekę. Zależało mu, żeby dać ludziom coś w zamian.

— A mnie zależy na odzyskaniu przeszłości mojej rodziny. — Przemaszerała przez pokój i stanęła naprzeciw niego. — Bez historii czuję się niepełna. Jak drzewo bez korzeni. Gdybym nie przyszła, wzięłbyś tajemnice mojej rodziny do grobu, tak?

— Nie mnie twierdzić, że twoja babcia nie miała prawa pogrzebać swojej przeszłości.

— A jednak na pewno przyszło ci to do głowy. Dlatego zabrałeś kuferek.

- Przecież ustaliliśmy, że wskoczyłem do grobu po kwiaty.
- Z pewnością. A ja urodziłam się wczoraj. Ale z ciebie przechera.
- Pewnego razu pojechałem do Veracruz załatwić kilka spraw po śmierci ojca. Pod moją nieobecność twój dziadek miał zawał. - David najwyraźniej chciał jej udowodnić, że się myli. - Całe lata cierpiał w milczeniu, zagłuszając ból złamanego serca alkoholem. Picie go znieczulało. Śmiał się, żeby ukryć rozpacz. Uwielbiał opowiadać dowcipy. Po jakimś czasie przyzwyczałem się do smutnej nuty w jego śmiechu i specjalnie się nie zastanawiałem, czemu nic nie cieszy go naprawdę. Zrozumiałem dopiero, kiedy przeczytałem jego książkę, ale wtedy było już za późno.
- Jaką książkę?
- Tata ci nie powiedział, że dziadek napisał książkę?
- Nikt mi nic nie mówi. Przeszłość to tabu - oświadczyła z wyrzutem i usiadła na kanapie.
- Dla historyka nic nie jest tak frustrujące jak brak informacji, prawda? - Wygładził włosy, a potem przesunął dłonią po twarzy. — Dawno temu twój dziadek powiedział mi, że historyk pracuje jak detektyw. Zeszty, który znalazłaś, zawiera notatki do tej właśnie książki. Twój tata ma rację, pod koniec życia dziadek rzeczywiście zaglądał do butelki, ale me był bełkoczącym alkoholikiem, tylko przegranym człowiekiem. Tamtego wieczoru, kiedy umarł, jak zwykle grał ze znajomymi w domino. Ktoś opowiedział kawał. Twój dziadek tak się śmiał, że odrzucił głowę do tyłu, a potem złożył się wpół na kamieniach do gry. Dobrych parę chwil siedział z czołem na stole, lekko się trzęsąc. Znajomi patrzyli. Wreszcie ktoś powiedział: „Ramiro, daj spokój, ten kawał nie był aż tak śmieszny”. Twój dziadek nie zareago-

wał. W końcu go wyprostowano. Nie żył. Odszedł w napadzie śmiechu. Potem krążyły legendy, że umarł szczęśliwy, mimo że fatalnie przegrywał, bo miał cztery dublety. Plotki strasznie wypaczają rzeczywistość.

Zapadła cisza. David słyszał, jak Amada oddycha z trudem, przytłoczona przeszłością, która połączyła ich dzięki przedziwnemu zrządzeniu losu.

— Nie znałam tej historii.

— Czy Hilda opowiadała ci o dziadku? -Nie. Nigdy.

— A Carmina?

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Nie. Przecież go nie znała.

— Hmm.

— Grubo się mylisz, jeżeli sądzisz, że półsłówkami zniechęcisz mnie do poznania absolutnie całej historii mojej rodziny. - Wstała i wróciła pod regał. - Najwyższy czas, żebyś zaczął mówić — powiedziała jego książkom.

— Najcenniejsze tomy są w sypialni dla gości.

— Czy naprawdę tak trudno uchylić rąbka tajemnicy?

Ze wszystkich cech Carminy musiała odziedziczyć akurat tę najbardziej denerwującą — odporność na próby zmiany tematu.

Wzięła książkę z półki, powąchała ją i odstawiła na miejsce. Potem odwróciła się i spiorunowała go surowym spojrzeniem Hildy.

— Przestań prowadzić swoje gierki i mów.

ROZDZIAŁ 3

Z nienapisanej książki Davida Artasosy, Meksyk 1910-1951

- Gdzie zaczynają się opowieści? Czy czas ma jakiś punkt wyjścia czy raczej zapętla się w nieskończoność?

- Daruj sobie wykłady z fizyki i powiedz po prostu, gdzie ta historia zaczęła się dla ciebie.

-Jak chcesz.

Carmina urodziła się w roku 1910, trzy tygodnie po tym, jak przez kraj przetoczyły się pierwsze wstrząsy rewolucji meksykańskiej. W wiosce, w której przyszła na świat, ludzie zaczęli umierać dopiero wtedy, gdy rząd ogłosił, że wieczność jest wykroczeniem przeciwko społeczeństwu. Całe szczęście, zanim uruchomiono mozolny, biurokratyczny proces delegalizacji nieśmiertelności, problem rozwiązała rewolucja.

Stwierdzić, że dla krewnych Carminy czasy nastały niepewne, to mało powiedziane. Była prawnuczką dyktatora, którego obalenie poprzysięgła sobie rewolucja. Jej ojciec nie miał co prawda wiele wspólnego z tyranem, ale pokrewieństwo automatycznie umieściło jej rodzinę na liście nieprzyjaciół. Nie miało znaczenia, że była z nim

spokrewniona przez jedną z nieślubnych córek — byli potomkami ciemniejący, a więc wrogami.

Ojciec Carminy dorastał otoczony przywilejami, ale z dumą zaznaczał, że starał się wyrównywać nierówności. Miał świadomość, że jedynym efektem rewolucji społecznej będzie przekazanie bogactw w inne ręce, podczas gdy los uciśnionych pozostanie taki sam. Postanowił więc zaprowadzić sprawiedliwość we własnym zakresie. Podzielił swoją ziemię na małe działki i rozdał je służącym, sobie zostawiając tylko niewielką część. Wśród nowych sąsiadów wiódł życie na tyle pokojowe, na ile pozwalały niespokojne czasy. Kiedy na obrzeżach hacjendy zjawili się rewolucjoniści z okrzykami „Ziemi i wolności!” na ustach, zapewne w celu splądrowania majątku i zgwałcenia mieszkających tam kobiet, byli służący sami ich zatrzymali. Walczyli wściekle w obronie swojej ziemi i swojej wolności, które — jak się złożyło — zawdzięczali dziedzicowi, a nie rewolucji.

- Nie muszę ci chyba przypominać, że demokracja to mrzonka — marudziła mężowi matka Carminy. Z przykrością patrzyła na ziemię okrojoną teraz do jednej piątej dawnej powierzchni. — W dodatku z tego, co widzę, wszyscy machnęli na nią ręką. Sen o rewolucji stał się istnym koszmarem.

- Jak to zwykle ze snami bywa — odparł Aris i pocałował złote loki żony. Potem ujął w dłoń główkę córki; łysą jak kolano, jeśli nie liczyć kępki puchu wyrastającej znad czoła. - Mam tylko nadzieję, że kiedy nasze dzieci dorosną, ten koszmar będzie dla nich odległym wspomnieniem. Nie ma nic gorszego niż narażanie dzieci na okropieństwa wojny.

- Albo na podziały - dodała Nati. Jej mąż udał, że nie słyszy.

* * *

Carmina była najstarsza z dziesiątki dzieci. Wychowała się na pieśniach sławiących rewolucję i dzielne kobiety, walczące u boku mężczyzn. Być może dlatego wyrosła na upartą dziewczynkę i owinęła sobie ojca wokół palca.

Pewnego niczym niewyróżniającego się popołudnia Arisa odwiedził wysłannik reakcjonistów. Zapewnił, że jeżeli zdecyduje się zająć miejsce swego dziadka, może liczyć na wsparcie. Od wybuchu rewolucji kraj był pogrążony w chaosie. Wojskowi prominenci walczyli między sobą o wpływy polityczne, a lud żył w terrorze. Władza przypadała w udziale temu, kto najsprawniej umiał zmobilizować odpowiednie frakcje w armii. Każdy kolejny prezydent dopasowywał konstytucję do swoich potrzeb, a co najmniej dwóch zostało zastrzelonych po zaledwie paru godzinach pełnienia tego urzędu.

- Potrzebujemy silnego przywódcy, który poprowadzi naród w kierunku wyznaczonym przez pańskiego dziadka - oznajmił wysłannik.

- Silnego — powtórzył Aris.

— Takiego, który raz na zawsze zaprowadzi w kraju porządek. Trzeba powstrzymać naszych sąsiadów przed dalszymi bezwstydnymi grabieżami. Wykorzystują obecny bałagan, żeby okradać nas z ropy naftowej, którą potem sprzedają nam w postaci rafinowanej. A rząd chce nałożyć nowy podatek na paliwa.

— A więc wszystko sprowadza się do pieniędzy - skwitował Aris. - Pański mocodawca nie jest zadowolony z obecnego monopolu na rynku paliwowym w Meksyku i chce uzyskać specjalny przywilej, dyspensę, że tak powiem, aby uniknąć płacenia podatków za import paliw. Proszę mu

przekazać, żeby poszukał kogoś innego do brudnej roboty, [a zamierzam pozostać przy życiu. Muszę dbać o rodzinę. - Po czym odprawił gościa.

Kiedy Aris został w salonie sam, napadła na niego wściekła Nati.

- Trzeba było się zgodzić! - Jej rozkwitłe z powodu nowej ciąży piersi podskakiwały, gdy mówiła.

- Nati, to nie jest właściwy moment.

- Trzeba zakończyć to szaleństwo. Mogłeś tego dokonać. Aris odgrodził się od żony dziećmi. Carmina wcisnęła mu w rękę lalkę.

- Czy los Madery nie jest wystarczającą przestrożą? Mam ci przypomnieć nazwiska wszystkich zabitych prezydentów?

- Ty mogłeś to zakończyć.

- To niemożliwe, dopóki w Meksyku jest ropa.

- Tatusiu, pobaw się ze mną! - zażądała Carmina.

Aris oderwał wzrok od zaróżowionej twarzy żony i pogładził jasne warkocze córki. Nati wypuściła z płuc powietrze tak gorące, że gdyby była smokiem, zwęgliłoby cały pokój.

- Rośnie nam despotka.

- Nati, to jeszcze dziecko.

- Rozpuszczasz ją. Trudno będzie znaleźć dla niej męża. Carmina odłożyła lalkę.

- To wyjdę za tatusia.

Aris wybuchnął dudniącym śmiechem, którym zagłuszył narastający w sercu niepokój.

- Boże! - wykrzyknęła Amada. - Chcesz powiedzieć, że moja babcia jest potomkinią dyktatora?

- Tak samo jak ty — zauważył David.

- Żartujesz sobie ze mnie.
- Jeżeli mi nie wierzysz, zapytaj Carminę.
- Dlaczego nikt mi nie powiedział?
- Twoja babcia nie chce, żeby wnuki znały prawdę.
- Czemu?
- Żeby nie kusiło was pójście w politykę ze względu na pochodzenie.
- A pradziadka nie kusiło?
- Na pewno kusiło. Trudno się dziwić, skoro pochodził z takiej rodziny. Ale był naocznym świadkiem historii, a ta nie prezentowała się zbyt różowo. Odkąd Madero został prezydentem, prześladowały go niefortunne zdarzenia. Na przykład, popełnił błąd i pozostawił przy władzy gabinet twojego praprapradziadka.
- W twoich ustach to wszystko brzmi zabawnie.
- Dlaczego?
- Sama nie wiem. Trudno mi sobie wyobrazić, że ten człowiek z wąsiskami i aureolą białych włosów był moim przodkiem. — Przez chwilę zastanawiała się nad czymś. - Czy to prawda, że żona pudrowała mu twarz, żeby był bielszy?
- Tak wtedy plotkowano. Ale być może to propaganda rewolucji, która chciała wmówić ludziom, że wstydział się swoich indiańskich korzeni.
- A wstydział się?
- Według części historyków właśnie z tego powodu prześladował mieszkańców Juchitanu.
- Uczyłam się na historii, że wybił ich prawie co do nogi.
- Dlatego że w niezwykle okrutny sposób zabili jego brata. Osobiście uważam, że jego celem była zemsta za śmierć Feliksa, a nie, jak się uważa, czystka społeczna.

— Czy określenie „czystka społeczna” nie jest tu anachronizmem? Przecież zjawisko to pojawiło się dopiero w dwudziestym wieku.

— Niezupełnie. Oczywiście w dwudziestym wieku zostało dramatycznie rozwinięte, ale istniało już wcześniej. Czystka społeczna pojawia się nawet w Biblii.

Amada przewróciła oczyma.

— Litości.

: - Nie wierzysz? A co, według ciebie, Bóg przeprowadził w Sodomie i Gomorze?

— Błagam, Davidzie, przestałam wierzyć w Boga mniej więcej wtedy, co w świętego Mikołaja. Ale zbaczamy z tematu. Opowiedz mi coś jeszcze o bracie Porfiria.

— Porfirio przydzielił mu zadanie wydalenia mieszkańców Juchitanu z wielkich majątków ziemskich, które były w ich posiadaniu jeszcze przed konkwistą. Zeby pokazać, że dekrety Porfiria nie robią na nich najmniejszego wrażenia, odcięli Feliksowi podeszwy stóp, a następnie kazali mu przespacerować się po rozgrzanym piasku pustyni. Potem wykastrowali go i zmusili do zjedzenia własnych jąder. Felix zwymiotował na buty swoich oprawców, a w odpowiedzi jeden z nich wpakował mu kulę między oczy.

— Uch. - Amada wyglądała, jakby sama miała zaraz zwymiotować.

— Madero wiedział o wszystkim. Zapewne nie chciał postępować zbyt stanowczo względem establishmentu i dlatego nie usunął gabinetu Porfiria. Był idealistą. Postawił sobie za cel rozbrat z dawnym prawem pięści, ale osiągnął tylko tyle, że najbardziej charyzmatyczny przywódca rewolucji się od niego odciął.

— Masz na myśli Emiliana Zapate.

— Odrobiłaś lekcję z historii.

- Wszyscy wiedzą, kim był Zapata. Zwłaszcza teraz, kiedy mamy zapatystów, partyzantkę na południu i tak dalej.

-1 rewolucja trwa nadal. Wreszcie dawna władza dostała rozkaz zabicia Madero. Potem z rewolucją było coraz gorzej. Nie należała już do ludu. Wyglądało na to, że wróci stary porządek, tylko że u władzy wylądowali teraz niewykształceni prostacy. Nowymi władcami stali się kacykowie. Psioczyli na podatki, jakie muszą zapłacić monopolistycznemu systemowi, który obsypał ich bogactwem, podczas gdy dziewięćdziesiąt procent społeczeństwa żyło w skrajnej biedzie. Ale nie było już Porfiria. Zamiast niego o władzę szarpała się zgraja kmotków, których kompletnie nie obchodził los ludu. Równie dobrze mogliśmy wetknąć małpie ołówek w tyłek i kazać jej pisać ustawy.

- Aris na pewno by temu zapobiegł.

- Skąd. Nie mógłby ratować kraju i jednocześnie zostać przy życiu.

- Niby czemu?

- Nasi sąsiedzi nigdy by mu na to nie pozwolili. Jak myślisz, dlaczego Madero został zabity?

- Chyba jednak nie odrobiłam lekcji z historii. Ten okres zawsze wydawał mi się nieco mętny.

- Nie bez powodu. Rzadko mówi się o tym, co się naprawdę stało. Madero nie chciał zostać kapitalistyczną szmatą, więc Amerykanie zaczęli szukać kogoś, kto się go pozbędzie. W końcu Waszyngton wydał rozkaz i Huerta zamordował Maderę. Amerykanie nie przypuszczali jednak, że Huerta sam zamierza objąć urząd prezydenta.

- Czy Huerta nie był jednym z generałów Porfiria? Pamiętam jego zdjęcie z podręcznika do historii. Miał szerokie bary, podłe oczka i wąsy. Był cały obwieszony orderami.

- To on. Należał do najbardziej zaufanych ludzi Porfiria, ale okazał się zdrajcą. Wydał Porfiria Amerykanom.

Amada otworzyła szeroko oczy.

- Niemożliwe.

- A jednak, moja droga. Kiedy Porfiria skazano na wygnanie, Huerta miał jechać razem z nim. Tymczasem, jak wiemy z historii, Huerta skorzystał z okazji i zagarnął fotel prezydencki dla siebie. Kiedy nie chciał podpisać tych samych koncesji, które odrzucił Madero, jego także uznano za przeszkodę dla interesów USA. To dlatego nasze główne porty dostały się pod amerykańską okupację w 1914 roku. Wiele lat później, kiedy generał Smedley Butler przeszedł do cywila, przyznał, że pełnił funkcję ekskluzywnego goryla amerykańskich firm. Nasi sąsiedzi pogwałcili najbardziej podstawowe paktów międzynarodowe dotyczące suwerenności krajów ościennych. Okręt Dolphin zacumował nielegalnie na wodach przybrzeżnych, a w Tampico zeszło na ląd ośmiu *marines*.

- Ale co to ma wspólnego z tajemnicami mojej rodziny?

- Zastanów się. Jesteś dziedziczką jednej z najpotężniejszych meksykańskich dynastii. Twoi krewni byli regularnie mordowani. Obawiano się, że postawią rodzinę na nogi i odrodzą jej potęgę. Za każdym razem, gdy któryś z męskich potomków chciał sięgnąć po to, co — jak uważał — mu się zgodnie z prawem należy, skutki były tragiczne.

- Chyba trochę dramatyzujesz.

- Tak myślisz? A wiesz, ile rodzeństwa miała twoja babcia?

- Czwooro... pięcioro?

- Nati miała wszystkiego dziesięcioro dzieci. Wiesz, ile z nich jeszcze żyje?

- Moja babcia i jej siostra.

- Zastanawiałaś się kiedyś dlaczego?
- A powinnam?
- Pomyśl, Amado. Nie wydaje ci się dziwne, że z dziesięciu osób przeżyły tylko dwie?
- Rzeczywiście, to dziwne. Przypominam sobie teraz, że wszyscy moi cioteczni dziadkowie zginęli w niewyjaśnionych okolicznościach.
- Można nawet powiedzieć, że w podejrzanych okolicznościach. A to dlatego, że nie wszystkie dzieci Nati były tak roztropne jak ich ojciec. Do ostatniego morderstwa doszło w roku 1976, kiedy samochód twojego wujka podziurawiły kule. Jechał właśnie na wiec wyborczy, żeby rzucić wyzwanie kandydatowi na prezydenta. Sprawców nie odnaleziono. Od tej pory twoja babcia starała się jak mogła ochronić swoje dzieci i wnuki przed niebezpieczeństwem. I jak najbardziej odgrodzić rodzinę od przeszłości.
- Nie miałam o tym pojęcia. — Amada wyglądała na rozbitą.

ROZDZIAŁ 4

Amerykańska inwazja

David miał niebywałą umiejętność rejestrowania przeszłości. Może dlatego, że w głębi duszy czuł się świadkiem punktów zwrotnych w historii i uważał, że musi je jak najlepiej utrwalić; nie tyle z troski o następne pokolenia, ile raczej z pedantycznej potrzeby zapamiętania minionych wydarzeń w ich nienaruszonej postaci. Kiedy spoglądał wstecz, wciąż wyraźnie - jakby to było wczoraj - widział otwartą skrzynię stojącą w nogach łóżka rodziców, bezładną stertę wykroch-malonych koszul, czekających na wyprasowanie ciężkim żelazkiem na węgiel, i wciąż czuł cisnące w podbicie buty z cielecej skóry, które tamtego ranka włożył po raz pierwszy. Mimo że upłynęło niemal sto lat, doskonale pamiętał zapach krochmalu ulatniającego się z koszuli za dotknięciem gorącego żelazka, rozgrzanych do czerwoności węgielków i nowej skóry swoich butów.

Czekała go pierwsza w życiu podróż pociągiem. Z emocji aż nie mógł zasnąć. W ramach przygotowań do miesięcznego wyjazdu cały dom wywrócono do góry nogami. Chłopiec wybierał się do Tampico, ponieważ jego ojciec, Yussef, zamierzał negocjować kupno towarów, które

miały tam przypląć statkiem. Nazywało się to „kontrakt terminowy”. Zona Yussefa nie pochwałała takich nowomodnych sposobów zawierania transakcji, polegających na kupowaniu rzeczy, których nawet jeszcze nie załadowano na pokład.

- W cywilizowanym świecie tak prowadzi się interesy - wyjaśnił Yusef. W odpowiedzi jego żona odłożyła robótkę na bok i wyszła z pokoju.

Jechali przez dżunglę. Raz do wagonu dostała się małpka, która — wystraszona gwizdem pociągu - spadła z gąszczy zielonych liści do środka. Pasażerowie za pomocą lasek usiłowali wydostać szamoczące się za skrzyniami stworzenie, a małpka piszczała z przerażenia. W końcu zdjęty współczuciem Yusef otworzył okno, żeby mogła uciec. Ku rozbawieniu Davida, małpka wskoczyła na głowę jednego z pasażerów, po czym czmychnęła na zewnątrz. Poza tym incydem podróż przebiegała bez przygód.

Następnego ranka pociąg wtoczył się na stację. Widok ogromnej cytadeli majaczącej nad zatoką zaparł Davidowi dech w piersiach. Ale w Veracruz świt budził miasto do życia, tymczasem tutaj wciąż było niepokojąco cicho. Ani śladu bagażowych wyjmujących podróżnym torby z rąk, cudownie pachnących straganów czy sprzedawców przygotowujących *tacos*. Pasażerowie sami musieli dźwigać swoje walizki. W powietrzu dało się wyczuć atmosferę zagrożenia. David zauważył, że ojciec aż zeszywniał. Popatrzył tam, gdzie on. W zatoce cumowała kanonierka wielkości domu, tak ciężka, że prawie nie bujała się na falach. Na burcie zobaczył wymalowany napis Dolphin, ale nie wiedział, co to znaczy. Załoga statku celowała w cytadelę działami dużymi niczym konie. Nagle coś zaświeciło Davidowi w oczy. Popatrzył na

górnym pokład. Stał tam marynarz lustrujący port przez coś na kształt długiej tuby wychodzącej mu z oka.

- Co robi ten marynarz? — zapytał chłopiec.

Yussef pogłaskał syna po głowie, ale nadal patrzył na okręt.

- Przygląda się nam.

Zza rogu wyłonił się człowiek z koszykiem na głowie. Gdy podszedł bliżej, ojciec Davida zapytał:

- Co się tu dzieje?

- Federalni wsadzili wczoraj do pudła ośmiu *gringos*.

- Dlatego statek celuje w port?

Przechodzień zatrzymał się i poprawił koszyk, rozsiewając w powietrzu zapach świeżego pieczywa. Davidowi pociekła ślinka.

- Ci *gringos* to byli amerykańscy żołnierze - odparł nieznajomy i oddalił się.

Yussef jęknął cicho. David spojrział w górę i zobaczył, że twarz jego ojca przybrała kolor nieupieczonego chleba.

- Co się dzieje, papo?

- Nic, synu.

Ojciec wziął chłopca za rękę, odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. David pokłusował za nim, stukając po bruku obcasami nowych butów.

Yussef odnalazł pośrednika, z którym miał omawiać szczegóły transakcji, i zapytał:

- Czy ta sytuacja wpłynie na interesy?

Ten wydmuchnął dym z grubego cygara, które trzymał kciukiem i palcem wskazującym, i rozparł się wygodnie w fotelu.

- *Marines* twierdzą, że zeszli na ląd w poszukiwaniu żywności — odparł zza kłębow dymu — ale federalni zatrzymali ich pod zarzutem szpiegostwa.

- Naprawdę szpiegowali?
- Yussefie, nie bądź dzieckiem. *Gringos* szpiegowali nas jeszcze przed wybuchem rewolucji.
- To dlaczego dopiero teraz ich aresztowali?
- Bo teraz przeciągnęli strunę. Zachowali się jak typowi arogancy jankesi. Jeżeli chodzi o interesy, nie martwiłbym się za bardzo. Musisz tylko zrobić zapasy, a potem, kiedy na rynku zabraknie towaru, podwoić ceny.

David uznał pomysł za bardzo rozsądny, ale Yussef zapłonął z oburzenia.

- Nie widzisz, jak naród cierpi? Nie mogę bogacić się kosztem biedaków!

Mężczyzna wypuścił z ust kolejną chmurkę dymu.

- Zrobisz, jak zechcesz. Yussef popatrzył w stronę zatoki.
- Czemu ten statek celuje w cytadelę? Chce, żeby uwolniono więźniów?
- Amerykanie są wolni od wczoraj. Zostali wypuszczeni, kiedy dowódca na *Dolphinie* zadepeszował do Waszyngtonu.

- To o co chodzi?

- O amerykańską arogancję. Dowódca opowiada wszystkim dookoła, że aresztowanie jego ludzi jest wykroczeniem przeciwko USA i żąda oficjalnych przeprosin. W dodatku chce, żeby na cytadeli zawisła amerykańska flaga.

- To bezczelność! — wykrzyknął Yussef. Mężczyzna wzruszył ramionami, jak gdyby mówiąc:

„Przecież zawsze tak było”.

Tej nocy w pensjonacie Yussef zdmuchnął lampkę oliwną i odsunął zasłonę, żeby popatrzeć na zacumowany w zatoce okręt. David stanął na palcach obok ojca i też wyjrzał. Wiel-

ki statek wciąż tkwił przy brzegu. W świetle księżyca wyglądał jeszcze groźniej niż za dnia, na pokładzie jednak nic się nie działo. Po jakimś czasie chłopcu znudziło się patrzenie w ciemność i wrócił pod kołdrę.

Dwa dni później prezydent Meksyku ustąpił Amerykanom i gorąco przeprosił za aresztowanie ośmiu żołnierzy.

- Dlaczego przeprosił, skoro jest jasne jak słońce, że *marines* szpiegowali? - zapytał Yussef swojego znajomego kupca, kiedy spotkali się na śniadaniu.

- Widziałeś przecież, jakich rozmiarów mieli działa - odparł tamten i zapalił nowe cygaro. David przyrzekł sobie, że kiedy dorośnie, też będzie palił cygara. - No i jeszcze to. - Przesunął po stole gazetę.

Yussef popatrzył na zdjęcie pod wytłuszczonym nagłówkiem.

- Co tu jest napisane?

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś wreszcie nauczył się angielskiego? To język handlu.

Yussef wzruszył ramionami i podsunął gazetę koledze.

- Amerykanie przedstawiają to w takim świetle, jakbyśmy porwali biednych *marines*. Prezydent Wilson wystąpił do Kongresu o pozwolenie na użycie wobec Meksyku „radykalnych środków”. Przeczytałem właśnie w gazecie, że USA na samym początku rewolucji rozmieściły przy naszej północnej granicy wojsko i nadal je tam trzymają. Lobbyści nakłaniają Wilsona, żeby nas zaatakował.

David znowu zauważył, że skóra ojca przybiera odcień surowego ciasta.

Yussef postanowił skrócić wizytę. Chłopiec był wielce rozczarowany, bo marzył, że zobaczy te wspaniałe działa w akcji. Co miał teraz powiedzieć mamie?

Parę tygodni później David akurat maczał bułkę w miseczce czekolady, gdy w porcie zadudniły odgłosy wystrzałów. Ile sił w nogach wybiegł na dwór, żeby zobaczyć, co się dzieje. W ferworze aż przewrócił krzesło. Ledwie znalazł się na trawniku, kiedy mama złapała go za kołnierzą koszuli. Zamiast jednak zaciągnąć go z powrotem do domu, jak sparaliżowana przyglądała się ludziom biegnącym w popłochu po ulicy i wołającym bliskich: dzieci, mężów, matki. Ziemia zadrżała od kolejnego wystrzału, a nad portem zawisł czarny obłok dymu. David poczuł zapach prochu.

- Do domu! — Mama w końcu otrząsnęła się z osłupienia i pociągnęła chłopca do środka. Służący zatrzasnął za nimi drzwi. Potem cała trójka wraz z kucharzem zbiegła kamiennymi schodkami do piwnicy. W oddali miastem zatrząsł kolejny wystrzał. Zwisająca z belki pod sufitem lampa naftowa zakołysała się gwałtownie, a na podłogę posypał się gips.

- David, włącz tutaj!

Mama uniosła wieko beczki. Twarz miała białą jak osypujący się sufit, ale uśmiechnęła się krzepiąco. Wolałby co prawda przytulić się do niej, ale tym razem usłuchał starszych i wszedł na stertę skrzynek, a potem służący pomógł mu wgramolić się do beczki. Nadal pachniała lekko skwaśniałym winem. Kucnął w środku, a mama nałożyła wieko. Ściany znowu się zatrzęsły, tym razem jednak dlatego, że ktoś grzmocił w drzwi. David wcisnął pięści w oczy, żeby powstrzymać łzy.

- Napadli nas! — oznajmił ojciec, kiedy służący wpuścił go do piwnicy. - Rozmieszczeni w Meksyku szpiedzy zablokowali transport broni dla Huerty. Teraz Amerykanie oskarżają go o morderstwo i bezprawne przejęcie władzy. Mówią, że zabił Maderę, żeby samemu zostać prezydentem.

- Teraz się zorientowali, po dwóch latach? — wykrzyknęła matka. - Przecież zlikwidował Maderę na ich rozkaz!

Przez szparę między deskami David zobaczył, jak ojciec siada ciężko na jednej ze skrzyń i przeczesuje palcami włosy.

-Admirał Fletcher okupuje port. Chce skonfiskować uzbrojenie. Przy okazji konfiskuje też ropę.

Z oburzenia mama Davida aż fuknęła. Korzystając z chwili ciszy, chłopiec zastukał w beczkę, żeby ktoś go wypuścił. Zamierzał poprosić tatę, by wziął go ze sobą do portu i pozwolił popatrzeć na bitwę, ale Yussef miał taki wyraz twarzy, że chłopiec ugryzł się w język. Na koszuli ojca wykwitły ciemne plamy potu, rozsiewając w pomieszczeniu zapach strachu.

- Co robimy? — dopytywała się matka.

- Nie wiem, Mario. Dowiedziałem się właśnie, że Amerykanie zmobilizowali swoje siły na granicy i chcą najechać na Tijuane. Potem Wilson zamierza zaanektować Kalifornię Dolną i ukarać Huertę za zamawianie broni z Niemiec.

- Nie dość się nakradli?

- Najwyraźniej nie. Pamiętaj, że już od wygnania Porfi-ria Diaza szukali pretekstu, żeby nas najechać. Wilson marzy o tym, żeby przemienić Meksyk w amerykańską kolonię, i wszystko wskazuje na to, że mu się uda.

Z oczu Marii popłynęły łzy wściekłości.

W chwili inwazji David był za mały, żeby wszystko rozumieć. Później na lekcjach historii dowiedział się, że mieszkańców północnego Meksyku wspomogli imigranci z Hiszpanii. Ludność napływowa i tubylcy zwarli szyki i dzielnie odparowali atak Amerykanów, zanim tamci zdążyli posłać po posiłki. Wilson zagrożony dyplomatyczną kompromitacją oświadczył, że nic nie wiedział o inwazji w Kalifor

nii, a jeżeli rzeczywiście nastąpiły jakieś działania zbrojne, była to z pewnością inwazja flibustierska. David odszukał w słowniku słowo „flibustier”, ale jego wytłumaczenie nie było dla chłopca przekonujące. Potem całe lata zachodził w głowę, jak to możliwe, że oświecony, podobno, prezydent uparcie nazywał „inwazją flibustierską” zbrojną ofensywę, którą przypłaciły życiem setki cywilów.

W styczniu 1917 roku David siedział w szkole i rozkoszował się zapachem świeżo zatemperowanych ołówków i nadgryzionych gumek. Jesienią poszedł do pierwszej klasy i trochę przytłaczały go jeszcze nowe uczniowskie obowiązki. Na początku tego roku Brytyjczycy przechwycili telegram, który Arthur Zimmermann, niemiecki minister spraw zagranicznych, wysłał do ambasadora swojego kraju w Meksyku. Londyn rozszyfrował wiadomość i przesłał ją Amerykanom. Informowała ona o rozpoczęciu wojny podwodnej z USA. W telegramie Niemcy prosiły Meksyk o wsparcie, a w zamian zobowiązywały się do zwrócenia mu ziemi zagarniętej przez Amerykanów w roku 1848 po wojnie amerykańsko-meksykańskiej.

Zimmermann przyznał, że telegram nie był fałszywką. Gdyby Niemcom udało się wprowadzić w życie swój plan, Amerykanie mieliby powody obawiać się ataku z południa. Wilson zarządził więc wycofanie sił amerykańskich z Meksyku, tym samym kończąc blisko ośmioletni okres nielegalnej infiltracji przez rzekomo „przyjazne siły zainteresowane ochroną suwerenności swojego sąsiada”.

Dyrektor szkoły Davida zorganizował święto. Nauczyciele brzdąkali na gitarach i śpiewali rewolucyjne pieśni. Meksykańską flagę wciągnięto na sam szczyt masztu. Zorganizowano bitwę na niby: uczniowie byli meksykańskimi

bohaterami, a nauczyciele — amerykańskimi bandytami. Dzieci były zachwycone, że mogą ganiać bandytów po całej okolicy, a nawet wypędzać ich poza teren szkoły.

Gdy ostatni amerykański statek odpłynął, na ulice wyległ upojony zwycięstwem tłum.

- Wolność! Pokój! - krzyczano.

Wracając ze szkoły, David przyłączył się do tysięcy ludzi świętujących zakończenie amerykańskiej agresji. Skierował się na plac, gdzie siarkowa woń fajerwerków wystrzeliwanych w niebo mieszała się z zapachem *churros* w cukrze. Chłopiec kupił sobie torebkę tych łakoci, usiadł na ławce i przyglądał się tańczącym w altanie parom. Od nadmiaru słodczy rozboleł go brzuch, ale i tak wiwatował na cześć ogłoszonego tego dnia rozejmu pomiędzy rewolucjonistami a siłami federalnymi. Był pewien, że koniec wojny w Meksyku jest tylko kwestią czasu. Zastanawiał się, jak żyje się w kraju, gdzie panuje pokój.

Nie wiedział jednak, że Amerykanie szybko pozbierali siły i zaczęli przygotowywać się do kolejnego ataku. Pokój w Meksyku nie był im na rękę. Jeszcze tej wiosny USA wypowiedziały wojnę Niemcom.

- Dlaczego ich zawsze ciągnie do wojny? - zapytał David ojca.

- Nie wiem, synu.

- Przecież nawet dobrze się stąd nie wynieśli, a już szykują się do nowego konfliktu.

- Pewnie lubią wojnę - odparł Yussef zmęczonym tonem. Podczas ulicznego świętowania tłum splądrował jego sklep.

Jesienią, niedługo po tym, jak David poszedł do drugiej klasy, uchwalono nową konstytucję. Stwierdzała ona między

*** Smażone w głębokim tłuszczu podłużne ciastka (przyp. tłum.).**

innymi, że podziemne zasoby naturalne należą tylko i wyłącznie do Meksyku, ale USA podniosły ragan i usiłowały zablokować dokument.

- Ha! Ależ baronowie paliwowi muszą się teraz pieniść! - oświadczył rozradowany Yusef i podkreślił węża.

- Dlaczego?

- Bo z jakiegoś tajemniczego, tylko im wiadomego powodu ci złodzieje uważają, że meksykańska nafta należy wyłącznie do nich. Żądają natychmiastowego ataku na nasz kraj, aby „pokazać tym chytrym brudasom, kto tu rządzi”.

- Naprawdę jesteśmy chytrymi brudasami?

- Davidzie, daj ojcu spokój — odezwała się mama. - Idź odrobić lekcje.

- Kiedy to jest o wiele ciekawsze niż praca domowa! - zaprotestował chłopiec. — Opowiedz coś jeszcze.

- A obiecujesz, że potem się pouczysz? - zapytał Yusef, wychylając się zza gazety.

- Tak, tato.

- A więc dobrze. Na całe nasze szczęście większość sił amerykańskich od lipca jest zmobilizowana w Europie. Kongresowi nie uśmiecha się walka na dwóch frontach, mimo że baronowie paliwowi bardzo naciskają na prezydenta.

- Czyli jankesi w końcu przestaną kraść nam ropę?

- Davidzie, jestem pewien, że mają coś w zanadrzu. Rzeczywiście, w zanadrzu siedział generał Smedley

Butler, prowodyr buntów i fabrykant rewolucji. W 1910 roku był jednym z jej zapalników. Teraz ponownie wysłano go do Meksyku, by i tym razem skłócał i podburzał. Jednak mimo że obecna władza była spowinowacona ze starym systemem, a uciśniony lud prawie w ogóle nie skorzystał na rewolucji, Butlerowi podżeganie do kolejnego

powstania szło jak po grudzie. Ludzie masowo uciekali z pola walki.
- Wracać! — wrzeszczał wściekły Butler. Usiłował zatrzymywać walczących i nakłaniać ich do pozostawania w okopach. Nie mieściło mu się w głowie, że napotyka taki sprzeciw u rewolucjonistów.

- Chcemy pokoju - mówili wycieńczeni wojną ludzie.

- Nigdy! - Rąbnął pięścią w drzwi, aż posypały się drzazgi. David był wówczas za mały, żeby o tym wiedzieć, ale Butler

przez kilka lat pracowicie urabiał Meksykanów, zaszczepiając niezadowolenie wśród liczących się w kraju frakcji. Jego misja popchnięcia ludzi do rebelii powiodła się w roku 1922. David miał wtedy zwyczaj czytania gazety od deski do deski, kiedy tylko po śniadaniu ojciec odkładał ją złożoną na stół.

Zawieszenie broni wywołało radość i optymizm, ale nie na długo. W robotnikach udało się zaszczepić bunt, a potem wszystko potoczyło się lawinowo. Tramwaje linowe zawiesiły kursowanie. Dokerzy rozpoczęli strajk, w efekcie czego na terenie całego kraju warzywa i owoce gniły w magazynach. Studenci wyszli na ulice. Regularnie wybuchały zamieszki, bo w piekarniach brakowało chleba. Nie było komu pilnować porządku, gdyż policja także strajkowała. Meksykanie awanturowali się i plądrowali. Kraj opanowała całkowita anarchia. Konflikt jednak szybko ostygł, bo naród najbardziej na świecie pragnął jednego: pokoju, który tak niedawno przecież odzyskał.

Plan spalił na panewce. Butler postanowił więc podjudzić inną część społeczeństwa — konserwatystów, których oburzała porewolucyjna swoboda obyczajów. Czcigodni seniorzy już od zarania rewolucji narzekali na upadek moralności i wieszczili, że Meksyk stanie się nową Sodomą i Gomorą.

Według nich kobiety *trzeba* było przywrócić pod chrześcijańskie jarzmo patriarchatu. Nikt nie zwróciłby większej uwagi na gadaninę kleru i ich podstarzałych parafian, gdyby nie zjawił się Butler. Osobiście dopilnował, by przepowiednie apokalipsy zostały wydrukowane w gazetach.

Na wieść o tym Maria prychnęła i wymaszerowała z kuchni.

- Ale, mamó, posłuchaj tego. - David poszedł w ślad za nią. - Chcą zakazać charlestona, bo obraża obyczaj!

- Tak, słyszałam. A kobiety, które odważą się obciąć włosy albo włożyć sukienkę do kolan, nazywa się wywłokami i obrzuca kamieniami.

- Czy to źle?

Maria spiorunowała syna wzrokiem.

- Czy chciałbyś, żeby zaczęto nazywać mnie wywłoką, bo obciąłam włosy?

- Oczywiście, że nie.

- To nie zadawaj głupich pytań.

David nie miał jeszcze piętnastu lat, kiedy prezydent Calles zreformował kodeks karny, zakazując praktyk religijnych. Duchowni odebrali to jako bezpośrednią deklarację, że państwo chce przejąć rząd dusz nad obywatelami, i zorganizowali bierny opór. Latem biskupi zawiesili działalność Kościoła w całym kraju. I David, i Yussef nie posiadali się z radości. Każdy z innego powodu. David uważał, że msze są niewiarygodnie nudne. Yussef był muzułmaninem.

- Nie ma się z czego cieszyć — skwitowała Maria. - Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Callesowi udało się — jak sądził — niewielkim kosztem odnieść miażdżące zwycięstwo nad Kościołem. Nie wiedział, że duchowni po cichu namawiają wiernych do oporu.

Butler, który nosił się teraz po księżemu, zachęcał chrześcijan do walki przeciwko antyklerykalnemu rządowi i rozdawał broń, dostarczaną przez baronów paliwowych.

Wybuchła nowa wojna, a właściwie krucjata przeciwko rządowi. Na sztandarach niesiono tym razem hasła „*IViva Cristo Rey!*”*, a baronowie, korzystając z zamieszania, w najlepsze kradli meksykańską ropę. Po jakimś czasie przewrót wymknął się spod kontroli. Kościół stracił panowanie nad buntownikami. Przez kraj przetoczyła się nowa fala tragedii. Duchowni zorganizowali kilka tajnych spotkań z prezydentem, prosząc go, żeby pomógł im powstrzymać fanatyków.

Calles musiał wybierać między chroniącą meksykańskie surowce naturalne konstytucją z 1917 roku a walką z ruchem, który zagrażał bezpieczeństwu narodowemu. Chcąc nie chcąc, zdecydował się na to drugie. Butler w ostatniej chwili uciekł do USA, gdzie został nagrodzony za unieszkodliwienie Meksyku. Kiedy przeszedł do cywila, sam siebie określał mianem „ekskluzywnego goryla amerykańskich firm”. Przyznał: „Byłem mafiosem kapitalizmu. Za moją sprawą Wall Street bogaciła się kosztem pół tuzina spustoszonych republik Ameryki Środkowej. W 1914 roku zabezpieczyłem amerykańskie interesy w Meksyku, a zwłaszcza w Tampico”.

David westchnął i wbił w Amadę spojrzenie lepszego oka. Doszedł do wniosku, że z łysiną, orlim nosem i przechyloną głową musi w tej chwili bardzo przypominać indora.

— Masz niesamowitą pamięć do historii — stwierdziła Amada.

***Niech żyje Chrystus Król! (przyp. tłum.).**

- To nie jest wersja, jaką znajdziesz w podręcznikach.
- Nie?
- Po pierwsze, historię piszą zwycięzcy, którzy lukrują przy okazji swoje grzechy. A po drugie, to, co ci opowiedziałem, pochodzi z mojej książki.
- Napisałeś książkę?
- Jeszcze nie, ale cały materiał mam tutaj. - Postukał się w skroń.
- To się nie liczy. Pomysł staje się książką dopiero, kiedy przelejesz go na papier.
- Lekceważenie jest charakterystyczne dla twojego pokolenia. A teraz chciałbym się zdrzemnąć. - David umościł się w fotelu.
- Zawsze robisz się senny, kiedy rozmowa zbacza na niewygodne dla ciebie tory. Opowiedz mi o mojej babci. Jak ją poznałeś?
- Hildę czy Carminę?
- Tę, którą bardziej kochałeś. David zmarszczył czoło.
- Nie da się opowiedzieć o jednej, nie mówiąc o drugiej. Obie złamały mi serce.

ROZDZIAŁ 5

Złamane serce Davida Anasosy

Tamtego dnia roku 1928, kiedy katolickie powstanie właściwie dobiegało końca, David przyszedł do salonu piękności Carminy. W odpowiedzi ona natychmiast z niego wymaszerowała. Oświadczyła, że nie dotknie włosów klientek, dopóki David nie zniknie jej z oczu. On, czując zapach spalonej opony dobywający się spod czepka pewnej damy, rozsądnie postanowił się ulotnić.

Wrócił wieczorem, kiedy salon się zamykał — przekonany, że burza minęła. Carmina nie zbesztła go ani słowem. W ogóle przestała się do niego odzywać. Jak gdyby nigdy nic skreśliła go ze swojego życia. A przecież tyle ich łączyło. Dotychczas nie odstępowali siebie na krok. Od dawna było zaplanowane, że pewnego dnia się pobiorą. Co gorsza, nie miał pojęcia, za co ta kara. Nie przychodziło mu do głowy, czym mógł ją tak rozjuszyć, przecież cały dzień uganiał się za Hildą.

- Doigrałeś się - rzuciła matka, gdy wrócił do domu.

— Jak to? — David był zupełnie skołowany.

- Ta kropla przepełniła czarę. Ojciec wysłał cię pierwszym statkiem do Libanu.

— Dlaczego akurat do Libanu?

— Bo tam mieszkają jego rodzice. Przyniosłeś rodzinie wstyd. Dziadkowie nauczą cię podstaw islamu. Może nabierzesz wreszcie szacunku dla ojca.

David gapił się na mamę z niedowierzaniem.

- Przecież nigdy nie byłem dobrym katolikiem. Dlaczego tata sądzi, że będzie ze mnie dobry muzułmanin?

Matka popatrzyła na niego tak, że nie miał więcej pytań. Stało się jasne, że musi na dobre wyjechać z miasta. Słyszałaś, Carmino? Na dobre!

Carmina towarzyszyła mu, odkąd pamiętał, czy tego chciał czy nie. Jej obecność w jego życiu dawała mu poczucie bezpieczeństwa, choć czasem nieco irytowała. Carmina lubiła szefować i często z nieznośną trafnością wytykała mu wady. Była jedyną dziewczynką, która odważyła się z nim kolegować w katolickiej szkole, gdzie posłała go matka.

Kiedy Yussef dowiedział się, jaki policzek jego wierze wymierzyła Maria, wykrzyknął: „Rozwodzę się z tobą, rozwodzę!”. Zona zmierzyła go wzrokiem. „Wystarczyło powiedzieć raz. A teraz odejdz. Odejdz”.

Yussef nie odszedł. A David nie zmienił szkoły mimo gróźb i protestów ze strony zarówno syna, jak i ojca. Niestety, nikt nie chciał się zaprzyjaźnić z kimś, kto nazywa się David Ana* Sosa, a w dodatku — jak dowiedziały się dzieci ze szkoły będącej bastionem katolickiej głupoty - za ojca ma muzułmanina.

-Ana to moje nazwisko, a nie imię - oświadczył, na co koledzy z klasy ryknęli jeszcze głośniejszym śmiechem. — Rozkwaszę ci nos! — Zagroził jednemu chłopcu, mimo że niespecjalnie wiedział, jak się rozkwaszą nosy.

***„Ana” to hiszpański odpowiednik „Anny” (przyp. tłum.).**

Zanim chłopiec zdążył boleśnie zademonstrować Davidowi, jak się to robi, interweniowała Carmina. Za rękaw odciągnęła go w miejsce, gdzie nie sięgały wrzaski innych dzieci. Potem posadziła go na ławce pod kępą drzew, a sama stanęła naprzeciwko, podpierając się pod boki. Świecące zza jej pleców słońce oślepiło go, kiedy podniósł wzrok. Nad głową Carminy unosiła się aureola złotych włosów, które uciekły z warkoczy.

- Dlaczego masz dziewczynskie imię?

- Ana to nie jest moje imię, tylko nazwisko - powtórzył i w bezsilnej furii zwinął dłonie w pięści. Carmina popatrzyła mu w oczy. - Kiedyś nasza rodzina nazywała się „Hanna”, ale tata zmienił na „Ana”.

- Czemu?

- Bo nazywał się Yussef Hanna Salman.

; -No i?

- No i kiedy przyjechał do Meksyku, dowiedział się, że po hiszpańsku nie wymawia się „h”. Zeby nie było problemów z zapisem, wyrzucił „h” z „Hanna”. Podwójne „n” też wiele nie zmienia, więc pozbył się drugiego „n”.

- Dlaczego nie pierwszego?

- Czy naprą... — zaczął David, ale zauważył iskrę dowcipu w jej oczach.

- Czyli teraz twój tata nazywa się Yussef Ana. -YussefAna Salman. Ale chce zmienić „Yussef” na „Jose”.

- Za dużo „s”? — zachichotała Carmina. David gapił się na nią, nie do końca rozumiejąc. - I teraz jesteś skazany na „David Ana”.

- David Ana S o s a.

Carmina przechyliła głowę i prześwidrowała go spojrzeniem. Aż poczuł się nieswojo.

- Według mnie powinieneś zmienić nazwisko na Anaso-sa - I tym sposobem oszczędziła mu wyjaśniania przez całe życie, dlaczego nosi kobiece imię.

- Chcesz zobaczyć wieszanie? — zaproponował, żeby jakoś odpłacić za przysługę.

- Wieszanie? - Oczy Carminy zmieniły się w spodki.

- Podśledzałem w sklepie, jak jeden klient mówił mojemu tacie, że federalni zamierzają jutro o świcie powiesić na figowcu dwóch powstańców.

- Tym na cmentarzu?

- Śmieszne, co? Najpierw każą skazanym wykopać grób, a potem ich wieszają.

- Ty idziesz?

- Oczywiście. Uciekam z lekcji, tylko nie wygadaj. Idziesz ze mną? Carmina pokręciła głową.

- Fajnie będzie! Ostatnim razem wisielec wywalił język aż do piersi.

- Czyli już to widziałeś? -Jasne!

- Davidzie, masz nierówno pod sufitem.

To prawda. Miał nierówno pod sufitem. Przecież zdrowy na umyśle nie poszedłby za Hildą. Był poddawany próbie, od której zależała cała jego przyszłość. A mimo to schował rozsądek do kieszeni i pobiegł za spódnicą Hildy niczym pies za suką. Co gorsza, zamiast potem rzucić się ojcu do stóp, błagając o przebaczenie, ukradł pokaźną część majątku i pojechał w świat za kobietą, która była nie dla niego. Znalazł się daleko od domu, z sercem złamanym dwa razy. Nie miał pojęcia, co robić.

Jak w ogóle mógł przypuszczać, że taka piękna istota jest wolna? Ktoś oczywiście zdążył zwinąć mu ją sprzed nosa.

Carmina była dla niego bardziej jak siostra niż jak kochanka. Nigdy nie czuł do niej pociągu tego rodzaju, jaki zaspokajały mężatki w magazynie na tyłach sklepu jego ojca, tej dzikiej namiętności, jaką Hilda od razu rozpałała w jego sercu. Z Carminą byli nierozłączni, odkąd się poznali. Później doszli do wniosku, że mieli być bliźniętami, tyle że urodzili się z różnych matek. Owszem, to Carmina wpadła na ten pomysł, ale wróżbiarka, którą odwiedzili, potwierdziła jej przecucie: matka nie urodziła jej w całości, Carminie brakowało jakiejś istotnej części.

Poród był trudny i bolesny. Dziecko jeszcze w brzuchu matki dostało czkawki, co zaburzało regularność skurczów. Zanim chirurg zdążył przeciąć jej wyдутy brzuch, Nati wypchnęła dziecko samą siłą woli. Lekarz cucił matkę, a akuszerka wcierała dziecku musztardę w klatkę piersiową — miało to zapobiec czkawce, tymczasem tylko ją wzmogło. Brzuszek małej Carminy podskakiwał przez dwa dni i dwie noce. Nie mogła jeść, spać ani nawet płakać.

— Biedactwo — westchnęła akuszerka. — Nie pociągnie długo.

Parę ulic dalej inna kobieta w ostatnim trymestrze ciąży wyszła do ogrodu nazbierać kwiatów i zachłysnęła się powietrzem. Od razu dostała czkawki. Pod wpływem skurczów przepony kruchy pęcherz z wodą w jej łonie przechylił się i pękł. Służba musiała zanieść ją do sypialni. Niedługo potem urodziła chłopca. Czkawka Carminy zniknęła jak ręką odjął w tej samej chwili, gdy na świat przyszedł David. Dziewczynka przyssała się do piersi matki, a kiedy już się najadła, zasnęła i spała bez przerwy całą noc.

Parę lat później dzieci zaprzyjaźniły się, więc poznały się i matki. Gdy wymieniły się wspomnieniami, okazało się, że

David i Carminę łączy wymykająca się porządkowi wszechświata więź. Nie chodziło tylko o podstawowe albo najbardziej oczywiste podobieństwa. Odkryły, że David zaczął mówić „mama” dokładnie dwa dni po Carminie. To samo ze stawianiem pierwszych kroków. Nati zmarszczyła brwi.

- Przecież chłopcy rozwijają się wolniej.

- Sama nie wiem, Nati. Może powinniśmy spytać lekarza? Uczony chirurg wyśmiał przesady Nati, a Marii przepisał sole przeczyszczające. Kobiety obawiały się, że ludzie zaczną wytykać je palcami, dlatego zaniechały dalszych pytań. Zresztą, odpowiedzi, których szukały, raczej nie dałoby się znaleźć w książkach.

Gdy jednak Carminie wypadł pierwszy mleczny ząbek, Dawid - o dziwo — wcale nie obudził się dwa dni później z gołymi dziąslami. Młode matki wysłały dzieci do szkoły, a potem śmiały się ze swojej wybujałej wyobraźni, zadowolone, że dobiegł końca wymaginowany ciąg kosmicznych zbiegów okoliczności.

- Takie bajki są dobre dla akuserek - oświadczyła Nati.

- Właśnie - odparła Maria. - Mąż ciągle mi powtarza, że przesady powinnam zostawić Indianom. Dolać ci czekolady?

- Chętnie.

Ale tak się złożyło, że kiedy dwie koleżanki maczały kawałki słodkiej bułki w miseczkach czekolady, David stracił mleczaka w szkolnej bójce.

Dzieci zdały sobie sprawę ze zbiegów okoliczności rządzących ich życiem i szybko doszły do wniosku, że są sobie pisane. Chociaż matki wiedziały swoje. Jeżeli wierzyć regule, Carmina straci dziewictwo dwa dni przed Davidem. Oczywiście z kimś innym, ponieważ on — w myśl boskiego

dekretu czy też kaprysu opatrności — miał pozostać prawiczkim kolejne dwa dni. Może dzieci jeszcze tego nie rozumiały, a może postanowiły nagiąć prawa losu? Tak czy owak, matki nie wtrącały się, nie zamierzały bowiem ingerować w ich przyszłość.

- Jak myślisz, które z nich zrozumie pierwsze? — zapytała Maria.

- Pewnie Carmina — odparła Nati.

Maria wykazała się rozsądkiem i trzymała język za zębami, kiedy jej syn zaczął bałamucić klientki. David był jej nieopisanie wdzięczny, ponieważ w odpowiednim czasie nadal miał zamiar ożenić się z Carminą.

I wtedy wpadł na Hildę. Wszystkie plany można było spisać na straty. Wymienili zaledwie parę słów, ale ona - chociaż nie miała o tym pojęcia - nieodwracalnie zmieniła jego życie; ta zuchwała Amazonka, która stawiała czoło żywiołom i otwartemu morzu, żeby dotrzeć do mężczyzny, który na nią nie zasługiwał.

Z zapisków odnalezionych w przechwyconym przez Davi-da kuferku Hildy wynikało, że ona i Ramiro połączyli swoje oszczędności. Uzbierali jednak niewiele, dlatego Ramiro sam popłynął do Ameryki, a Hilda została w Hiszpanii. Był rok 1922. W USA panowała budowlana hossa.

- To nie potrwa dłużej niż rok — obiecał Ramiro. - Muszę się tylko tam dostać, znaleźć pracę i zacząć odkładać.

Hilda zastanawiała się, czy może mu wierzyć.

- Do cholery! - powiedziała sobie, kiedy minął rok, a po Ramirze nie było ani widu, ani słychu. Słała mu jeden po drugim wściekłe listy, dopytując się, gdzie ich pesety. On jednak milczał, a przynajmniej David nie znalazł w kuferku jego odpowiedzi.

Jeżeli jednak Ramiro sądził, że uda mu się ograbić ją z przeznaczenia, to grubo się mylił. Nie zamierzała siedzieć w rodzinnej wsi, doglądając stadka skwaszonych owiec, podczas gdy on bogacił się w Nowym Świecie. Zwłaszcza że zabrał ze sobą wszystkie jej pieniądze. Wydostanie się z Hiszpanii, choćby musiała kraść — napisała drukowanymi literami i dwa razy podkreśliła swoje słowa.

Okazało się, że nie musi wykradać ojcu portfela. Zrobiła to za nią matka. Pewnej bezksiężycowej nocy obudziła ją, szarpiąc za ramię.

- Uciekaj stąd — szepnęła. - Mnie pochowali w tej wsi żywcem, ciebie nie dam.

Portfel ojca zawierał niestety tylko tyle pieniędzy, żeby dostać się na Kubę. Tam Hilda musiała zarobić na dalszy ciąg podróży. Przygarnęła ją Hiszpanka prowadząca plantację trzciny cukrowej należącą kiedyś do jej nieboszczyka męża. Hilda szyła dla swojej *dueñi* przez niemal cztery lata i ciułała pensję, jak mogła. Czcigodna dama lubiła dyskutować o książkach i chętnie otwierała dla Hildy biblioteczkę męża. Potrafiła godzinami mówić o najświeższej lekturze, a warkot maszyny do szycia pracującej Hildy stanowił wygodny znak przestankowy. O kozim serze i baranich kotletach też zdarzało im się rozmawiać, ale Hilda postanowiła odciąć się od przeszłości.

- Skoro tak bardzo pragniesz zmienić swoje życie, to dlaczego tracisz czas na czytadła? - *Dueña* wskazała palcem romans, który Hilda miała na stole. - Z takich książek niczego się nie dowiesz. Musisz czytać to, co naprawdę ważne. - Starsza pani położyła na stole *Kandyda*.

Hilda przysunęła cienką książeczkę do nosa. *Dueña* zachichotała.

- Obawiam się, że wiedza nie wchodzi przez nos. Jeżeli chcesz się czegoś nauczyć, musisz otworzyć i przeczytać.

- Skoro tak, to przeczytam ją z przyjemnością. Tę i wiele innych.

- Znakomicie.

Starsza pani wstała, podpierając się ciężko laską. Hilda wiedziała, że nie należy proponować jej pomocy, była bowiem zbyt dumna, by przyznać, że starość ją męczy. „Może i uginam się ze starości, ale z dumy się prostuję”, mawiała.

Hilda uwielbiała zamykać oczy po całym dniu szycia i wyobrażać sobie przyszłość - przyszłość, w której ma pieniądze. Nie wiedziała, skąd przyjdą, ale była pewna, że prędzej czy później będzie je miała. Musiała się na to przygotować. Nie zamierzała zachowywać się jak nuworyszka.

Czytała wszystko, co poleciła jej *duena*. Poza tym ćwiczyła przed lustrem eleganckie ruchy swojej dobrodziejki, aż w końcu weszły jej w krew. Z materiałów, które dostawała od *dueni*, uszyła sobie gustowną garderobę. Starsza pani nosiła się skromnie, po wdowiemu, więc Hildzie przypadły w udziale bele szykownego kolorowego materiału, który przyплыł z Europy. W ciągu roku dziewczyna odcięła się od swojej przeszłości, podobnie jak pozbyła się starych sukienek.

W końcu Hilda kupiła bilet na parowiec, który lada dzień miał płynąć do Veracruz. Wysłała telegram do Ramira z informacją, że przybywa. On jednak nie widział powodu, dla którego miałby się fatygować znad Pacyfiku aż nad Atlantyk, a potem do Zatoki Meksykańskiej tylko po to, żeby powitać ją na lądzie. Dał jej telegramem znać, że będzie czekał w miasteczku granicznym o nazwie Santa Juana. Jak miało się okazać, to David powitał ją w porcie. I z miejsca ofiarował jej serce.

W przeddzień wyjazdu swojej podopiecznej *dueña* podarowała jej oprawny w skórę egzemplarz *Manon Lescaut*, podobno ulubionej powieści Marii Antoniny. Hilda przeczytała ją na statku. Jeżeli zauważyła jakieś podobieństwa do własnego życia, nie roztrząsała ich. W końcu nie ślepa namiętność gnała ją przez Atlantyk do mężczyzny, który obiecał jej ślub, lecz raczej przekonanie, że jest stworzona do czegoś więcej niż strzyżenie owiec, bebeszenie zwierząt i robienie sera. Ale najpierw trzeba będzie zrobić coś z włosami. Była to jedyna część Hildy, której *dueña* nie zdołała ujarzmić podczas jej pobytu w Hawanie.

- To ona! - wyszeptała kobieta, która, Hilda mogłaby przysiąc, jeszcze przed sekundą sprzedawała w porcie owoce.

Fryzjerka wskazała puste krzesło pod ścianą - gestem z rodzaju tych, które nauczyciele mają zarezerwowane dla najkrnąbrniejszych uczniów. Siedzące rzędem przed lustrami kobiety w wałkach w milczeniu obserwowały idącą. Przypominały stado ptaszysk. Hilda pomyślała, że ich wrogość bierze się z niechęci do obcych, tak charakterystycznej dla małych miasteczek. Kobiety ubrane były w stroje, które zakrywały je od kostek aż po samą szyję; podobnie jak miasteczko było odgrodzone od świata i jego nowin. Hilda wyjęła z torebki książkę i usiadła na krześle.

W tym samym momencie rozległo się oburzone gdakanie. Do salonu wszedł młody Metys. Z jego ramienia zwisała tłusta kura ze związanymi sznurkiem łapami i skrzydłami. Ptak wyrywał się i rozglądał po pomieszczeniu.

- Ojciec przesyła najlepszą kurę - oznajmił chłopak. Fryzjerka skinęła oschle głową, a on zniknął w tylnych drzwiach.

- Tyle lat po rewolucji, a oni wciąż pamiętają hojność twojego ojca — zauważyła kobieta w gumowym czepku.

Carmina wzruszyła ramionami. Przez tę hojność musiała teraz od świtu do nocy krzywić sobie plecy nad rozczochranymi głowami.

— Czym mogę służyć? — zapytała Hildę. Hilda zdjęła kapelusik.

— Rozumiem. Enedina! - krzyknęła Carmina.

Z tylnych drzwi wynurzyła się zwalista Indianka z kruczoczarnymi warkoczami spływającymi po obu stronach twarzy. W garści ścisnęła pęk kurzych piór.

— Umyj pani włosy mydłem kamforowym. Przepłucz dwa razy, a potem nałóż to. — Wręczyła Indiance ampułkę z białawym płynem.

Enedina obróciła się bez słowa, a Hilda poszła za nią. Weszły na małe patio, gdzie Metys rozwiązywał kurze łapy, gruchając do niej uspokajająco. Indianka pokazała Hildzie, żeby usiadła i przechyliła głowę nad umywalkę. Hilda oparła się, zamknęła oczy. Pachniało drzewami owocowymi i pieniącym się w jej włosach mydłem kamforowym.

Tuż za uchem Hildy rozległ się cichy trzask. Indianka przełamała ampułkę. Płyn pachniał dziwnie, swędziała od niego skóra głowy, ale Hilda postanowiła, że wyjdzie stąd wyszykowana na damę. Koniec ze strąkami sklejonymi morską solą. Jej głowę owinięto ręcznikiem, poczuła klepnięcie w ramię. Już. Wróciła do środka i usiadła przed lustrem na fotelu, z którego przed chwilą wstała inna klientka.

Carmina zdjęła ręcznik. Na ramiona Hildy rozsypała się kaskada błyszczących od płynu czarnych pukli.

— Chce pani skrócić? — Podsunęła jej katalog pełen rysunków kobiet z mocno umalowanymi oczami, maleńkimi usteczkami i fryzurami na pazia.

- Pod warunkiem że będą ładnie opadały, jak u pani.

- Hilda wskazała fale stojącej nad nią Carminy.

Carmina przyjrzała się uważnie fryzurze swojej klientki.

- Oczywiście. Będą opadały.

Zanim Hilda zdążyła zastanowić się nad sensem tych słów, Carmina już odcinała nożyczkami całe pasma włosów. Po chwili został tylko lśniący, ciemny hełm, który następnie pofalowała i upięła nad uszami. Hilda odwracała głowę to w jedną, to w drugą stronę, nie mogąc uwierzyć, że ta elegancko uczesana kobieta w lustrze to ona.

- Pięknie - powiedziała.

- Dobrze pani w takiej fryzurze — zgodziła się fryzjerka.

- Zwłaszcza do tej sukienki.

- Dziękuję. - Hilda wcisnęła w rękę Carminy zwitek banknotów. Już miała włożyć kapelusik, ale zmieniła zdanie. - Dziękuję — powtórzyła i wyszła.

Carmina zmrużyła oczy w uśmiechu kota z Cheshire.

- Nie ma za co.

ROZDZIAŁ 6

Santa Juana

Tymczasem Ramiro nie zasypia! gruszek w popiele. Przeprowadził rozpoznanie terenu w poszukiwaniu najlepszego baru w miasteczku. Wybór padł na lokal, który regularnie odwiedzał naczelnik straży granicznej. Dwóch mężczyzn zaczęło pogawędkę, która wkrótce przerodziła się w kłótnię, jak to zwykle bywa po dużej dawce alkoholu. Byli zbyt otumanieni, by uświadomić sobie, że sprzeczą się o głupotę. Mówili coraz głośniejsze, a atmosfera stawała się coraz gorętsza.

Ramiro nie był pewien, kto uderzył pierwszy. Wiedział jednak - i bardzo tego później żałował - że grzmotnął naczelnika z całej siły, a ten osunął się z łoskotem na podłogę.

- Prędzej czy później cię dopadnę - rzucił mężczyzna i splunął krwią - a wtedy wyrównamy rachunki. Zapamiętaj to sobie dobrze.

Ramiro nie zapamiętał tego dobrze. Dalej pił na umór, aż do utraty przytomności.

Następnego ranka Hilda obudziła się i zobaczyła coś bardzo dziwnego. Jej kunsztownie pofalowane loki, które rozpuściła przed snem, zostały na poduszce. Rzuciła się do

lustra w łazience i niemal zemdląca. Na czaszce nie ostał się ani jeden włos.

- To niemożliwe! — Niepewnie dotknęła skóry głowy, żeby potwierdzić, co widzą oczy. Potem runęła na podłogę i załkała jak dziecko. Co za jędza! Wredna, bezczelna baba! A przecież niedługo ślub. Ach, zabiłaby ją gołymi rękami, gdyby tylko mogła!

Ale odwet musiał poczekać, bo Hilda spieszyła się na pociąg.

Rozkoszując się planowaniem zemsty, zebrała włosy do małej torebki, którą wepchnęła na samo dno walizki, i nasunęła kapelusik tak nisko, jak się tylko dało. Na stacji nie skorzystała z usług bagażowych - osobiście zaniósła walizkę do swojego przedziału. Sama była sobie winna: poprzedniego dnia zaszalała, a dziś została bez pieniędzy i bez włosów.

Zamknęła się w przedziale i z ulgą zdjęła kapelusz. Jej głowa była gładka jak kolano. Pociągiem szarpnęło. Wagony powoli ruszyły. Najpierw podrygiwały nieregularnie, ale szybko znalazły wspólny rytm, który ukołysał Hildę do snu. Kilka godzin później obudził ją głód, ale nie mogła sobie pozwolić na luksus wizyty w wagonie restauracyjnym. Skupiła się więc na przesuwanym się za oknem krajobrazie. Po jakimś czasie wróciła do lektury *Manon Lescaut*.

W końcu pociąg przyjechał do Santa Juana. To tutaj Hilda miała spotkać mężczyznę, którego ostatni raz widziała sześć lat temu. Włożyła kapelusz, zebrała swoje rzeczy i wyszła na peron. Rozejrzała się bacznie wokół. Brązowe twarze, podobne do tych, jakie napotkała w Veracruz, patrzyły na nią ciekawie. David Anasosa też tu był. Za to po Ramirze nie było śladu. W oczach Hildy zebrały się łzy rozczarowania, ale szybko je starła.

- Może i uginam się z rozczarowania, ale z dumy się prostuję — wyrecytowała swoją wersję dewizy *dueñi*.

- Nie wiedziałem, że podróżujemy razem — skłamał David. — Nie było pani w restauracyjnym.

Burczenie w brzuchu uprzytomniło Hildzie, że od dwóch dni nie miała nic w ustach.

- Nie byłam głodna. - Ona też kłamała. Nerwowo naciągnęła kapelusik na czoło.

- Może gdzieś panią podwieźć? Wynająłem taksówkę.

- Nie trzeba. Lada chwila przyjdzie po mnie narzeczony.

- Naturalnie. — David uchylił panamy i oddalił się. Hilda przeniosła walizki do poczekalni. Unosił się tam

grzybiasty smród brudnych nóg. Na podłodze leżały zavalone towarami klocki słomy, nad którymi stali bosy Indianie. Minęła godzina. Ramira ani śladu. Hilda uniosła wzrok na poplamiony wodą sufit.

- ¡*Qué tío!* — westchnęła.

- Czeka pani na *señora* Ramira? - zapytał urwis w obdartej koszuli.

Miał najwyżej dziesięć lat, ale jego czarne oczy świdrowały ją bezceremonialnie niczym oczy starego człowieka. Na głowie sterczała mu szopa niesfornych kędziorów, a spłaszczony nos przypominał orzech włoski. Hilda stanęła na równe nogi.

- Proszę za mną — powiedział urwis i chwycił walizkę.

- Skąd wiedziałeś, że czekam na Ramira?

- Mówi pani jakoś dziwnie, tak samo jak on. — Chłopiec skierował się do wyjścia. Przechylił ciało na jedną stronę, żeby zrównoważyć ciężar bagażu.

Hilda ruszyła za nim. Dopiero po jakimś czasie zaczęła przyglądać się okolicy. Gdzie ten obdartus ją ciągnie? Trudno

było uwierzyć, ale ulice cuchnęły jeszcze bardziej niż dworzec. Nie zdążyła jednak zaprotestować i zawrócić, bo chłopiec zniknął w drzwiach. Chcąc nie chcąc, podążyła za nim. Wołała nie spuszczać oka z walizki. Od progu uderzył ją odór wymiocin. W półmroku niewiele widziała. Zakryła nos i usta chusteczką. Powoli zaczęły docierać do niej różne odgłosy: brzęk szkła, plusk wody, szuranie miotły w którymś pokoju, dudnienie na piętrze. Po chwili jej oczy przystosowały się do ciemności. Pod stołem dostrzegła mężczyznę. Ktoś okazał dobre serce i wsunął mu pod głowę pustą butelkę. Przyjrzała mu się, ale czas i dzieląca ich odległość wypaczyły wspomnienia. Ten człowiek nie pasował do obrazu, jaki pielęgnowała. Wprawdzie przywoływała jego wizerunek tak często, że wytarł się na brzegach, ale z tego, co pamiętała, Ramiro miał policzki pełne i różowe, a nie zapadnięte i blade niczym sama śmierć.

- Pani mąż? — zapytał chłopiec, spoglądając współczująco na leżącą na podłodze postać.

Hilda zanurzyła dłoń w torebce w poszukiwaniu ostatnich monet.

- Jeszcze nie.

- Łysa to musi pani brać, co jest, nie? — Wypiął pierś z dumą przemądrzalca.

Hilda wyprostowała plecy.

- Widzisz te pieniądze? — Wyciągnęła ku niemu dłoń z czterema monetami. — Zamierzałam dać ci wszystko, ale za impertynencję dostaniesz tylko połowę.

Chłopiec zerknął na rękę, ale zaraz podniósł wzrok na jej twarz. Pod jego bezczelnym spojrzeniem poczuła się nieswojo.

- Ładne ma pani oczy. No i zawsze może pani włożyć perukę. Ale coś mi się widzi, że z taką gadką to lepszy pani nie zechce.

Hilda zabrała kolejną monetę.

— Zmiataj, zanim się rozmyślę i w ogóle ci nie zapłacę. Chłopiec schował pieniądz do kieszeni.

— Marnacja — wygłosił ostatnią mądrość i czmychnął. Hilda nie była pewna, czy ma na myśli Ramira czy raczej

to, że ona zmarnuje się przy pijaku. Spod stołu wysunęła krzesło i usiadła, przyglądając się narzeczonemu. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, przepływając pół świata do mężczyzny, który chrapie. Celnie wymierzyła i wykopała wysokim obcasem butelkę spod jego karku. Głowa śpiącego rąbnęła o podłogę.

— Kobieto, co ci? - jęknął. Podnosząc się, uderzył potylicą o stół. - *iCoño! Me cago en la puta.*

— Zamknij się, Ramiro.

Posłusznie zamknął usta, ale otworzył szeroko oczy.

— Przyjechałaś. v Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie.

— Nie dzięki tobie.

— Przyjechałaś taki kawał, żeby wiercić mi dziurę w brzuchu? - Potarł skronie.

— Nie, nie po to.

Wstał, poprawił krzesło i usiadł. Czoło miał pokryte kropelkami potu, a twarz — zzieleniałą.

— To po co?

— Zeby wziąć ślub. Ramiro uniósł brwi.

— Naprawdę? A z kim? - Teatralnie rozejrzał się po pomieszczeniu.

Hilda spiorunowała go wzrokiem. Ramiro zrozumiał, że nie jest jej do śmiechu. Przyjrzał się tej drobnej kobietce siedzącej po drugiej stronie stołu. Miała niewiele ponad metr

pięćdziesiąt wzrostu i, jeśli dobrze pamiętał, dawał radę unieść ją jedną ręką. A jednak dzielnie przepłynęła ocean i przemierzyła cały kraj; kto wie, ile przeciwności losu musiała pokonać, żeby go znaleźć. Tak łatwo się z tego małżeństwa nie wywinie.

- Dobrze - odparł w końcu - pobierzemy się. — Za barem coś wystrzeliło, a po chwili stanęły przed nimi dwie lampki szampana. - I nie rób fochów - rzucił do kieliszka - łysej nie wypada.

- Państwo narzeczeństwo! - wykrzyknął urwis, gdy wyszli z baru.

- Kto to? - zapytał Ramiro i zasłonił sobie oczy od słońca.

- To jego po mnie wysłałeś. Ramiro podrapał się w głowę.

- Pierwszy raz go widzę. Oboje popatrzyli na chłopca.

- Ona jest łysa - zakomunikował.

- A ty jesteś brzydki i bezczelny — skwitował Ramiro. - Jej włosy przynajmniej odrosną.

Z zacienionej bramy po drugiej stronie ulicy idących pod ramię Hildę i Ramira obserwował David. Wynajął chłopca, żeby podsłuchiwał pod drzwiami, co ten zresztą i tak planował.

- Łysa pani wychodzi za tego pijaka — oznajmił mały, kiedy przybiegł do kryjówki Davida. Zgarnął zapłatę i zniknął, zanim do Davida zdążyło dotrzeć znaczenie jego słów.

-1 co zrobiłeś?

David potrzebował chwili, by wrócić do teraźniejszości. -To, co na moim miejscu zrobiłby każdy rozsądny chłopak. Poszedłem do burdelu.

- Davidzie! - roześmiała się Amada.
- Nie wiesz, że nasze zacne miasteczko słynęło z burdeli?
- Wiem, wiem. Tylko że... musiał być z ciebie niezły rozrabiaka.
- Miałem przy sobie srebrne monety, które zabrałem ojcu tamtego ranka, kiedy twoja babcia przyjechała do Veracruz. Wiesz, jaką karę dla złodziei przewiduje wiara mojego ojca? Obcięcie prawej dłoni - wyjaśnił, nie czekając na odpowiedź.

- Tak, a gwałcicielom obcina się penis. Tyle że muzułmanie płci męskiej znaleźli sposób na obejście prawa. Zeby oświadczenie kobiety miało moc, świadkiem gwałtu musi być trzech innych mężczyzn. Jak gdyby tych pozostałych trzech zamierzało zadowolić się samym patrzeniem! Zawsze można znaleźć odpowiedni kruczek, jeśli się szuka — skwitowała Amada sentencjonalnie.

- Ale jesteś cierpka.
- Lata ćwiczeń.
- Ile miałaś lat, kiedy umarła Hilda?
- Dziewięć. Czemu pytasz?
- Byłaś wysoka jak na swój wiek.
- Owszem. I bardzo mnie to niepokoiło.
- Wzrost?
- Tak. Ja się wyciągałam, podczas gdy koleżanki z klasy zaokrąglały się tam, gdzie trzeba. Nie spieszyłam się z kwitnieniem, że tak powiem. Ale mów, gdzie poszedłeś później, po burdelu.

David przesunął wzrokiem po jej klatce piersiowej.

- Warto było poczekać.

Z niezrozumiałych dla niego względów twarz Amady przybrała odcień intensywnej czerwieni.

- Wciąż noszę push-upy - wyznała z zakłopotaniem i zamilkła.
- Dwa lata tam mieszkałem. Załatwiałem sprawunki i tłukłem co oporniej szych klientów.

- Naprawdę? - Jej oczy rozbłysły.
- Mniej więcej wtedy wyrzekł się mnie ojciec. Troskliwy znajomy pofatygował się aż do Veracruz, żeby opowiedzieć mu o moim rozwiązłym życiu.

- A twoja matka?
- Biedaczka zabrała ze sobą hańbę do grobu.
- Davidzie, ale z ciebie bezwstydnik.
- Ależ dziękuję za komplement. Potem pracowałem w gazecie.

Nagle wstał, podszedł do szafki i wyjął płytę (należał do dinozaurów, którzy wciąż słuchają winyli). Położył ją na gramofonie, opuścił igłę, ustawił głośność. Usadowił się z powrotem w fotelu i otaksował Amadę wzrokiem. Cerę miała nieskazitelną, nadal lekko zaróżowioną ze wstydu. Uroczo przygryzała dolną wargę, co zaczynało go rozpraszać.

Westchnął. Stare serce wciąż miało młode potrzeby.

ROZDZIAŁ 7

Wszechpotężny Al Capowe

Dwa dni po przyjeździe Hildy do Santa Juana nowożeńcy byli gotowi na podróż do San Francisco.

— Gdzie masz paszport? — zapytał Ramiro. Hilda popatrzyła na niego pytająco.

— Nie mam. -Co?

— Ukradli mi. Nie posiadam żadnego dokumentu.

— To mamy problem.

Zaprowadził żonę do ich forda A i schował ją w bagażniku. Potem ustawił się w kolejce samochodów do granicy z USA. Niestety, w jedynej działającej budce siedział jego wróg, naczelnik straży granicznej, ten sam, którego wcześniej pobił.

— Otwórz bagażnik - zażądał.

Ramiro nie miał wyjścia. Zrobił, co kazano, po czym, udając zdziwienie, wykrzyknął na widok Hildy:

— A ty skąd się tu wzięłaś? Naczelnikowi nie było do śmiechu.

— Ostrzegąłem, że wyrównamy rachunki. — Pomógł pani de Montah/o wyjść z bagażnika i odesłał ich z powrotem.

— *¡Me cago en la puta de bastos!* — Ramiro jechał i przeklinał na czym świat stoi.

Hilda siedziała w fotelu pasażera i czekała, aż mężowska furia minie. Kiedy skończył obrażać dziwki i całą gromadę świętych, uznała za rozsądne określić ich położenie.

- Ile masz pieniędzy?

- Parę dolarów.

Hilda wysypała na kolana zawartość torebki.

— Jesteśmy splukani — oświadczyła.

Po południu tego samego dnia dostali pracę w kurorcie, którego właścicielem był podobno sam Al Capone. Razem z nimi zatrudniono niezmiernie piękną dziewczynę o kruczoczarnych włosach, która miała zabawiać gości tańcem na półkolistej scenie wzniesionej w sali balowej. Kiedy dziewczyna dowiedziała się, że Hilda szyla stroje dla hawańskiej damy, natychmiast poprosiła ją o suknię w stylu flamenco. Wiele lat później Hilda śmiała się w duchu, że owa dziewczyna - którą poznała jako Margaritę Cansino - swoją karierę zaczęła od występów w sukni jej kroju. W Hollywood tancerka ta przybrała pseudonim Rita Hayworth.

Pewnego dnia, kiedy Hilda sprzątała apartament prezydencki, spotkała przysadzistego mężczyznę o oczach jak szparki. Był to trzęsący Chicago mafioso - Al Capone. W kurorcie w Santa Juana ukrywał przed żoną swoje najnowsze podboje miłosne. Hilda ze swoimi lśniącymi czarnymi oczyma i włosami przykrytymi skromnie czepkiem stanowiła zupełne przeciwieństwo biuściastej blondynki, z którą lubił się pokazywać, zauroczyła go jednak zupełnie. Pewnego razu zapytał ją, czy zakrywa głowę z przyczyn religijnych, lecz ona tylko splonęła rumieńcem i uciekła. Mafioso uznał jej nieśmiałość za

uroczą, ale nie potrafił powstrzymać salwy nosowego śmiechu, z którego sływał. Potem, ilekroć przychodziła zmienić pościel albo zostawić świeże ręczniki, dawał Hildzie nowiutką monetę i z rozbawieniem przyglądał się jej rumieńcowi.

Upokorzona Hilda zaciskała zęby, ale uśmiechała się. Powtarzała sobie, że urzeczywistnienie marzeń jest ważniejsze niż duma, i wsuwała monetę w kieszeń fartuszka. Tymczasem Ramiro dowiedział się, że Capone nagabuje jego żonę, i postanowił porachować mu kości. Już miał się na niego rzucić, lecz goryle gangstera cisnęli go na ścianę.

— Trzymaj się z dala od mojej żony - warknął Hiszpan mimo duszącego uścisku.

— Mógłbym cię za to zwolnić. - Capone wyszczerzył się.

— I co z tego?!

— Ale nie wyrzucę cię ze względu na twoją żonę. Żebyś ty widział, jak ona się do mnie uśmiecha...

Ramira musiało przytrzymywać czterech ochroniarzy.

— Robisz z igły widły — oświadczyła później Hilda. - A jeżeli cię zwolni?

— Nie może.

— Jasne, że może. To jego hotel.

Rozbawiony burdami Hiszpana Al Capone nakazał zbudować pośrodku sali balowej ring bokserski, po czym poinformował jednego ze swoich ludzi — znanego z okrucieństwa jasnowłosego Polaka z Chicago - żeby przygotował się do pojedynku z mężem pokojówki.

— Zobaczymy, czy taki z niego chojrak, kiedy będzie musiał walczyć przeciwko tobie — śmiał się gangster.

Zakłady zaczęto przyjmować, kiedy tylko stolarze zbili pierwsze deski. Człowiek Caponea prowadził w nich dwadzieścia do jednego, a dwie noce przed walką — trzydzieści

do jednego. Mimo to Hilda postawiła na męża całe swoje oszczędności, choć musiała sprzedać wszystko, co miała.

- Jego szanse są zerowe. — Bukmacher próbował przemówić jej do rozsądku.

Hilda spojrzała na niego oschle, zgarnęła kupon i odeszła.

Z poczucia solidarności część pokojówek też postawiła na Ramira, ale znaczna większość pieniędzy poszła na konto Polaka.

Kiedy nadszedł wieczór walki, Ramiro siedział w ich pokoju bliski katatonii.

- Nie dam rady.

Hilda spiorunowała go wzrokiem, ale on ani drgnął. Włożyła płaszcz.

- Gdzie idziesz? — zapytał ją mąż.

- Muszę zawiadomić pana Caponea, że oddajesz pojedynek walkowerem.

- Po co?

Hilda była już w połowie drogi do drzwi, ale odwróciła się.

- Postawiłam na ciebie całe oszczędności. Zdecydowałeś się poddać, więc wszystko stracimy. Pan Capone powiedział, że zawsze mogę poprosić go o pomoc.

- Postawiłaś... co takiego? - Ramiro zerwał się na równe nogi. — Zwariowałaś?

- Chyba nie chciałbyś, żebym obstawiła człowieka Ca-ponea?

-Ale od razu wszystkie oszczędności? — Ramiro opadł na łóżko.

- Ramiro, jestem w ciąży. I nie zamierzam całe życie pracować jako pokojówka. Pójdiesz tam i wygrasz walkę. Albo przegrasz mnie - oznajmiła i wyszła.

Ramiro z otwartymi ustami gapił się na drzwi.

Po dwóch pierwszych rundach Hildzie zrobiło się niedobrze. Polak przerabiał jej męża na sieczkę. W okropnym jazgocie wypełniającym salę balową nie zauważyła, że miejsce koło niej zajął Capone. Widziała tylko Ramira, który złapał za liny, żeby wyskoczyć z ringu.

- Boże, nie. — Przycisnęła do ust chusteczkę, aby odpędzić mdłości.

- Niezbyt odważny ten twój mąż - odezwał się Capone, na co Hilda aż podskoczyła.

Arbiter wciągnął Ramira z powrotem na pole walki, ale Hiszpan odepchnął go brutalnie i zamierzył się, by rąbnąć go w twarz, sędzia jednak odskoczył i rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. W tej samej chwili Polak uderzył Ramira prosto w szczękę. Hiszpan odbił się od lin i wypluł ząb, po czym, ignorując swojego przeciwnika, odwrócił się i przekrwionymi oczyma popatrzył prosto na Caponea.

- Zupełnie jak byk - szepnęła Hilda, siedząca na samym skraju krzesła.

Polak najwyraźniej poczuł się ośmielony przewagą, bo posłał w stronę jej męża jeszcze jedną niszczycielską bombę, ale za bardzo się przy tym odsłonił. Tymczasem Ramiro zanurkował do przodu i natarł na przeciwnika z całą mocą swoich legendarnych pięści. Na twarzy olbrzyma odmalowało się zaskoczenie, potem szok, wreszcie grymas bólu, kiedy dostał sierpowym w wątrobę, prostym w śledzionę i znowu sierpowym w szczękę — wszystko z prędkością błyskawicy. Polak zatoczył się do tyłu, żeby nabrać sił, i zaraz rzucił do przodu. Ramiro tylko na to czekał. Kolejnym sierpowym w okolice wątroby prawie przewrócił przeciwnika; ten osłonił brzuch pięściami. Ramiro zyskał dostęp do miejsca, na które ostrzył sobie zęby.

W cichej sali rozległ się odgłos kruszonych kości. Ramiro wycelował w szczękę swojego przeciwnika jeszcze jeden cios. Polak runął na deski. Z jego nosa tryskała krew. Widownia zawyła z niedowierzaniem. Rozdzwonił się gong. Arbiter ukucnął przy Polaku, a Ramiro przyglądał się całej scenie obojętnie.

- Raz... dwa... trzy... cztery... - sędzia zaczął liczyć. Capone wyskoczył z krzesła, które z łomotem przewróciło się na podłogę.

-Wstawaj! — wrzasnął i złapał liny, lecz olbrzym ani drgnął. -Pięć...

- Bo cię zaszlachtuję! — gardłował Capone. Ramiro spojrział na niego zimno.

- Sześć... siedem...

Capone wskoczył na ring, uklęknął przy swoim zawodniku i zaczął go cucić, okładając po twarzy. Ramiro momentalnie rzucił się na gangstera i grzmotnął go w szczękę. Capone wylądował na ciele Polaka. Dookoła rosła wrzawa.

Ramira musiało przytrzymywać trzech kolegów, bo już szykował się do kolejnego ciosu. Klęczący przy dwóch znokautowanych mężczyznach sędzia obserwował pojedynek zdezorientowany, jak gdyby czekał na dalsze instrukcje. Salę wypełniła grobowa cisza.

- Niech pan liczy — odezwał się Ramiro z narożnika, gdzie trzymali go koledzy.

Arbiter skinął głową.

- Osiem... - Stał na czworakach nad głową boksera. - Dziewięć... - Poczekał chwilę, czy któryś z leżących się nie poruszy. - Dziesięć - powiedział w końcu.

W sali zapanował niewiarygodny harmider. Ludzie wstawali, na podłogę spływał deszcz kuponów. Nikt nie zwracał uwagi na sędziego, który unosił w powietrzu rękę Ramira. Hilda stanęła pierwsza w krótkim ogonku po odbiór wygranej.

Gdy Ramiro z opuchniętą twarzą wtoczył się do ich pokoju, Hilda akurat układała pieniądze na stoliku nocnym.

- Otworzymy bar — oświadczyła.

- Bar? Na głowę upadłaś? — Mimo że ledwo mówił, już drugi raz tego dnia nazwał ją wariatką.

- Raczej na cztery łapy. Na pewno czytałeś w gazetach, że nasz sąsiad, Stany Zjednoczone, od krachu na giełdzie w dwudziestym dziewiątym znajduje się w kryzysie. Zeby jeszcze bardziej pogłębić obywateli, zakazano sprzedaży alkoholu. Zamierzam na tym skorzystać. — Przyjrzała mu się uważnie. — Przecież ludzie nie przestali pić tylko dlatego, że to zabronione.

- Na prowadzeniu baru trzeba się znać.

- Ty znasz się na pewno. Przecież kiedy ja wypruwałam sobie żyły, żeby do ciebie przyjechać, ty nic tylko piłeś i wszczynałeś awantury. Teraz spod stołu przeniesiesz się za bar.

- Nie miałam pojęcia, że dziadkowie mieli bar! — wykrzyknęła Amada.

- Cóż. - David nie mógł wyjść z podziwu, jak dużą część rodzinnej historii udało się Hildzie zamaskować. — A to tylko wierzchołek góry lodowej.

Dziewczyna przygryzła wargę. David wolałby, żeby zostawiła swoje usta w spokoju. Sam miał ochotę je pomięto-

sić. Między tą nieco smutną kobietą a nim, starym grzesznikiem, powoli rodziła się przyjaźń. Kiedy wreszcie przestali syczeć na siebie jak dwa rozeźlone koty znaczące swoje terytorium, odezwała się jego skłonna do miłości natura. Zastanawiał się, co ciągnie ją do towarzystwa starego piernika. Napomknęła, że niedawno zakończyła „trudne małżeństwo” i dopóki nie uporządkuje swojego życia, mieszka u rodziców. David przypuszczał, że jego dom stał się dla niej schronieniem przed krytycznymi spojrzeniami matki.

- Wysłałam za mąż, żeby uciec przed demonami mojej rodziny, ale okazało się, że zamieniłam siekierkę na kijek - zwierzyła mu się.

- Przynajmniej siekierka wciąż na ciebie czeka.

- Dziękować bogom. Naprawdę nie wiem, na co mi był ten kijek.

- Niektóre rzeczy doceniamy dopiero, gdy ich zabraknie.

- Uroki dysfunkcyjnej współczesności - skwitowała.

W rzeczy samej. Będzie ją musiał wypytać o dysfunkcyjną przeszłość, ale na to przyjdzie czas.

ROZDZIAŁ 8

Przeklęte dziedzictwo

Według Carminy rewolucja meksykańska miała tylko dwie pozytywne konsekwencje: wyzwolenie kobiet i dom w San Francisco. Pomimo protestów Kościoła i konserwatystów w czasie rewolucji kobiety wywalczyły sobie prawo do odrzucenia uciskających je od wieków konwenansów. Wykorzystały szansę, by wyzwolić się spod podwójnych standardów narzuconych przez religię oraz patriariat, i pobięły na barykady walczyć u boku swoich mężczyzn. Kościół demonizował emancypację rewolucjonistek, ale pieśni wychwalały ich odwagę.

Data rozpoczęcia rewolucji - listopad 1910 roku - została ustalona wiele miesięcy wcześniej w USA, gdzie przetrzymywano Maderę. Zanim zaczęły się zamieszki, babcia Carminy, Marguerite, złożyła swoje złoto w kufrze wielkości stołu, zapakowała córki do powozu i wyruszyła z całym majdanem na północ, do San Francisco. Jej przodkowie przyjechali w poprzednim stuleciu do Nowego Świata z Francji jako świta nieszczęsnego księcia Maksymiliana, który porzucił wygodne życie w Europie i został koronowany na cesarza Meksyku. Cesarstwo nie przetrwało długo: Maksymiliana

stracono trzy lata po koronacji, a jego stronników bez procesu skazywano na śmierć za zdradę. Ojca Marguerite ocaliły spryt i wyjątkowo szybkie nogi. Pół wieku później ślub jej córki Nati z wnukiem Porfiria na powrót związał rodzinę z obalonym politykiem.

Babka Carminy nie bez podstaw obawiała się, że ci sami *revolucionarios*, którzy plądrowali kraj i gwałcili kobiety, teraz będą chcieli zrobić to samo jej rodzinie, szczególnie że każda z jej córek słynęła z urody. Marguerite wyjechała, lecz Nati, która była wówczas w zaawansowanej ciąży z Carmi-ną, została. Obowiązkiem żony było trwać przy mężu, choć Nati niespecjalnie się to uśmiechało, zwłaszcza że jej małżeństwo okazało się mniej korzystne, niż sobie wyobrażała.

Za swoje złoto Marguerite stworzyła opływający w dostatki dom na wzgórzu z widokiem na zatokę, a następnie zabrała się do wydawania córek za bogatych Amerykanów o różnej reputacji - ze zmiennym skutkiem. To właśnie do babki pojechała Carmina leczyć złamane przez Davida serce. W domu w San Francisco poznała ciotkę Leonor, która - ku zdziwieniu dziewczyny — sprawiała wrażenie szczęśliwej, mimo że była starą panną.

- Chętnych kawalerów nie brakowało - wyjaśniła, jak gdyby czytając w myślach Carminy - ja po prostu nie zamierzałam poddawać się mężowskiej władzy.

— Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych! — przyklasnęła Carmina.

Imponowała jej ta wspaniała kobieta, i to tym bardziej, że wołała zostać starą panną niż zmarnować życie u boku mężczyzny, który z pewnością by ją rozczarował. Ciocia była od niej starsza co najmniej o piętnaście lat, ale wciąż wyglądała zachwycająco. Miała fioletowe oczy i blond warkocz spły-

wający na mocne ramiona, tak charakterystyczne dla kobiet z jej rodziny. Nosiła flanelowe koszule, kalosze i ogrodniczki z grubego materiału - ubranie spopularyzowane przez górników, którzy podążali na północ podczas gorączki złota.

— Już w siedemnastym wieku pani du Chatelet powiedziała, że małżeństwo to rodzaj niewoli psychicznej. Od tego czasu niewiele się zmieniło - oświadczyła Leonor; Carmina przyglądała się jej w milczeniu. - A poza tym, ktoś musi zajmować się mamą. — Ciocia założyła za ucho niesforny kosmyk.

Carmina przeklinała w duchu swoją ignorancję. Kim była ta cała pani „du szast-prast”?

— Zakręcić ci włosy? - zaproponowała. Leonor zmrużyła oczy.

— Zaraz każesz mi włożyć sukienkę. Mama ciągle mi to powtarza.

— Wręcz przeciwnie. Planowałam odpowiednio cię zmiękczyć, żebyś powiedziała mi, gdzie mogę takie dostać.

- Carmina wskazała na ogrodniczki.

Leonor wybuchnęła śmiechem.

— Coś mi się widzi, że się dogadamy. - Ujęła ją pod ramię.

- A teraz chodź na górę, odwiedzimy Jej Zbolałość. Od rana mnie męczy, żebyś cię przyprowadziła. Pamiętasz ją, prawda?

— Oczywiście. Po jej wizycie w Veracruz huczało całe lata.

— Ale pamiętasz samą babcię — Leonor zatrzymała się na półpiętrze - a nie tylko to, co mówili o niej ludzie?

— Tak. Strasznie się jej bałam. Na sam dźwięk jej głosu chowałam się pod łóżkiem.

— Czyli pamiętasz.

* * *

Gdy Carmina i Leonor weszły do pokoju, Marguerite spoglądała przez okno. Na tle białej poduszki odcinał się wyraźnie jej ostry, orli profil. Wystające kości pokryte były skórą tak cienką, że niemal przezroczystą. Srebrzyste włosy unosiły się nad jej głową niczym chmura. Pomimo spustoszeń, jakich na twarzy babki dokonała choroba, Carmina od razu zauważyła niepokromiony hart ducha tak charakterystyczny dla członków jej rodziny. Widać było jednak, że jedną nogą jest już na tamtym świecie. Pod kołdrą ciało Marguerite wyglądało jak niszczejaca powoli garstka kości — starość nie oszczędza szlachetnie urodzonych.

Za to ciemnoniebieskie oczy, jakie Marguerite utkwiała we wnuczce, pełne były sił witalnych. Najwyraźniej niewiele robiła sobie ze zbliżającej się wycieczki w zaświaty.

- Kto jest teraz bohaterem? - zapytała.

- Bohaterem? - Carmina zmarszczyła czoło.

- Rewolucji, dziecko. Bohaterowie tak prędko się zmieniają, że już się pogubiłam.

Carmina uśmiechnęła się. Ten temat był jej konikiem.

- Ostatnio Pancho Villa, ale to chyba dlatego, że został zamordowany, a sprawców nie wykryto.

- Ten złodziej?! - Marguerite zgorszyła się.

- Ależ mamó! - Leonor próbowała ją uspokoić. Starsza kobieta popatrzyła na córkę z taką pogardą, że aż policzki Carminy się zaczerwieniły.

- Nie pouczaj mnie. Wiem, jak rozmawiać z własną wnuczką.

Leonor wyprostowała plecy.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, będę w ogrodzie — rzuciła do Carminy.

Dziewczyna zerkała zdeorientowana to na babkę, to na plecy cioci.

— Dziecko, nie rób takiej przerażonej miny. Siadaj. Nieczęsto mogę się dowiedzieć z pierwszej ręki, co słyhać w Meksyku.

Carmina westchnęła głęboko, by dodać sobie odwagi. Ta kobieta budziła w niej niezrozumiały lęk. W pokoju pachniało ziółkami, kamforą, okładami z arniki, woreczkami z lawendą pod poduszką i ciepłym czekaniem na śmierć.

Marguerite złapała wnuczkę za rękę, zanim ta zdążyła pobiec w ślad za Leonorą.

— Opowiadaj o tym całym Doroteo Arango.

— Przechrzci! się na Francisca Villę.

— Nie zmienia to faktu, że zwykły z niego sprzedawczyk. Nie patrz tak. Przecież podpisał z Amerykanami umowę. Wypłacili mu milion peso za utopienie rewolucji.

— Zrobił to pod groźbą śmierci.

— Lepszy martwy bohater niż żywy tchórz.

— Poza tym nie wziął pieniędzy dla siebie. Podzielił się z posłami.

— Bronisz go? — Marguerite uśmiechnęła się. — Podoba mi się to.

Carmina powstrzymała uśmiech.

— Tak czy inaczej - ciągnęła starsza pani - o wiele bardziej wolałam go w roli niepokornego *revolucionario*, który napadł Nowy Meksyk. Uwierzysz, że mieszkańcy San Francisco naprawdę bali się ataku rewolucjonistów? Usiłowali zrzucić na Villę winę za pożar, który spustoszył miasto. Prawda, działo się to w roku 1916, jeszcze zanim Amerykanie zaczęli zbroić się po zęby. Przed Villą nikt, kto zaatakował USA, nie żył na tyle długo, żeby się tym przechwalać.

-Villa wcale się nie przechwalał. Nigdy ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył, że brał udział w ataku na Columbus. Owszem, oskarżono go o podpalenie i morderstwa, ale Amerykanie po prostu szukali pretekstu, żeby zaatakować Meksyk. W końcu Kongres postanowił złapać Villę i wysłał za nim ekspedycję dowodzoną przez Johna Pershinga.

- Nie od dziś wiadomo, że głównym celem tamtej ekspedycji był zwiad. Przecież zamiast jechać do hacjendy Villi w Chihuahua, jej członkowie odwiedzili kopalnie srebra w Sonorze.

Carmina uniosła brew.

- Dziecko, czy ty nadal nie rozumiesz, że wojna to szalenie dochodowy interes? Nie chodzi tylko o ropę, którą Amerykanie kradną z Meksyku, ale też o nasze prekolumbijskie skarby i kopalnie srebra.

- Babciu — policzki Carminy płonęły - jeżeli tak doskonale się w tym orientujesz, to po co pytałaś mnie o zdanie?

- Ile masz lat, dziecko?

- W zimie skończę osiemnaście.

W piersi staruszki coś zachrobotalo. Carmina zaniepokoiła się, ale zdała sobie sprawę, że ów odgłos to śmiech. -1 już masz złamane serce!

- To chyba nie... — zaczęła dziewczyna, ale przerwał jej kolejny napad chrobotania.

- Ucz się na błędach, dziecko. — Carmina uniosła brew, która przypominała teraz poziomy znak zapytania, niezawodnie skłaniający ludzi do mówienia. - Niemądrze być dobrym. To tylko przysparza wrogów.

Carmina pamiętała słowa babki jeszcze długo po jej śmierci, ale wbrew zaleceni staruszki starała się być jednak dobrym człowiekiem. I nieomal zawsze osoby, którym

pomagała, zwracały się przeciwko niej. Lata mijały, jak to mają w zwyczaju. Nati powydawała za mąż swoje młodsze córki, ale - mimo wielkich wysiłków - nie Carminę, która, wzorując się na swojej ciotce, pozostawała panną o nieposkromionym charakterze.

W końcu wyszła za mąż, kiedy sama uznała za stosowne

— w zaawansowanym wieku dwudziestu trzech lat, o włos od staropanieństwa. Jej wybranek był niepozornym, starszym o dwadzieścia lat mężczyzną o usposobieniu anioła. Zmarł pięć lat później na żołądek. Złośliwi twierdzili, że Carmina przyprawiła go o wrzody.

Sama Carmina z przewrotną satysfakcją nie dementowała pogłosek, a wręcz dodała plotkarzom tematów do gadaniny, wybierając się w dłuższe odwiedziny do ciotki w San Francisco. Leonor mieszkała teraz sama w przepastnym domu, który dostała w spadku pomimo gróźb starszej pani, że wydziedziczy córkę, jeśli ta nie znajdzie sobie męża.

- Nie dam zaprzepaścić mojego majątku lesbijce! - wykrztusiła Marguerite między jednym a drugim napadem kaszlu.

- Proszę bardzo, mamó. Udowodnij, że jestem lesbijką.

— Leonor z trudem poskramiała chęć uduszenia matki poduszką.

Marguerite odwróciła się.

- Nosisz się jak mężczyzna.

- Jeżeli naprawdę nie masz innych dowodów, to...

- Nie masz męża.

- Wolałabyś, żebym była nieszczęśliwa jak moje siostry? Mężów mają może i bogatych, ale...

- One dały mi wnuki.

- Mamó, nie chodzi o to, co dostajesz od ludzi, ale co sama im dajesz. Do listy trofeów nie dołożę ci jeszcze mojego

dziecka. Zwłaszcza że wolisz, bym zmarnowała sobie życie u czyjegoś boku niż była szczęśliwa sama. Marguerite wzruszyła kościstym ramieniem.

- Dlaczego? Ja przecierpiałam wiele lat z twoim ojcem. Dałam mu pięć córek. Czemu ty masz mieć inaczej? Samotna kobieta to nic dobrego.

- W takim razie dobrze, że nie zostało ci wiele czasu. Ostatnią osobą, jakiej potrzebuje kobieta, jest małostkowa matka o skrajnie konserwatywnych poglądach, która chce, aby jej córki przechodziły to samo co ona.

- Właśnie na to czekasz, tak? Aż umrę, żeby już nic nie powstrzymało cię przed rozpustą?

- Naprawdę nie rozumiem, jak możesz być tak błyskotliwa w wielu kwestiach, a jednocześnie tak zaślepiona.

Marguerite złapała Leonor za nadgarstek.

- Nie masz pojęcia, jak długo modliłam się o syna. Potrafiłam godzinami klęczeć na kamiennej posadzce kaplicy, aż kolana kostniały mi z zimna. A On - wskazała palcem sufit

- dawał mi tylko kolejne córki. No i w końcu dał mi ciebie. Jeżeli Bóg rzeczywiście istnieje, to niezły z niego szyderca.

Na pogrzeb matki Leonor włożyła czarną sukienkę i pomalowała usta na czerwono. Nie żeby zmieniła swoje obyczaje; chciała po prostu pokazać światu, że teraz okazuje Marguerite szacunek, którego szczydziła jej za życia. Marguerite była despotką — jej śmierć niczego nie zmieniła.

- Posiadanie matki to chyba kara za to, że się urodziłyśmy

- wyszeptała Leonor do ucha starszej pani. Potem po raz ostatni pocałowała ją w policzek i wieko trumny zostało zamknięte.

ROZDZIAŁ 9

Majątek Hildy

W Stanach Zjednoczonych obowiązywała prohibicja, a amerykańscy marynarze lubili wypić; w zapyziałym miasteczku na południe od granicy biznes kwitł więc w najlepsze. Zeby jeszcze bardziej podkreślić koniunkturę, Ramiro zbudował na tyłach baru kilka pokoi, do których mogli udać się klienci z jedną z jego panienek, kiedy już zaspokoili pierwsze pragnienie. Można było też kupić pamiątkę po miłym spotkaniu: zdjęcia panienki w różnych stadiach dezabilu. Ramiro osobiście portretował swoje dziewczyny. Zainteresował się fotografią, kiedy jeden z klientów uregulował rachunek aparatem. Urządzenie było tak duże i nieporęczne, że musiało tkwić na statywie. Ramiro najpierw uwieczniał obowiązkowe krajobrazy, przewidywalne martwe natury i rozgniewaną Hildę. Dopiero po jakimś czasie zdał sobie sprawę, że wszedł w posiadanie kury znoszącej złote jaja. Natychmiast zabrał się do fotografowania swoich panienek w stroju Ewy.

Często odświeżał portfolio. Sesje z modelkami potrafiły trwać godzinami. Rozebrane do rosołu dziewczyny musiały siedzieć zupełnie nieruchomo, podczas gdy Ramiro majstro-

wał przy aparacie, ustawiał ostrość i wsuwał szklane płytki do wąskiego otworu z boku, czasami nie trafiając z podekscytowania do dziurki.

Po zakończeniu sesji dziewczyny szły z szefem do łóżka; bez entuzjazmu, bo mogłyby w tym czasie zarabiać. Całe szczęście potrzeby Ramira można było zaspokoić łatwo i szybko. A żeby wybić klientom z głowy Hildę, mąż trzymał ją w ciemni, gdzie wywoływała powleczone srebrem płytki, przygotowywała negatywy i sepiowała odbitki.

Po którymś dniu pełnym pracy w ciemni rzuciła do męża zmęczonym tonem:

- Jestem w ciąży.

Ramiro popatrzył na chłopca uczonego jej spódnicy.

— Znowu?! Jakim cudem? Wbiła w niego twarde spojrzenie.

— Zaryzykowałabym stwierdzenie, że stało się to tak, jak zwykle. Co za ironia, prawda? Ostatnio ledwie mnie dotykasz, ale kiedy już idziesz ze mną do łóżka, od razu zachodzę w ciążę. Aha, uważaj z panienkami - dodała lekkim tonem, jak gdyby mówiła o pogodzie — nie stać nas na nowe gęby do wykarmienia.

Ramiro otworzył usta, by zaprotestować, ale nie znalazł odpowiednich słów, wyszedł więc na papierosa. Osiem miesięcy później Hilda urodziła wątłego chłopczyka. Jego brat odziedziczył po ojcu solidną budowę, ale noworodek był drobny po matce.

- Musimy go jak najszybciej ochrzcić. Kto wie, ile wytrzyma - stwierdził Ramiro, jak zwykle rzeczowo.

Hilda przycisnęła dziecko do piersi, a oczy zasły jej łzami. Chłopczyk był niejadkiem i często chorował. Hilda owijała jego cienkie jak patyki nóżki plastrami najlepszej wołowiny,

żeby czerpał składniki odżywcze przez skórę. Ojciec kręcił głową na widok tych mięsnych spodni, ale nic nie mówił. Niedługo potem lekarz oświadczył, że albo Hilda porzuci pracę w ciemni, albo przestanie karmić dziecko piersią, bo jest za słaba, by podołać obydwu zadaniom naraz. Ramiro kupił więc najlepszą kozę, jaką znalazł na targu, i przywiązał ją do drzewa za barem. Zatrudnił też córkę rzeźnika, żeby rano i wieczorem doiła kozę i karmiła dziecko mlekiem.

Dwa okrągłe dni koza szarpała się i beczała niemiłosiernie, aż w końcu odkryła, że może przegryźć powróż. Kiedy się z tym uporała, poszła zjeść sznurek, na którym Hilda rozwiesiła do wyschnięcia sepiowe odbitki.

Po całym dniu orki za barem Ramiro zajrzał do pokoju, gdzie niańka zawijała niemowlę w powijaki.

— Dlaczego mały jest brązowy? — chciał wiedzieć. Dziewczyna popatrzyła na niego spłoszona.

— Mały zbrązowiał - poinformował żonę Ramiro, gdy tylko wyłoniła się z ciemni, gdzie ponownie wywoływała odbitki.

Hilda rzuciła się do kołyski. Chłopczyk spał spokojnie po wieczornym karmieniu.

— Doiłaś dzisiaj kozę? — zapytała niańkę.

— Dwa razy, psze pani. Jak pani kazała. Najpierw rano, a potem wieczorem. Zaraz potem nakarmiłam dziecko.

— Mam iść po doktora? — zaproponował Ramiro.

— Nie trzeba. - Jego żona przygryzła wargę. — Daj mi łyżeczkę i trochę oliwy. I uważaj, żeby koza nie zeżarła znowu sznura na bieliznę.

Kiedy chłopcy wyrosli z powijaków, Hilda zabrała się do wydawania panienek za mąż. Jak można się było spodziewać, Ramiro protestował, lecz żona robiła swoje.

- Przez ciebie pójdziemy z torbami!
- Rozumiem, że bardzo się do nich przywiązałeś, ale nie zamierzam dopuścić do tego, żeby moich synów wychowywały dziwki.

Ramiro wydał dolną wargę.

- Myślałem, że je lubisz.
- Lubię. I dlatego finansuję ich wesela. To miłe dziewczyny, Ramiro. Nie zasługują na życie prostytutek. Najwyższy czas sprzedać bar.

- Przecież to był twój pomysł.
- Chciałam jak najszybciej zdobyć pieniądze na przyzwoite zajęcie.
- Kiedy zbijaliśmy pieniądze na alkoholu, jakoś nie przeszkadzało ci, że żyjemy nieprzyzwoicie.

- Usiądź, Ramiro. — Ton jej głosu zmroził mu krew w żyłach. — Posłuchaj. Jesteś dobry do bijatyki i do nalewania bimbru, ale w życiu chodzi o coś więcej niż tylko awantury i picie. Od tej pory ja zajmuję się interesami.

Za pieniądze ze sprzedaży baru otworzyła przy ruchliwej ulicy studio fotograficzne, pierwsze w Santa Juana. Sukces przyszedł natychmiast. Wkrótce Ramiro dobudował przeszkloną witrynę i okienko, przez które klienci mogli składać zamówienia. Dawny magazyn przekształcił w biuro, a w przestronnym, świeżo odnowionym pomieszczeniu na tyłach ustawił aparat. Rozwiesił na ścianie tkaninę pełniącą funkcję aksamitnego tła dla portretów, a także zlecił budowę ciemni z bieżącą wodą.

Hilda po raz kolejny udowodniła, że ma nos do interesów. Rok później w USA zakończyła się prohibicja. Większość barów w mieście została bez klientów, wiele osób zbankrutowało. Tymczasem zakład Montalvów dobrze już prosperował. Hilda

wzięła sporo pożyczek pod zastaw studia, żeby za bezcen kupować ziemię od zrozpaczonych ludzi.

— Wielkie nieba! — Ramiro wyrzucił ramiona wysoko w powietrze.
— Moja żona lichwiarką!

— Chyba chcesz, żeby naszym synom żyło się lepiej niż nam, prawda?

Ramiro wymamrotał coś pod nosem. Odkąd mieli przyzwoite zajęcia, stracił zapał do fotografowania.

— To mnie już nie bawi.

— Nic dziwnego - zachnęła się jego żona - twoje modelki są teraz ubrane.

— Nie... nie miałam o tym wszystkim pojęcia — wyszeptała Amada.

— Niezła historia, prawda?

— Cudowna! Nie rozumiem, dlaczego babcia trzymała to w tajemnicy.

— Bo całe życie się wstydziła.

— Przecież nie ma czego!

— Nie była zadowolona ze sposobu, w jaki zbiła majątek. Wolałaby odziedziczyć pieniądze, a nie zdobywać je w po-kątnych interesach.

— Ale to właśnie jest najciekawsze! Wszystko bym oddała, żeby się z nią zamienić.

— Ach, niewdzięczna młodości. Twoja babcia stawiała na głowie, żeby zapewnić swoim potomkom godne życie, którego nie miała, a ty teraz jej zazdrościsz. Pewnie przewraca się w grobie.

Amada nachmurzyła się.

— Na to, co mi opowiadasz, powinnam patrzeć jak na fikcję, ale jest zupełnie inaczej. Przecież to do tej pory żyłam

fikcją, bo świat, który znam, został sfabrykowany przez babcię. Twoje historie natomiast są prawdziwe.

- W tym sensie można chyba powiedzieć, że twoja babcia konstruowała mit, a dziadek go dekonstruował.

- Myślałam, że on też podtrzymywał rodzinną legendę, bo pasowała do jego opinii o sobie samym.

David dotknął policzka.

- Jeżeli dobrze pamiętam, Ramiro bez skrupowania mówił o przeszłości. Nie starał się kamuflować swoich braków. Był dosyć uzdolniony, ale zawsze z satysfakcją podkreślał, że jest prostym człowiekiem. Za to twoja babcia...

- Była *sine nobilitate*.

- Obawiam się, że nigdy nie byłem mocny z łaciny.

- Ja też nie. — Uśmiechnęła się. — Ale lubię to określenie. Oznacza „bez szlachectwa”. Powszechnie używa się jego skróconej wersji.

- Snob?

Amada skinęła głową królewskim ruchem Hildy i popatrzyła na niego iskrzącymi się szelmowsko oczyma Carmi-ny. Davidowi coraz mniej podobało się, że tę dziewczynę, w której chyba się zakochał, nawiedzały duchy kobiet z jego wspomnień.

Mimo że Ramiro stracił natchnienie, interes kwitł w najlepsze. Wkrótce najbogatsi mieszkańcy miasteczka — jak również dawne panienki Ramira — zachodzili do atelier odświętnie ubrani, żeby zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie. Hilda witała gości serdecznie, zachwycała się strojami i gruchała do ich dzieci, a następnie prowadziła klientów na zaplecze. Tam, nieco speszeni masywną aparaturą, jaką mieli przed sobą, siadali na jednym z przypominających

tron krzesel i z otwartymi szeroko oczyma zastygali niczym kamienne figury, podczas gdy Ramiro robił zdjęcie. Klienci uwielbiali oglądać swoje portrety wywieszane w witrynie; wyglądali na nich jak jacyś zamorscy książęta, a nie zwykli obywatele miasteczka pełnego dziwek. Czasami, kiedy ktoś zbyt długo nie zgłaszał się po odbiór fotografii, Ramiro przekręcał ją do góry nogami. Wtedy zawstydzony klient zjawiał się błyskawicznie, regulował rachunek i zgarniał zdjęcie z witryny. Pomimo tego rodzaju żarcików, jakie od czasu do czasu płatał mieszkańcom, Ramiro był coraz bardziej przybity.

Pewnego dnia Hilda spytała go, co się dzieje.

— To przez wojnę domową. Nie mogę jak gdyby nigdy nic pstrykać sobie zdjęć, podczas gdy w Hiszpanii szaleje faszyzm. Muszę tam jechać.

— Zeby wpakować się na kulę?

— Jeżeli będzie trzeba.

— A co z chłopcami? I ze mną?

— Chłopcy mają ciebie, a ty masz studio. Interesy zawsze szły lepiej tobie niż mnie.

— Nie puszczę cię.

— Nie zamierzam spokojnie żyć, kiedy moja ojczyzna się wali.

— Tutaj jest teraz twoja ojczyzna. Mało masz obowiązków przy rodzinie i przedsiębiorstwie? - Hilda przyjrzała się jego kamiennej twarzy. — Posłuchaj. — Posadziła go obok siebie na łóżku. - Wiem, że nasze małżeństwo nie należy do najszcześliwszych, ale jakoś nam się żyje. Mamy dwóch synów i dobrze prosperujący interes. Czego można jeszcze chcieć?

— Walczyć za Hiszpanię.

- Tylko dlatego, że jesteś znudzony tym, co masz tutaj?
- Dlatego, że to dla mnie ważne, Hildo. Nie rozumiesz?
- Nie tylko dla ciebie! Meksyk przecież wspiera sprawę, wysyłając broń i żywność. Sama posłałam rodzinie pieniądze na ucieczkę z Hiszpanii, ale brat kupił za nie stary karabin. Zastrzelił go żołnierz, który miał lepszą broń. Taka jest wojna. Sprawa jest przegrana. Nie pakuj się w to.
- Sprawa jest przegrana, bo ludzie tacy jak ja siedzą i obrastają w sadło, zamiast walczyć.
- Chcesz zostać bohaterem, tak? Szczerze mówiąc, wolę mieć żywego tchórza w domu niż martwego bohatera w Hiszpanii.
- Muszę jechać.
- Twoi synowie potrzebują ojca. Ja potrzebuję męża.
- Mój kraj też mnie potrzebuje.

Cztery miesiące później Hilda dostała od Ramira pierwszy list. Było już jednak za późno. Straciła zbyt wiele, a jej serce zatrzymała gorzkość.

Ramiro rozpoczął swoją hiszpańską odyseję od podróży do Nowego Jorku. Stamtąd dopłynął do Anglii, a potem na nielegalnej łodzi, która nieomal wywróciła się dnem do góry - do Portugalii. Tam przeszedł ośmiotygodniowe szkolenie, po którym został wcielony do Brygad Międzynarodowych. Sam musiał zdobyć sobie karabin na czarnym rynku. W końcu wyruszył do Hiszpanii. Jeszcze z Portugalii napisał do domu: „Tęsknię za chłopcami. Mam nadzieję, że interes się kręci”. Nie tęsknił za żoną, nie dopytywał się, czy u niej wszystko w porządku. Hilda zgmiotła list w dłoń.

Nie, nie liczyła na to, że rozłąka podsyci jego uczucie. Miała na to zbyt praktyczne podejście do życia. Nie była no-

wą Manon. Nie wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia. Nie oczekiwała, że mężczyzna rzuci dla niej wszystko, łącznie ze swoją dziecinną potrzebą zabawy w wojnę.

Stery książek, które pochłaniała, mieszkając u *dueñi*, nauczyły ją, że mężczyzna, który poświęca dla kobiety wszystko, to jedynie motyw literacki, najpewniej wymyślony przez Owidiusza, a potem przejęty przez Wergiliusza. Albo odwrotnie. Nieważne - stosuje się go tylko w charakterze zabiegu narracyjnego, bez odzwierciedlenia w realnym świecie. Jedno wiedziała na pewno: jeżeli w życiu Ramira istniały jakieś syreny, ona nie była jedną z nich. Wręcz przeciwnie - przypadła jej rola Penelopy. Obowiązkowej, odpowiedzialnej kobiety, którą zostawia się w domu, żeby pracowała i wiernie czekała. Ramiro całe lata od niej uciekał; ona musiała podążać za nim. A teraz, kiedy wreszcie do czegoś doszli, on znowu ucieka. Jaki sens miał wyjazd z Hiszpanii, skoro on właśnie tam wrócił?

Gazety, które przerzucała co rano przy śniadaniu, szukając wieści o wojnie domowej w ojczyźnie, wcale nie przynosiły pocieszenia. Świat lekceważył sytuację w Hiszpanii. A Ramiro jakby zapadł się pod ziemię. Hildę tak stresował brak wieści od męża, że w nocy nie mogła spać. Przewracała się z boku na bok, a irytujące tykanie stojącego przy łóżku budzika odmierzało kolejne sekundy czuwania.

Sądziła, że gorzej być nie może. Myliła się. Którejś nocy jej ciało przeszył ból ostry niczym brzytwa, a spomiędzy ud zaczęła wydobywać się ciepła, śliska substancja. Wsunęła rękę pod kołdrę, cały czas odmawiając przyjęcia do wiadomości tego, co się dzieje. W sączącym się przez zasłony świetle księżyca zobaczyła na dłoni krew. Boże jedyny! Zajęta harówką od świtu do nocy i opieką nad synami nie zauważyła, że jest w ciąży.

Rano córka rzeźnika *znalazła* ją zgiętą z bólu w oblepiającej jej nogi, zakrwawionej pościeli. Natychmiast pobiegła po lekarza.

- Proszę leżeć — zaordynował. Najwyraźniej nie brał pod uwagę, że ma na głowie całe studio! - Jeżeli pani nie zwolni, nie będzie pani mogła mieć więcej dzieci.

Zwolnić? Miała ochotę się roześmiać, ale widząc minę doktora, powstrzymała się. Jeszcze tego brakowało, żeby zamknął ją w domu wariatów. Dwa dni później pracowała już w najlepsze. Zal podcinał jej nogi, ale gniew dodawał sił. Pustkę w sercu próbowała wypełnić harówką - zamykała się przed światem ze swoim bólem i płakała, a słone łzy mieszały się z odczynnikami fotograficznymi. Nienawidziła Ramira za to, że chciał być bohaterem, podczas gdy nie stawał na wysokości zadania jako mąż.

- Nienawiść to wypaczona miłość - oznajmił jej spowiednik.

Hilda zastanawiała się, czy ma przez to rozumieć, że kiedyś kochała swojego męża.

- Pewnie kocha pani męża na swój sposób — stwierdziła córka rzeźnika, kiedy spowiednik wyszedł. Miała niezwykle irytujący zwyczaj podsłuchiwania pod drzwiami, ale Hilda nie mogła jej odprawić, bo potrzebowała pomocy przy dzieciach.

- Chyba każdy kocha na swój, a nie na cudzy sposób, prawda? Czy da się czuć nie swoimi uczuciami? Wyjaśnij, bo nie rozumiem.

- Ja tylko powtarzam, co mówi moja matka, *señora*.

~ To przestań pleść i idź robić obiad.

Denerwowała ją prostolinijność dziewczyny. Przypominała jej samą siebie, zanim *dueña* dała jej wykształcenie, na które w Hiszpanii nie byłoby jej stać.

To nastoletnia głupota popchnęła ją w ramiona Ramira, a potem kazała jej powierzyć mu wszystkie oszczędności. Teraz rozumiała, że jej wyobrażenie miłości przerosło samą miłość. Pojechała do Meksyku, goniąc miraż. Obraz Ramira w jej pamięci upiękaczyły pobożne życzenia - w tej chwili było to dla niej jasne. Ale jaki miała wybór? Nie mogła przecież wrócić do Hiszpanii, gdzie nie czekało na nią życie, tylko marna wegetacja zaledwie o szczebel wyżej niż owce, które strzygła. Złudzenie miłości przysło; jej mąż nigdy nie sprawił, żeby się uśmiechnęła. Teraz pozostało jej tylko urabiać sobie ręce po łokcie, żeby zdobyć przynajmniej majątek.

Ramiro był wprawdzie daleki od ideału, jednak odkąd wyjechał, świat walił się Hildzie na głowę. Zamiast bawić się w wojnę, powinien pomagać przy prowadzeniu zakładu i przy dzieciach. Dlaczego nie wracał, żeby naprawić, co zepsuł? Przecież powalczył już za ojczyznę i udowodnił, że jest dzielny. W Santa Juana był bohaterem. Co jeszcze trzymało go z dala od domu?

W ostatnim liście Ramiro napisał, że mnóstwo ludzi, całe rodziny nawet, przekraczają pieszo góry, żeby uciec przed okrucieństwem faszystów. Dlaczego więc nie uciekł z Hiszpanii razem z nimi? Pisał, że uciekinierzy okrywają się łachmanami, na ich nogach buty rozpadają się ze zniszczenia, a wielu z nich - głównie kobiety i dzieci — pada jak muchy, bo jest środek zimy.

Ramiro był mocno zbudowany. Na pewno przetrwałby przeprawę przez góry. Powinien uciekać! Hilda pracowała jeszcze dłużej i jeszcze ciężiej. Stworzyła organizację dobroczynną pomagającą kombatantom i stawała na głowie, żeby skłonić klientów do wpłacania pieniędzy. A po zamknięciu

sklepu wchodziła do ciemni i *krzyczała* z wściekłości *na* głupotę swojego męża.

Ciężka praca zaczęła przynosić efekty w połowie roku 1937, kiedy do Meksyku dotarli pierwsi uchodźcy — pięćset dzieci, głównie sierot. Jeszcze tego samego roku do dzieci dołączyła grupa intelektualistów, naukowców i artystów, ale Ramira między nimi nie było.

ROZDZIAŁ 10

Niepokalana Leonor

Gdy Carmina weszła do domu, zegar dziadka wybijał akurat pełną godzinę. Przez zasłony przebijało pierwsze światło poranka. Zamknęła za sobą drzwi i zdjęła buty. Wolała sobie nie wyobrażać, jak wygląda. Miała rozpuszczone, potargane włosy, pogniecioną sukienkę, a pończochy zwinięte w kulkę i wciśnięte do kieszeni.

— O, jesteś! — odezwała się Leonor. — Tak myślałam, że słyszę jakiś hałas.

Carmina popatrzyła na ciotkę jak spłoszony jeleń.

— Chodź, właśnie zaparzyłam kawę. Opowiedz, co się działo.

Dziewczyna rzuciła płaszcz i buty u dołu schodów i na bosaka poszła za Leonor do kuchni.

— Dobrze się bawiłaś? — Leonor podsunęła siostrzenicy kawę.

— Tak - wychrypiała Carmina i schowała się za filiżanką.

W kuchni pachniało mocną kawą i - jak zawsze - goździkami, cynamonem i morską bryzą, która płynęła znad zatoki szarą mgiełką. Carmina uniosła oczy i wyobraziła sobie ciocię tańczącą charlestona w ogrodniczkach i kaloszach,

ale szybko przegnała ten obraz z wyobraźni i zbesztła się w duchu.

- Cieszę się, że wieczór okazał się jednak przyjemny, po tym jak... - Leonor urwała i wbiła wzrok w usta siostrzenicy.

- Był przyjemny - wykrztusiła Carmina. Zarumieniła się i uśmiechnęła.

-To dobrze. Jakiś czas temu zjawił się twój chłopak. Około trzeciej. Pytał, czy dotarłaś bezpiecznie do domu. Mówił, że trochę za dużo wypił.

Carmina skamieniała z przerażenia.

- Powiedziałam, że śpisz, i odesłałam go, skąd przyszedł. - Leonor zmrużyła oczy.

-Bardzo...

- Cśś. — Leonor dotknęła kącika ust siostrzenicy tam, gdzie zakrzepła krew. - On ci to zrobił, prawda?

Carmina wbiła spojrzenie w stygnącą w filiżance kawę.

- W takim razie cieszę się, że nie spędziłaś z nim nocy. Dziewczyna spojrzała na nią.

- Taki brutal nie zasługuje na to, żeby pójść z tobą do łóżka — dodała ciocia.

Carmina poczuła wszechogarniającą ulgę. I zaczęła się usprawiedliwiać:

- Źle zrobiłam. To znaczy, tamten mnie uratował i... Leonor pokręciła głową.

- Nie musisz mi się tłumaczyć. To twoje życie. Możesz z nim zrobić, co zechcesz.

- Szkoda, że moja mama nie spędzała z tobą więcej czasu.

- Nic dobrego by z tego nie wyszło. Zawsze gorszyła ją moja „dzikość”. Tak samo jak moją matkę. Żadna nie potrafiła mnie zaakceptować.

- Dlaczego babcia cię nie akceptowała?

- Bo chciała syna, a dostała córkę.
- Ale to przecież nie twoja wina!
- Matka zadbała o to, bym od urodzenia czuła się winna, że jestem, kim jestem. Poczucie winy towarzyszy mi, czterdziestoletniej kobiecie, nawet teraz, po jej śmierci.
- Dlatego ubierasz się jak mężczyzna? Leonor wzruszyła ramionami.
- I dlatego, że mam brzydkie nogi.
- Carmina rozprostowała pod stołem swoje własne nogi.
- Oczywiście, trochę chciałam zrobić jej na złość — ciągnęła ciotka. - Najchętniej ubierałaby mnie jak laleczkę i jak najszybciej wyswatała, ale ja się postawiłam.
- Poświęciłaś własne szczęście tylko po to, żeby zrobić jej na złość?
- A kto mówi, że w małżeństwie byłabym szczęśliwa? Moja matka, twoja, moje siostry... Wszystkie męczyły się w fatalnych małżeństwach. Naprawdę uważasz, że ze mną byłoby inaczej? Nie każdy ma takie szczęście jak ty, żeby owdowieć za młodu. - Dopła resztkę kawy i zrobiła minę. - No co? Strasznie jestem pragmatyczna, prawda? Mama sprzedała moje siostry temu, kto dawał więcej. Ja zepsułam jej plan. I nosząc te ubrania, przypomiinałam jej o porażce. Sprawiało mi to ogromną przyjemność.
- To dlatego była na ciebie cały czas wściekła?
- Oczywiście. Byłam niewdzięcznicą. Raz nawet nazwała mnie „niewdzięczną lesbą”, bo nie byłam wystarczająco zobowiązana za dar życia. Od razu odparowałam, że owszem, dała mi życie, ale potem latami próbowała je ze mnie wydrzeć.
- Naprawdę tak powiedziałaś?
- Jasne.

— Rany, ale z ciebie ziółko. Szkoda, że nie mam twoich *cojones*. Ale całe szczęście już po wszystkim.

— Tak myślisz? Żyję w jej cieniu. Nadal noszę mundurek buntu. Nie jestem w stanie wyrwać się z więzów. Nawet po śmierci mnie prześladowuje.

— Przecież jesteś wolna.

— Może i jestem niezależna finansowo, ale wolna nie będę nigdy. Ona mnie karmiła, ubierała, pouczała. Wszystko pod płaszczykiem matczynej troski, ale tak naprawdę chciała mnie jeszcze bardziej ze sobą związać: wdzięcznością i poczuciem winy. Nie umiem być wolna.

Carmina przyglądała się swojej cioci. Zebrało jej się na płacz. Zasłona opadła i nagle zobaczyła, że jej bogini jest złamaną kobietą. Ciszę wypełniło tykanie kuchennego zegara; po chwili gdzieś w głębi domu rozległ się kurant.

Leonor wzięła Carminę za rękę i przechwyciła jej spojrzenie.

— No dobrze. A zabezpieczyłaś się? Carmina spurpurowiała.

-Ojej.

Przygotowania na przyjście dziecka na świat scementowały ich przyjaźń. Chłopczyk był zdrowy i dorodny. Miał oczy przypominające hiszpańskie oliwki, a na głowie kępkę czarnych włosów. Wypisz wymaluj ojciec. Urodził się w tygodniu poprzedzającym Święto Dziękczynienia.

— Oczywiście zostajecie u mnie — oświadczyła Leonor.

Dziecko nie skończyło jeszcze pięciu tygodni, kiedy Carmina dostała telegram, który miał zmienić jej życie. Przeczytała go, zbladła i odsunęła syna od piersi.

— Co się stało? — chciała wiedzieć Leonor.

- Zamordowano mojego brata - wyszeptała. - Mama pewnie odchodzi od zmysłów.

- Myślałam, że najgorsze niebezpieczeństwo minęło.

- Chodził na tajne spotkania opozycji. — Carmina odłożyła dziecko do kołyski.

- Zwariował?

- Mówił mi, że chce podjąć ryzyko.

- Czyli zwariował. Przecież wiadomo, że wrogowie Pór-firia tylko czekają, żeby wymordować jego potomków.

- Brat sądził, że uda mu się to zmienić.

- Naiwny. Ale ty to rozumiesz, prawda? Meksyk zamienił trzydziestoletnią dyktaturę, na której czele stał porządny człowiek, na dyktaturę skorumpowanej partii. Zastanawiam się, czy nasz kraj kiedykolwiek zobaczy koniec tych nieudolnych rządów.

- Muszę jechać do mamy. Nawet nie chcę sobie wyobrazić, w jakim jest stanie. - Carmina zaczęła wyjmować z komody dziecięce ubrania.

- Zostaw go ze mną.

- Moje dziecko?

- Carmina, zastanów się. Jak zareaguje twoja mama, gdy zjawisz się z nieślubnym dzieckiem? To by ją dobiło. Co jej powiesz, kiedy zapyta, kto jest ojcem?

- Ale Leonor, karmię go piersią. Potrzebuje mnie.

- Znajdę mu najlepszą mamkę. Kiedy wrócisz, będzie zdrowy i grubiutki.

Carmina przygryzła wargę.

- Twoja mama dostanie zawału, jak się dowie, że masz dziecko.

Na myśl o dziecku, które płacze z głodu, podczas gdy jej mleko wsiąka w bawełniane wkładki do bielizny, Carmina

miała ochotę krzyczeć. Nieomal wyła z tęsknoty za synkiem. Dni w domu rodzinnym wypełnione były modlitwą i karmieniem łyżeczką Nati, która łkała za swoim ukochanym synem. Wreszcie po dwóch miesiącach opiekę nad ich mamą zgodziła się przejąć siostra.

Gdy Carmina pakowała walizkę, do pokoju weszła matka.

- Co robisz? - Jej głos przeciął ciszę jak nóż. Przez te dwa miesiące stała się jeszcze bardziej zacięta w swoim żalu.

- Wyjeżdżam.

- Co takiego?! Carminę zaboląły piersi.

- Wyjeżdżam, mamó. Do San Francisco.

- O nie! Nie ma mowy.

- Niby dlaczego?

- Bo miejsce niezamężnej kobiety jest przy matce.,

- Mamó, jest rok 1940, a nie średniowiecze. Nati zmierzyła córkę wzrokiem.

- Od początku wiedziałam, że Leonor nie jest dla ciebie dobrym towarzyszem. Amerykanie i ich rozpasany tryb życia! Myślisz, że nie zauważyłam, jak przytyłaś? Dzięki Bogu ciężką pracą zrzuciłaś zbędne kilogramy. Chyba zapominasz, że jesteś wdową. Twoją powinnością jest mieszkać z rodziną i do śmierci opłakiwać męża.

- A ty chyba zapominasz, że czasy się zmieniły. Od rewolucji jest inaczej.

- Owszem, było inaczej, ale potem przyszła kontrrewolucja *chsteros* i wszystko wróciło do dawnego porządku. Żyjemy w konserwatywnym społeczeństwie. Nie pozwolę ci szargać opinii naszej rodziny.

- No cóż, mamó. Sprawdźmy, jak daleko posunę się w rozpuście. — Carmina zabrała bagaże i załadowała je do kufra taksówki.

Niedługo jednak trwała satysfakcja po ucieczce spod kurateli matki. Kiedy spojrzała w oczy Leonor, zmroziło ją złe przeczucie.

- Gdzie mały? — spytała, spodziewając się najgorszego.

- Długo cię nie było.

- Przecież pisałam, że opiekuję się mamą. Ciotka uniosła brew.

- Przepraszam, że tyle to trwało. Przyjechałam tutaj najszybciej, jak mogłam. Jeżeli opieka nad dzieckiem sprawiła ci kłopot, mogę go zabrać do Meksyku...

- Po moim trupie! - wykrzyknęła Leonor. - On jest mój. Carmina poczuła, że nogi ma jak z waty.

- Twój... ?

- Tak, Carmina. W świetle prawa i moralności należy do mnie.

- Jak to? — pisała słabo.

- Zaadoptowałam go.

- Co takiego?!

- Teraz to mój syn.

- Ale to ja go urodziłam. - Carmina była tak oszołomiona, że ledwo docierały do niej słowa ciotki.

- A potem porzuciłaś.

- Jezu, Leonor, przecież wiesz, że to nieprawda. Jak możesz tak mówić? To, co zrobiłaś, jest niezgodne z prawem!

- Zapewniam cię, że zgodne. Chcesz porozmawiać z moim prawnikiem?

- To mój syn. Mój!!!

- Już nie. Zadbaj o to mój prawnik.

- Ile musiałaś zapłacić, żeby ukraść mi dziecko?! — Carmina uderzyła ciotkę w twarz.

Na policzku zostało draśnięcie. Leonor położyła na nim dłoń.

- Wyjdź.

- Jak mogłaś zrobić coś tak ohydneho?

- Nie dopuszczę, żebyś zabrała małego do Meksyku! Tam tylko czekają na niego wrogowie Porfiria, zabiją go tak samo, jak twojego brata. Ze mną jest bezpieczny. Tutaj będzie mu się dobrze żyło. Kiedyś dostanie to wszystko — wykonała szeroki gest ręką.

- Możesz go ozłocić, ale nigdy nie będziesz jego matką. - Carmina wypadła z biblioteki i wbiegła po schodach po dwa stopnie naraz. Wparowała do swojej dawnej sypialni, ale pokój był pusty. Zniknęły nawet pudła z jej rzeczami. Obróciła się na pięcie. Leonor przyglądała jej się z progu.

- Gdzie on jest?

- W bezpiecznym miejscu.

- Gdzie?

- Tu go nie ma. Nie mogłam ryzykować, że go zabierzesz.

- Zabiorę? Przecież to mój syn!

- Nie możesz zabrać go do Meksyku. Tam nie jest bezpiecznie.

- To mój syn! - W głosie Carminy słychać było całą rozpacz minionych miesięcy. - Dlaczego kradniesz mi dziecko? Matkuj sobie własnemu!

Leonor parsknęła nieprzyjemnym śmiechem.

- Mam czterdzieści sześć lat. Nie mogę już zająć w ciążę.

- Trzeba było postarać się wcześniej — wychrypiała Carmina.

- Jakoś nie przyszło mi do głowy, że chcę mieć dzieci.
 - A teraz kradniesz mi syna, żeby powetować sobie przeoczenie?
- Leonor chciała dotknąć ramienia Carminy, ale ta się odsunęła.
- To nie była łatwa decyzja.
 - Która? Kradzież dziecka czy zdrada siostrzenicy?
 - To nie tak. Chcę dla niego jak najlepiej.
- Z piersi Carminy pociekło mleko. Na ten widok Leonor zmarszczyła brwi i wycofała się na korytarz.
- Pokojówka zaprowadzi cię do wyjścia.
 - Jak go nazwałaś? - Carmina poszła za ciotką.
 - Odejdź. - Leonor zatrzasnęła drzwi do swojego pokoju tuż przed nosem siostrzenicy.

ROZDZIAŁ 11

Wojna

Hilda aż gotowała się z gniewu. Pod nieobecność Ramira tęskniła za nim i cierpiała. Tymczasem teraz czuła tylko nieokiełznaną wściekłość, wzbierającą w niej niczym lodowa ściana. Gdyby chociaż stracił w walce rękę, nogę czy oko, miałaby poczucie, że całe to cholerne poświęcenie było czegoś warte. Ramiro jednak wślizgnął się z powrotem w swoje życie niemal nietknięty. Prawie nie było widać, że kuleje, a blizny były ukryte pod spodniami. Sprawiał wrażenie, jakby wrócił z wakacji, a nie z bezrozumnej, przegranej z kretesem wojny. W dniu, w którym wrócił, Hilda poprosiła, żeby coś jej opowiedział. On jednak odparł, że nie chce o tym mówić.

Jak to nie chce o tym mówić?

Miasteczko przez ponad pięć lat było głównym źródłem napitku dla amerykańskich żołnierzy. Ci w kółko gadali o swoich przeżyciach wojennych i do znudzenia wyjaśniali pochodzenie poszczególnych ran. „O, ta rana tutaj to od szrapnela. Ta od miny przeciwpiechotnej. Ranił mnie bagnet, dusił gaz musztardowy...”. Ale Ramiro? Ani słowa. On nie miał żadnych przygód. Żadnych tkwiących w ciele kul. Skóra nieskalana bliznami, z wyjątkiem dziurek na kostce,

które przypominały raczej ugryzienie zwierzęcia niż ranę od pocisku. W dodatku żądał rozwodu.

- Rozwód? - huknęła Hilda. — Teraz chcesz się ze mną rozwieść? Po tylu latach, które poświęciłam interesom i twoim synom? Po moim trupie!

Tej nocy Hilda zacisnęła zęby i wsunęła się do łóżka Ramira, mimo że o niczym tak nie marzyła, jak o tym, żeby zwinąć się w kłębek i opłakiwać swoje małżeństwo. Zrozumiała, że mąż postawił na niej krzyżyk jeszcze przed wyjazdem do Hiszpanii. Od dawna starała się odwracać wzrok od oczywistych sygnałów, ale teraz prawda uderzyła ją prosto w twarz. Ich małżeństwo od początku zmierzało donikąd. Wiedziała to i dlatego przymykała oczy na jego skoki w bok. Powydawała za mąż panienki w nadziei, że w ten sposób odzyska męża. Niestety, kiedy się wyprowadziły, zniknął i on.

Nawet nie pytała, czy jest inna kobieta. Mężczyzna nie zostawia żony, jeśli nie znalazł sobie kogoś na jej miejsce. Hilda nie miała zbyt gorącego temperamentu, ale przypomniawszy sobie każdą pikantną scenę, jaką przeczytała w książkach, i przygotowała cały arsenał sztuczek. Znakomicie udawała entuzjazm, mimo że ledwo żyła ze zmęczenia. Kiedy było po wszystkim, nie pamiętała, kto pierwszy wydał rozczarowane westchnienie i pierwszy odwrócił się na bok. Leżała pod kołdrą i wprost dusiła się porażką. Żołądek ścisnęło jej wspomnienie niezręcznych pocałunków. Zal od dawna towarzyszył jej na każdym kroku, a ona nie potrafiła zmusić się do ucieczki.

Następnego dnia rano, kiedy już posłała chłopców do szkoły pod opieką córki rzeźnika, usiadła w kuchni. Wszedł Ramiro. Nalał sobie kawy ze stojącego na piecu garnuszka

i usiadł naprzeciwko żony. Kwadratowy stół rozdzielał ich niczym tarcza.

- Musimy porozmawiać - rzucił.

Popatrzyła na swojego męża. Nadal był tak samo przystojny. Z trudem przełknęła gniew. Żałowała, że wojna nie oszpeciła go jak kwas, podobny do tego, który wżerał się w jej serce.

- Chodzi o rozwód? Przecież wczoraj ci odpowiedziałam.

- Nie o rozwód.

- A o co?

- Chcę sprzedać przedsiębiorstwo. Potrzebuję połowy pieniędzy.

Hilda uśmiechnęła się gorzko.

- Drogi mężu, czyżbyś zapomniał, że przed wyjazdem przepisałeś wszystko na mnie, na wypadek gdyby „coś się stało”?

Zrzedła mu mina.

- Nie zapomniałem.

- No więc, coś się stało. Nie zamierzam niczego sprzedawać. - Wstała i włożyła filiżankę do zlewu.

- Jesteś okrutna. Obróciła się.

- Bo nie pozwalałam ci porzucić żony i synów?

- Nigdy nie chciałem zakładać rodziny. Tego się spodziewała.

- Ale założyłeś.

- Odkąd się pobraliśmy, zmuszasz mnie do roli ojca rodziny!

- Trzeba było zaprotestować.

Odsunął od siebie filiżankę z miną jeszcze bardziej gorzką niż kawa, którą pił.

- Co miałem powiedzieć? Przestałem do ciebie pisać, ale i tak mnie znalazłaś. Miałem odesłać cię z powrotem?

Jęknęła cicho i musiała przytrzymać się krzesła, żeby się nie przewrócić.

- Nie pozbawię naszych synów majątku.

- Oni wyrastają na przestępców. Okradną cię przy pierwszej nadarzącej się okazji, zobaczysz.

- Co takiego?

- Jak to, nie wiesz, że Venancio regularnie podbiera z kasy pieniądze na papierosy?

- Przecież ma dopiero siedem lat!

- A Manolo prawie codziennie wagaruje. Chce się dostać do poprawczaka, bo zakumplował się z pewnym mordercą, który tam siedzi. Niezła edukacja, prawda?

Ilekcóż Hilda czuła się zapędzona w kozi róg, atakowała ze zdwojoną siłą.

- To wszystko twoja wina! Gdybyś był na miejscu i zajmował się utrzymaniem rodziny, ja wychowywałabym chłopców, jak przystało na kobietę. Mogłabym być dla nich matką, zamiast całymi dniami harować w studiu i tracić wzrok w ciemni. Ty jednak postanowiłeś pobawić się w wojnę. - Opadła bezsilnie na krzesło. - A wojna jest przegrana, Ramiro. Przegrana. Nie mogę być jednocześnie fotografem, laborantką i matką. Dłużej nie wytrzymam. - Ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Ramiro wstał, dotknął jej włosów i poklepał ją po ramieniu. Nie wiedział, co robić, więc wyszedł zapalić.

Straciła go. Nie mogła się dłużej okłamywać, że wszystko będzie dobrze, a mimo to nie umiała się pogodzić z jego odejściem. Budowała swój wizerunek dobrej, miłosiernej osoby, która robi wszystko, żeby uratować

hiszpańskie sieroty, i wspiera uchodźców ze starego kontynentu; a jednocześnie nie potrafiła pozwolić Ramirowi na szczęście u boku innej kobiety, podczas gdy ona sama tkwi w Santa Juana, pracuje dzień i noc i zajmuje się małymi niewdzięcznikami, których z nią spłodził. Nie tak wyobrażała sobie życie po ucieczce z Hiszpanii. Piękny sen przerodził się w koszmar.

Wróciła myślami do chwili, gdy po raz pierwszy stanęła na meksykańskiej ziemi. Prawie wmówiła sobie, że poszło jej całkiem nieźle. W dziesięć lat rozkręcili z Ramiem dobrze prosperujący interes. Nikt w miasteczku nie miał tylu nieruchomości co oni. A co najważniejsze: z czasem udało jej się odciąć od nędznych początków. Ludzka pamięć jest wybiórcza. Teraz, gdy mąż wrócił z wojny jako bohater, zyskała powszechny szacunek. Nie mogła pozwolić, żeby Ramiro wszystko zniszczył.

Pewnego bezlitośnie skwarne sierpniowego dnia Hilda zastała Ramira pakującego skrzynkę.

- Co robisz? — Lepsze pytanie nie przyszło jej do głowy.
- Pakuję rzeczy.
- Widzę, ale po co?
- Hilda, pakuję skrzynkę, bo zamierzam wysłać ją do Europy.
- Rozumiem, dary. - Udawała głupią, żeby zostawić mu możliwość odwrotu, gdy zrozumie swój błąd.
- Ja płynę tym samym statkiem co skrzynka — oświadczył stanowczo.

Hilda opadła na krzesło.

- Nie masz pieniędzy.
- Na bilet mi starczy. - Włożył do pudła stosik książek.

Nabrała głęboko powietrza, żeby się uspokoić. Poczwała zapach świeżej farby. Popatrzyła na skrzynkę. Na ściankach miała wymalowane na czerwono napisy: „Ostrożnie”, a zaadresowana była do... Polski. Pokręciła głową, bo nie rozumiała, dlaczego skrzynka jedzie do Polski, skoro Ramiro wybiera się do Hiszpanii. Przez chwilę przyglądała się napisom, ale było tam tyle spółgłosek, że nie potrafiła nic odcyfrować.

- Kiedy wypływasz?

- Siódmego września.

„Boże, to za trzy tygodnie!”, pomyślała. Z jakiegoś niemądrego powodu uważała do tej pory, że Ramirowi zabraknie odwagi, by odejść.

- Szczęśliwa siódemka — powiedziała i od razu poczuła się jak idiotka, ale nie potrafiła wymyślić nic lepszego.

- Życzysz mi szczęścia, tak? — Ramiro uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały poważne. — A mnie się wydaje, że chcesz, żebym został i dzielił z tobą nieszczęście.

Hilda skrzywiła się. Trafił w sedno. Zdecydowała w którymś momencie, że jeżeli ona przegrała życie, to on też powinien.

- A chłopcy?

- Trudno, pogodziłem się z tym.

- Ramiro, jak możesz. - Wciąż nie mogła darować losowi, że jej nie było dane zaznać radości.

- Żyje im się jak u Pana Boga za piecem. Zadbaliśmy o to, kiedy ukradłś moją połowę majątku. Są ustawieni.

- Potrzebują ojca.

- Oni potrzebują ojca, ja potrzebuję pieniędzy. - Wzruszył ramionami.

- Życie nie zawsze daje nam to, czego potrzebujemy.

Hilda zacisnęła zęby.

- Nie odchódź - wycedziła. Ramiro tylko się jej przyglądał. Przełknęła ślinę. - Proszę.

Dalej na nią patrzył, najwyraźniej z rozbawieniem obserwując, jak jego żona deprecjuje swoją dumę.

- Już zdecydowałem.

- Jest tego warta? — wyszeptała. I zaraz pożałowała, że tak się upokarza.

- Słucham? - Policzki Ramira zapłonęły z oburzenia.

- Lea. — Wskazała adres na skrzynce. — Może i jestem głupia, ale Bóg mi świadkiem, że jeszcze nie oślepiłam.

Jego święte oburzenie wyparowało.

- Przyszłaś na przeszpiegi! Parsknęła śmiechem.

- Owszem, straciłam dumę, ale godności jeszcze nie.

- Tak. Jest tego warta.

- Ramiro, ale żeby Żydówka? Wzdrygnął się, słysząc pogardę w jej głosie.

- A niby skąd to wiesz?

- Z takim imieniem nietrudno zgadnąć. Jak mogłeś upaść tak nisko?!

- Co ma do tego jej imię? - Wyrzucił ramiona do góry.

- Tak samo nazywa się córka Goldsteina, tego lichwiarza, który mieszka po sąsiedzku. To z pewnością Żydówka.

- Twoja umiejętność dedukcji jest imponująca, ale dowiodłaś jedynie swojego antysemityzmu.

Hilda rozumiała, że tylko się pogrążyła i powinna jak najszybciej opuścić pokój, ale cierń zazdrości ranił ją tak boleśnie, że zerwała się na równe nogi i rzuciła na męża z pięściami.

- Jak mogłeś! Jak ona mogła, ta Żydówka! Wie, że masz żonę?

Ramiro chwycił ją za nadgarstki.

- Nie pytała.

- A tobie jakoś nie przyszło do głowy, żeby jej powiedzieć, co? — krzyczała i usiłowała się wyswobodzić.

- Przestań. - Przesunął jej dłonie ku dołowi i puścił. - To koniec.

Spoliczkowała go z takim impetem, że kiedy wyszła z pokoju, dłoń ciągle ją piekła.

Gdyby ktoś spytał ją o kolejne dni, trudno byłoby jej odpowiedzieć. Potem, kiedy najgorsza burza minęła, tych kilka tygodni opisywała jednym słowem: „piekło”. Ramiro tymczasem skończył się pakować, kupił bilet na statek i umówił się z taksówkarzem, który miał go zawieźć na stację trzy dni przed datą wypłynięcia. Potem krążył po domu cały w skowronkach, a Hilda rozważała mężobójstwo.

I wtedy wydarzyło się coś strasznego. Pierwszego września Niemcy najechały Polskę, a dwa dni później wypowiedziało im wojnę pół Europy. Ramiro był jak ranne zwierzę, Hilda zaś po raz pierwszy od długich tygodni chodziła uśmiechnięta. Nie tylko w Europie zanosilo się na wojnę.

Następnego ranka Hilda weszła do kuchni. Czekala tam na nią córka rzeźnika.

- *Señora*, chłopcy — odezwała się służąca.

- Wiem. - Spojrzała na synów groźnie.

Obaj usiłowali uciec, zanim mama wytarnosi ich za uszy, ale tym razem wszystko potoczyło się inaczej niż zwykle. Hilda capnęła synów za ręce i zaprowadziła do seminarium. Potężną dotacją zagwarantowała im pobyt, dopóki modlitwa, post i pokuta nie nauczą ich moresu.

ROZDZIAŁ 12

Cierpienie Carminy

Carmina pamiętała to trzaśnięcie drzwiami do końca swojego życia.

Batalia prawna była przykra. Carmina próbowała odzyskać syna na drodze sądowej, na co Leonor oskarżyła ją o porzucenie noworodka. Ciocia niczym dobra samarytanka - jak dowodził jej prawnik - musiała zająć się dzieckiem.

Carmina w skromnej sukience, z blond włosami opadającymi na ramiona i szarymi oczyma wypełnionymi łzami wyjaśniała sądowi, jak naprawdę stoją sprawy. Leonor w mig zrozumiała, że intryga bierze w łeb. Gorączkowo szepnęła coś na ucho prawnikowi. Ten wstał i założył kciuki za poły marynarki.

- Pani Garay — odezwał się aksamitnym głosem - ja także nade wszystko pragnę sprawiedliwości. Chętnie wezwę tylu świadków pani wersji, ilu tylko będzie trzeba. - Tu zrobił efektowną pauzę. - Proszę mi więc powiedzieć, pani Garay, jak nazywa się ojciec dziecka. Chciałbym usłyszeć jego zeznanie.

Gdyby Carmina stała, upadłaby w tej chwili na podłogę. Miała wrażenie, że ziemia usunęła się jej spod nóg. Popa-

trzyła na Leonor. Jak ciotce nie wstyd? Jak może sięgać po tego rodzaju argumenty, żeby wybronić się z morderstwa? Tak, bo właśnie morderstwo popełniała teraz na swojej siostrzenicy. Łamała jej serce na kawałki, a potem rzucała na pożarcie rekinom krążącym po sali sądowej. Carmina postanowiła walczyć o syna jak lwica.

Nabrała głęboko powietrza, żeby uspokoić łomoczące serce.

- Nie potrafię podać jego nazwiska. Poznaliśmy się pewnego wieczoru na tańcach i spędziliśmy razem noc. Przyjęłam, że już się więcej nie zobaczymy, dlatego nie zapytałam, jak się nazywa. - Na chwilę zamilkła i z trudem zaczerpnęła powietrza. - To nie przestępstwo pójść do łóżka z nieznanym. Prędzej grzech, ale jesteśmy w sądzie, nie na posiedzeniu inkwizycji. Kradzież dziecka matce wydaje mi się o wiele gorszą zbrodnią. - Spojrzała Leonor prosto w oczy. — Wszyscy mamy jakąś tajemnicę. Z całym szacunkiem, ale nie wstydę się, że mam dziecko z mężczyzną, który nie jest moim mężem. Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, ani przez chwilę tego nie żałowałam. Czekałam na przyjście syna na świat pełna radości i nadziei. Karanie mnie za grzechy czy odbieranie syna nie leży w gestii mojej ciotki. Ani tego sądu.

Prawnik Leonor zdał sobie sprawę, że przeciwnik nie został jeszcze całkowicie pokonany. Powołał więc przed sąd nieznanego Carminie lekarza, który niedawno skończył szkołę medyczną i tak oszalał na punkcie Leonor - mimo dzielących ich piętnastu lat - że dla jej miłości zrobiłby wszystko. Tego Carmina niestety nie wiedziała. Doktor John C. Cutler wyglądał chłopięco, z oczu dobrze mu patrzyło, budził zaufanie. Zeznał pod przysięgą, że Carmina przyszła do niego, żeby zakończyć ciążę, on jednak odprawił ją z niczym, ponieważ

jest porządnym lekarzem, a jego zainteresowanie regulacją urodzin nie znaczy wcale, że jest mordercą dzieci. Tym ostatnim, fałszywym zeznaniem zamknięto sprawę. Wyrok zapadł na niekorzyść Carminy.

Carmina była zdruzgotana i pozbawiona środków do życia, choć w głębi duszy jeszcze nie pokonana. Nie miała wyjścia - musiała wrócić do Veracruz. Tam pracowała w pocie czoła, żeby zarobić na odwołanie od wyroku. Obiecała sobie, że tym razem nie da się łatwo rozbroić. Nadzieja na odzyskanie syna dawała jej siłę. Pracowała od rana do nocy. Rok później wróciła do San Francisco.

Tam jednak okazało się, że Leonor sprzedała dom i zniknęła bez śladu. Carmina przeczesła miasto, sądząc, że wpadnie na jakiś trop, ale ciotka przepadła jak kamień w wodę. A dziecko razem z nią. Kiedy Carmina ruszyła w drogę powrotną do Meksyku, zaczęła w niej obumierać resztką nadziei.

Na obiedzie u znajomych poznała mężczyznę, który najpierw ją pocieszył, a potem złamał jej serce. Nazywał się Santiago i kandydował na burmistrza Veracruz. Bardzo przypadł Carminie do gustu. Zeby oderwać swoje myśli od utraty dziecka, rzuciła się w wir kampanii na rzecz Santiaga. Nieoficjalnie zajęła stanowisko pierwszej damy, przyjaciółki - czy jak też nazwać podobną funkcję. I tutaj właśnie leżał problem Santiaga. Odwzajemniał uczucia Carminy, wręcz szalał na jej punkcie, jednak miał na tyle wąskie horyzonty, że nie uśmiechał mu się ślub z wdową, która na dodatek ani myślała mieszkać w domu rodzinnym pod kuratelą matki. Jak zauważył jakiś życzliwy, na grobie jej męża jeszcze nie zdążyła wyrosnąć trawa, kiedy ona przeniosła się do San Francisco — tak fatalne prowadzenie się Carminy mogło zrujnować jego karierę polityczną.

Santiago co rusz zmieniał zamiary, nie dostrzegając przy tym, że Carminę męczy taki stan zawieszenia. Łatwo było nią manipulować, co natychmiast wykorzystała jej matka. Jak przystało na przykładną katoliczkę, Nati nie potrafiła zostawić cudzego szczęścia w spokoju.

— Dolą kobiety jest cierpienie — wyjaśniła córce.

I żeby jak najszybciej przywrócić właściwy porządek rzeczy, przedstawiła ją komuś z jeszcze gorszym niż ona piętmem — rozwodnikowi.

— Co tam — powiedział ów mężczyzna — ty jesteś wdową z przeszłością i nikt nie chce się z tobą ożenić. Ja jestem z drugiej ręki. Pasujemy do siebie.

— Ale ja cię nie kocham — odparła Carmina. — Nie lubię cię nawet.

— Jeszcze zmienisz zdanie. - Obrażony, wymaszerował z salonu piękności.

— Nie sądzę — mruknęła pod nosem.

Nie wiedziała, że los ma już wobec niej plany. Tym razem przeznaczenie przybrało postać kobiety imieniem Laura, sekretarki pracującej przy kampanii Santiaga. Carmina czekała, aż Santiago wreszcie podejmie decyzję co do ich przyszłości, tymczasem on wdał się w romans z sekretarką. Chciał zrobić Carminie na złość za umawianie się z rozwodnikiem, chociaż ona nigdy nie traktowała poważnie tamtego kandydata.

Na wieść o tym Nati zakrakała:

-I bardzo dobrze! Nie chciałabym, żeby moja córka marnowała się w zdradliwym świecie polityki.

— Mamo, nie mieszaj się do nie swoich spraw - fuknęła Carmina, kiedy spotkała Nati kilka dni później.

— Nie dość się nacierpiałam po śmierci twojego brata?

— A co ma do tego mój brat? Tu chodzi tylko i wyłącznie o moje szczęście. A ty wciąż podcinasz mi skrzydła.

— Nie złość się, tylko pokaż, kto jest górą. Umów się z Joem, niech Santiago widzi, jak niewiele cię obeszła jego zdrada.

— Powiem to po raz ostatni: nie jestem ani na jotę zainteresowana Joem, więc przestań mi go podtykać pod nos. Nie podoba mi się i już. Poza tym jego była żona wyładowała w wariatkowie. Ciekawe, co biedaczce zrobił.

Nati pobladła.

— Zaczynij się wreszcie zachowywać jak przystało na moją córkę. Dość mieliśmy tragedii w rodzinie.

Ale znała Carminę i wiedziała, że zrobi, jak zechce, ignorując jej porady. Postanowiła więc wziąć sprawy w swoje ręce. Rozpuściła plotkę, że Carmina i Joe planują wspólne wakacje. Z zazdrości Santiago ożenił się z sekretarką i żył bardzo nieszczęśliwie aż do czasu, kiedy ostatecznie powinęła mu się noga. Dosłownie: nadepnął pod przysznicem na mydło i skręcił sobie kark.

Carmina i Joe próbowali żyć razem, ale z miernym skutkiem. Raz po raz schodzili się i rozchodzili. Z tego chaotycznego związku narodziła się córka. Tymczasem po wielu latach była żona Joego cudownie ozdrowiała i wyszła ze szpitala psychiatrycznego. Joe — być może zmęczony uczuciową szamotaniną, być może niedostatkiem miłości Carmi-ny — zamieszkał ze swoją byłą, na którą całe miasteczko mówiło *la loca*. Miał dosyć plotek, więc przeprowadzili się do przygranicznego miasteczka Santa Juana, gdzie nikogo nie interesowała ich przeszłość. Tam zaczęli wszystko od nowa.

Zycie płynęło dalej. Pewnego leniwego letniego popołudnia, kiedy nawet bryza znad oceanu nie przynosiła orzeź-

wienia, z sąsiedniego miasteczka przyjechał do fryzjera pewien zielonooki mężczyzna. Tydzień później znowu zjawił się w salonie, żeby jeszcze trochę podciąć sobie włosy. W kolejnym tygodniu przyjechał po prostu pogadać. Carmina miała z nim dziecko, zielonookiego chłopca o wyglądzie aniołka, który nappełniał dom śmiechem, nawet gdy mężczyzna odszedł na dobre.

A jednak Carminy nie opuszczał smutek. Niektórzy mówili, że to żal po pierwszym mężu, który tak młodo uczynił ją wdową. Inni utrzymywali, że to z powodu Santiaga - podobno kochała go nawet po jego śmierci. Jeszcze inni twierdzili, że straciła głowę dla zielonookiego, gdyż miłość w wieku menopauzy jest podobno najmocniejsza.

Nikt nie domyślał się prawdy. Serce Carminy rzeczywiście zostało złamane, ale wcale nie przez mężczyznę. To Leonor unieszczęśliwiła ją na zawsze, kiedy ukradła jej dziecko. Carmina leżała czasem w nocy, sama w swoim pokoju, i płakała za synem, którego zabrano jej podstępem. Synem bezimiennym, tak jak jego ojciec.

ROZDZIAŁ 13

Impas

- Zwariowałaś do reszty? - huknął Ramiro, kiedy dowiedział się, że żona oddała chłopców do nowicjatu. Ze zgryzoty Hilda marniała w oczach, tymczasem on dążył do konfrontacji, bo chciał wyładować na kimś cierpienie. - Nie po to walczyłem z faszyzmem, żeby teraz oddawać synów do klasztoru!

- Tak? A ilu dokładnie faszystów zabiłeś, Ramiro? Popatrzył w jej czarne, nieubłagane jak u węża oczy

i zdał sobie sprawę, że ta kobieta przejrzała go na wylot. To zmroziło mu krew w żyłach. Obrócił się na pięcie i wymaszerował z domu. Hilda go nie zatrzymywała.

Tamtego dnia została naruszona między nimi równowaga sił. Od tej pory wystarczyło jedno jej bazyliżkowe spojrzenie, żeby Ramiro nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Znowu zaczął pojawiać się w studiu: zajmował się robieniem zdjęć na zapleczu, podczas gdy ona przyjmowała zamówienia. Dopiero po zamknięciu wymykał się na partyjkę domina z kolegami. Całe szczęście wszyscy mieli na tyle taktu, żeby nie wypominać mu, iż parę tygodni temu się z nimi pożegnał. Chłopcy nadal uczyli się u księży, mimo

że z tego powodu kpiono z Ramira niemiłosiernie. Znajomi zadowoleni, że nie muszą już czcić go jako bohatera wojennego, podśmiewali się, że oto lewicowiec znalazł się pod pantoflem katolickiej żony.

Pewnego razu, kiedy przyszedł na partyjkę domina, jeden z kolegów zagadnął go:

— Ramiro, oświeć mnie z łaski swojej. Jak to jest, pojechałeś do Hiszpanii walczyć z prawicą czy nie?

Ramiro udał, że głęboko się zastanawia nad odpowiedzią. -Tak.

— A teraz twoi synowie uczą się na pamięć zdrowasiek i ćwiczą klękanie, tak?

— Co zrobić? Zonie nie mogę się sprzeciwić. — Wzruszył ramionami z teatralną rezygnacją. — Jej przecież tam nie było. - Jeżeli czuł jakieś wyrzuty sumienia, że poświęcił chłopców jak starotestamentowe owieczki, aby tylko podtrzymać fasadę swojego małżeństwa, skrzętnie je ukrywał.

— Wspaniała kobieta z twojej żony — podsunął od razu któryś z kolegów. — Kiedy ty walczyłeś, ona pracowała od świtu do nocy.

— Tak, cudowna, niespotykana kobieta. Prawdziwa z niej dama - zgodzili się inni w obawie, że w ich szeregach znajduje się szpieg. Niełatwo o dobrego gracza w domino.

„Tylko czemu Hilda tak zadziera nosa?“, zastanawiał się Ramiro. Już dawno obiecał jej utrzymać w największej tajemnicy, że zanim stali się burżujami, Hilda była pasterką, szwaczką i ciułającą każdy grosz pokojówką w kasynie. Nie istniało większe tabu w ich domu niż to, że fortunę zaczęli zbijać na alkoholu i stręczycielstwie. Całkowite milczenie o tych sprawach było warunkiem utrzymania *status quo*, którego Ramiro bardzo teraz potrzebował, bo świat walił mu

się na głowę. W ich życiu prywatnym zapanowała chwiejna równowaga. Ramiro dwoił się i troił, żeby zachować ten quasi-rozejm. W otwartej wojnie Hilda mogłaby zdradzić wszystkim, jakim okazał się tchórzem. Albo wyrzucić go na ulicę, jeśli nie będzie pracował wystarczająco ciężko.

Niepotrzebnie się martwił. Hilda nie zamierzała go demaskować. Pobyt Ramira w Hiszpanii zapewnił im taki szacunek w miasteczku, na jaki w innych okolicznościach ich rodzina musiałaby pracować całe pokolenia. Niemądrze byłoby wyciągać wstydlive fakty na światło dzienne.

I tak, choć byli wrogami, stali się współnikami w podtrzymywaniu iluzji.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Ramira, interes kwitł. Setki Meksykanów mieszkających w wojskowym miasteczku po amerykańskiej stronie granicy uciekało przed poborem na południe. Osiedlali się w Santa Juana i w miarę jak osiągalni coraz większą stabilizację, pragnęli uwiecznić dla potomności ważne chwile swojego życia. Tłumnie odwiedzali studio, żeby robić sobie portrety ślubne, fotografować swoje dzieci przy okazji chrztu czy komunii. Z dnia na dzień pracy było coraz więcej.

Ramiro postanowił zatrudnić pomocnika. Przespacerował się do położonej nieopodal redakcji lokalnej gazety, żeby zamieścić ogłoszenie w dziale „Szukam”. Ekspedient zaniósł zamówienie Ramira na zaplecze i wręczył je młodemu linotypiście.

- Zmieścisz to do jutrzejszego wydania?

— Spróbuję. - David Anasosa wziął od niego świstek. Doświadczenie nauczyło go, że dział „Szukam” najlepiej składać na samym końcu.

David przeczytał ogłoszenie. Ręce zaczęły mu się trząść tak bardzo, że upuścił czcionki. Wiedział, co musi teraz zrobić.

Następnego dnia skoro świt David ustawił się naprzeciwko studia fotograficznego. Pod pachą trzymał świeżą gazetę. Kiedy Ramiro otworzył zakład, odczekał dziesięć minut i ruszył. Miał na sobie najlepszy garnitur, krawat i nową koszulę, a po goleniu natarł się obficie pachnącym olejkiem.

— Ja w sprawie pracy - rzucił od progu. Rozwinął gazetę i pokazał ogłoszenie. Wcześniej zakreślił je kilkakrotnie, zamazując w ten sposób literówkę, jaką celowo zrobił w adresie: 7119 zamiast 1719.

Ramiro rzucił na nie okiem i skinął głową.

— Ma pan referencje?

David wręczył mu kopertę. Poluźnił krawat, by zatuszować zaskoczenie, że stojący przed nim mężczyzna to nie pijak, którego pamiętał sprzed dziesięciu lat.

Ramiro przeczytał pobieżnie referencje Davida i odłożył je na bok.

— Później przeczytam dokładniej. Nie mogę dać panu odpowiedzi od razu, bo spodziewam się jeszcze innych zgłoszeń.

— Oczywiście. — David był jednak dziwnie przekonany, że innych kandydatów nie będzie.

— A jeżeli zdecyduję się na pana, to gdzie mogę pana znaleźć?

— Mieszkam niedaleko stąd. Mogę przyjść jutro rano.

— Świetnie. — Ramiro podał mu rękę.

— W takim razie do jutra - pożegnał się David. Uścisnął dłoń Ramira i wyszedł. Gazetę niby przypadkiem zostawił na biurku, na wypadek gdyby Ramiro miał ochotę przeczy-

tać ogłoszenie jeszcze raz. Literówka w numerze była ukryta pod grubą kreską atramentu.

Kilkanaście ulic dalej pewna nieszczęsna kobieta odprawiała z kwitkiem ósmego kandydata na anonsowane w gazecie stanowisko pomocnika fotografa.

Następnego ranka David zjadł porządne śniadanie i wypił kilka filiżanek kawy, po czym stawiał się w studiu.

- Hmm. — Ramiro uniósł głowę znad retuszowanego właśnie zdjęcia i spod sterty negatywów wyłowił kopertę Davida. - Przeczytałem pana referencje i muszę powiedzieć, że zrobiły na mnie wrażenie. Kiedy może pan zacząć?

Trzeba oddać Ramirowi sprawiedliwość: nie skłamał, że na stanowisko zgłosił się ktokolwiek inny. David mimo woli poczuł sympatię do nowego szefa.

- Choćby teraz.

- Świetnie. Proszę przysunąć sobie krzesło. Pokażę panu, jak się retuszuje zdjęcia.

Na przerwie obiadowej David wpadł do gazety zawiadomić o swoim odejściu. Redaktor oświadczył, że ponieważ wywinął im taki numer, rzucając pracę bez zapowiedzi, może zapomnieć o ostatnim czeku. Chłopak wyszedł z redakcji, pogwizdując arię z *Carmen*. Nie był ani trochę zmartwiony; równowartość tygodniowej wypłaty to niewielka cena za szansę zbliżenia się do Hildy. Przez ostatnich dziesięć lat oglądał ją tylko przez witrynę zakładu w drodze do pracy. Nie miał pojęcia, jak ją podejść, dopóki los nie podsunął mu rozwiązania na skrawku papieru.

Po południu do studia przyszła Hilda. Nie dała po sobie poznać, czy go rozpoznała; przewierciła go tylko spojrzeniem matowych, lekko zaczerwienionych oczu. David skinął

głową w jej stronę i starał się specjalnie nie martwić jej brakiem zainteresowania.

Zdjęła płaszcz i powiesiła go na haku. Potem zniknęła w drzwiach prowadzących na zaplecze. Zostawiła za sobą tylko zapach lilii i jakiegoś innego kwiatu, którego David nie potrafił zidentyfikować. Cierpiąc z miłości, z powrotem pochylił się nad żmudnym retuszowaniem zdjęć.

ROZDZIAŁ 14

Pomocnik

David się przykładał. Przychodził do pracy wcześniej i do późna pracował nad realizacją zamówień. Szef odpłacił mu zaufaniem i nauczył go nawet obsługiwać aparat - wcześniej tylko on i Hilda zbliżali się do wielkiego, skomplikowanego urządzenia. David coraz lepiej poznawał Ramira, który okazał się miłkłym człowiekiem, cierpiącym na napady melancholii. Niekiedy wyjmował z kieszeni zdjęcie i wpatrywał się w nie z ponurą miną. David kilka razy zaskoczył szefa w takiej sytuacji; wówczas starszy mężczyzna mrugał zdezorientowany, jakby obudził się z długiego snu, a w oczach miał smutek.

Ilekcio Hilda zauważała, że mąż jest szczególnie przygnębiony, łajała go z taką energią, że nawet David czuł się obsztorcowany. Ani razu nie widział, żeby okazywała Rami-rowi współczucie w tych chwilach. Było jasne jak słońce, że w grę wchodzi inna kobieta, jeszcze zanim Ramiro poprosił swojego pomocnika o nadanie pierwszego listu.

— Była długa kolejka. Nie mogłem tyle czekać — powiedział Ramiro i wręczył mu kopertę.

David schował do kieszeni list i pieniądze, czując się jak najgorszy zdrajca. Na poczcie zrozumiał, że zbyt mocno

kocha Hildę, aby zachować się w stosunku do niej nielojalnie. Włożył do czystej koperty kilka pustych formularzy pocztowych, przepisał z listu Ramira adres i wysłał kopertę z formularzami do Polski. Potem wrócił do pracy i położył na biurku szefa potwierdzenie nadania. Nie potrafił spojrzeć mu w twarz, podczas gdy list, wydawałoby się, parzy go w kieszeni. Tej samej nocy zamknął się w sypialni na klucz, mimo że mieszkał sam. Zasuwał zasłony i wyjął list. Trząśnięty całym z poczucia winy, że miesza się w nie swoje sprawy. Był na siebie zły, że nie potrafi opanować wyrzutów sumienia. W końcu ukrył list w szufladzie na skarpetki. Miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał go oglądać.

W grudniu do studia ciągnął nieprzerwany sznur klientów. Ramiro nauczył Davida wymieniać tło do zdjęć: choinkę zmieniać na bałwana, a renifera na menorę - pomimo niechęci Hildy do Żydów. Nie zamierzał odprawiać ludzi z kwitkiem tylko dlatego, że jego żona jest antysemitką. Trzeba jednak oddać jej sprawiedliwość, że swoje antysemityczne zapatrywania ujawniła dopiero wtedy, gdy Ramiro nieomal porzucił ją dla Żydówki. Od tamtego popołudnia, kiedy Hilda nakryła go na pakowaniu skrzynki, na ich stole co najmniej trzy razy w tygodniu pojawiała się wieprzowina, a na śniadanie regularnie serwowano jajka na bekonie.

Ramiro starał się nie zwracać uwagi na humory żony. Skoncentrował się na przyuczaniu Davida do zawodu. Pokazywał, jak ustawiać panny młode, prezentując ich lepszy profil, jak instruować starsze damy, żeby pochylały głowę i chowały podwójne podbródki, jak kamuflować zmarszczki nieostrym obiektywem, a nadwagę - umiejętną grą cieni. David był pilnym uczniem. A jednocześnie stale szukał

wzrokiem Hildy i nadstawiał uszu na dźwięk jej głosu czy stukających obcasów. Niewiele było mu trzeba. Czasem wystarczała świadomość, że oboje oddychają tym samym powietrzem.

Pewnego razu, kiedy Ramiro wyszedł na partyjkę domina, a Hilda ciągle jeszcze pracowała w ciemni, David podkraść się do wieszaka. Wciągnął w nozdrza zapach kołnierza jej płaszcza, a potem, w niepowstrzymanym przyplywie namiętności, wtulił się w płaszcz. Tego wieczoru po zamknięciu studia poszedł do domu, nie posiadając się z euforii.

Tymczasem Ramiro umierał z niepokoju. Co rano studiował gazetę w poszukiwaniu nowych wieści o pogrążonej w wojnie Europie — nie zdawał sobie sprawy, że jego żona robiła to samo, gdy on był w Hiszpanii. Do tej pory nie doczekał się odpowiedzi na żaden z listów. Wyciął z czasopisma mapę Polski pokazującą przemieszczanie się niemieckich dywizji pancernych i wkleił ją do zeszytu. Tak jakby dzięki temu mógł ochronić przed czymkolwiek Leę.

Gazeta stała się nieodłączną częścią jego śniadaniowego rytuału. Gdy czytał, poranny wietrzyk wydymał zasłony w oknach, a filiżanka zostawiała na marginesach szlaczek okręgów. Kuchnię wypełniał zapach mocnej kawy i farby drukarskiej, a także aromat piekącej się wieprzowiny ze śliwkami i potraw bulgoczących na kuchni. Ramiro studiował artykuły o działaniach wojennych, a następnie notował w zeszycie, czego się dowiedział. Często sprawdzał coś w książkach historycznych wypożyczonych z biblioteki. Usiłował zrozumieć, jak to możliwe, że jakiś szalenciec krok po kroku nieubłagane zajmuje cały kontynent.

Gdy Ramiro był w Hiszpanii, Führer postanowił przetransportować ludzi z Anglii, żeby zagłosowali za anszlu-sem. Przewiózł ich zresztą statkiem Wilhelm Gustloff, tym samym, który Ramiro widział w Marsylii podczas załadunku francuskiego wina. W wyniku sterowanego przez Fürhera plebiscytu Austria została przyłączona do Niemiec. Ramiro nie całkiem rozumiał, dlaczego Hitler czuje taką potrzebę robienia demokratycznej szopki, skoro w tym samym czasie jego Legion Kondor pustoszył Hiszpanię zupełnie bezprawnie. Zeby więc przeniknąć tajemnicę mózgu Führera, od hiszpańskiego księgarza kupił egzemplarz *Mein Kampf* i całe godziny spędzał na czytaniu.

Co gorsza, jednym z najpotężniejszych ludzi w kraju Hitler uczynił byłego hodowcę kurczaków Heinricha Himmlera, który wykorzystując swoje drobiarskie doświadczenie i osiągnięcia w dziedzinie eugeniki, zapragnął stworzyć rasę aryjskich nadludzi. To on bezpośrednio odpowiadał za Holokaust. W miarę jak jego wpływy rosły, zlecił lekarzom opracowanie maksymalnie wydajnego narzędzia do zarządzania rasą, a potem wytypowanie kandydatów do sterylizacji i eutanazji. Kiedy Ramiro przeczytał, że impulsy do diabelskiego planu tego człowieka pochodziły z dokonań amerykańskiej nauki, mało nie spadł z krzesła. Okazało się, że Himmler wiele rozwiązań dotyczących inżynierii rasowej zaczerpnął z idei eugeniki, którą do Niemiec przywieźli amerykańscy aktywiści.

Uruchomienie programu eugenicznego w Niemczech sfinansowała Fundacja Rockefellera, powszechnie uważano bowiem, że lepiej powstrzymać falę imigrantów u źródła niż pozwolić im na przyjazd do USA i ryzykować, że przecisną się przez sito kontroli granicznej. Amerykańcy eugenicy

byli zadowoleni, że nareszcie ktoś wcielił w życie ich wieloletnie badania. Fundacja Rockefellera wspierała finansowo niemieckich lekarzy aż do samego wybuchu drugiej wojny światowej, chociaż wszyscy zdawali sobie sprawę, że propagowana przez nich eugenika zakłada mordowanie pacjentów szpitali psychiatrycznych.

Himmler miał mocne wsparcie Amerykanów, mógł więc z całym zaangażowaniem oddać się misji oczyszczenia niemieckiego społeczeństwa, a w dalszej perspektywie reszty Europy, z ludzi psychicznie ułomnych i w ogóle - „nieprzystosowanych”.

Hitler powiedział: „Z wielkim zainteresowaniem zgłębiałem obowiązujące w kilku amerykańskich stanach prawa zapobiegające rozmnażaniu się ludzi, których potomstwo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie przedstawiałoby wartości dla rasy albo byłoby wręcz szkodliwe”.

Ramiro nie był pewien, czy dobrze zrozumiał, dlatego znowu wybrał się do biblioteki i dopóty męczył pracującą tam panią, dopóki nie wręczyła mu fiszki z adnotacją: „Galton, sir Francis; Nauka; »Kryzys puli genów«”. Niemal wyrwał jej fiszkę z dłoni i pobiegł do zaprzyjaźnionej księgarni, gdzie zamówił wszystkie dostępne materiały na interesujący go temat. Kiedy dostał książki, zamknął się w gabinecie i pochłonął lektury za jednym zamachem.

Dowiedział się, że według eugeników pula genów ludzkiej rasy szybko się degeneruje, ponieważ najlepsi ludzie rozmnażają się bez porównania wolniej niż gorsi. Do tej drugiej kategorii mieli należeć imigranci, degeneraci, nieprzystosowani społecznie, niedorozwinięci i Żydzi. W początkach dwudziestego wieku Amerykanie zaczęli się mocno niepokoić intensywnym napływem do USA biedaków,

którzy uciekali z Europy za chlebem. Amerykanie, choć sami byli dziećmi imigrantów, uważali nowo przybyłych za „niebezpieczne szkodniki”, „falę ignorancji i społecznego zanieczyszczenia”, która miała niechybnie doprowadzić do „degeneracji ludzkiej rasy”.

Zeby powstrzymać tę rzekomą katastrofę, eugenicy połączyli siły z prawnikami antyimigracyjnymi. Opracowano plan wyławiania upośledzonych umysłowo i umieszczania ich w szpitalach, gdzie albo by się ich izolowało, albo sterylizowało. Theodore Roosevelt zajął stanowisko w tej sprawie, pisząc, że „w interesie społeczeństwa nie leży przyzwalanie na dalszy rozród degeneratów”*.

W końcu Amerykanie przedstawili swoją koncepcję w Niemczech. Ich pomysł spotkał się z gorącym przyjęciem i już w latach trzydziestych wprowadzono tam politykę walki z niepełnosprawnością, podobną do kroków przedsięwziętych w USA na przełomie wieków. Następnie przyszła kolejna eliminację z Europy Żydów. Potem Himmler stawiał sobie za cel „wytępić, wypędzić Polaków albo uczynić z nich niewolników”.

W jednym ze swoich przemówień Hitler zapowiedział, że „Polacy znikną”, Polska zostanie zmieciona z mapy, a za nie więcej niż piętnaście lat „Polska pod niemiecką okupacją zostanie w zupełności oczyszczona z etnicznych Polaków, gdyż tylko w ten sposób Niemcy uzyskają potrzebną przestrzeń życiową”.

- Nie! - jęknął Ramiro - to niemożliwe. - Ukrył twarz w dłoniach i załkał jak dziecko.

***Przełożyła Hanna Jankowska. (Lista źródeł tłumaczeń znajduje się na końcu książki).**

ROZDZIAŁ 15

Pat

Europa spływała krwią, ale Hilda nie potrafiła zmiękczyć swojego serca na tyle, żeby współczuć mężowi. On szalał z rozpacz, a ona jakby nie przyjmowała do wiadomości strasznego losu cywilów na Starym Kontynencie. Gdy pod-tykał jej pod nos gazetę, odwracała wzrok.

- Daj spokój - mawiała i machała lekceważąco ręką. - Dosyć się naczytałam, kiedy byłeś w Hiszpanii. Tak to już jest na wojnie.

- Ale teraz jest dziesięć razy gorzej. We wschodniej Europie Niemcy budują obozy zagłady.

Nie uszło uwagi Hildy, że nie powiedział „w Polsce”.

-To co zamierzasz, Ramiro? Na tę wojnę też chcesz się zgłosić? Proszę bardzo. Jesteś już przecież spakowany. - Zauważyła, że wzdrygał się na samą wzmiankę o wyprawie do Europy. Najwyraźniej już dosyć się nawalczył.

- Nie masz serca. — Złożył gazetę na pół.

„Nie mam serca, tak?”, prychnęła w duchu i wyszła z domu. Była sparaliżowana strachem. Cały jej świat wisiał na włosku i lada chwila mógł runąć w przepaść. Ramiro co prawda usunął się w cień niedługo po powrocie z Euro-

py, ale skrzynka leżała nierozpakowana i tylko czekała, aż skończy się wojna. Hilda wiedziała, że wtedy jej mąż odejdzie. Po przyjeździe do studia od razu zamykał się w biurze i czytał te swoje książki. W niedzielę Hilda musiała go wołami ciągać w odwiedziny do dzieci. Zmuszała go, żeby posadził sobie młodszego syna na kolanie, a ze starszym choć trochę porozmawiał. Ramiro nie wykazywał najmniejszego zainteresowania dziećmi, ale jego żona stawała na głowie, żeby zbudować między nimi choć minimalną więź.

Chłopcy czekali, aż coś powie, on jednak patrzył na nich skonsternowany, zastanawiając się, skąd się właściwie wzięli. Wkrótce zaczął pracować w studiu również w niedziele, żeby mieć wymówkę od wizyt u synów. Okazało się, że przynosi to zyski. Klienci i tak ubierali się odświętnie, żeby pójść do kościoła, czemu więc nie mieliby wstąpić do atelier po drugiej stronie ulicy. Hilda straciła argumenty.

Jej głównym motorem było zawsze dążenie do realizacji życiowego planu. Nie mogła teraz stracić tego, na co tak długo pracowała. Przepaść dzieliła ją od tamtej żalosnej dziewczynki, która piętnaście lat wcześniej zeszła na ląd w Veracruz - bez grosza przy duszy, za to pełna nadziei. Zdawała sobie sprawę, że świetnie poradziłaby sobie z interesem sama, ale jej kraj nie dorósł jeszcze do oddania kobietom, co im należy. Meksykanki nic wówczas nie znaczyły bez ochrony męża albo ojca. Hilda nie mogła sobie pozwolić na życie z piętnem rozwodu. Zawsze była przykładną żoną: w zasadzie własnymi rękami zdobyła rodzinny majątek, a ponadto dała Ramirowi dwóch synów, dzięki którym linia nie wygaśnie. Jego ustawiczny smutek odbierała jako przejaw niewdzięczności.

Gdyby nie należała na założenie własnego interesu, on pewnie nadal polerowałby srebra. Hilda wyobraziła sobie

siebie jako podstarzałą pokojówkę, która zmienia przesiąkniętą spermą pościel na plugawych materacach. Wzdrygnęła się. Przecież Ramiro na pewno nie chciał takiego życia. Ale ona miała ambicję, tymczasem on unosił się z prądem. Kiedy oddzielała przeszłość grubą kreską, oskarżał ją o snobizm. Czyżby chciał mieć za żonę pasterkę? Barmankę? Handlarkę rybami? Miała być równie uległa jak jego panienki? Urabiała sobie ręce po łokcie i przyzwała mężowi na libertyński tryb życia, bo ich potrzeby się różniły. W dodatku przymknęła oko na jego wyjazd na bezsensowną wojnę. Chciał dowieść w ten sposób swojej męskości - proszę bardzo. Ale basta. Więcej nie może mu dać, bo musiałaby zrezygnować z tego, co dla niej najważniejsze.

Wojna to zwykła męska szarpanina o władzę, ziemię i bogactwa lub rewanż za zranione ego. Mężczyźni chcą być bohaterami, choć o wiele bardziej prawdopodobne jest to, że stracą życie, a w najlepszym wypadku zdrowie — w imię cudzej sprawy.

A co mają zrobić kobiety, które zostają w domach i zamartwiają się na śmierć? Czy ktoś je w ogóle zapytał, co sądzą o wojnie? Przecież niezależnie od strony barykady to one zostaną bez mężów, synów, braci, ojców. Co to za pocieszenie, że trumnę spowija flaga? W najlepszym razie do domu wróci wrak człowieka. Bo nawet jeśli wracają, to zawsze pokiereszowani.

Naziści wprowadzali terror wszędzie, gdzie się pojawili. Ludzi, którzy nie pasowali do ich ideału rasy, zamykali w gettach. W roku 1939 rozpoczęli akcję „T4”, która do ostateczności doprowadzała zasady eugeniki wypracowane w Kalifornii trzydzieści lat wcześniej. Ów „program zabijania chorych psy-

chicznie i innych nieuleczalnie chorych [...] miał się stać ścieżką ku nadchodzącemu programowi eksterminacji na wielką skalę". Rozpoczęto czystki wśród pacjentów szpitali psychiatrycznych. Przez pierwsze dwa lata wojny do ośrodków eutanazji wysłano ponad 500 000 osób, w tym dzieci. Kolejnych 300 000 poddano przymusowej sterylizacji. Dla porównania, w Stanach Zjednoczonych, kolebce programu, przed wojną wysterylizowano 60 000 pacjentów.

Podczas gdy amerykańscy eugenicy, jak to określił Leon Whitney, „robili uniki\"", „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej” zakładało wymordowanie wszystkich Żydów w Europie.

Kiedy wojna się skończyła, Ramiro był zupełnie przybity. Ostatkiem sił napisał do Lei pilny list i wysłał go osobiście. Nie zdawał sobie sprawy, że Hitler w akcie ostatecznego okrucieństwa niszczył kraj, którego nie był w stanie utrzymać. Ramiro czekał tydzień, miesiąc, rok. W końcu w głębi duszy pożegnał się z nadzieją. Tymczasem Europa Wschodnia dostała się pod panowanie Sowieci.

Co miał robić? Jechać tam mimo wszystko? Był co prawda spakowany i gotowy do wypłynięcia w każdej chwili, ale nie wiedział, co tam zastanie. Czy ktokolwiek na niego czeka? Musiałby postawić wszystko na jedną kartę, a podróż być może odbyć na darmo. Chybaby nie przeżył, gdyby się okazało, że Lea zginęła w obozie.

- Tylko nie to - szeptał. - Wszystko, tylko nie to.

Kiedy napomknął żonie, że chciałby pojechać do Hiszpanii, by odszukać zaginioną w wojennej zawierusze rodzinę, ta tylko prychnęła. Nie dała się wywieść w pole.

***Przełożył Przemysław Bandel.**

****Przełożyła Hanna Jankowska.**

— Jeżeli pojedziesz, to nie masz po co wracać. — Spojrzała na niego stanowczo.

Doskonale wiedziała, że mąż wyjedzie, tylko jeżeli będzie miał pewność, iż ma do kogo wracać.

Ramiro nie przyznałby się nikomu, a zwłaszcza sobie, że kiedy Hilda podjęła decyzję za niego, ciężar spadł mu z serca. Łatwiej jest bowiem zrezygnować z marzeń, niż walczyć o ich urzeczywistnienie.

Nie oszukiwał się, że Lea na niego czeka. Minęło zbyt dużo czasu. Bał się dowiedzieć, że zginęła na wojnie. Męczyła go niepewność. Wmawiał sobie, że w jakiś cudowny sposób uciekła z koszmaru getta i przedostała się do Palestyny, tak jak garstka szczęśliwców. Miał pełną świadomość, że jest tchórzem, który lęka się spojrzeć prawdzie w oczy, zbyt słabym, by walczyć o ukochaną kobietę. Westchnął i zepchnął marzenia w sam kąt świadomości. Postanowił nigdy do nich nie wracać. Lepiej trzymać się żywych, nawet jeśli oznacza to trwanie w nieudanym małżeństwie.

David ze smutkiem obserwował dramat swoich pracodawców. Wiele lat temu doszedł do wniosku, że jeżeli ma się ożenić, to tylko z Hildą. Wciąż czekał, aż wreszcie jego ukochana zdecyduje się zostawić męża. O dziwo jednak została przy Ramirze pomimo piekiełka, jakie sobie urządzali. David był więc skazany na oglądanie nieszczęścia Montal-vów. Martwił się o Hildę, chociaż matka powtarzała mu wiele razy, iż dolą żony jest cierpieć przy mężu.

Ale skoro instytucja małżeństwa została zaprojektowana tak, żeby korzystał z niej tylko mężczyzna, to czemu Ramiro był taki przybity? David „zapomniał” wysłać kolejne dwa listy do Polski, a gdy szef przestał go o to prosić, uznał sprawę

tamtej kobiety za zamkniętą. Całe lata Ramiro żył nadzieją. Teraz jednak świat podzielił nowy, tragiczny w skutkach układ polityczny, a Ramiro pograżył się w rozpacz.

Widząc depresję pracodawcy, David miał ochotę przypomnieć mu, że niespełnioną miłość najlepiej ukoić miłością płatną — i nieskomplikowaną. Znał pewne dyskretne miejsce z dala od pułapek na turystów, które odwiedzał, ilekroć tęsknota za Hildą doprowadzała go na skraj obłądu. Tam mógł ograniczyć się do fizycznego wymiaru zbliżenia i nadać swojej partnerce dowolną twarz i dowolne imię. W miłosnym apogeum często wzywał Hildę. Po wszystkim przelotna kochanka całowała go w skroń, a jego serce pozostawało nietknięte.

Czasami David odwiedzał przybytek miłości tylko po to, żeby się wygadać. Wzbierała w nim taka potrzeba opowiedzenia o nieszczęściu, że wypłakiwał się burdelmamie, która z macierzyńską troską opiekowała się jego złamanym sercem, odkąd zjawił się w Santa Juana.

— David, ale z ciebie łobuz — mawiała zwykle swoim chrypliwym głosem.

Była potężnie zbudowaną kobietą. Podobno kiedyś własnoręcznie obila szczękę swojemu kochankowi, po czym wyrzuciła go na ulicę. Pod osłoną nocy brutal zakradł się do jej pokoju, a gdy zobaczył, że śpi, ścisnął ją oburącz za szyję. Ona jednak była przyzwyczajona do męskiej przemocy i spała z przytwierdzonym do uda nożem. Ręce napastnika zaciskały się coraz bardziej. Walczyli na śmierć i życie. Wtedy ona, cały czas na bezdechu, sięgnęła po sztylet i wbiła go mężczyźnie prosto w brzuch. Jak mówiono, zawołała pomoc dopiero wtedy, gdy wykrwawił się na jej łóżku na śmierć.

Po tym wszystkim poprzysięgła sobie, że już nigdy nikogo nie pokocha. Jej serce zmieniło się w kamień. Stwier-

dziła, że nie będzie dawać za darmo tego, z czego może czerpać profity. Później sytuacja trochę się zmieniła, zdobyła wiernych klientów i założyła własny dom uciech - spokojną przystań dla złamanych serc, takich jak serce Davida.

- Zona szefa? Niezłe z ciebie ladaco — śmiała się. — To świetna kobieta. Zrobiła mi portret, kiedy jej mąż był w Hiszpanii. Tak swoją drogą, bez obrazy, ale zmarnowałeś wtedy świetną szansę. - Rechet trzęsący potężną piersią szybko przerodził się w atak kaszlu.

David patrzył w milczeniu. Pokój był bogato umeblowany, a jego właścicielka - skropiona francuskimi perfumami, ale wciąż widać po niej było tamtą prostą dziewczynę z saloonu, cuchnącą tytoniem i alkoholem. To spostrzeżenie David zatrzymał dla siebie. Byli ze sobą naprawdę mocno związani. Należał do niewielkiego grona mężczyzn, którzy znali ją od lat trzydziestych, kiedy to dzięki prohibicji w Santa Juana kwitła prostytutka. Z tego, co zapamiętał, odznaczała się nienasyconym apetytem. Jedna noc z nią w zupełności mu wystarczyła. Ale kiedy zakończył romans, nie zrobiła sceny. Zamiast tego została jego przyjaciółką, zadowolona, że ktoś przychodzi do niej po prostu porozmawiać.

W latach trzydziestych była przez chwilę jedną z pańienek Ramira. David nie wiedział, że interes sfinansowała dzięki wianu, jakie dostała od Hildy. Kiedy tylko położyła rękę na pieniądzech, wysłała narzeczonego, gdzie pieprz rośnie, i założyła swój pierwszy przybytek. Pańienki szkolila osobiście. I jakoś się potoczyło.

- Co robić? - zapytał David.

- Wcale nie chcesz mojej rady. Poza tym, już ci powiedziałam.

Uniósł twarz.

— Naprawdę?

— Mężczyźni naprawdę nie potrafią słuchać - udała oburzenie. Spojrzała na niego czule i cierpliwie, jak matka patrząca na ulubionego syna. — Ta kobieta nigdy nie zdradzi męża. Liczą się dla niej tylko praca i pieniądze. Dziwię się, że w ogóle znalazła czas, żeby zająć w ciążę. — Otaksowała Davida wzrokiem. — Nie jest w twoim typie. Ona nie zna słowa „seks”. Szybko byś się przekonał, jaka jest zimna, tak samo, jak przekonał się jej mąż.

— Może właśnie dlatego tak mi się podoba. Jest jak królowa. Prawie nieosiągalna.

Z gardła kobiety wydobył się ochryply charkot. Dopiero po chwili David zorientował się, że to śmiech.

— „Prawie” znaczy bardzo wiele. Ona jest nieosiągalna. I kropka.

David rzucił jej spojrzenie z ukosa, ale nic nie powiedział.

— Oszukuj się dalej, to twoja sprawa. - Zapaliła papierosa. — Powiedziałeś jej, co do niej czujesz?

David aż podskoczył.

— Nigdy w życiu nie nadużyłbym zaufania jej męża.

— Dlaczego? On zdradza ją na prawo i lewo. Dałbyś jej szansę odwetu.

— To dobry człowiek.

— David. - Zbeształa go, jakby był małym chłopcem. - W głębi duszy wszyscy mężczyźni są dobrzy. To kobiety dokonują złych wyborów.

Na starość, kiedy życiowe doświadczenie nauczyło go rozsądku, David zdał sobie sprawę, że przegrał tę rozgrywkę na własną prośbę. Miał w rękawie asa, ale nie wyłożył go na

stół, bo lęk przed odrzuceniem okazał się większy niż miłość. Wmawiał sobie, że tak każe mu honor, gdy w rzeczywistości powodowało nim przerażenie. Dopiero jako człowiek mądry i sędziwy zrozumiał, że miał wówczas u dumnej Hildy jakąś szansę, niewielką, ale jednak.

Owszem, Hilda była zakochana - w życiu, które sobie wymyśliła. Ale można przypuszczać, że chętnie uciekłaby z tragedii swojego małżeństwa.

A Ramiro? Ucałowałby swojego wybawiciela w oba policzki i w podskokach popędził szukać szczęścia u boku kobiety, którą kochał. To wszystko jednak - jak to zwykle bywa - David uświadomił sobie zbyt późno. Życie ludzkie kształtują bowiem nie tylko decyzje, lecz także okazy, które przechodzą nam koło nosa.

ROZDZIAŁ 16

Opus Ramira

W ciągu dwudziestu lat od przybycia do Meksyku Hilda stała się ważną osobistością w miasteczku. Miała wpływ na rozmaite decyzje, na przykład w którym miejscu powstanie pomnik lub co zbudować za pieniądze podatników: nowy szpital czy raczej teatr. Pracowała jak w kieracie, żeby umocnić prestiż swojej rodziny, tymczasem nieustannie podпиты Ramiro przepędzał swoje życie nad kostkami domina. Kiedy żona zasugerowała, że korzystnie byłoby, gdyby i on zaangażował się w lokalną politykę, parsknął śmiechem. Nie przebierając w słowach, oświadczył, że nie zamierza jej pomagać po tym, jak zamknęła mu drogę do szczęścia.

- Jesteś, a jakby cię nie było. Tak dalej być nie może! - wykrzyknęła.
- Trzeba było się dwa razy zastanowić, zanim mnie tu uziemiłaś.
- Chyba już jej nie kochasz? - Z goryczą spostrzegła, że on uparcie tkwi przy swoich złudzeniach.
- Hildo, nie masz pojęcia, jak za nią tęsknię. Każdego dnia załuję życia, które mi zabrałaś.

Otworzyła usta, ale nie była w stanie nic wykrztusić. Po raz pierwszy przez te wszystkie lata zadała sobie pytanie, czy mądrze postąpiła. Tajemnica, którą chowała głęboko w sercu, zaczęła ją nieznośnie palić. Ścisnęło ją w żołądku. Gdyby tylko Ramiro wiedział, z pewnością by ją zabił.

- Jedź. - Ją samą zdziwiły te słowa. - Sprzedamy jeden z domów. Możesz wziąć wszystkie pieniądze, które za niego dostaniemy.

Przyjrzał się jej zimno.

- Ile mamy domów?

- Nie wiem, osiem, dziewięć.

Wzdrygnęła się pod jego pogardliwym spojrzeniem.

- Aż trudno w to uwierzyć. Nie tylko zabrałaś mi szczęście, ale chcesz mnie też okraść?

- Ramiro.

- Co takiego? Chcesz, żebym zniknął, bo jestem ci kulą u nogi?

- Nie to miałam na myśli.

- Po tym wszystkim, co przeciwko mnie ukułaś, teraz nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- Masz syn...

- Przestań - znowu jej przerwał - szantażować mnie synami. Nagromadziłaś tyle majątku i nieruchomości, że przez całe życie tego nie wydadzą. Nie kiwnęli palcem, żeby na siebie zapracować, i to ich zgubi.

- Bredzisz.

Hilda już zaczęła sobą gardzić, że w chwili słabości nieomal zniszczyła wszystko, co ma.

Nie była w stanie naprawić zrujnowanego małżeństwa, ale czuła palącą potrzebę odbycia pokuty. Zaangażowała się

więc w kampanię na rzecz poprawy fatalnego wizerunku Santa Juana. W miasteczku bogaciło się wielu, ale większość uciekała zaraz po zбиciu majątku. Ci, którzy zostawali, stawiali sobie za cel nadanie temu miejscu przynajmniej pozorów dostojności. Wielki Kryzys się skończył, podobnie jak wojna. Trzeba było zmienić obraz Santa Juana jako gniazda rozpusty, dokąd żołnierze i typy spod ciemnej gwiazdy przyjeżdżali pić na umór i chodzić na dziwki.

Odbierała to w pewnym sensie jako zemstę losu. Całe życie harowała, żeby zgromadzić majątek i zakamuflować swoją przeszłość, tymczasem utknęła w miasteczku pełnym ulicznic. Hilda była jednak uosobieniem uporu. Ofiarowała pieniądze i trochę ziemi pod sierociniec dla porzuconych, bezdomnych dzieci prostytutek. Chciała, by miały przynajmniej dwa ciepłe posiłki dziennie oraz łóżko i nie musiały całe dni żebrać o parę drobniaków, a potem nocować na chodniku. Jeśli szczęście dopisze, może potem uda się pomóc ich matkom.

Wkrótce jednak sierociniec przejęły we władanie prostytutki. Kiedy tylko matki marnotrawne zorientowały się, że ich dzieci mają coś na kształt domu, nagle przypomniały sobie o prawach rodzicielskich. Dzieci z pierwszego sierocińca w Santa Juana znowu wylądowały na ulicy. Hilda postanowiła osobiście zbadać, co się dzieje.

Ramiro był zbyt pijany, by prowadzić, na miejsce zawiózł ją więc David. Kiedy ujrzała, w jakim stanie znajduje się sierociniec, miała ochotę płakać, ale tylko przygryzła wargę. Matki przekształciły trzypiętrowy budynek w największy burdel w mieście. A dzieci musiały płacić, żeby spać we własnym łóżku.

- Mści się na mnie przeszłość - wymamrotała tak cicho, że David nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

— Zawieźć panią na policję?

- Przecież te ladacznice policję mają w kieszeni.
- Ale to pani budynek. Na pani ziemi. Na pewno może pani pociągnąć za odpowiednie sznurki.

- Wolałabym, żeby wszystko spaliło się do gołej ziemi.

Nie zamierzała płacić za bezceństwo, jakie się tam odbywały, więc anulowała dostawy miejskich mediów. prostytutki nie dały się jednak łatwo zniechęcić: czerpały wodę wiadrami z pobliskiej studni, stawiały koło łóżek lampki naftowe i dalej robiły swoje.

I wtedy, jak gdyby za sprawą kłatwy Hildy, pewnego wieczoru pijany klient, wstając chwiejnym krokiem z łóżka, przewrócił lampkę i rozlał naftę. Usłyszawszy za sobą wrzask, odwrócił się — jego partnerkę spowijały płomienie. Potem w osłupieniu patrzył, jak moskitiera na łóżku obok pali się niczym zapalka. Leżąca tam para zaczęła gorączkowo machać rękami, żeby ugasić pożar. Mężczyznę otrzeźwił dopiero wybuch lampy. Wskoczył przez okno prosto na chodnik. Nagły dopływ tlenu rozniósł ogień po całej sali.

Oczy piekły go z gorąca, a w nos buchał odór palonych włosów. Krzyk ludzi uwięzionych na piętrach rozsadał uszy. Z okien wyskakiwali półnaczy mężczyźni, machając rozpaczliwie ramionami niczym ogniste ptaki. Niektórzy tarzali się po ziemi, żeby ugasić płomienie na ciele, innych tak pokieroszował upadek, że dogorywali na chodniku. Mężczyzna przestraszył się, że ktoś może chcieć go przesłuchać, dlatego odwrócił się na pięcie i uciekł.

Z łóżka wyciągnęło Hildę walenie w drzwi. W biegu narzuciła płaszcz na koszulę nocną. Do sierocińca zawiózł ją David. W osłupieniu przyglądała się buchającym z okien płomieniom.

- Dzieci - wyszeptała i rzuciła się w stronę budynku.

David zatrzymał ją, ściskając mocno za ramię, inaczej pewnie wbiegłaby w ogień. Hilda przywarła do niego i dzikim wzrokiem obserwowała załamujące się od wysokiej temperatury ściany. Stali tak blisko pożaru, że zwęgliła sobie rzęsy, a włosy fruwały jej na wszystkie strony.

— Dzieci... Co ja zrobiłam?

Wstrząsnął nią szloch. David przytulił ją do piersi. Po raz pierwszy odważył się dotknąć jej włosów, skóry, łez. Szukał jej zapachu, ale czuł tylko wszechogarniający żar. Potem odsunął ją od siebie i wskazał na coś palcem.

— Proszę zobaczyć.

Walce strażaków z ogniem przyglądało się kilkoro małych dzieci. Hilda podbiegła do nich, opadła na kolana i złapała małego chłopca. On popatrzył na nią przerażony.

— Gdzie byłeś? - zapytała.

Chłopczyk zerknął na bok, ale reszta dzieci zaczęła się ulatniać.

— Nie bój się. — David dotknął uspokajająco jego ramienia. - Możesz nam powiedzieć. Nikt cię nie ukarze.

Malec patrzył to na spoczywającą na jego ramieniu dużą rękę Davida, to na osmoloną twarz Hildy. Wyglądał jak przestraszone zwierzątko.

— Byłem na ulicy.

— Z innymi dziećmi? Skinął głową.

— Dzięki Bogu! - Hilda przycisnęła chłopca do siebie. Kiedy go puściła, czmychnął niczym gazela.

David pomógł jej wstać.

— Ubezpieczyła pani budynek?

— Oczywiście — rzuciła ponuro. — Wszystkie nieruchomości ubezpieczam.

— To wzbudzi podejrzenia. Hilda zadrżała.

— Trudno. To nie ja zaproszyłam ogień. Rzeczywiście, ludzie chcieli wiedzieć, co się dokładnie

stało, ale nie spełniły się obawy Davida - Hildy nie obciążono winą za odcięcie wody i prądu. Porządnych mieszkańców miasteczka interesowało przede wszystkim, dlaczego razem z budynkiem nie spłonęli wszyscy obecni w nim wykolejeńcy.

Tego roku Manolo ukończył seminarium i wyjechał na prestiżowy uniwersytet. Ramiro zjawił się na rozdaniu świadectw, ale na bankiet na cześć swojego syna i jego słabych ocen z teologii nie przyszedł, gdyż tego dnia miał ważny turniej w domino.

— Trzeba było wybrać inny dzień - powiedział żonie.

— Ty bydlaku — wysyczała. — Dobrze wiedziałeś, kiedy kończy szkołę, i specjalnie ustawiłeś sobie wtedy turniej.

— Hildo, nie przeklinaj. Nie wypada ci. -1 wyszedł. Z wściekłości aż się zagotowała.

Zeby skierować energię na coś innego niż krwawa zemsta na mężu, Hilda zaczęła trząść się nad swoim młodszym synem. Usiłowała go utuczyć, nakładając na jego talerz solidne porcje. Venancio był wysokim chłopcem o karnacji w odcieniu sepii, łagodnym i delikatnym w obejściu, jak przystało na głęboko wierzące osoby.

— Chciałbym wstąpić do zakonu - oznajmił któregoś dnia matce, pewien, że ją tym ucieszy.

— Nie ma mowy! - oświadczyła Hilda.

W obawie, że syn wpada w sieci kapłaństwa, czym prędzej wypisała go z seminarium, żeby uczył się zawodu w rodzinnym studiu. Jego potulność natychmiast zaczęła działać ojcu na nerwy.

David też nie trawił tego przymilnego chłopca, który zawsze zjawiał się tam, gdzie go nie proszono. Jego knowań i lizusostwa nie dostrzegala jedynie Hilda. Dawała mu pieniądze na wszystko, czego zapragnął: czy to książkę, którą chciał przeczytać, czy to wiszący w sklepowej witrynie płaszcz, czy to nowy kapelusz.

Ramiro przyglądał się wszystkiemu z boku.

- Prawdziwy Richelieu - zauważył.

- Rzeczywiście - zgodził się David.

Hilda udawała, że nie słyszy. Dalej robiła to, co ostatnio sprawiało jej największą przyjemność: chodziła po sklepach, a o odpowiedniej porze dnia jadła lunch w modnych miejscach.

- Chodź! — Venancio złapał matkę za rękę i odciągnął ją od drzwi restauracji, gdzie lubiła się stołować.

- Co ty wyprawiasz? Tam zwykle jem.

- Zrobimy sobie przegląd kuchni świata. Wczoraj jedliśmy tam paellę, dzisiaj spróbujemy czegoś włoskiego.

Hilda zgodziła się z gorliwością małej dziewczynki.

Przeszła doprawdy niezwykłą przemianę. David cieszył się jej szczęściem, ale jednocześnie martwił, że młodszy syn zupełnie owinał ją sobie dookoła palca. Zresztą Venancio odwzajemniał uczucia matki w stopniu, który trochę kon-sternował Davida. Chłopcy zwykle pragną upodobnić się do ojca, zwłaszcza jeśli jest on bohaterem zamorskiej wojny. Venancio jednak naśladował we wszystkim matkę. Nieco nieudolnie — Hilda była elegancka, on próżny; ona miała w sobie królewski pierwiastek, on jedynie afektację; ona była elokwentna, on akuraty.

Kiedy chłopak pracował w studiu, Ramiro zaszywał się w swoim gabinecie. Tam wyjmował stary notes i czytał za-

piski z czasów wojny, zupełnie jak gdyby mógł cofnąć czas, ucząc się ich na pamięć.

— Tyle ma pan tych notatek, powinien pan napisać książkę — zauważył David.

Jego szef pokręcił głową i zaczerwienił się.

— Tak pan myśli?

- Warto spróbować. - David znalazł filtry, po które przyszedł, i wyszedł z pokoju.

Następnego ranka Ramiro zjawił się w pracy ze stertą książek z biblioteki. Tego dnia narodził się w nim historyk.

- Widzi pan, Davidzie — wyjaśnił później. — Historyk pracuje jak detektyw. Przyjrzałem się faktom i okazało się, że jedna wojna wynika z drugiej.

- Spirala konfliktu, tak?

— I tak, i nie. — Ramiro usiadł wygodniej na krześle. — Jest pan jeszcze kawalerem, ale pozwolę sobie użyć pewnej metafory. Wojna przypomina małżeństwo. Kobieta i mężczyzna to różne kraje. Czasem nawet różne kontynenty! - Zachichotał. - Te kraje zawierają rozmaite układy i żyją w zgodzie.

— A czasem nie — odpowiedział David. Ramiro przytaknął.

- Tak zaczyna się wojna. Z początku nie jest to otwarty, zbrojny konflikt, ale przeciwnicy zdają sobie sprawę, że pokój wisi na włosku. Niekiedy udaje się uniknąć konfrontacji, ale niektóre kraje są pamiętliwe, zupełnie jak kobieta, która przy lada okazji wyciąga z przeszłości jakieś występki, minio że mężczyzna uwierzył w zawieszenie broni. Czasami ogłasza się powszechne przebaczenie i zawiera nawet układy pokojowe, lecz w gruncie rzeczy pozostają one bezużytecznymi dokumentami. Weźmy Hitlera. Zeby dopiąć swego,

złamał wszystkie pakt, które podpisał. - Pokręcił głową. - I tyranizował Europę przez ponad dziesięć lat. Wojny to wielkie akty zemsty. Proszę sobie przypomnieć krucjaty.

— Sięgamy aż tak daleko? Ramiro prychnął.

- Konflikt zaczął się wiele wieków temu. Kiedy walczyłem w Hiszpanii, Niemcy szukali świętego Graala. Najwyraźniej poszukiwania trwały całą drugą wojnę światową.

- Świętego Graala? - Jego szef chyba mówił od rzeczy.

— Wiem, że to niedorzeczne. Celowo zaburzam związek przyczynowo-skutkowy. Ale jeżeli pozwolimy sobie na odejście od sztywnej logiki, możemy powiązać wybuch drugiej wojny światowej choćby z krucjatami.

— Taka jest pana teza?

— Powinienem ją jeszcze przemyśleć... — Ramiro był zmieszany.

— Wydaje mi się fascynująca. — David cofnął się na krześle. - To naprawdę długie małżeństwo!

- Owszem.

David wyczuł, że jego pracodawca ma ochotę podrażnić temat.

- Jak pan wpadł na to połączenie?

- To nie mój pomysł, tylko kolegi z wojny w Hiszpanii. To on powiedział, że naziści szukają świętego Graala.

- To przecież nie ma sensu.

— Oczywiście, że nie! Chrystus był podobno biedakiem. U licha, przecież nawet nie pracował! Jako założyciel sekty żył na marginesie społeczeństwa. Jak więc mógł pić z wysadzanej rubinami czary? To kłóci się ze wszystkim, czego nauczał. Słusznie pan zauważył, że to niedorzeczne. Czysty absurd.

- Ale religia...

- Religia to jedno, a Bóg drugie. Chrystusa ogłoszono bogiem dopiero w czwartym wieku. Na soborze nicejskim ze względów politycznych obwołano go zbawcą, mesjaszem, czy jak go tam nazwali. Proszę się zastanowić. Ludzie bez grosza przy duszy zostawali żołnierzami albo kapłanami. Ale okazało się, że jak żołnierze walczyli w imię króla, tak kapłani zaczęli walczyć z królem. Święcenia nie pozbawiają człowieka ambicji. Wystarczy dobrze się przyjrzeć, a okazuje się, że religia to jedynie zabijanie w imię Boga. I tak doszliśmy do krucjat.

- Czyli zabijania w imię Boga.

- Między innymi.

Davidowi przyszło coś do głowy.

- To nie miało nic wspólnego ze świętym Graalem.

- Jeżeli myślimy o Graalu dosłownie, jak o przedmiocie, to nie. Prawdy jednak nie poznamy nigdy, bo po soborze nicejskim dokonano zmian w tekstach ewangelii. Ale nieważne. Chodzi o to, że stawka była zbyt duża. Kościół chciał dla siebie całej władzy i dlatego niszczył chrześcijańskie grupy religijne, w których upatrywał rywali.

- Przecież krzyżowcy walczyli z niewiernymi.

- Oczywiście, ale pozbyli się też katarów, czyli po staro-grecku „czystych”.

David zmarszczył czoło.

- Wiem, że to zawikłane, ale trzeba pamiętać, że katarowie byli chrześcijanami.

- A mimo to ich prześladowano?

- Tak, bo weszli w paradę Kościołowi. Wówczas władze duchowne starały się nagromadzić jak najwięcej bogactw. Potrzebowały siły militarnej moźnych, którzy chętnie oddawali im na usługi swoje wojska, ponieważ wiele mogli zyskać.

— Ziemia w zamian za monopol religijny. Jest pan pewien, że ci katarowie byli chrześcijanami?

Ramiro skinął głową.

— Pierwszą przyczyną każdego konfliktu zbrojnego jest pieniądz. Nieważne, czy chodzi o zajęcie pastwiska albo kradzież bydła jakiegoś plemienia, czy też o zniszczenie czyjejs własności. Clausewitz ujął to słowami: „Wojna jest niczym innym, jak dalszym ciągiem polityki przy użyciu innych środków”*. Nasi północni sąsiedzi dowiedli, że to samo dotyczy wystąpień przeciwko niepopularnej głowie państwa albo systemowi politycznemu. Im również przyświeca chęć zysku. Ideologię dorabiają historycy. Jak dziś wiemy, chrześcijaństwo na przestrzeni wieków zachowywało się dosyć agresywnie. Papieże mieli nawet własną milicję! Kościół utrwalił swoją władzę dzięki zabijaniu, kradzieży i podtrzymywaniu własnego mitu. Wszystko ze względów ekonomicznych. Chrześcijaństwo to największa mistyfikacja świata. Maupassant napisał, że „legendy o Bogu są najbardziej nędznymi wymysłami, najgłupszym wybiegiem przerażonego ludzkiego umysłu”**.

— Ale nauka Chrystusa...

— Świetnie maskuje zakulisowe machinacje.

— Przecież miliony chrześcijan nie mogą aż tak się mylić. Ramiro westchnął i zamknął notes.

— Ależ mogą. W naszym kraju ludzie stają się katolikami na mocy dekretu. Kler dwoi się i troi, żeby zatuszować swoje kłamstwa.

— Jeżeli napisze pan o tym w książce, stanie się pan wrogiem numer jeden.

*** Przekładł Franciszek Schoener.**

**** Przekładła Irena Wiczorkiewicz.**

Ramiro uniósł brwi. -Wiem.

- Ludzie nigdy panu nie wybaczą.

- Niesamowite, prawda? Teraz to bliźni nas gnębią, a księża tylko zbierają owoce swojej pracy. Ludzie nie widzą, co się dzieje dookoła, dlatego że milczą o tym tacy jak my. - Ramiro zamknął notes w szufladzie. - Wracając do kwestii pieniędzy. Przed wybuchem wojny brytyjska i amerykańska machina propagandowa z wielką łatwością nastawiła obywateli przeciwko Hitlerowi. Dlaczego? Dlatego, że ludziom nie podobały się jego sukcesy w systemie wymiany barterowej, niekoniecznie zaś głoszone przez niego idee.

- Wymiany barterowej? - David zmarszczył brwi.

- Owszem. Przecież głównym celem sankcji traktatu wersalskiego było odarcie Niemiec z kolonii i zapasów złota. Infrastruktura Niemiec została zupełnie zniszczona, musiały więc importować towary pierwszej potrzeby. W tym celu zaciągały od USA i Anglii pożyczki na bardzo niekorzystnych warunkach. Przez dwadzieścia lat Niemcy były upokarzane - zarówno w ramach zemsty, jak i z powodu chciwości swoich wrogów. Gdyby świat potraktował ten kraj łagodniej, Hitler nigdy nie doszedłby do władzy. Ale w Niemczech aż prosiło się o przywódcę równie mściwego co szefowie rządów Wielkiej Brytanii i Ameryki. Dyktatorowi udało się przejąć stery. Jedną z jego pierwszych decyzji była spłata długów. Potem wprowadził w życie swoisty system barterowy, w który włączył kraje tak samo jak Niemcy niechętnie Brytyjczykom i USA. Argentyna, na przykład, miała Wielkiej Brytanii za złe Falklandy, więc Hitler przekazał jej lokomotywy w zamian za wołowinę. W przeszłości oba kraje musiały te towary importować, co wiązało się

z pożyczkami na niebotycznie wysoki procent. Teraz mogły polegać na sobie nawzajem. Taki system poważnie zagroził międzynarodowym bankom. W chórze protestujących znaleźli się między innymi Rothschildowie. Jak na ironię, to oni nakłaniali rząd i inne banki do bojkotu produktów pochodzących z Niemiec, co w konsekwencji doprowadziło do ekonomicznych przepychanek, a potem do wojny. David wbił spojrzenie w punkt ponad głową Ramira.

— „Tylko zło bywa czyste” — odezwał się po chwili. — To Mahomet. Mój ojciec jest muzułmaninem. Kiedy byłem młodszy, co krok mi to powtarzał.

— Rzeczywiście, pasuje - zgodził się Ramiro.

ROZDZIAŁ 17

Stan idealny

Parę miesięcy później Ramiro wręczył swojemu podwładnemu maszynopis.

- Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby mógł to pan przeczytać. To wciąż dość luźny szkic... — Spuścił oczy niczym płochliwa pensjonarka.

- Z przyjemnością. — David ujął w dłonie plik kartek pachnących maszyną do pisania Olivetti.

Chociaż intrygowała go ich zawartość, po powrocie do domu włożył maszynopis do tej samej szuflady, gdzie trzymał skarpetki i niewysłane listy.

- Później się do tego wezmę — obiecał sobie, chociaż wiedział, że odwlekanie do niczego nie prowadzi.

Przez następny miesiąc, kiedy David wchodził do studia, jego szef uśmiechał się z nadzieją, ale był zbyt grzeczny, by dopraszać się o ocenę. Mijały kolejne tygodnie. Oczy Ramira powoli traciły błysk zadowolenia ze świeżo ukończonej pracy. Znowu zaczął zamykać się w gabinecie i przesiadywać tam z nosem w książkach. Jego rodzina w Europie przepadła w czarnej dziurze dwóch wojen i być może dlatego czuł Potrzebę szukania w przeszłości recepty na terażniejszość.

Niezwykłym zrzędzeniem losu odkrył, że jego żona prawdopodobnie wywodzi się od księcia Mantui, Karola I Gon-zagi — człowieka o nieprzeniknionych czarnych oczach. Przeczytał, że takie świdrujące spojrzenie charakteryzuje tylko potomków w prostej linii. Sprytny książę przez małżeństwa swoich córek spowinowacił się ze wszystkimi możliwymi rodami w Europie.

Pewnego leniwego dnia, gdy nawet słońce poruszało się opieszale, David usłyszał, jak jego szef pyta żonę:

— Skąd jest twoja rodzina?

— Z tej samej wsi co twoja — odparła znudzonym głosem. Wrogość materializująca się w pokoju dałoby się chyba uchwycić na kliszy.

— Co ty nie powiesz. Ale skąd pochodzi?

— Czemu pytasz?

— Przestańże odpowiadać pytaniami. To ważne.

— Chyba z Nawarry.

— Chyba czy na pewno?

— Na pewno. A co?

— Nie do wiary! Może się okazać, że miałaś powód całe życie tak zadzierać nosa.

Hilda jeszcze nigdy nie patrzyła na męża w tak nieprzenikniony sposób. David widział, że wielkim wysiłkiem woli powstrzymuje się od dalszych pytań.

— W świetle tego, co ostatnio czytałem, niewykluczone, że jesteś spokrewniona z księciem Mantui.

Venancio, sterczący dotychczas z udręczoną miną za ladą, zaczął podkradać się bliżej drzwi do gabinetu ojca. Gdyby Ramiro spojrzął w tej chwili na swoją żonę, zamiast czytać książkę, zauważyłby na jej twarzy uśmiezek triumfu; już po chwili jednak Hilda przywołała się do porządku.

- Alkohol pomieszał ci zmysły - skwitowała znudzona. Pokręciła głową niczym niezadowolona nauczycielka i ruszyła do wyjścia.

- Czekaj! Posłuchaj tego. - Biedny Ramiro nie zauważył pułapki.

- Co znowu? - Hilda zamaskowała ziewnięcie. Venancio nie opanował jeszcze sztuki podstępu i czał się pod drzwiami gabinetu, śliniąc się jak pies.

- Według autora tej książki jedna z córek Karola I Gon-zagi wyszła za polskiego króla Władysława IV Wazę. Nazywała się Ludwika Gonzaga de Nevers, czyli z Nawarry.

- Masz fioła na punkcie Polski - fuknęła. — To robi się męczące. — Oddaliła się, stukając wściekle obcasami.

- Kiedy ja czytałem o Hiszpanii. Była jeszcze Małgorzata Gonzaga, żona Henryka II, księcia Lotaryngii.

Hilda zatrzasnęła za sobą drzwi do ciemni.

Tego wieczoru, gdy Ramiro poszedł na partyjkę domina, Venancio wślizgnął się do gabinetu ojca i niczym sęp rzucił na książkę. David westchnął nad jego snobizmem i poszedł do domu. Hilda dalej siedziała w ciemni.

Na wycieraczce David znalazł telegram, z którego dowiedział się, że zmarł jego ojciec. Spakował walizkę, rozebrał się i poszedł spać. Następnego ranka poprosił Ramira o kilka dni wolnego, żeby pojechać na pogrzeb.

- Oczywiście, proszę wziąć tyle dni, ile panu trzeba. - Ramiro wręczył mu miesięczną zapłatę. - I niech się pan nie martwi, praca będzie na pana czekać. Już najwyższy czas, żeby ten gamoń Venancio wziął się do roboty, chociaż żeby pana zastąpić, potrzeba by trzech takich jak on.

David uśmiechnął się.

- W takim razie po powrocie poproszę o podwyżkę.

- Naturalnie, naturalnie, tylko będzie pan musiał porozmawiać z żoną.

David wyszedł na ulicę i wezwał taksówkę. Wiedział doskonale, że łatwiej byłoby poruszyć górę, niż namówić Hildę na podniesienie mu pensji. Później, już po powrocie do Santa Juana, naszła go refleksja, że ostatnie rozmowy z ważnymi dla nas ludźmi często dotyczą zupełnych banałów.

Minął miesiąc. David załatwiał skomplikowane kwestie spadku, interesów i własności domu. Jego matka nie była specjalnie pomocna. Zaproponował, żeby przeprowadziła się do niego, do Santa Juana, ona jednak podniosła lament, że zamiast wrócić do Veracruz, aby doglądać jej na starość, syn chce ją wykorzenić.

W końcu przeniósł mamę wraz z jej najwierniejszymi służącymi do mniejszego domu. Pewnego dnia, gdy pakował akurat książki ojca do skrzyni, otrzymał informację o śmierci Ramira. Umarł nagle. Hildzie przyszło do głowy, że powinna powiadomić swojego pracownika, dopiero trzy dni po pogrzebie, kiedy zauważyła jego nieobecność podczas ponownego otwierania zakładu. David poczuł się trochę dotknięty. Nie wrócił od razu, tylko spokojnie domykał ostatnie sprawy i zastanawiał się, jak poprosi ją o rękę, skoro wreszcie może. Nie cieszył się tak, jak by mógł, bo okazja do oświadczyn pojawiła się w wyniku śmierci przyjaciela.

- Cóż - westchnął i zabezpieczył książki w skrzyni gazetą. Skończył już czterdzieści lat. Był to najwyższy czas, aby

ustatkować się z tą, którą od ćwierćwiecza kochał na odległość. Nie brał pod uwagę ewentualności, że Hilda może po prostu dać mu kosza. Ale tak właśnie się stało. Według niej jako pięćdziesięciolatka z dwoma dorosłymi synami była za stara, żeby

drugi raz wychodzić za mąż. Poza tym, co by ludzie powiedzieli? Nie mogła wziąć ślubu z asystentem swojego męża, bo plotkowano by, że romansowali za jego plecami.

- Davidzie, wdowieństwo to stan idealny. Odtąd zamierzam po prostu cieszyć się wolnością.

Rzuciła się w wir pracy z jeszcze większą energią niż zwykle, zamierzała bowiem otworzyć pierwszy z planowanej sieci sklepów fotograficznych. Wreszcie dostała koncesję od Kodaka, a wtedy zamknęła studio i zwolniła Davida; jak sądził, przede wszystkim dlatego, że ośmielił się poprosić ją o rękę. Odkrycie Ramira dało pożywkę dla jej arystokratycznych aspiracji, mimo że maskowała podekscytowanie. Jej zachowanie niewiele się zmieniło — w końcu zawsze zadzierała nosa — ale za to Venancio paradował ulicami zapyziałej Santa Juana dumny niczym paw. Davida bawiłaby ta sytuacja, ale odmowa Hildy zwarzyła mu humor.

Starszy syn skończył właśnie uniwersytet, więc matka oddała mu interes w dowodzenie. Venancio jak zwykle się objął. W oczach Davida, którego miłość została, owszem, nadwerężona, ale niezupełnie stłumiona, główną wadę Hildy stanowiła właśnie pobłażliwość względem młodszego syna. Chłopak, a właściwie już mężczyzna, odziedziczył po niej arogancję, lecz nie przenikliwość. David bezskutecznie pocieszał się, że uniknął okropnego losu ojczyma Venancia.

Pozbierał swoje rzeczy, jakie nagromadziły się w studiu przez jedenaście lat pracy, i wrócił do rodzinnego domu rozpakować bibliotekę ojca. Obiecał sobie, że potem przeczyta książkę Ramira. Był to winien człowiekowi, który odegrał w jego życiu rolę zarówno przyjaciela, jak i mentora.

Hilda doszła tymczasem do wniosku, że czas wyjechać na wakacje. Powierzyła Manolowi pieczę nad powstającym impe-

rium i popłynęła do Hiszpanii, żeby popisać się swoim sukcesem przed resztą rodziny. Wzięła ze sobą Venancia. Zamierzała zeswatać go z jakąś miłą Hiszpanką o dobrych koneksjach, ale wysiłki te - pomimo jej majątku - spełzły na niczym. Niezrażona pojechała z synem do Nawarry. Tam pewien czas spędziła na studiowaniu archiwów w bibliotece. Wreszcie znalazła to, czego szukała. Kupiła zrujnowany zamek i opłaciła kogoś, żeby zajął się ziemią. Następnie wróciła do Meksyku i pokazywała na prawo i lewo fotografie rezydencji swoich przodków. W duchu cieszyła się z niedyskrecji Venancia, który niby przypadkiem chwalił się ludziom, że są potomkami księcia Mantui.

Venancio nie był wykształcony jak jego brat. Być może dlatego tak łatwo uwierzył, że zmurszały budynek kupiony przez matkę na rubieżach Hiszpanii naprawdę coś znaczy. Hilda ani nie potwierdzała pogłosek o ich arystokratycznych korzeniach, ani im nie zaprzeczała. Manolo zaś z zawstydzeniem kręcił głową, że jego rodzina cierpi na megalomanię, i powtarzał bratu, żeby się wreszcie zamknął - oczywiście z miernym skutkiem.

Następnego roku najlepszy przyjaciel Manola zaraził go pomysłem podróży dookoła świata. Po długich naradach Hilda ostatecznie dała synowi swoje błogosławieństwo. Wrócił rok później. Jego matka zdążyła przez ten czas powiększyć sieć o trzy nowe sklepy, co oznaczało, że jej interesy obejmowały już połowę stanu.

Do końca lat pięćdziesiątych stała się najbogatszą kobietą w Santa Juana. Po jej śmierci dwie dekady później Venancio w niespełna dziesięć lat przepuścił majątek, na który pracowała całe życie.

Amada ani drgnęła.

- Nie miałam o tym pojęcia.

- Niezła historia, prawda? Przygryzła wargę.
- Czy moja babcia, to znaczy Carmina, odzyskała syna?
- Z tego, co wiem, to nie.
- A czy spotkała jeszcze kiedyś jego ojca?
- W zasadzie nie.
- Jesteś okropny.
- Czemu? - David przybrał niewinną minę.
- Och, drań z ciebie.
- Jestem tylko zmęczonym staruszkiem. - Umościł się w fotelu. — A teraz chciałbym się zdrzemnąć.
- O nie. - Wstała. - Nie możesz przerwać w takim momencie!
- Amado, jestem zmęczony.
- Powiedz mi przynajmniej, kim była Lea.
- Hmm, Lea. — Powieki mu opadały. - Wszystko jest w maszynopisie.
- Gdzie?
- Później ci dam - powiedział słabym głosem. - Zamknij drzwi, jak będziesz wychodzić, dobrze?
- Chętnie skrzyłabym ci za to kark.
- Nie wątpię, ale skąd wtedy wzięłabyś maszynopis?
- Jeśli będzie trzeba, przewrócę dom do góry nogami.
- Wiem. - Ziewnął. — Amado, jesteś zbyt niecierpliwa. Nie jestem w stanie w dwa dni opowiedzieć ci historii, którą składałem pięćdziesiąt lat. Musisz nauczyć się czekać. Do jutra. - Zamknął oczy.

ROZDZIAŁ 18

Z zapisków Ramira Montalvy, Hiszpania 1937-1939

Strach jest szpetny. Niepostrzeżenie oblepia ludzkie serce jak zimny lukier, a potem krzepnie w twardą masę o mocy łamania woli. Podobno lęk wyzwala w człowieku albo instynkt walki, albo ucieczki; ja myślałem tylko o tym, żeby zaszyć się gdzieś, gdzie nikt mnie nie znajdzie. Moja wioska została zniszczona. Ostały się tylko dwie ściany kościoła, poza tym wszystko w ruinie: targ, ratusz, plac, domy. Na ulicach leje po bombach, w niektórych szczątki zwierząt. Albo ludzi, wolałem nie sprawdzać. W powietrzu unosił się odór zgnilizny. Poszedłem poszukać starego dębu, gdzie wieki temu wyręłem imię Hildy. Wyrwał je z ziemi granat. Pod kawałkiem dachu rozkładały się ludzkie zwłoki. Przekręciłem je stopą. Smród był tak wstrętny, że z wymiotowałem na wnętrzności leżące w kałuży zastygłej krwi. Potem ukryłem się w opustoszałym chlewie. Siedziałem tam dwa dni i dwie noce. Prawie oszalałem ze strachu, że nacjonaści znajdą mnie i poszatkują na kawałki. Ale wyglądało na to, że do wioski zapuszczały się tylko sępy. W końcu wytłumaczyłem sobie, iż to bardzo mało prawdopodobne, by rebelianci

wrócili do miejsca, które zniszczyli w takim stopniu, że nie zostały w nim nawet duchy.

Ramiro miał tę przewagę, że wychowywał się w wiosce i znał wszystkie jej tajemnice. Stary, pamiętający jeszcze średniowiecze kościół był ostatnią pamiątką po istniejącym tu niegdyś kompleksie klasztornym. Z upływem czasu zabudowania coraz bardziej nadwerężały ogień, powietrze i woda, okoliczni mieszkańcy zaczęli więc podkradać wiekowe kamienie na budulec dla swoich domów. Władze ukróciły ten proceder w ostatniej chwili. Kościół ocalał, ale jego architektoniczna jednolitość niestety ucierpiała. Kamieni ze zrujnowanych zabudowań klasztornych użyto do wzniesienia nowej nawy, a wejście do tunelu biegnącego pod ruinami zamknięto skalnym blokiem. Ramiro był pewien, że księża nie zapuszczali się w podziemny labirynt dalej niż do piwnic. Z pewnością nie wiedzieli też, że ministranci wyżłobili szparę w blokującej wejście do podziemi skale i podbierali wino z obfitych kościelnych zapasów.

W poszukiwaniu żołnierzy Ramiro wyjrzał spomiędzy desek chlewu. Nadzwyczaj czerwone słońce tkwiło zaplątane w nagie gałęzie drzewa. Ruiny wioski były równie nieruchome jak w chwili, gdy przesunęła się nad nimi ręka śmierci. O zmierzchu odważył się przedostać do kościoła. Łapczywie wdychał wieczorne powietrze; smród chlewu przylepił się do niego jak pajęczyna. W kryjówce musiał siedzieć na mokrej ziemi, siedzenie spodni miał więc całe uwalane błotem. Okazało się, że kościół jest w ruinie - nie ostała się ani jedna figura świętego. W rumowisku odnalazł ramię przybite do kawałka drewna i koronę cierniową. Skierował się do tunelów, zastanawiając się, czy ktokol-

wiek dowiedział się, że jako chłopiec regularnie podkradał krew Chrystusa.

Skalny blok przykrywała spora kępa wysuszonego powoju, który w pełni rozkwitu całkowicie zasłaniał wejście. Na szczęście Ramiro trafił tu, jeszcze zanim zapadła zupełna ciemność, inaczej musiałby czekać do rana. Przyłgnął go skały i przecisnął się przez szparę. Po drugiej stronie uderzył go odwieczny zapach grzyba na ścianach. Pochylił się lekko i ruszył, starając się nie zwracać uwagi na larwy, które osypywały się na niego, ilekroć muskał sufit czubkiem głowy. Oddychał szybko i nieregularnie. Było zupełnie ciemno. Trudno się dziwić, że Ramiro umierał ze strachu, a serce dudniło mu w uszach. Mimo że nic nie widział, wystawił przed siebie karabin. Lufa stuknęła w coś twardego, chyba ścianę. Wymacał w torbie zapalki. Drewniane drzwi piwniczki były zatarasowane od wewnątrz. Uderzył w nie kolbą swojego mauzera, przerdzewiałego niemieckiego rupiecia, który pamiętał pierwszą wojnę. Kupił go nie bez trudu od emerytowanego żołnierza w Faro. Solidne drewniane drzwi nie chciały ustąpić. Ramiro zgrzytnął zębami i zaczął grzmocić w zawiasy, modląc się, żeby karabin nie wypalił. Były zardzewiałe i w końcu się rozkruszyły. W progu zapalił kolejną zapalkę. Zobaczył pryczę, którą pamiętał z młodzieńczych wypadów do piwniczki. I butelki z winem, ułożone schludnie wzdłuż ścian. Płomień oparzył go w palce.

— Cholera! — Rzucił zapalkę na podłogę.

Oczywiście nie wziął ze sobą korkociągu. Wepchnął korek kciukiem - całe szczęście było na tyle ciemno, że nie widział brudu pod paznokciami - ostrożnie, żeby uronić jak najmniej wina. Nabrał solidny łyk, a potem zdjął spodnie

i wgramolił się do łóżka. Westchnął z ulgą i wyciągnął się wygodnie pod szorstką derką przesiąkniętą zmumifikowanym nasieniem.

Że zasnął, dowiedział się dopiero, kiedy na kopniakach wyleciał z łóżka. Pusta butelka upadła na posadzkę i potoczyła się po podłodze. Gołym tyłkiem usiadł na zimnych kamieniach. Twarz oświetlała mu lampka oliwna.

- *¿Quéhaces aquí?* - zapytał go jakiś mężczyzna z obcym akcentem.

- Co tu robisz? - powtórzył Ramiro, żeby zyskać na czasie. Patrzył w miejsce, gdzie nieznajomy miał pewnie oczy,

a ręką sięgał po leżący pod łóżkiem karabin. Wysoki mężczyzna był ubrany w co popadło, między innymi w przykusz kurtkę wojskową. Na głowie kłębiły mu się jasnorude włosy rzucające na ścianę okrągły cień.

- Tego szukasz? — Nieznajomy przysunął mauzera do światła lampy. Jego ręka wyglądała na mocną, a palce były porośnięte złotymi włoskami.

„Cholera”. Ramiro w miarę możliwości zakrył się koszulą.

- Jak się tu dostałeś?

- To ja zadaję pytania — odburknął mężczyzna. Ramiro uniósł brwi pytająco.

- Bo mam broń.

- No tak. A mogę chociaż wstać? Brud wchodzi mi w zadek.

- Dobra, ale najpierw ręce do góry.

- Słuchaj, naprawdę nie mam karabinu w tyłku. Zupełnie mnie zaskoczyłeś.

- Drzwi były otwarte na oścież. — Jego szeroki uśmiech w półmroku wyglądał diabolicznie.

Ramiro dźwignął się z trudem. Nie była to łatwa sztuka, ponieważ ręce trzymał w górze. Przewrócił się na pry-

czę i wylądował na brzuchu. Łóżko zaskrzypiało w proteście. Od razu się podniósł, modląc się w duchu, żeby ten facet nie gapił się na jego zadek. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że trzeba było zabarykadować się za pryczą.

- Ramiro. - Wyciągnął dłoń.

Jego przeciwnik miał ręce zajęte karabinem i lampką, więc nie zareagował.

- Ręce do góry. Jeszcze nie powiedziałeś, co tu robisz. Ramiro podniósł ramiona pomimo wielkiej chęci otrzepania tyłka z ziemi.

- Ukrywam się.

- Przed republikanami?

Ramiro zaczerpnął powietrza i zaczął kalkulować, co się bardziej opłaca. Zamknął oczy.

— Przed rebeliantami. - Przełknął ślinę. Nieznajomy był obcokrajowcem, więc najpewniej służył w Brygadach Międzynarodowych.

Zapadła lodowata cisza. Mężczyzna błysnął lampą na koszulę Ramira, na wiszącą na kołku kurtkę, na zabłocone spodnie na posadzce. I na samego Ramira.

— Urodziłem się tutaj. - Ramiro poczuł nagłą potrzebę wytłumaczenia swoich motywów, między innymi po to, żeby zyskać na czasie. - Tu się wychowałem. To dlatego znam tę kryjówkę. — Zdał sobie sprawę, że gdyby ten człowiek chciał go zabić, zrobiłby to, kiedy Ramiro spał. - W dwudziestym drugim wyjechałem do Ameryki. Teraz wróciłem odnaleźć rodzinę.

— Twojej rodziny tu nie ma. Wszyscy uciekli do Francji. Zabrali nawet kozy.

— Dlaczego wioska została zniszczona?

- Bo faszyści nas szukali.
- „Nas”? - Ramiro przeniósł ciężar **Z** jednej nogi na drugą. Zaczynały cierpnąć mu ramiona.
- Mnie i moich towarzyszy. Przyjechaliśmy walczyć po stronie republikanów. Jesteśmy z Polski.
- Ramiro splunął. Polak przycisnął lufę do jego piersi.
- Chcesz strzelać, strzelaj. - Ramiro opuścił ramiona, choć mężczyzna nacisnął jeszcze mocniej. - Cholera, jak ja nie lubię Polaków. — Schował rękę za plecy, żeby się podrapać. Jego przeciwnik wbił mu boleśnie karabin między żebra, ale Ramiro tylko zachichotał. - Może takie jest moje przeznaczenie: zginać z ręki Polaka. Ale jeśli naprawdę chcesz mnie zabić, musisz odstawić lampę i chwycić karabin oburącz, bo inaczej strzał cię przewróci i najwyżej mi coś odstrzelisz.
- Daruj sobie rady. - Polak przysunął karabin do boku.
- Myślisz, że boję się śmierci? — Ramiro rzucił butnie, choć bez przekonania. — Jeżeli mnie trafisz, umrę szybko i właściwie bezboleśnie, ale musisz strzelać tutaj. — Przesunął lufę na serce.
- Spokojnie. — Nieznajomy odsunął się na krok, żeby Hiszpan puścić karabin.
- To żaden ból. Co innego walnięcie w głowę...
- Skąd wiesz?
- W trzydziestym walczyłem z jakimś Feliksem Mazurem. Wielkolud zdzielił mnie prosto w szczękę i wybił mi ząb. O, ten. - Uniósł wargę, żeby zademonstrować szczerbę.
- Nie mów, że to ty wygrałeś z Felkiem Mazurem! -A co, znasz bydlaka?
- Znam. Jesteśmy z tej samej dzielnicy. Ramiro zmierzył Polaka wzrokiem.

— To twój krewny?

— Nie, nie. — Nieznajomy cofnął się o krok. — Nawet jako dzieciak był strasznym zabijaką. Aż się wierzyć nie chciało, że jakiś Hiszpanek położył go na łopatki. Myślałem, że to bujda.

— Słyszałeś o tej walce?

— Tak. Wszyscy na Czerniakowie słyszeli.

Ramiro otworzył szeroko oczy, ale Polak zamiast wyjaśnić, co to takiego Czerniaków, tylko pokręcił głową.

— No dobra. - Popatrzył na Hiszpana, a potem oparł lufę o pryczę i wyciągnął przed siebie dłoń. — Maciek Bajak, drugi pułk, batalion Adama Mickiewicza.

Ramiro przez chwilę zastanawiał się, czy nie warto dać susa na łóżko i przechwycić karabin, ale ryzyko było zbyt duże: mógłby zostać bez broni, za to z fruującymi *cojones*. Ujął więc podaną mu rękę.

— Ramiro Montalvo. Batalion imienia Lincolna.

— Chłopaki zzielenieją, jak się dowiedzą, że ścisnąłem rękę, która pokonała Mazura!

— Jakie chłopaki? — Ramiro zamarł.

— Chyba nie sądzisz, że jestem sam.

— Są tu inni Polacy?

— Tak, w Hiszpanii są inni Polacy.

— Miałem na myśli wioskę.

Maciek udał, że nie słyszy. Poświecił lampką na ściany. Na widok półek z winem zagwizdał pod nosem.

Wykorzystując nieuwagę Polaka, Ramiro rzucił się na pryczę i złapał karabin. Zaskrzypiały sprężyny.

— Ręce do góry! - zawołał i stanął na nogi. Maciek uniósł ramiona, cały czas trzymając lampę.

— Coś ci wystaje.

Ramiro nieomal spojrział w dół, w porę jednak się powstrzymał. Włożył sobie karabin pod pachę, a wolną ręką obciągnął koszulę.

- Dzięki.

Maciek wzruszył ramionami, nadal trzymając dłonie w górze.

- Zaprowadź mnie do swoich towarzyszy — rozkazał Ramiro.

- Jestem tu sam.

- Przed chwilą mówiłeś co innego.

- Kiedy pomagaliśmy w ewakuacji wioski, ci parszywi nacjonaści zorganizowali zasadzkę. Stąd te zniszczenia. Mnie udało się uciec, bo akurat prowadziłem ludzi przez las. Cztery noce chowałem się po krzakach, ale w końcu wyszedłem sprawdzić, czy ktoś przeżył. Wtedy zobaczyłem ciebie.

- Przyszędłeś tutaj za mną, tak?

- Najpierw musiałem zaczekać, aż wreszcie ruszysz się z tego chlewu. Słuchaj, można chyba powiedzieć, że jesteśmy po tej samej stronie. Zawieszę lampę na tamtym gwoździu, dobrze?

- A potem?

- Proponuję, żebyśmy napili się tych świetnych trunków. - Wskazał lampką ścianę w głębi.

Ramiro popatrzył na niego przerażony.

- Chcesz pić krew Chrystusa?

- Hmm. Myślałem, że to Sangre de Toro.

- Sangre de Toro, Rioja, Tempranillo, Miura.

- Wznieśmy chociaż toast za poległych. Człowiek, na którego zwymiotowałeś, był moim kuzynem.

- Przepraszam. - Ramiro obniżył lufę.

- Przynajmniej został namaszczone, chociaż woda święcona to to nie była. - Maciek zawiesił lampkę na wystającym ze ściany gwoździu i usiadł na pryczy. - Może włożysz spodnie, co?

- Śmierdzą chlewem.

Na kołku wisiała sutanna. Ramiro zdjął ją i skierował się w głąb piwnicy. Tam oparł karabin o butelki i nie spuszczać oka z Polaka, ubrał się w czarną szatę. Gdy zapiął ostatni guzik, Maciek poprosił:

- Pokaż się.

Ramiro przesunął się tak, że zasłonił sobą karabin.

- Teraz o wiele lepiej. Niezły z ciebie księżulo.

- Umiesz kłusować? Maciek zmarszczył brwi.

- Kłusować?

- Zastawiać pułapki na zwierzęta.

- Nie lepiej strzelać do nich z karabinu? Ramiro spojrzał na niego z politowaniem.

- Tak, i przyciągnąć hałasem całą armadę Franco. Maciek rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Na pewno nie ma tu jedzenia?

- W kościele? Może wygrzebiez jakieś resztki hostii. Poza tym tylko wino.

Polak zaświecił w półmroku zębami.

- Zle nie jest.

Następnego ranka w lesie Ramiro uświadomił sobie, że zbliża się zima. Na razie leśne poszycie zasłane było ciemnozielonym mchem, lecz powietrze pachniało już śniegiem. Bezlistne, ascetyczne gałęzie spowijała blada poświata wstającego jesiennego słońca. Ramiro z łatwością mógłby zapo-

mnieć, że przyjechał walczyć w bezmyślnej wojnie o Hiszpanię, która niewiele już dla niego znaczyła — wystarczyło odwrócić wzrok od zniszczonej wioski i zatracić się w spokojnym, nieruchomym krajobrazie. Ramiro był skołowany. Czy to prawda, co mówiono, że rebelianci dopuszczają się tych wszystkich okrucieństw, bo nienawidzą komunizmu? I co to za kraj, w którym komuniści w ramach walki z Kościołem — faworyzowaną od wieków instytucją ucisku - zmiatają z powierzchni ziemi całe wsie?

Religię, modlitwę i wszelkie rytuały przemieniające ludzi w dobrych chrześcijan Ramiro uważał za niedorzeczne, ale jego matka była dobrą katoliczką. W swoim czasie kazała mu nawet służyć do mszy. Do głowy by mu nie przyszło odrzucić tę propozycję; inaczej mama nie miałaby czym chwalić się wśród koleżanek. Przetrwał godziny nudy tylko dzięki temu, że upijał się winem mszalnym.

Nagle przypomniał sobie, że w piwnicy kościoła śpi Maciek. Powinien się pospieszyć. Późną jesienią niełatwo było złapać jakieś zwierzę, bo większość pochowała się już w norach. Trzeba będzie rozstawić naprawdę dużo pułapek. Ukrył karabin między korzeniami drzewa i zanurzył się głębiej w las. Dopiero po blisko godzinie wyteżonej pracy pozwolił sobie na rozprostowanie pleców. Potrzaski były do cna przerdzewiałe, więc otwierał je z wielkim trudem. Głośne burczenie uświadomiło mu, jaki jest głodny. Wtedy usłyszał strzał. Tuż obok niego świsnęła kula.

Przypadł do ziemi. Nie potrafił ocenić, gdzie stał napastnik. Z tyłu, blisko skraju lasu, rozległ się kolejny strzał. Ramiro schował się za drzewem, przyciskając plecy do pnia. Wstrzymał oddech i starał się uspokoić łomoczące serce. Cicho było jak makiem zasiał. Po chwili wychylił się zza drze-

wa i zerknął w stronę wioski. Nikogo. Położył się na brzuchu i podczołgał do miejsca, gdzie zostawił broń. Zniknęła.

— Cholera!

Płynnym ruchem obrócił się na plecy. I wpakował stopę prosto w sidła. Rozległ się suchy trzask; zęby pułapki wbiły mu się w ciało. Przeszył go paraliżujący ból.

— *Ime cago en la puta de bastos!* — stęknął i usiadł. Uniósł szatę. Dolna część sideł zakleszczyła mu się na obcasie buta, a górna utkwiała w jego nodze. Gdy dotknął zardzewiałego metalu, zamroczył go ból. Zaniepokoił się, że ostrze przecięło mu ścięgno. Nagle coś stuknęło. Ramiro zamarł mimo męczarni, jakie przeżywał. Zaraz potem usłyszał warkot silnika. Rzucił się brzuchem na ziemię i prawie zawył z bólu w nodze. Pojazd przybliżył się i zatrzymał na skraju lasu. Ramirowi zbierało się na wymioty. Przełknął ślinę.

— Ramiro! — Maciek zatrąbił w klakson. - Ramiro! Ramiro zaryzykował i uniósł głowę. Jego znajomy siedział

za kierownicą samochodu rebeliantów. Z przodu znajdowało się jeszcze dwóch żołnierzy. Ramiro przylepił się do ziemi. Zaczerpnął kilka rozpaczliwych oddechów, ale nadal było mu duszno. Jego nozdrza wypełnił zapach trufli. Jaką umowę zawarł Maciek z żołnierzami? W myślach obliczył szanse przeżycia z niesprawną nogą i bez karabinu. Były niewielkie. Oparł się na łokciach; pułapka zacisnęła się jeszcze mocniej.

- *IMierda!* — Ramiro przetoczył się i usiadł. Z rany zaczęła sączyć się krew.

- Cholera jasna! - krzyknął po polsku Maciek i podbiegł do niego. — Daj, wyjmę ci nogę.

W oczach Hiszpana zebrały się łzy wściekłości.

- W aucie jest chyba apteczka. Chodź. - Maciek wstał i uniósł Ramira ze sobą.

Dwóch żołnierzy siedziało w samochodzie i czekało. Ramiro bohatersko wyszarpnął się z objęcia Polaka, odskoczył kilka kroków, po czym upadł na czworaka. Maciek wciągnął go do samochodu.

-Wsiadaj.

Wgramolił się na tylne siedzenie. Żołnierze nadal go nie zauważali, tylko wpatrywali się przed siebie.

- Obcego łatwiej zabić. Czy to dlatego odbieramy wrogom człowieczeństwo? - Ramiro miał ochotę rzucić się na fotel i wybuchnąć płaczem, ale powstrzymał się ostatkiem woli.

- Może i tak. - Maciek zastanowił się przez chwilę i zamknął tylne drzwiczki. — Ale najłatwiej zabić faszystów.

Wsiadł za kierownicę. Żołnierze odpowiedzieli milczeniem, które zawisło w samochodzie jak nieświeży oddech.

- Poszukaj tam z tyłu apteczki.

- Po co? — Rozpacz ścisnęła Ramira w dołku. Na czoło wystąpił mu pot. - Co to za różnica, czy umrę z powodu zakażenia czy od faszystowskiej kuli?

Polak popatrzył na niego w lusterku i zapalił silnik.

- Zabrałeś mój karabin - rzucił oskarżycielsko Ramiro.

- Musiałem ich czymś zastrzelić, no nie? - fuknął Maciek. - Szuje miały cię na celowniku, a ty nic nie zauważyłeś.

Ruszył, gwałtownie zwalniając sprzęgło. Samochodem szarpnęło. Żołnierze polecili do przodu i uderzyli czołami o deskę rozdzielczą. I zostali w takiej pozycji; ich ramiona zwisały luźno wzdłuż boków. W końcu Maciek przesunął siedzącego bliżej mężczyznę z powrotem na oparcie. Żołnierzowi spadła czapka. Na widok dziury wylotowej ziejącej z tyłu jego głowy Ramirovi zrobiło się niedobrze.

- Żyjesz tam?

- Ledwo, ledwo. — Hiszpan z trudem przełknął ślinę.
 - Gdzie cię nauczyli tak strzelać?
 - Na wojnie z Ruskimi.
 - Ruskimi?!
 - Tak. Skubańcy myślą, że jesteśmy ich własnością.
 - Maciek zmienił bieg.
 - Przecież Polska odzyskała niepodległość dwadzieścia lat temu.
- W lusterku Maciek zerknął na niego z podziwem.
- Tak, jedenastego listopada 1918 roku. Mimo to niedługo potem sowieckie łachudry postanowiły nas najechać, ale my ich odparliśmy. Słyszałeś o cudzie nad Wisłą?
- Ramiro pokręcił głową.
- Nie mieliśmy artylerii ani amunicji, a jednak udało nam się pokonać wroga. Przecież nie mogliśmy dopuścić do tego, żeby nasza ojczyzna znowu zniknęła z mapy. Wiedzieliśmy, że idzie o wielką stawkę: naszą niepodległość. Walczyliśmy jak szatany.
 - Ale ty chyba nie...
 - Polacy co rusz muszą bronić swego do ostatniej kropli krwi. Kiedy ojciec po raz pierwszy włożył mi w ręce karabin, miałem trzynaście lat. Powiedział, żebym poszedł walczyć o zwycięstwo. Wygrana albo śmierć. Od tamtej pory jestem żołnierzem.
- Maciek zatrzymał samochód przy wejściu do tunelu i wysiadł. Ramiro chciał iść za nim, ale kolega go powstrzymał.
- Dokąd idziesz?
 - Po wino. Musimy się stąd zmywać, bo widać nas jak na dłoni.

ROZDZIAŁ 19

Towarzysze

- Myślałeś, że cię zdradziłem. — Maciek smarował ranę Ramira jodyną. Wcześniej podał mu zastrzyk morfiny.

- Z bólu nie myślę jasno. — Ramiro zaczerwienił się.

- A tak w ogóle, cały czas mamy tu denatów.

- Cholera, zapomniałem. — Maciek zamknął apteczkę i rzucił ją na tylny fotel. Potem wyciągnął z samochodu jednego z żołnierzy. Z upadającego na ziemię ciała uciekły gazy. Szybko zdjął z niego spodnie, żeby zdążyć, zanim puszczą jelita. - Nie chcemy, żeby łajzy obsrały nam spodnie

- wyjaśnił w odpowiedzi na milczące pytanie.

Rozebrał zwłoki i ukrył je w rozpadlinie za głazem. Ramiro odwrócił wzrok, kiedy Maciek szorował ciałami po szorstkim kamieniu, ale nie dało się nie słyszeć jego sapania z wysiłku i ohydneho dźwięku łamanych kości. W końcu oba trupy znalazły się w kryjówce.

Polak wrócił do samochodu i rzucił w Ramira spodniami.

- Włóż je.

Obok znajdującej się na tylnym siedzeniu apteczki położył parę zdobycznych butów. Ciągle dyszał po szamotaninie z ciałami. Zdjął własne znoszone spodnie i ubrał się w jeden

z mundurów. Z niezawiazanymi sznurowadłami zajął miejsce za kierownicą.

Ramiro wsunął zabandażowaną stopę w nogawkę, starając się nie wdychać pleśniowego zapachu materiału. Skrzywił się z bólu.

- Potrzebuję morfiny.

- Ty potrzebujesz morfiny, a ja, żeby mi ktoś wyrwał ząb. Zdrzemnij się.

Ramiro nie był ani trochę senny. Oparł się w fotelu i rozejrzał po ponurym krajobrazie. Ledwo poznawał swoje rodzinne strony. W tyle zostawiali ruiny wioski, przed nimi rozciągały się łyse wzgórza i, gdzieś tam, drzewa o powykęcanych konarach. Zimny wiatr wzbijał znad zawalonych domów tumany szarawego pyłu i pokrywał nim okolicę. Ramiro miał ochotę pozamiatać.

- Czemu tu przyjechałeś? - zapytał.

- Chciałem zobaczyć Hiszpanię. Ramiro przewrócił oczyma.

- Ja też chciałbym zwiedzić kawałek świata, ale do tego nie potrzeba od razu pchać się na front. Lepiej pojechać gdzieś z biurem turystycznym.

- Zamknij się i śpij.

W sutannie Ramiro przypominał trochę niezadowolonego nietoperza. Ziewnął i skrzyżował ramiona na piersi. Narkotyk powoli go odurzał. Oparł czoło o szybę i zawiesił wzrok na krajobrazie, którego nie pamiętał. Mknęli przed siebie czarną wstążką drogi. Zamknął oczy. Tylko na chwilę, jak sobie powiedział. Nie zamierzał dawać Maćkowi luksusu ciszy.

Na zewnątrz świergoliły ptaki. Czuł przyjemny powiew na twarzy. Silnik ucichł, samochód stał w miejscu. Ramiro

był sam. Na zewnątrz nad rozległą równiną zwieszało się nisko słońce. Wygramolił się z samochodu, dokicał do zagajnika i się załatwił. Słysząc tylko ptasie trele, poza tym cisza. Nagłe uderzenie wiatru zaszeleściło suchymi liśćmi i zmierzwiło mu włosy. Z przyjemnością poczuł na twarzy świeże powietrze. Zza lasu dochodziło miarowe szuranie. Maciek ciągnął jakiś przedmiot. Oby coś jadalnego.

- Koza - oznajmił Polak z dumą. - Zobaczyłem sępy i poszedłem sprawdzić, co je ściągnęło. Możesz przygotować miejsce na ognisko? Ja pójdę po drewno.

Zanim Maciek skończył mówić, Ramiro już klęczał i pracował.

Później, kiedy siedzieli i na zmianę odcinali kawałki mięsa z piekącej się na rożnie kozy, Hiszpan stwierdził:

- Oto dowód na kulturę człowieka. - Pod wpływem wina miał skłonność do filozofowania. — Dzielimy się posiłkiem, zamiast o niego walczyć. Zwierzęta potrafią się pozagryzać o kawałek kości.

- Uważasz, że dzielenie się jedzeniem to oznaka wyższości?

- A przynajmniej pewnej samowiedzy. - Wrzucił kość do ognia. — Nie powiedziałaś, dlaczego przyjechałeś walczyć.

Maciek pociągnął długi łyk z butelki.

- W głowie się nie mieści, że nacjonałiści uważają się za wysłanników „chrześcijaństwa, porządku i cywilizacji zachodniej, przeciwstawiających się »azjatyckiemu komunizmowi"*, a potem, żeby wprowadzić w życie swoje idee, eksterminują setki tysięcy niewinnych ludzi.

- Setki tysięcy? Maciek, chyba trochę przesadzasz.

***Przełożyła Hanna Szczerkowska.**

Polak rzucił mu znaczące spojrzenie zamglonych alkoholem oczu. Jego twarz rozświetlał żar z ogniska.

- Ciągle zapominam, że dopiero co przyjechałeś do Hiszpanii.

- To dlatego, że dowódca mojej brygady wysłał mnie najpierw na ośmioletnie szkolenie.

Maciek zerknął na niego przelotnie.

- Przedtem musiałeś być zupełnie zielony. Nie wprowadzili cię na szkoleniu w sytuację? Czerwony Krzyż podaje, że w ciągu pierwszego roku wojny zginęło co najmniej pięćdziesiąt tysięcy cywilów. A potem raczej nie było lepiej.

- Nie miałem pojęcia, że tak źle to wygląda.

- A co myślałeś, że jedziesz na wojenkę, na której będziesz defilował w odprasowanym mundurze, a dziewczyny będą obrzucać cię kwiatami?

- Zamierzałem odnaleźć rodzinę.

- Porządni, uczciwi ludzie, pewni, że Bóg nagrodzi ich pobożność sprawiedliwością... Rozejrzyj się i powiedz mi, ile tu widzisz sprawiedliwości. - Maciek wskazał obgryzioną kością otaczającą ich ciemność.

Ramiro zamknął oczy, usiłując wypełnić pustkę w głowie jakimś pozytywnym uczuciem, na przykład wspomnieniem o *synach*. Ale *widział tylko* ogarniającą cały kraj rzeź, trumnę bez dna, która pochłaniała coraz to nowych niewinnych. Podniósł powieki i popatrzył na Maćka. Był zły, że Polak odgadł jego romantyczne wyobrażenia na temat wojny. Rzeczywiście, przyjechał tu, bo pragnął jeszcze raz przeżyć satysfakcję, jaką czuł, wygrywając z Felkiem Mazurem. Spojrzał na trzaskający ogień. Teraz już rozumiał. Jednego dnia położył się do łóżka bohaterem, a następnego ranka wstał tchórzem. Podniósł twarz, gotów bronić swoich motywacji.

— Religii nie można ludziom zabrać siłą. Wiara leży w naszej naturze. Dlatego wymyślamy sobie bogów.

— Bóg jest głuchy, Ramiro. Zeby nas słyszano, musimy krzyczeć. Ale to nie Bóg ma nas słyszeć, tylko ci, którzy prześladują nas w Jego imię.

— Czasami głuchy Bóg jest lepszy niż żaden.

— Bardzo miło z twojej strony, że zastanawiasz się nad istotą Boga, podczas gdy Niemcy pomagają generalissimusowi zatuszować morderstwa. To Bóg jest narzędziem człowieka, nie odwrotnie. Bóg to biznes, a biznes żywi się wojną. Wojenny biznes w Hiszpanii przynosi wspaniałe zyski.

— Skoro tak cynicznie podchodzisz do wojny, to czemu tu przyjechałeś?

Maciek odwrócił wzrok od ognia.

— Teraz jestem pewien, że nie masz pojęcia, co się tu dzieje. To jeden wielki jarmark, Ramiro. Walutą jest życie. Widzę co najmniej trzy fronty tego konfliktu. Po pierwsze, wojna pomiędzy Franco a republiką. Po drugie, anarchiści walczący bez konkretnego powodu ze wszystkimi dookoła. Po trzecie, starcie amerykańskiej Starej Prawicy z Nową Prawicą. No i jest jeszcze Stalin, który nie kiwnął palcem, by naprawdę pomóc republikanom w wygraniu tej wojny, co zaraz po puczu byłoby wykonalne. Zamiast tego zamierza zrobić z Hiszpanii bolszewicką enklawę, a jednocześnie sprzedaje republikanom broń trzy razy drożej i napycha sobie kieszenie naszym złotem. Z drugiej strony Texaco wspiera rebeliantów kredytem na tak wysoki procent, że po wojnie, jeśli w ogóle kiedyś się skończy, w ramach spłaty trzeba im będzie oddać całą Hiszpanię. A dla Niemców ta wojna jest okazją do przetestowania siły rażenia czołgów.

- A ty, Maciek, dlaczego tu przyjechałeś? — naciskał Ramiro. Polak wzruszył ramionami.
- Jestem żołnierzem.
- Najemnikiem. - Tak właśnie nazywała go Hilda, kiedy chciała dać mu do zrozumienia, co o nim sądzi. Nienawidził tego epitetu, a jednak teraz z wielką satysfakcją rzucił nim w kolebę.
- Formalnie rzez biorąc, tak. - Maciek odstawił butelkę i zapatrzył się w niebo.
- Ramiro usłyszał buczenie samolotu. ,
- Wiesz, gdzie jesteśmy?
- Na odludziu. - Maciek zagarnął nogą ziemię na ognisko i kopnął przy okazji Ramira.
- *iMi pie, cońol*
- Cholera, wino! - Polak podniósł przewróconą butelkę. Ramiro krzywił się z bólu. Samolot zakręcił, przechylając się ostro na bok, i odleciał. Maciek nastawił ucha.
- Brzmi jak sztukas. Mają syreny na skrzydłach.
- Po co? — Ramiro przestał zajmować się swoją stopą. Wytarł łzy i przyjrzał się majaczącemu na niebie oddalającemu się kształtowi, który trochę przypominał mu czopek ze skrzydłami.
- Zeby ludzie wiedzieli, co ich czeka, jeszcze zanim spadną pierwsze pociski. Słyszałem, że to przerażające. Leci pewnie w góry.
- Góry? Po co?
- Atak powietrzny.
- Na cywilów?
- Tak - odparł ponuro Maciek. - Nie wiem, po co ci biedacy w ogóle uciekają do Francji. Zaraz po przekroczeniu grani-

cy Francuzi zamykają kobiety i dzieci w obozach koncentracyjnych, a mężczyzn wysyłają do pracy przymusowej. Potem wszystkich deportują do Hiszpanii, gdzie zabijają ich faszyci.

- Niedługo po moim przyjeździe do Portugalii usłyszałem w radiu, że celem nacjonalistów jest „ochrona ustalonego porządku oraz zaprowadzenie ładu i bezpieczeństwa w ogarniętym anarchią kraju”.

- Po co słuchałeś propagandy nacjonalistów? - Maciek otrzepał z ziemi kawałek mięsa. - To chyba Benjamin Franklin powiedział kiedyś, że „gdy dla tymczasowego bezpieczeństwa zrezygnujemy z podstawowych wolności, nie będziemy mieli ani jednego, ani drugiego”. Ludzkość szybko zapomina.

Ramiro pożałował jak nigdy dotąd, że nie jest równie odcytany co Hilda. Mógł przynajmniej nauczyć się na pamięć którejś z jej ulubionych sentencji Cycerona. Chętnie cytowała też Katullusa i jak katarzynka powtarzała Platońskie cnoty, jednak nic nie pasowało do obecnej sytuacji.

- Według Cycerona - zaryzykował w końcu - najwyższym prawem...
Maciek popatrzył na niego z uznaniem.

- Dobro ludu najwyższym prawem. Niestety, obawiam się, że żadna ze stron tego durnego konfliktu nie dba ani o dobro ludu, ani o prawo. A na pewno nikt nie czytał Cycerona, w przeciwieństwie do ciebie, kolego.

Ramiro spuścił wzrok.

- Żaden ze mnie erudyta.

- Jesteś zbyt skromny. Przeczuwałem, że w przebraniu księdza kryje się mądry, odcytany człowiek.

Ramiro nie był ani mądry, ani odcytany, więc nie rozszyfrował ironii.

— A teraz Maciuś idzie spać. Nie zamierzam narzekać, że jestem zmęczony, co to, to nie. Bardzo miło z twojej strony, że zeszłej nocy użyczyłeś mi kawałka kamiennej posadzki pod twoim łóżkiem, ale teraz padam na twarz.

— Wcisnął resztę kozy między dwie rozwidlone gałęzie.

— Pomóc ci? — Podniósł Ramira na nogi, po czym z niepokojem przyglądał się, jak jego kompan niepewnym krokiem zmierza w kierunku samochodu i opada na tylne siedzenie. - Może chcesz kurtkę pod głowę? - Zapytał, nagle zdjęty troską.

-Poco?

— Zeby lepiej ci się spało.

- Tylko morfina mi teraz pomoże. Maciek zastanowił się przez chwilę.

- No dobrze - odparł w końcu i sięgnął po apteczkę.

Ramiro obudził się przed świtem. Nieznośnie bolała go twarz. Maciek też otworzył oczy i spostrzegł, że Hiszpan masuje sobie szczękę.

— Całą noc zgrzytałeś zębami.

— Nie zgrzytam zębami.

- Zgrzytasz. I do tego chrapiesz jak świnia.

- Jakie miłe powitanie.

Ramiro wygramolił się z samochodu i pokicał w krzaki.

- Stopa ci się paprze. - Maciek stanął obok i trysnął moczem dalej niż Ramiro.

— To dlatego, że mnie kopnąłeś.

Hiszpan skrzywił się z wysiłku i wreszcie sięgnął strumieniem drzewa, w którego konarach Maciek ukrył mięso kozy. Polak z łatwością zrobił to samo, ale jego kaskada zaraz straciła na sile i po chwili tylko ciurkała. Gdyby Ramiro

miał obie nogi zdrowe, chybaży zatańczył z radości. Po raz ostatni psiknął na drzewo i zapiął spodnie. Maciek ziewnął demonstracyjnie.

- Umieram z głodu. Ramirowi opadła szczeka.

- Jak możesz być głodny po wczorajszym obżarstwie?

- Oparł się o maskę i uniósł nogę. Jego spuchnięta kostka powiększyła się dwukrotnie.

- Pokaż nogę.

- Nie. - Przytrzymując się karoserii, Ramiro dotarł do przedniego fotela. — Tylko zrobisz mi krzywdę.

Maciek wzruszył ramionami. Wyjął kożę z kryjówki w drzewie i nożem myśliwskim odciął spory kawałek mięsa.

- Nie możemy przecież jej zostawić. Mogę ją zapakować w twoją koszulę?

- Proszę bardzo.

Na widok zastygniętego tłuszczu pokrywanego białawą powłoką szerniałe mięso Ramirowi zrobiło się niedobrze. Maciek miał na tyle taktu, że schował się ze śniadaniem na tylnym siedzeniu. Szybko uporał się ze swoim kawałkiem, a resztę umieścił w bagażniku.

- Mamy mniej niż połowę baku, plus to, co jest z tyłu w kanistrze. Sprawdźmy, jak daleko da się na tym dojechać.

- Maciek zajął miejsce za kierownicą.

- Najpierw daj mi morfiny.

- Jesteś za słaby, żeby cię szprycować. - Polak popatrzył na niego, ledwie maskując troskę. - Musimy dostać się w góry.

- Przecież to tam kierują się kondory. - Ramiro zamierzał pokręcić głową, ale opadła mu tylko na bok.

- W górach jest mój batalion.

- Nie możemy pchać się tam, gdzie lecą samoloty.

Maciek włączył silniki ruszył z zagajnika.

- Twoją stopą musi zająć się lekarz.

- Ale przecież tam lecą kondory. — Hiszpan wysunął z niezadowoleniem brodę.

- Zapomniałeś, że jeździmy samochodem rebeliantów? Mamy ich mundury, ich karabiny oraz ich amunicję w bagażniku. Powinniśmy bać się raczej republikanów. No i oczywiście anarchistów. Nie mówiąc o Falandze.

- Nawet nie chcę sobie wyobrażać, co się z nami stanie, jeśli trafimy w ręce faszystów.

- Przy dobrych wiatrach śmierć na miejscu. W innym razie piekło tortur.

Ramiro zerknął na Maćka rozdrażniony. Niektórym prowadzenie auta daje wielką radość, niektórzy czują coś w rodzaju miłego otępienia. Gdy inny samochód jedzie zbyt wolno, zbyt szybko albo po prostu zawadza, ludzie reagują zdenerwowaniem i wymachują rękami w powszechnie rozpoznawalnych gestach. Ale Maciek zachowywał się zgoła inaczej. Z każdą chwilą za kółkiem stawał się coraz bardziej przygnębiony i rzucał coraz bardziej pesymistyczne uwagi. Gdzie on nauczył się takiej zgryźliwości?

- W okopach. - Odezwał się Maciek, jak gdyby odpowiadając na pytanie. Ramira przeszedł dreszcz. Czy on umie czytać w myślach? - Grzebią tych biedaków w okopach. Dzięki temu nie muszą kopać grobów. Te kanalie bez serca wrzucają tam jeńców, a potem po prostu przysypują ziemią. Zlikwidowali w ten sposób wiele wiosek.

- A, *paseos* — przypomniał sobie Ramiro. Tak zginął poeta Federico Garda Lorca.

- Tak. Ludzi wywabia się z kryjówek, siłą wyprowadza z więzień i kieruje za miasto. W zeszłym roku zamordowa-

no ponad pięćdziesiąt tysięcy osób. Istna rzeź. A pomimo to Mussolini namówił papieża, żeby uznał rządy Franco za legalne.

- Bo Franco niby jest po stronie Boga.

- Uhm. A poza tym, tak Kościołowi wygodniej. Kościołowi, a także Wielkiej Brytanii, Francji, Niemcom i Włochom. Nie chcą komunistycznej enklawy w Europie.

Ramiro oparł czoło o szybę. Zaczynał wątpić, czy kiedykolwiek znajdzie wyjście z tego labiryntu.

Obudził go bezruch. W stopie pulsował nieznośny ból. Do snu ukołysało go monotonne bujanie samochodu, ale teraz stali. Cicho było jak w grobie. Ramiro pocił się z gorąca. Poruszył językiem, ale w ustach miał zupełnie sucho. Cała ślina wyparowała, pozostawiając w gardle garść piasku. Paliło go pragnienie. Wtem zza drzewa wyszedł zapinający spodnie Maciek.

- Obudziłeś się.

- Gdzie jesteśmy? - Szczękę miał tak zeszywniałą, że ledwo mówił.

- Nie wiem. Nie ma znaków.

Ramiro zachichotał mimo pustyni w ustach.

- Pewnie nikt nie sądził, że ktoś z naszych będzie prowadził samochód faszystów.

- Pewnie nie. Jesteś głodny?

Na myśl o jedzeniu Ramira zemdliło.

- Chce mi się pić.

- Jest tylko wino.

Ramiro skinał głową. Przez otwarte okno Polak sięgnął za fotel.

- Góry są bardzo blisko.

- To terytorium republikanów. - Maciek podał Hiszpanowi butelkę.
— Prawie nie mamy już benzyny.

Ramiro pociągnął z butelki.

- Z morfiną dam radę przejść kawałek pieszo.

- Jeszcze nie - rzucił Maciek przez ramię i oddalił się.

- Dokąd idziesz?

- Po kiełbaski.

Ramiro nie był w nastroju na żarty Maćka. Rozciągnął się na fotelu i wystawił nogę przez okno. Chłodny, wczesno-zimowy wiatr wiejący w gorącą, lepką ranę przynosił pewną ulgę. Szkoda, że Maciek nie dał mu więcej morfiny. Po jej zażyciu świat wyglądał inaczej: myśli formowały się powoli, ale z precyzją i błyskotliwością, o jaką się wcześniej nie podejrzewał. Zdążył jeszcze wymyślić sposób na usprawnienie pracy w ciemni i zakodował sobie, żeby opisać go Hildzie w liście. Potem zmorzył go sen.

Do rzeczywistości jego snów przebił się odległy terkot broni. Ramiro obudził się gwałtownie. W uszach ciągle dzwonił mu odgłos wystrzału. Miał zdrętwiałe palce u stopy. Schował nogę, zauważając jak przez mgłę, że paznokcie nabrały niebieskawej barwy. Znowu usłyszał terkot ze snów. Zanim rozległa się kolejna seria, Ramiro uświadomił sobie z przerażeniem, co dzieje się na przełęczy.

Po chwili zjawił się Maciek, trzymając za różowe łapki dwa martwe gołębie.

- Dlaczego? — zapytał go Ramiro.

- Kaczek nie było, a króliki się pochowały.

- Ale dlaczego strzelają do ludzi?

- Franco chce nastraszyć ludzi, żeby wrócili do Hiszpanii.

- To głównie rolnicy! Jakże to ma znaczenie, gdzie są?

- Ktoś musi pracować na roli i karmić żołnierzy. Jego armia się do tego nie nadaje. Poza tym jest zajęta zabijaniem rolników.

- Ale żeby tak na nich polować... - Ramiro zachłysnął się powietrzem.

- Oni ciężko pracują. To przecież chrześcijanie!

- W takim razie Boża ironia nie zna granic. Zresztą Bóg jest po stronie faszystów.

- Nie Bóg, Maciek. Papież. - Na twarzy Ramira pojawił się kwaśny uśmiezek.

Maciek rzucił mu wymowne spojrzenie i położył ptaki na dachu. Ramiro wysunął się z siedzenia pasażera, chwycił gołębie i opadł z powrotem na fotel. Zabrał się do ich skubania, a Maciek rozpałał pod drzewem ogień.

- A dym?

- Zgaszę ogień od razu, kiedy usłyszę samoloty. Miejmy nadzieję, że uda się nam przynajmniej trochę je podpiec.

Jak gdyby na dowód tego, że Maciek nie ma racji, mówiąc o nieskończonej złośliwości Boga, z gór zstąpił chłodny wiatr, który rozwiewał dym. Nie nadleciał też żaden samolot i udało im się porządnie upiec gołębie. Swoją kawałek mięsa Ramiro żuł powoli i z trudem przełykał. Na kozę nie mógł patrzeć.

Ciszę przerywało tylko terkotanie karabinów w oddali, chrupanie ptasich kości pod zębami Maćka i chlupot wina, gdy któryś z nich pociągał z butelki.

Co jakiś czas rozlegał się też przeszywający skowyt. Ramiro nie był pewien, czy to zwierzę tak wyje czy człowiek. Do końca życia miały go prześladować te bezcielesne jęki przerażenia. Potworności, które mógł sobie tylko wyobrażać, już zawsze rozbrzmiewały echem w jego głowie.

ROZDZIAŁ 20

Pocałunek śmierci

Kilka godzin później w ciemności nocy Ramiro cały spocony leży na tylnym siedzeniu auta. Oddycha z wielkim trudem. Z zaciśniętą szczęką łapie się za klatkę piersiową, a w uszach dudni mu serce. Mógłby tu umrzeć, a Maciek dalej chrapałby beztrudnie z przodu.

Nagle w karoserię uderza *terkot z kondora*. Ramiro zrywa się, a Maciek stacza z fotela, przypada do podłogi i kuli pod deską rozdzielczą. Otacza ich ściana ognia. Dookoła widzą wymierzone w nich otwory karabinów. Pod sutanną Ramiro nadal ma spodnie od munduru zabitego żołnierza, co niweczy jego nadzieje na szybką, bezbolesną śmierć. Siedzi zupełnie bez ruchu, tylko prawa ręka niepostrzeżenie wędruje w kierunku rewolweru. Nie znajduje go. A przecież przed snem położył go sobie przed nosem. W blasku ognia dostrzega coś metalowego pod stopami. Zerka w dół. Rewolwer leży na podłodze.

Cholera.

Ramiro gapi się przez szybę jak ryba w akwarium. W jego głowę celują karabiny, a płomień pochodni zupełnie go oślepia. Samochód wypełnia zapach potu i strachu. Ktoś wybija

szybę kolbą karabinu. Na Ramira spada deszcz odłamków. Oblepiona zaschniętym błotem dłoń wślizguje się do środka i otwiera zamek, potem odmyka drzwi. Z blasku ognia wynurzają się kolejne ręce. Ramiro rzuca się do ucieczki, ale te ręce łapią go za włosy i sutannę. Otwierają też przednie drzwi. Ramiro zapomina, żeby oszczędzać ranną stopę. Próbuje wstać, ale przewraca się. Ktoś kopie go w zębra. Ramiro jęczy. Obok upada Maciek; jego gorący oddech cuchnie nie-przetrawionym winem.

— *ICura de mierdal*

Kolejny kopniak. Erupcja bólu. Ramiro zgrzyta zębami.

Maciek usiłuje usiąść, ale ktoś przewraca go nogą na ziemię. Ramiro dostrzega z tyłu jakiś ruch. Za włosy odciągają mu głowę do tyłu. Kopniak w zabandażowaną stopę. Ramiro wyje jak zwierzę. I na oślep wyciąga ręce do człowieka, który nadepnął mu na ranę.

- Faszystowskie ścierwo! - krzyczy napastnik z Maćkowym akcentem.

Ramiro słyszy, jak Maciek trajkocze coś w nieznanym języku, i traci przytomność.

Czas przestał mieć znaczenie. Ramiro na przemian traci i odzyskuje przytomność. Nie wie już, czy jest dzień czy noc. Kuli się, a potem rozciąga, jakby jego ciało pragnęło rozerwać się na dwie części. Nie pamięta, żeby kiedykolwiek czuł się tak koszmarnie. Jego mięśnie płoną. Ktoś się nim opiekuje. Dwukrotnie jest na tyle przytomny, żeby zauważyć dwie majaczące nad nim twarze. Jakiś mężczyzna marszczy z niepokojem brwi, a kobieta-zjawa przemywa jego rozgorączkowane czoło wilgotną szmatką i przygląda mu się ze smutkiem. „Umieram”, myśli Ramiro. Potem znowu traci przytomność.

Ramiro otwiera oczy i widzi człowieka ze strzykawką pochylającego się nad jego zadkiem. -Nie!

Kilka par rąk usiłuje go odwrócić. Ktoś ściąga mu spodnie. .
-Nie...!-Kopie. Pojawia się nad nim twarz Maćka.

- Wszystko będzie dobrze.

- Chcą mi zrobić krzywdę - mamrocze Ramiro. Prawie nie jest w stanie ruszać szczęką.

- Zastrzyk jest konieczny. Masz tężec. ' - Ty to zrób.

- Pozwól siostrze Lei. Ma bardziej wprawną rękę. Ramiro kiwa głową i zasłania sobie ręką odbyty. Maciek

i lekarz odwracają go na bok. Siostra Lea zwilża mu skórę bawełnianym wacikiem, po czym wbija igłę. W pośladku Ramira rozlewa się płynny ogień, który wkrótce sięga nogi.

- Już - stęka.

- Jeszcze nie — odpowiada lekarz. — Potrzebuje pan całej dawki.

- Morfiny!

- Nie mogę. Uniemożliwiłaby działanie surowicy. - Lekarz mierzy mu puls. - Niech pan spróbuje się uspokoić.

- Strasznie mi *gorąco*.

- To kwas mlekowy w pana mięśniach. Siostro... Pielęgniarka odkłada strzykawkę.

- Nic panu nie będzie - mówi z obcym akcentem. Później Ramiro dowie się, że siostra Lea zna pięć języków. - Proszę się zdrzemnąć.

Ramiro zamyka oczy.

Kiedy się budzi, pokój jest zalany światłem. Ile minęło czasu? Tydzień? Miesiąc? A może jedna noc? W prze-

stronnym pomieszczeniu, w którym leży, pachnie środkiem do dezynfekcji. Naprzeciwko łóżka znajdują się dwa duże okna. Widać przez nie szarą, ośnieżoną górę. Ramiro podejrzewa, że za nim też są dwa okna, choćby dla symetrii, ale jest zbyt słaby, żeby odwrócić głowę. Ze ścian łuszczy się farba, ale poza tym jest czysto, wręcz sterylnie, jak w szpitalu. Po drugiej stronie pokoju stoją rzędem metalowe łóżka z materacami bez pościeli. Ramiro dochodzi do wniosku, że jest jedynym pacjentem. Nie ma nikogo. Zaczyna panikować. Może został porzucony? Zamyka oczy i zasypia.

Siostra Lea wprowadza do sali szpitalny wózek. Ramiro otwiera oczy. Pielęgniarka przystaje przy jednym z łóżek i mówi cicho coś, czego Hiszpan nie rozumie. Nie jest sam w pokoju, ale nie ma siły sprawdzić, kogo ma za towarzysza. Leży na plecach z głową przekrzywioną na jedną stronę. Koszula lepi mu się do ciała. Zamyka oczy i znowu zaczyna odpływać. Wózek jedzie, skrzypi jedno z metalowych kół toczących się po podłodze z desek. Trzeba naoliwić. Ramiro czuje chłodną rękę na czole, potem wilgotną szmatkę; krople cudownej, chłodnej wody spływają mu po szyi. Ktoś rozpina i rozsuwa mu koszulę. Zapach mydła.

- Dziękuję — szepcze. Otwiera oczy na tyle, żeby zobaczyć twarz swojej wybawczynie. Kobieta unosi kąciki ust, ale jej oczy się nie uśmiechają. — Wyzdrowiałem?

Jej spojrzenie pochmurnieje. Zanim pacjent zdąży znowu o coś zapytać, ona wsuwa mu do ust termometr i odchodzi. Przez kilka minut Ramiro obraca termometr językiem, w końcu zaczyna się krztusić. Pielęgniarka wraca, wyciąga termometr, przysuwa go do oczu i czytuje wynik. Notuje coś ze zmarszczonym czołem.

- Wyzdrowiałem? — chrypi.

- Lekarz przyjdzie do pana po południu. — Nalewa szklanek wody z dzbanka i pomaga mu się napić.

Ramiro płonie.

Kolacja wigilijna jest skromna. Maciek i jego towarzysze

- Polacy, Czesi i Węgrzy — jedzą, siedząc na łózkach. Nastrój jest poważny pomimo wina, którym Maciek podzielił się z pozostałymi. Po jedzeniu Polak pochyła się nad łóżkiem Ramira i podaje mu kawałek mięsa. Ramirowi robi się niedobrze.

- Jutro wyjeżdżamy - mówi Maciek. - Podobno po Nowym Roku szykuje się wielka bitwa w Katalonii. Jestem w batalionie, który jedzie do Girony.

Ramiro usiłuje skoncentrować się na twarzy Maćka i zrozumieć jego słowa, ale sens wciąż mu się wymyka. Zamyka oczy i traci przytomność.

Leży zlany potem. Unosi się gdzieś między snem a niepamięcią. Lekarz ogląda ranę, którą zaszył tydzień wcześniej. Ramiro usiłuje otworzyć oczy, ale jego powieki są zbyt ciężkie.

-Morfiny...

- Dałbym panu, ale przeciwciała nie zadziałają.

- Bardzo boli...

Do łóżka podchodzi siostra Lea ze strzykawką w dłoni. Ramiro wzdraga się. Będzie boleć jeszcze bardziej.

- To antytoksyna. Niezbędna, żeby pan wyzdrowiał.

- Lekarz jednym ruchem przewraca pacjenta na bok i ściąga mu spodnie. Ramiro ma wrażenie, że przebiega przez niego błyskawica. Lekarz kładzie go znowu na plecach i już ma odejść, ale Ramiro zahacza palec o jego nadgarstek.

- Umieram?

- Jeszcze nie. Ma pan szczęście, że znaleźliście samochód. Zakaził się pan niezwykle ostrą postacią tężca. Objawy zakażenia występują zazwyczaj po czasie od dwóch do pięćdziesięciu dni. Kiedy pojawiają się wcześniej, przypadek jest zwykle śmiertelny.

- Na pewno zdrowieję?

- Zdrowieje pan z każdym zastrzykiem antytoksyny. Ramiro przełyka ślinę i puszcza lekarza.

- Jak długo tu leżę?

- Sześć dni.

- Wydaje mi się, że wieczność.

- Tężec atakuje centralny system nerwowy. Pacjenci miewają zaburzone poczucie czasu.

Ramiro zamyka oczy. Rozmowa go wycieńczyła.

- Ile jeszcze?

- Leczenie trwa do ośmiu tygodni.

Próbuje protestować, ale jego szczęka znowu się zaciska. Zaczyna się pocić. Lekarz kiwa głową. Pielęgniarka wraca do wózka, po chwili przynosi nową strzykawkę.

- To morfina? - mamrocze Ramiro.

- To lek uspokajający. - Lekarz podwija rękaw pacjenta i wbija mu igłę w ramię.

Ramiro oddycha ciężko. Skurcz twarzy powoli mija.

- Gdzie Maciek?

- Na froncie w Katalonii. Walczy w batalionie Palafoksa. Kazał powtórzyć, że pożyczył pański karabin, bo całą broń rozdał swoim towarzyszom. Obiecał zwrócić zaraz po zakończeniu wojny.

- Ja też muszę walczyć.

Lekarz uśmiecha się i klepie go po dłoni.

- Proszę się zdrzemnąć.

Ramiro wysiła wolę, żeby się zbuntować, ale już po chwili odpływa w stronę kuszącego czarnego oceanu nicości.

W pokoju żar. Ramiro chce wstać z łóżka, ale z mdłości niemal się przewraca. W gardle mu wyschło, ma wrażenie, że pluje ogniem. Cały płonie. Rzuca się niespokojnie w pościeli. Ktoś przykłada mu szklanekę do ust. Woda, którą pije, nie jest w stanie ugasić wewnętrznego pożaru.

- Jeszcze — szepcze mimo to.

Z oczu płyną mu łzy wdzięczności. Błogosławiona gąbka na chwilę chłodzi jego skórę. Ta gąbka to dla niego wszystko. Z zapartym tchem odlicza czas do chwili, kiedy przetrze mu twarz. Najchętniej zamieszkałby w bali wody z mydłem.

Następnego dnia zaczyna zapamiętywać, jak wygląda pielęgniarka. Przygląda mu się z niepokojem zielonymi oczyma, a z jej miedzianego warkocza uciekają kosmyki. Dolną wargę przygryza nadkruszonym zębem. Martwi się. W za dużej kurtce wojskowej wydaje się bardzo drobna, jakby zbudowana z gałązek i ptasich kostek. Pod warstwami ubrania nie rysuje się nawet cień krągłości. Trawionemu gorączką Ramirowi nie przychodzi do głowy, że ubiera się tak, by nie zziębnąć w nieogrzewanych pomieszczeniach. Nie jest zbyt wysoka, ale kroki stawia długie. Ruchy ma sprawne, całą energię skupia na pomaganiu pacjentom i nie odgarnia pasma włosów, które opadło na policzek. Ramiro umiera z ochoty, żeby to za nią zrobić, a potem dotknąć jej twarzy; jest jednak zbyt zmęczony, by unieść ramię.

Lekarz zdejmuje szwy.

- Najgorsze minęło. Teraz muszę jechać na front. Sromotnie przegraliśmy bitwę pod Gironą.

- Kiedy pan wraca? - Z podenerwowania Ramirowi kręci się w głowie.

- Nieprędko. Siostra Lea sobie poradzi. Jest pan w dobrych rękach. Na dworze trzaskają drzwiczki samochodu. Silnik zaczyna warczeć. Lekarz odjeżdża na front autem, które Maciek zabrał nacjonalistom. Ramiro zasypia.

ROZDZIAŁ 21

W dobrych rękach

Pod drzwiami pokoju słysząc krzątaninę. Rozlega się brzęk, a potem plusk wody. Ramiro leży w płomieniach. Chce wstać, ale opada z powrotem w morze ognia. Budzi go skrzypienie metalowego kółka. Siostra Lea jest jak gdyby Minotaurem na zawsze zaklętym w labiryncie łóżek, a Ramiro jej bezbronnym więźniem. Obraca go, wbija igłę. Ogień.

W jego ciele szaleją pustoszące go żarłoczne bestie. Ramiro obraca się na bok. Nad łóżkiem obok pielęgniarka rozpościera białe prześcieradło. Chory wygina usta w uśmiechu, od którego pękają mu wargi.

- Woda. - Siostra Lea sięga po szklankę.

Ramiro pije z wdzięcznością i opada z powrotem na poduszkę.

- Proszę otworzyć - nakazuje pielęgniarka.

On rozchyła usta, spodziewając się termometru, dostaje jednak łyżkę owsianki. Krztusi się.

- Trzeba jeść. Doktor zalecił.

Gryzie. Nagrodą jest jej uśmiech. Znowu gryzie.

- Wody — chrypi.

W brzuchu ma rozżarzony piec. Pije łąpczywie. Ona odgarnia kołdrę, rozpiną agrafkę i pomaga mu zdjąć koszulę. Ramiro opiera się na poduszce i zamyka oczy. W wiadrze chlupocze woda. Na jego piersi lądują chłodne krople.

- To prawie tak przyjemne jak morfina - wzdycha.

Siostra Lea namydłą mu ramiona i szyję. Myje włosy i wgłębienia pod pachami. Rana zaczyna mu pulsować bólem, a nogę przeszywa elektryczny spazm. Ramiro jest odkryty i czuje się nieswojo: widać jak na dłoni, że w spodniach ma bolesny wzwód. To naturalna konsekwencja skurczów mięśni, ale Ramiro i tak ma ochotę zapaść się pod ziemię. Gąbka wędruje z powrotem do balii. Ramiro zaciska szczękę. Patrzy na pielęgniarkę. A ona na niego. Jej ręka powoli zsuwa się coraz niżej. On z trudem oddycha. Serce dudni mu w uszach. Palce siostry Lei zatrzymują się na chwilę w okolicy pasa, potem podejmują wędrowkę. Zaczepiają się w plątaniu zmierzwionych włosów łonowych, ale sprawnie pokonują przeszkodę. Ramiro prawie krzyczy, kiedy obejmuje go dłoń pielęgniarki. Później, wypucowany, w czystej pościeli i w świeżej koszuli, stwierdza: „Nie. To lepsze niż morfina”.

Kolejne nadejście siostry Lei obwieściło skrzypienie wózka. Na tacy znajdował się obiad i kilka zapalonych świeczek. Przeniosła świece na szafkę przy jego łóżku i wsunęła pod niego basen. Podała mu nową porcję leków uspokajających, po czym stanęła przy łóżku obok. Zdjęła wojskową kurtkę i rozpuściła włosy. Na plecy opadł wodospad miedzianych loków. Ramiro odpłynął do krainy barbituranowych snów, mając przed oczami obraz siostry Lei okrytej płaszczem włosów, która stoi na wielkiej szpitalnej tacy dryfującej po morzu morfiny.

Następnego ranka prała. Czysta pościel, którą wieszała na sznurze, wydymała się na wietrze niczym żagle. Wyglądało to trochę tak, jakby chciała opatulić wiatr, żeby nie był taki zimny. Za nią wznosiły się Pireneje; fioletowa ściana z ośnieżonymi szczytami wprost zapierała dech w piersiach. O zmroku siostra Lea nadjechała z wózkiem. Chlupot wody w wiadrze przeplatał się ze skrzypieniem koła. Ramiro czekał z sercem w gardle. Dostał wzvodu, jeszcze zanim stanęła u brzegu jego łóżka.

Kilka kolejnych tygodni wypełniły ból, przyjemność i wywołane lekami otępienie. Każdy poranek był piekłem, które wytrzymał tylko dzięki myśli o wieczorze. Wcześniej rano dostawał zastrzyk antytoksyny, choć ciało wciąż piekło go od poprzedniej dawki. Potem wił się z bólu. Od środka wypalał go ogień o takiej sile, że miał ochotę wypruć sobie wnętrzności. Ale potem nadchodził wieczór, a wraz z nim cudowna kąpiel. I cudowna dłoń.

- Chcę cię dotknąć - powiedział pewnego razu.

Myjąca go siostra Lea zastygła w bezruchu, ale nie odeszła. Ramiro sięgnął pod jej kurtkę wojskową i zaczął rozpinać skórzany pas ściągający spodnie. Nie protestowała. W końcu klamra ustąpiła. Teraz guziki. Starał się skoncentrować na ich rozpinaniu, ale jej dłoń wykonywała niespieszne ruchy, od których miał ochotę wyć. Rozpiął jeden guzik, drugi. Przyduże spodnie pod ciężarem paska zsunęły się z jej bioder z delikatnym szelestem. Dotknął jej gładkich ud. Wsunął palce w majtki i ujął w dłoń miękką wypukłość pupy. Potem przesunął rękę do przodu i musnął jej brzuch, wreszcie sięgnął niżej, by dotknąć kępki włosów. Ona zmie-

niła pozycję i rozchyliła nogi, żeby mógł znaleźć wilgotny środek. Pogładził ją delikatnie i wsunął w nią palec. Wysunął, znowu pogładził. Ona wzdychała, ściskając metalową ramę łóżka. Ręka, w której go trzymała, zaczęła poruszać się szybciej. Doprowadziła go prawie do finiszu; już myślał, że nie wytrzyma, ale wtedy ona cofnęła dłoń. Ramiro okrężnie poruszył palcami po jej płatkach i wszedł do środka. Znowu go chwyciła, masując krótkimi, szybkimi ruchami. On zawęził okrąg.

- Boże! — krzyknęła.

- O, Boże — jęknął i skończył.

Obudził go terkot karabinów z kondora. Twarz leżącej na łóżku obok Lei wykrzywiało przerażenie. Oczy błyszczały jej niepokojąco w blasku księżyca.

- Znowu oni — odezwał się.

- To trwa już tydzień.

Ramiro nie zauważył, bo każdego wieczoru podawała mu morfinę.

- Chcesz coś na uspokojenie?

- Nie. - Zrobił miejsce w łóżku. — Chodź.

Lea schowała się pod jego kołdrą. Ramiro ułożył sobie jej głowę w zgięciu ramienia, pogłaskał jej włosy i zamknął oczy pocałunkami. Ona zacisnęła rękę na jego koszuli i zasnęła. Tej nocy kilkakrotnie budził ich hałas brutalnych nalotów gdzieś w oddali. Raz grad kul spadł mniej niż pięćdziesiąt metrów od ich okna; przez resztę nocy nie mogli zasnąć, tulili się tylko do siebie, czekając na koniec. Na ich szczęście budynek, w którym mieszkali, wcześniej należał do rebeliantów, którzy pomalowali dach na czarno, żeby w ciemności nie był widoczny z powietrza. Dotychczas kon-

dory ostrzeliwały głównie *przełęcz*, ale ostatnio zainteresowały się także okolicznymi polami.

— Mają przecież obowiązek omijać szpitale i szkoły. Musieliśmy przestać malować znaki czerwonego krzyża na dachach, bo używali ich jako celowników.

- Cśśś. — Otoczył ją ramionami i poprzysiągł w duszy, że gdy będzie trzeba, osłoni ją własnym ciałem.

Lea wstała o świcie. Ramiro przygotował się na kolejną dawkę bólu.

Następną nocą też spali razem. Przerażeni tulili się do siebie, ale po jakimś czasie doszli do wniosku, że jeżeli rzeczywiście nadchodzi ich ostatnia godzina, to powinni przynajmniej dobrze wykorzystać czas, jaki im pozostał. Całowali się i dotykali łapczywie, doprowadzając się nawzajem nieomal na szczyt przyjemności, ale co chwila rozpraszał ich rój kul spadający niepokojąco blisko. W końcu jednak i na to przestali zwracać uwagę. Ramiro posiadał Leę z całą mocą, krzykami rozkoszy starając się zagłuszyć wrzaski ginących na *przełęcz* niewinnych ludzi.

W końcu nadszedł dzień, w którym Ramiro nie potrzebował już antytoksyny. Ustał szalejący po jego ciele ogień. Lea pomogła mu się podnieść i postawiła go przy wózku.

- Przepchnij go pięć razy wokół pokoju.

Kostka mrowiła trochę pod ciężarem całego ciała, ale posłuchał. Przeklinając chorobę, która tak go osłabiła, zmusił się, by postawić stopę na podłodze. Potem przesuwał ją po trochu do przodu. Jego postęp odmierzało skrzypienie koła. Gdy skończył, zajrzał jeszcze do komórki, gdzie Lea gotowała i przechowywała jedzenie, żeby sprawdzić stan zapasów.

— Zjadłbym królika.

Lea uśmiechnęła się i wróciła do mieszania ryżu. Po obiedzie wjechała do pokoju z dwoma wiadrami ciepłej wody.

- Wyręczę cię - rzekł Ramiro. - Chciałbym umyć ci włosy. Ustawił wózek w dalekim kącie pomieszczenia, gdzie

znalazł przerwę w deskowaniu podłogi. Pomógł Lei rozebrać się i posadził ją na krześle. Rozpuścił i namydlił jej włosy, a następnie splukał i wycisnął. Zaczął myć jej ciało. Było smukłe i młeczne. Wprost nie mógł się napatrzeć. Przykrył dłońmi piersi i umył je czule, a gdy skończył, pocałował z uwielbieniem. Przesunął gąbką między jej nogami. Lea wygięła się do tyłu i odchyliła głowę, a jej mokre włosy zafalowały niczym wstęgi. Ukląkł przed nią; ona przesunęła się na krzesło do przodu i rozchyliła dla niego nogi. Zanurzył w niej twarz.

Gdy zapadła ciemność, rozległa się salwa z kondora. Tej nocy zanurzeni w rozkoszy kochankowie nie słyszeli wystrzałów. Na przełęcz rozlegały się krzyki umierających, a oni urodzili się na nowo.

Amada odłożyła kartkę. Miała zaróżowione policzki, a przy tym była zaokrąglona i jakby większa; David miał wrażenie, że ogląda ją przez szkło powiększające.

-Przytyłaś?

- Na pewno, bo ostatnio strasznie się objadam.

Była chyba pierwszą kobietą w życiu Davida, która nie obruszyła się na uwagę o tuszy. Nie żeby nastroiło go to przychylniej w stosunku do niej, o nie. W końcu musiał czekać na nią beczynnym, podczas gdy ona włóczyła się ze swoim nowym kochankiem po najlepszych restauracjach Santa Juana i Bóg raczy wiedzieć ilu przydrożnych motelach. Przy-

gnębiła go jej nieobecność, a teraz, gdy w końcu przyszła, zamiast się cieszyć, stroił fochy.

- No i? - Zdał sobie sprawę, że wszedł w rolę zazdrosnego kochanka.

- Davidzie. — Położyła mu dłoń na policzku.

Odwrócił się ku niej i wciągnął w nozdrza jej zapach. Znowu użyła kilku perfum naraz. O dziwo efekt był wcale niezły. Głowa zachwiała mu się na szyi; pewnie wyglądał jak stary żółw, łysy i ze zrogowaciałą skórą. Jego młodość ukradł ten złodziej - czas. Uśmiech Amady rozświetlił mu serce.

- Jest dla mnie dobry.

„I pewnie w łóżku też nie najgorszy”. David zacisnął palce na podłokietniku.

- Ciągłe jesteśmy we wstępnej fazie związku, ale od dawna nikt mi się tak nie podobał... Dobrze się czujesz?

David otworzył i zamknął usta. Westchnął, napelniając płuca wonią świecy zapachowej postawionej na parapecie. Przez tę nową miłość miała ochotę na wanilię. Amada uklękła przed nim, wyraźnie zaniepokojona.

- Marnie wyglądasz. Zadzwoń po lekarza? Czy medycyna potrafi uleczyć złamane serce?

- Wziąłeś lekarstwa? Podać ci wody?

- Whisky — wychrypiał.

- Davidzie, przecież ty nie pijesz.

- Daj mi się napić. Za twoje szczęście. Amada nie zauważyła sarkazmu w jego tonie.

Wyjęła butelkę z szafki i naląła alkoholu na dno pękatej szklanki. Wychylił whisky duszkiem. Palenie w gardle natychmiast odwróciło jego uwagę od udręczonego serca.

- Chciałbym teraz odpocząć.

- Oczywiście. Pomóc ci przejść do sypialni?

- Nie jestem inwalidą. - Machnął na nią zniecierpliwiony. Rzuciła mu urażone spojrzenie, które jednak zupełnie go nie wzruszyło.

- Dobranoc, Davidzie. — Pocałowała go w czoło i już jej nie było.

Długą chwilę siedział nieruchomo w fotelu. Przyciskał ręce do piersi, jakby chciał wyjąć tkwiące tam ostrze zazdrości. Co za naiwność sądzić, że ta apetyczna dziewczyna, która spokojnie mogłaby uchodzić za jego wnuczkę, nie przestraszy się jego dinozaurzej aparycji i dostrzeże młode, namiętne serce.

- O ironio — westchnął.

Los płatał mu niezłe figle. A jeżeli Bóg naprawdę istnieje, to ma z niego teraz niezły ubaw. Wyglądało na to, że David cały czas był niczym więcej jak tylko bezwolnym przedmiotem w rękach tych trzech kobiet. Carmina wpakowała się z butami w jego życie, kiedy był właściwie jeszcze dzieckiem. Nie miał wówczas wiele do gadania - wymusiła na nim miłość niemal siłą. Hilda zawładnęła jego sercem w chwili, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Nie mógł sprzeciwić się sile uczucia. A teraz ta dziewczyna — dwie kobiety jego życia zlepione w jedno. Przeznaczenie podsunęło mu coś, czego nie może już mieć. Jego los był nierozzerwalnie spleciony z losem tych trzech. Wątpił, czy ma jakikolwiek wpływ na to, co się z nim dzieje. Wyglądało na to, że jego dolą jest wieczna szamotanina w wirze nieodwzajemnionej miłości.

Widzicie mnie, bogowie: biedny starzec, Stoję nieszczęsny, zgięty pod podwójnym Brzemieniem — smutku i lat.

(...) gniew szlachetny
Rozpalcie we mnie i niech broń niewieścia — Wodniste krople —
męskich lic nie kala! (...) Zapłaczę, myślicie? Nie, nie zapłaczę*.
— Cholerna karma - burknął i poszedł do łóżka.

***William Szekspir, *Król Lear*, w przekładzie Stanisława Barańczaka.**

ROZDZIAŁ 22

Maciuś

Gdy po czterech tygodniach nieobecności wrócił Maciek, świat Ramira runął. Maciek był wychudzony, miał zmierzwioną brodę i oblepione zaschniętym błotem włosy. Pachniał i wyglądał jak ścigana zwierzyna. Na jego ramieniu wisiał karabin Ramira, a z boku zwieszał się zarzucony na skos skórzany chlebak. Na widok kolegi uśmiechnął się szeroko i szczerze.

- Miło widzieć, że cały stoisz, a nie tylko twój wacek! Ramiro spurpurowiał.

- Spokojnie, lekarz powiedział, że jednym z objawów tężca jest nadmierne pobudzenie tkanki miękkiej. Co wyjaśnia też twój zadowolony uśmieszek, kiedy cię tu przyniosłem. W twoim wieku permanentny wzwód to niezłe osiągnięcie, co? Mam nadzieję, że klejnoty cię za bardzo nie boją.

Ramiro zdrętwiał z zażenowania. Nie mógł wykrztusić słowa.

- Boże, chyba ci nie odpadły?

- Jeszcze nie - wydukał w końcu.

- Muszą być strasznie sine, stary.

- Maciek, pewnie umieras z głodu. - Lea przyszła kochankowi z odsieczą. Ku wdzięczności Ramira przerwała tę serię niewybrednych żarcików.

- Owszem. - Polak rzucił torbę na łóżko.

Lea wyszła. Obaj mężczyźni odprowadzili ją spojrzeniem.

- Co za anioł - westchnął Maciek i oparł karabin o ścianę w głębi.

Ramiro nie zareagował. Był w rozpacz, że oto ich idylla dobiegła końca. Z roztargnieniem zajrzał do torby. Na dnie leżało kilka fiolek z morfiną.

- Zabrałeś morfinę!

- Była potrzebna na froncie.

Lea wróciła z talerzem chleba i mięsa na zimno. Maciek rzucił się na jedzenie, a Ramiro nie spuszczał go z oka.

-Co?

- Zabrałeś morfinę.

Dziewczyna wjechała do pokoju z wózkiem, na którym stały trzy filiżanki herbaty, dwa wiadra z wodą i mydło.

- Maciek, jeżeli chcesz, możesz umyć się w kącie. Jest tam dziura w podłodze.

- Zabrał morfinę.

Polak przewrócił oczyma i poszedł się umyć. Jego wy-mizerowaną sylwetkę obramowały wpadające do pomieszczenia promienie słońca. Dalej, na zewnątrz, widać było wierzchołki gór — spokojnych, milczących świadków rzezi. W pomieszczeniu panowała cisza, przerywana tylko chlupotem wody w wiadrach i sporadycznym brzęknięciem w komórce, gdzie krzątała się Lea.

Maciek umył się i zaczął ubierać w świeżą odzież, którą zostawiła mu na łóżku pielęgniarka.

- Ruszamy jutro o świcie.

-Jak to?

— Wojna przegrana. Republika pozwala Brygadam Międzynarodowym opuścić kraj. Nie jesteśmy tu już mile widziani. Dwa miesiące temu w Barcelonie odbyła się parada pożegnalna. Znikamy, zanim nacjonałiści zmienią zdanie i zabiorą nas na *paseo*.

— Co z resztą brygady?

— Część nie ma się gdzie podziać. Hitler przyłączył do Rzeszy Kraj Sudecki.

— Ale ty mogłeś uciekać.

Maciek wylał mydliny do dziury w podłodze.

— Nie mogłem was tu tak zostawić, zupełnie bezbronnych. Skąd mielibyście wiedzieć, że czas się stąd wynosić?

Lea wróciła i jedno z wolnych łóżek zaściła czystą pościelą. Pracowała sprawnie, jednym uchem przysłuchując się rozmowie.

— A nacjonałiści? Co noc robią naloty.

— Dlatego ruszamy o świcie.

— Są jeszcze strzelcy.

— Nie pójdziemy przez przełęcz.

Ramiro spojrział na Maćka, żeby sprawdzić, czy nie żartuje.

— Jest inna trasa. Okrężna, zdradliwa, ale nie mamy wyboru.

— Nie możemy iść na Barcelonę? Albo pójść nocą, tylko po prostu chować się przed sztukasami?

— Dasz radę biec?

Ramiro zerknął na Leę. W jej obecności nie mógł skłamać. -Nie.

— Zeby zwiewać przed kulami, potrzeba sprawnych nóg. A Barcelona nie wchodzi w rachubę. Upadnie lada dzień.

— Czyli Katalonia stracona.

Maciek przytaknął. Ramiro pochylił ramiona, zrezygnowany.

- Dlaczego nikt nie ucieka tą trasą?

- Bo są tam Niemcy. Ramiro zamknął oczy.

- Latem przyjechali przeszukać jaskinie. I nadal tam siedzą.

- Czego szukają?

- Świętego Graala.

Ramiro parsknął śmiechem, ale Maćkowi wcale nie było wesoło, więc spoważniał.

- Niemożliwe.

Spojrzeni po sobie, obaj tak samo skonsternowani. Lea przysiadła na łóżku.

- Graal przecież nie istnieje!

- Według legendy istnieje.

- Tutaj? - prychnął Ramiro. — W hiszpańskich górach? Nonsens!

- Ja też nie rozumiem, a jednak. — Maciek wyciągnął się na swojej pryczy. - Chodźmy już spać. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Ramiro przewyciężył niechęć do noszenia ubrań po nieboszczyku i włożył kurtkę oraz spodnie, które Lea położyła mu na łóżku, a nogi wsunął w solidne wojskowe buciory. Kostka poboлеwała. Lea jak zwykle miała na sobie kilka wełnianych koszul, kurtkę i męskie spodnie spięte szerokim pasem. Na stopy włożyła parę sznurowanych butów, które na pewno były na nią za duże, ale na wojnie trzeba obywać się tym, co zostawiają po sobie umarli.

Maciek przerzucił sobie przez ramię karabin i skórzany chlebak Ramira, po czym poszedł do komórki po przygoto-

wane wieczorem przez Leę zapasy żywności i drewna. Noc powoli ustępowała stalowoszaremu porankowi. Przykryte czapami śniegu góry mieniły się fioletowo. Nad wierzchołkami przeleciał sztukas, a potem oddalił się, zapewne w kierunku swojego lądowiska. Maciek skierował się do drzwi, pokazując im ręką, że już czas. Gdy Ramiro schodził po stopniach, jego chorą nogę przeszywały błyskawice bólu.

- W porządku? - Lea podtrzymała go, żeby się nie przewrócił.

Ramiro skinął głową i przygryzł górną wargę.

- Szybko — przynaglił ich Maciek, idący przed nimi ścieżką.

Lea wsunęła się pod ramię kochanka. Polak cofnął się do nich, przeklinając pod nosem, i zapytał:

- Widzisz tamten występ w skale? Dasz radę? Ramiro spojrzał w górę, zmrużył oczy i przytaknął.

- Ja pójdę przodem. Sprawdzę, czy okolica jest czysta. - Maciek żwawo niczym koza zaczął wspinać się na skalną ścianę.

Ramiro położył dłonie na wznoszącej się przed nim skale. Z jego kostki promieniował nieznośny ból, ale on zacisnął zęby i ruszył. Lea pomagała mu znaleźć nogą szczelinę albo wystający korzeń, od którego mógłby się odepchnąć; ilekroć stopa mu się omsknęła, sypał się na nią grad kamyczków. Po jakimś czasie zamajaczyła nad nim jedna, potem druga ręka Maćka. Lea popchnęła jego zadek. Ramiro zarył kolanami o ostrą krawędź skały i już siedział na występie.

- Morfiny.

Lea spojrzała na Maćka. -Zaśnie nam.

- Dam mu akurat tyle, żeby nie zasnął - zapewniła.

Maciek skinął głową. Sięgnął po jeden z plecaków i zaczął przygotowywać śniadanie.

Jedli w milczeniu, dygocząc z zimna. Zza góry wstawało powoli słońce. Był piękny zimowy poranek. W powietrzu czuło się mróz. Wiatr smagał im twarze; policzki wkrótce mieli zupełnie czerwone. Maciek wskazał na majaczący w oddali szczyt.

- Niemcy.

Z daleka wyglądali jak owady wędrujące w poprzek góry. Ramiro przesunął nieco wzrok i dostrzegł czarną plamkę — wejście do jaskini.

- Od dawna to trwa?

- Od paru miesięcy.

- Niewiarygodne. I to wszystko w pogoni za mitem.

- Skąd wiesz, że to mit?

— Daj spokój. Chrystus był biedakiem, synem cieśli. Nie mógł jadać ze złotego talerza i pić z wysadzanej klejnotami czary. Poza tym skąd miał wiedzieć, że to jego ostatnia wieczerza?

— Został zdradzony przed czy po kolacji? — zapytał Maciek Leę.

— Skąd mam wiedzieć? Jestem Żydówką - prychnęła.

— Chyba w trakcie. Tak czy inaczej, ja na jego miejscu nic bym nie przełknął, gdybym wiedział, że jestem poszukiwany. Zamiast marnować czas na jedzenie, zwiewałbym, gdzie pieprz rośnie.

- A jednak - argumentował Maciek — o ten kielich, czy jak to się tam nazywa, przez ponad czterysta lat toczono wojnę. Przecież to o niego chodziło krzyżowcom.

— A nie o ziemię? — podsunął Ramiro.

— O ziemię też, ale to kielich napędzał kolejne krucjaty.

- Krucjaty miały też chyba cel duchowy - wtrąciła Lea. - *Przecież* innowierców, w tym również żydów, torturowano i palono na stosie.

- Mylisz krucjaty z inkwizycją - wyjaśnił Maciek. - W czasie krucjat faktycznie prześladowano różne grupy: niewiernych, oczywiście, ale także innych chrześcijan niekatolików. Działalność Inkwizycji to prześladowania do potęgi. - Pogrzebał w jednym z worków. Wyjął chleb, oderwał kawałek, a potem nożem myśliwskim odkroił sobie plaster sera i podał resztę koledze. — Ja nigdy nie chodziłem na religię, nie uczyłem się katechizmu. Co innego Ramiro. Jako były ministrant na pewno wszystko nam wyjaśni.

Ramiro podniósł na niego wzrok znad krojonego właśnie sera.

- Już ci mówiłem, dlaczego służyłem do mszy.

- Ramiro, nie przestajesz mnie zadziwiać. — Maciek ugryzł chleb.

Pozostała dwójka musiała poczekać, aż skończy przeżuwać, by dowiedzieć się, czym Ramiro go tak zadziwił.

- Nie sądziłem, że opowieści o ojczulku Guido to prawda! — Polak zarechotał. I dostał od Ramira w twarz kawałkiem sera.

Lea wstała.

- Ojej, uraziłem twoją wrażliwość? — zadrwił Maciek.

- Jestem pielęgniarką. Dawno straciłam wrażliwość. - Założyła sobie na plecy jeden z plecaków. - Niemcy zniknęli.

Ramiro i Maciek podnieśli się czym prędzej.

Zapadał zmrok. Ramiro skręcał się z bólu. Przełknąwszy z trudem swoją porcję chleba, zwinął się na ziemi w kłębek w oczekiwaniu na śmierć. Zatrzymali się w wytropionej

•
wcześniej przez Maćka pieczarze. Lea zsunęła Ramirowi spodnie i zaaplikowała zastrzyk w odsłonięty pośladek. Polak tymczasem rozpałał niewielkie ognisko.

- Dałam ci morfiny. Spij.

Ramiro na przemian to tracił przytomność, to się wy-budzał. Słyszał jak przez mgłę, że Maciek i Lea szepczą między sobą po polsku. Czasem się śmiali, czasem mówili coś z troską. Po jakimś czasie zbudził go pełny pęcherz. Zobaczył, że obaj - i on, i Maciek - leżą przytuleni do Lei. Spała na boku, zwinięta w kłębek. Głowę miała w zgięciu ramienia Ramira, który obejmował ją w talii prawą ręką. Maciek przylegał do niej od tyłu. Ramiro przyjrzał się im. Jego kochanka Lea i jego niespodziewany przyjaciel. Zastanawiał się, kim dla nich jest. Wsunął się ostrożnie, żeby ich nie obudzić, i wykuśtykał z jaskini.

Kiedy wrócił, tamtych dwoje już nie spało. Porządkowali plecaki i podsycali dogasający ogień, aby roztopić lód na herbatę. Maciek podał mu kromkę chleba i gruby plaster suchego mięsa.

- Jak myślisz, ile jeszcze?

- Dzień z okładem.

Ramiro popatrzył na wznoszącą się ponad nimi ścianę góry. Pod koroną śniegu lśniła w porannym słońcu jak wypolerowana. Poniżej rozciągały się ogołocone mrozem równiny Francji.

Lea wzięła z ziemi swój plecak.

- Chodźmy.

Maciek założył drugi plecak i przewiesił przez ramię karabin. Podniósł też skórzany chlebak.

- Ja wezmę chlebak - zaproponował Ramiro. - Lepiej się dziś czuję.

Polak podał mu torbę i oddalił się ścieżką. Ramiro przełożył sobie chlebak przez szyję, sprawdził, czy sprzączka jest zapięta, i wyszedł z pieczary.

Podczas zejścia, chcąc nie chcąc, musiał obciążyć ranną nogę. Przez zęby przeklinał, na czym świat stoi, i powtarzał sobie, że chyba lepiej byłoby odpiłować stopę niż tak się z nią męczyć. W pewnej chwili stanęli nad niewielkim urwiskiem. Na dół trzeba było zeskoczyć. Ramiro wypuścił wiązanek złorzeczeń.

- Co się dzieje?

- Chyba skonam, jak skoczę.

- Ale jeżeli tu zostaniesz, na pewno zamarzniesz. — To rzekłszy, Maciek dał susa, wylądował z głuchym łupnięciem i zaraz stanął na nogi. — Teraz ty.

- Nie ma mowy. To co najmniej pięć metrów.

- Poczekaj, ulepię ci lądowisko. — Maciek zabrał się do uklepywania śniegu.

- Żartujesz, kolego.

Lea wyjęła z chlebaka fiolkę z morfiną.

- Będzie czekać na ciebie na dole.

Ramiro spojrział tęsknie na strzykawkę i przysunął się do krawędzi. Dziewczyna włożyła lekarstwo do kieszeni i skoczyła. Wylądowała wdzięczniej niż Maciek.

- Postaraj się wylądować na obu nogach - krzyknął Polak - inaczej złamiesz sobie tę sprawną!

- Łajdak! — Ramiro stanął nad urwiskiem, wymierzył tak, żeby upaść na łate śniegu, i zamknął oczy. Serce zjechało mu do żołądka. Podniósł powieki. — Nie dam rady.

- Ramiro, nie bądź gamoń. Nie możesz tam zostać. Poczul na twarzy wilgoć. Padał śnieg.

- Przez ciebie jesteśmy tu uziemieni. Skacz.

Ciężko zaczerpnął powietrza, przykucnął i runął w dół. Gdy tylko dotknął ziemi, nogę przeszył mu nieopisany ból. Zwymiotował śniadanie na śnieg. Lea od razu wbiła mu igłę w udo.

- Idziemy. - Maciek pomógł mu wstać. — Zanim odpłyniesz po lekach.

Doszli do pola, które widzieli rano z góry. Słońce zaczęło przeobrażać się w ogromną tarczę ognia. Ramiro był szczęśliwy, że wreszcie wyszli z gór. Były takie bezbarwne. Miał ochotę wytarzać się w trawie, która mimo zimna odważnie wychylała się z ziemi.

- Spójrzcie na niebo! Widzieliście kiedyś, żeby było takie fioletowe? A słońce takie czerwone?

- Nie, Ramiro, to morfina.

- Możemy się tu zdrzemnąć?

- Musimy iść dalej.

- Kiedy tu jest tak ładnie. Poczekajcie, zrobię zdjęcie. — Rozpiął klamry chlebaka, pogrzebał w jednej z przegródek i wydobył aparat.

- Skąd go masz? — zainteresowała się Lea.

- Z Meksyku.

- Wzięłeś na wojnę aparat?!

- Oczywiście. Jestem fotografem. - Ramiro przygotował urządzenie. Maciek i Lea patrzyli na niego zdumieni. — Dobra, uśmiechnijcie się, bo robi się ciemno.

Sześćdziesiąt lat później Amada szeroko otwartymi oczyma przyglądała się sepiowemu portretowi dwojga ludzi, który znalazła w notesie Ramira między zapiskami o wojnie. Brzegi zdjęcia pożółkły, a tło było rozmazane,

twarze jednak widziała dokładnie. Kobieta przyciągała wzrok; miała jasne, skośne jak u kota oczy. Mężczyzna był wysoki i brodaty, a jego głowę pokrywała chmura kręconych włosów. Przez ramię przewiesił sobie karabin. Oboje ubrani byli w kurtki w stylu Che Guevary i patrzyli w obiektyw z konsternacją.

Schowali się przed zimnem w opuszczonej chatce myśliwego. Strzecha była przegniła, ale przynajmniej nie siedzieli na widoku. Maciek rozłożył resztkę zapasów, a Lea przyjrzała się nodze Ramira. Jego kostka wyglądała jak klocek. Zacisnął zęby, kiedy kobieta owijała ją bandażem, ale nic nie powiedział. Ból zabił w nim wszelką ochotę na pogawędkę.

- Trzymaj nogę w górze. Rano powinno być lepiej. Potem sama zdjęła buty i rozwiesiła wełniane skarpetki.

Na widok bąbli na jej skórze Ramirowi ścisnęło się gardło. Miał ochotę pocałować ją w stopy.

Zjedli w ciszy. Żadne nie dawało po sobie poznać, że się martwi. Maciek zwinął pusty plecak i wsunął go sobie pod głowę. Ramiro położył się i oparł nogę o drewnianą ławę. Wkrótce zaczął chrapać.

- Jutro skręcamy na południe — powiedział Maciek po polsku.

- Czemu? - Lea zmarszczyła brwi. — Przecież mieliśmy iść na wschód.

- Najpierw musimy dostać się do Perpignan. Najlepiej byłoby znaleźć jakąś łódź w Port-Vendres. Tak chyba najszybciej do Marsylii.

- Chcesz go odesłać — rzuciła oskarżycielsko.

- Jego dom jest w Meksyku. Pewnie ma tam rodzinę. Przez chwilę nic nie mówiła, wstrząśnięta.

-Wracasz potem do Hiszpanii?

- Nie. Ty też nie. Wojna przegrana. Czas wracać do domu. Wyszli o świcie. W żołądkach burczało im niemiłosiernie. Puste plecaki porzucili w chacie.

-Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytał Ramiro.

- Pewnie gdzieś koło Font-Romeu. Albo Prades. — Maciek zmrużył oczy. - Patrzcie!

W oddali widać było nitkę dymu. Zostawiając Ramira w tyle, Lea i Maciek ruszyli przez otwarte pole. Po chwili ich oczom ukazał się domek z kamienia. Jakiś człowiek karmił kury ziarnem.

- *Bonjour!* — mówił Maciek, kiedy dobił do nich Ramiro. — *Vous-avez du pain?*

Mężczyzna przyjrzał im się uważnie i przykazał dłonią, żeby poszli za nim. Wskazał wiszące nad studnią wiadro. Potem, kiedy już ochlapali się lodowatą wodą, a policzki piekły ich od zimna, usiedli i dygocząc, czekali na zaproszenie do środka. Wewnątrz słychać było szmer głosów. Po chwili z wnętrza wyłoniła się kobieta i gestem wskazała, że mogą wejść. Wsypali się niezdarnie do kuchni.

Kobieta stanęła nad opalonym drewnem piecem, a mężczyzna wyciągnął palec w stronę karabinu. Kiedy dostał go do ręki, zważył z uznaniem.

- *Allez, les oeufs!* - rzekła kobieta.

Jej mąż położył karabin na ławce koło drzwi i wyszedł. Kobieta postawiła na blacie dzbanek z kawą i zachęciła, żeby usiedli. Ramiro i Maciek zajęli miejsce przy stole, ale Lea cały czas stała.

- Co jest? — zapytał ją Maciek.

- Nie możemy ich objadać.

- Mam parę peset.

Spojrzała na niego. -Pokaż.

Maciek z westchnieniem wsunął rękę do kieszeni.

— Zadowolona?

Lea usiadła. W tym samym momencie mężczyzna wrócił do kuchni, niosąc w koszyku jajka.

— *Café?* - zapytał.

Nie czekając na odpowiedź, nalał kawy i ciepłego mleka do trzech miseczek. Jego żona zabrała się do wbijania jajek na patelnię.

Po posiłku, który był ich pierwszym ciepłym jedzeniem od wielu dni, Maciek wyjął z kieszeni garść monet.

— *Non, non* — zaprotestowała Francuzka. - *C'est la guerre.*

— *Oui.* - Maciek potaknął. - *La guerre.*

Wzruszył ramionami i schował pieniądze. Ramiro pokuśtykał ku drzwiom, wziął z ławki karabin i podał go rolnikowi. Ten spojrzał na niego szeroko otwartymi oczyma.

— *Non...* — Jego czerstwa twarz jeszcze się zaczerwieniła.

— *S'il vous plaît. La guerre est fini.*

— *Et alors?* — Mężczyzna patrzył na nich zdezorientowany. Jego żona ponuro pokręciła głową.

— *C'est fini* — Maciek wykonał rękami gest zdecydowania. Kobieta spojrzała mężowi w oczy i wskazała wzrokiem drzwiczki do spiżarni.

Rolnik odłożył swój nowy karabin na stół i poszedł do spiżarni po koło sera, jedną z wiszących pod sufitem szynkę i butelkę wina. Jego żona podała mu bochenek chleba leżący na kratce obok pieca.

— *Pour le voyage* — powiedział mężczyzna i wręczył jedzenie Maćkowi.

— *Merci.* — Polak włożył zapasy do chlebaka.

Rolnik odprowadził ich na skraj *gospodarstwa*.

- *A bientôt*— zawołał za nimi. - *Et bonne chance, eh?*

Po południu usiedli na trawie, żeby się posilić. Maciek wyjął z torby rolleifleksa, zaczął obracać go na wszystkie strony i wypytywać, który guzik do czego służy. Ramiro wyjaśnił, czym jest przysłona, czas naświetlania i materiał światłoczuły.

- A jak działa to tutaj?

Ramiro otworzył komin z wierzchu aparatu.

- Patrzysz przez wizjer i wybierasz kadr. — *Przycisnął* rolleifleksa do piersi i zajrzał od góry w wizjer, celując obiektywem w Leę. - Tutaj ustawiasz przysłonę i czas. — Poruszył pokrętłem i dźwigienką. - I wciskasz spust.

Podał Maćkowi aparat i usiadł obok Lei. Ona zapytała, co ma robić. Ramiro odgarnął jej za ucho kosmyk włosów i powiedział, żeby uśmiechnęła się do obiektywu. Tyle że Maciek nacisnął za szybko, jeszcze zanim zdążyli znieruchomieć i przywołać na twarz udający uśmiech grymas.

Wszystko, co uchwyciła niezidentyfikowana zjawą ukryta za aparatem — czuły gest Ramira, jego oczy pełne miłości do niej, jej pochyloną ku niemu głowę i słodki uśmiech; półotwarty skórzany chlebak u jej stóp, łagodne wzgórza za ich plecami - miało prześladować Davida do końca jego dni.

ROZDZIAŁ 23

Długa droga do domu

Serce Ramira kipiało miłością, zazdrością i żalem. Kiedy statek, na który wsadzili go Maciek z Leą, wypłynął z portu w Marsylii, zamknął się w kajucie i wył jak dzikie zwierzę. Dlaczego w ogóle zgodził się wracać do Meksyku? Powinien był pojechać z nimi do Polski. Zdał sobie sprawę, że zjawi się w domu dopiero za kilka tygodni. A zanim odzyska wolność - w najlepszym razie minie kolejnych kilka miesięcy. Miał ochotę walić głową w ścianę. Mógł przecież upozorować swoją śmierć na froncie wojny domowej, tak jak ten aktor awanturник.

Ścisnęło go w żołądku, ilekroć przypominał sobie, że Lea nic mu przecież nie obiecywała. Chyba nie potrzebowała go tak wariacko, jak on jej. Czy jego obsesja to miłość? Jeżeli tak, to nie podobał mu się żart, jaki spletał mu los. Znaleźć kobietę swojego życia u progu wieku średniego — żalosne. Na myśl, że straci Leę na zawsze, odnosił wrażenie, że ktoś wyrywa mu wnętrzności. Świat śmiał się z niego, bezgranicznego głupca. Wymyślał sto jeden możliwych scenariuszy, wszystkie jednak kończyły się tragicznie. Potwór zazdrości szczyrzył kły.

Mył się od czasu do czasu, z rzadka wychodził na spacer po zasolonym pokładzie. Niekiedy przypominał sobie, że musi jeść. W Anglii krążyły plotki, że Francja i Wielka Brytania zamierzają uznać reżim Franco. To przygnębiło go jeszcze bardziej.

Na ląd w Nowym Jorku zszedł cień człowieka. Ramiro był tak blady i wychudzony, jak gdyby dalej chorował na tężec. O mały włos, a urzędnik imigracyjny skierowałby go na kwarantannę. Puścił go dopiero, gdy Ramiro wyjaśnił, że walczył w wojnie domowej w Hiszpanii. W oczekiwaniu na pociąg usiadł na ławce i zaczął przygotowywać się psychicznie do przeprawy z Hildą.

Po blasku w jej oczach nie było śladu. Uśmiech znikł. Widać było, że ogarnęła ją apatia. Jedzenie stanowiło ważny składnik tamtego związku, więc zupełnie straciła apetyt. Davida gniewało wcześniej, że odbiera mu ją nowy mężczyzna, ale teraz, gdy widział ją w takim stanie, było mu bardzo przykro. Postawił przed nią filiżankę herbaty i wyjął z szafki paczkę ciastek.

- Jedz.

Amada ujęła w dłonie ciepłą filiżankę i rzuciła mu smutny uśmiech.

- Śmiało, powiedz. -Co?

- Ze jestem kretynką.

- Przynajmniej szybko minęło.

- Davidzie, to on mnie rzucił.

David ledwo utrzymał wściekłość na wodzy. Niektórych facetów trzeba by wykastrować.

- Pewnie nie pocieszysz cię to teraz ani w ciągu najbliższych tygodni, ale gwarantuję, iż za pięć lat twój były bę-

dzie rwał sobie włosy z głowy, że cię stracił. Tymczasem ty znajdziesz kogoś, kto naprawdę na ciebie zasługuje, a na ten związek będziesz patrzyła jak na przelotną, mało ważną przygodę. Zaufaj mi.

- Davidzie! - Rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją i poczuł, że jemu też zbiera się na płacz, ponieważ jest skazany na życie bez niej. — Ja chyba za mocno kocham.

Stary mężczyzna przeklął w duchu bogów, że ich dwoje tak zupełnie nie zgrało się w czasie.

- To chyba nic złego.

Odsunęła się i spojrzała mu w oczy. Ostatkiem sił powstrzymał się, żeby nie natrzeć na nią wygłodniałymi ustami.

- W takim razie, gdzie robię błąd?

- Ja mam ci mówić? Sama chyba znasz siebie najlepiej. Pokręciła smutno głową.

- Serce mam na dłoni. Podaję je każdemu mężczyźnie, który się nawinie. A oni je depczą.

David westchnął.

- Zakochujesz się w niewłaściwych facetach, prawda?

- Bez przerwy. Jestem królową miłosnych pomyłek. Przytulił ją do piersi. Tętno mu galopowało. „Weź moje serce i zrób z nim, co zechcesz”.

- Mężczyźni są „niewdzięczni, niestali, obłudni oraz fałszywi” i „mniej boją się skrzywdzić tego, kto budzi miłość, niż tego, kto budzi obawę”*. Machiavelli. Amado, nie zapominaj, że mężczyźni to zwierzęta. Biegniemy za kobietą, bo uwielbiamy polować. Kiedy złapiemy zdobycz, lecimy za następną. Zew natury.

- A jednak ty pozostałeś lojalny wobec mojej babci.

***Przełożyła Anna Klimkiewicz.**

Pogładził jej ramię i opuszkami palców dotknął jedwabistej skóry na karku. Pachniała mydłem. Najwyraźniej przestała się perfumować.

— Twoja babcia była wyzwaniem. W pewnym sensie mną też powodował zew natury.

— To czemu mężczyźni w ogóle się żenią?

— Kiedyś trzeba się sparować.

— A więc szukacie odpowiedniej samicy.

— Dbamy o doskonałość gatunku.

— Przetrywają najsilniejsi, tak?

— U ludzi nie do końca. To przecież kobieta zabiega o pozycję plemienia. Ludzkość nie przetrwałaby, gdyby nie kobieca walka o lepsze.

— Kobiety i ich parcie na awans społeczny... Dlatego szukamy bogatych mężów.

— Niektóre panie same się bogacą. Na przykład twoja babcia...

— ..tyranizowała dziadka.

— Bez niej by przepadł.

— Jestem dla niej zbyt surowa. - Wzruszyła ramionami. — Chyba idealizuję dziadka, bo fascynuje mnie Lea. Chciałabym, żeby żyli długo i szczęśliwie.

— Piękna opowieść, prawda? Ale w końcu ją zranił, ponieważ, jak napisał Machiavełli z pięćset lat temu, „miłość oparta jest na zobowiązaniach, które ludzie - ponieważ są źli — zerwą przy pierwszej okazji dla własnej korzyści”*.

— Jak ty to wszystko zapamiętujesz?

— Łatwiej jest cytować mądrych ludzi niż samemu mądrze mówić.

*** Przełożyła Anna Klimkiewicz.**

— Jesteś zbyt skromny.

— Dziękuję za komplement. No dobrze. Pamiętaj, że romanse to przeżytek. Kto jak kto, ale ty powinnaś to wiedzieć. Zobacz, jak traktują cię mężczyźni.

Odsunęła się, zraniona.

— Jesteśmy w podobnej sytuacji. Moja babcia też potraktowała cię nie najlepiej. Zmarnowałeś na nią swój przydział miłości.

Wymierzyła mu cios poniżej pasa, ale przyjął go z godnością.

— To było silniejsze ode mnie.

— A ode mnie silniejsze jest zakochiwanie się w bęcwałach.

— Świetnie się zatem rozumiemy.

Zeby opóźnić spotkanie z Hildą w Santa Juana, Ramiro zatrzymał się w San Francisco. Zameldował się w hotelu prowadzonym przez Portugalczyków, nieliczny dobytek zostawił w swoim pokoju i poszedł złożyć wizytę starym kątom, które znał jako młodzik, gdy jeszcze nie miał na głowie ani żony i dzieci, ani perspektywy porzucenia ich dla kochanki. Pomaszerował w dół wzgórza, w stronę parku Presidio, żeby przyjrzeć się mostowi Golden Gate; siedemnaście lat temu, gdy wyjeżdżał z miasta, był pewien, że pozostanie on w sferze planów. Stał przy jednym z teleskopów, wrzucił monetę i wycelował okularzem w most. Wielkie samochody mknące po autostradzie zaparły mu dech w piersiach.

Z parku przeszedł do doków. Miał wrażenie, że razem z nim z Europy przyplłynęły tu trzeszczące drewniane pałę z portu w Marsylii, oleista woda i zapaszek nadgniłych ryb. Na boi przycupnął pelikan, niewykazujący ani krzty zainteresowania lwem morskim, który wynurzył się z wo-

dy. Po niebie fruwały rozkrzyczane mewy. Znad zatoki nadciągała gęsta mgła.

Rozpoznawał co prawda zapachy i dźwięki sprzed lat, ale całkiem inaczej zapamiętał to miasto. Teraz dostrzegał uczepionych pali pijaków i czuł ich kwaśny oddech, kiedy żebrali o drobne na alkohol. Wcześniej wydawało mu się, że kobiety sprzedające swoje wdzięki na ulicy miały miłe, czułe twarze, dzisiaj zobaczył w nich cwana bezwzględność. To nostalgia je upudrowała. Atmosfera była tu odpychająca.

Kiedy czasem starał się przypominać sobie sceny z przeszłości, wszystko spowijało coś na kształt gęstej mgły. Dźwięki dobiegały go stłumione, jakby zza zamkniętych drzwi. Teraz wszystkie wspomnienia nabrały realnego wymiaru. Nagle uderzyło go stalowoszare światło, smród ryb, kakofonia dzwonek tramwajowych, wycie klaksonów i smolisty zapach opon hamujących gwałtownie samochodów. Wysoko w górze skrzypiały żurawie pracujące nad rozładunkiem statków. Dokerzy przeklinali, obnośni handlarze reklamowali swoje produkty, a dzieci domagały się waty cukrowej. W oddali grała muzyka na żywo. Tam właśnie się skierował - do parku po drugiej stronie ulicy.

Między drzewami zabawa trwała w najlepsze. Był akurat dzień świętego Walentego, patrona zakochanych, więc placyk udekorowano czerwonymi wstążkami i sercami. Trzeba było oddać Amerykanom sprawiedliwość - na napędzaniu sprzedaży znali się jak mało kto. Zręcznie wykorzystywali coraz to nowych świętych, żeby podtrzymać zakupowe szaleństwo: mikołajki w grudniu, potem Boże Narodzenie i styczniowe wyprzedaże, podczas których sklepy pozbywają się świątecznych towarów. W lutym święty Walenty i tony serduszek z czekolady. W marcu dzień świętego Pa-

tryka i Wielkanoc (na pamiątkę samego Chrystusa!), w maju dzień matki, a w czerwcu — dzień ojca. Było też święto nadziewanego indyka. Kiedy brakło świętego, sięgano po kogoś z piekła. Wszystko po to, by podtrzymać u ludzi nawyk rytualnego wydawania. Ameryka jest krajem, w którym miłość mierzy się ceną prezentu na walentynki.

Rozbawieni ludzie nie mieli pojęcia o manipulacji, jakiej padli ofiarą, i niezrażeni nadciągającą mgłą bawili się w najlepsze. Szczelnie opatulone płaszczami dziewczyny czekały, aż ukochany kupi im jabłko w karmelu albo balon sprzedawane w kolorowych wozach. Otoczony gruchającymi gołąbkami Ramiro poczuł się jeszcze bardziej samotny, ruszył więc dalej. Przeszedł prosto kilkaset metrów, a potem skręcił w Sutton i schronił się przed zimnem w taniej restauracji. Tam przez pewien czas popijał kawę i obserwował stałych bywalców.

Po trzech kawach i kawałku szarlotki postanowił wrócić do siebie. Nie chciał iść tą samą trasą, więc poszedł dalej Sutton i minął Van Nuys. Oddalając się od nabrzeża w stronę wzgórz, zamknął kółko. W hotelu zabawa trwała w najlepsze.

— Tańce z okazji świętego Walentego — poinformował człowiek za kontuarem. - Przyszło mnóstwo Latynosek.

- Przecież święty Walenty to Włoch.

— One rzucają się na parkiet w dzień dowolnego świętego. A nawet i diabła.

- Ja mam już chyba dosyć wrażeń. - Ramiro wziął klucz i poszedł na górę do pokoju.

Po trzech filiżankach kawy i z szalejącą na dole orkiestrą nie mógł jednak zasnąć. Poszedł do łazienki, umył się, ogolił i przebrał w czyste ubrania. Wtedy zorientował się, że zapomniał kupić sobie nowe buty; nie miał wyjścia, musiał włożyć stare, wojskowe. Odchudzony, w czarnym swetrze

z golfem i szarych wełnianych spodniach prezentował się całkiem nieźle. Ciemne włosy zaczesał do tyłu, a jego piwne oczy nadal lśniły młodością. Gdyby był narcyzem, mógłby popaść w samozachwyty. Doszedłszy do wniosku, że ma niesamowite szczęście, bo nikt nie rozkwaślił mu nosa, wyszedł z pokoju i skierował się na dół.

Z tańców Ramiro opanował tylko krok dostawiany, którym na ringu unikał ciosów. Ciągle bolała go kostka, w dodatku miał na nogach ciężkie buciory, wobec czego raczej nie nadawał się na partnera do tańca. Zajął miejsce w ciemnym kącie przy barze i z drinkiem w dłoni przyglądał się wirującym na parkiecie parom. Kobiety wyglądały zjawiskowo w kreacjach z czerwonego jedwabiu. Niektórym lśniły w uszach rubiny. Mężczyźni ubrani byli w smokingi albo eleganckie garnitury z czerwonymi walentynkowymi krawatami. Orkiestra grała fokstrota. Ramiro przyglądał się tej scenerii z wysokiego stołka. Miał wrażenie, że wszystko zaaranżowano specjalnie dla niego. Popatrzył chwilę, a potem wyszedł bocznymi drzwiami na taras.

Oparł się o barierkę. Zza zamkniętych drzwi dobiegała muzyka. Nad zatoką wisiał księżyc w pełni, więc mimo zimna Ramiro nie miał ochoty wracać do środka. W pewnej chwili na taras wybiegła para. Mężczyzna niemal od razu rzucił się na kobietę i pocałował ją zapamiętale i nieco niezgrabnie.

— Przestań. - W głosie kobiety pobrzmiwał śmiech.

— Pragnę cię. - Uniósł jej sukienkę na tyle wysoko, że zaświeciła podwiązka jasnej pończochy.

— Przestań. - Odtrąciła jego rękę. Już się nie śmiała.

— Wcale nie chcesz, żebym przestał. - Położył dłoń na przodzie jej majtek.

— Zostaw mnie! — Odepchnęła go.

Ramiro z zakłopotaniem obserwował całą sytuację. Zaczął wycofywać się do środka. Źle zrobiła, że zeszła z parkietu z tym brutalem.

— Przestań! — Teraz w jej głosie słychać było strach.

— Przecież tego chcesz — burknął i przyciągnął ją z powrotem do siebie.

Ramiro zatrzymał się.

— Nie! — Jednym ruchem odepchnęła i spoliczkowała mężczyznę.

— Szmata! - Oddał uderzenie. Kobieta zachwiała się, zaskoczona. Napastnik wykręcił jej rękę do tyłu.

— Puszczaj!

— Dostaniesz to, o co prosiłaś się cały wieczór.

Naparł na nią ciałem i wetknął jej rękę pod sukienkę. W tej samej chwili pięść Ramira wylądowała na jego szczęce. Mężczyzna aż usiadł na ziemi.

— Jest pani cała? - Ramiro podtrzymał nieznajomą. Ona dotknęła policzków, jak gdyby chciała ukryć przed

nim, jakie są czerwone. W jej szarych oczach kryło się przerażenie, a z wargi ciekła krew.

— Musi się pani napić. Dotknęła ust.

— Nie mogę się tak pokazać ludziom.

Ramiro poprowadził ją w stronę bocznych drzwi do baru.

— Podpuszczalska! — warknął za nimi mężczyzna. Zeby trzymać pion, chwycił się barierki.

— Coś czuję, że nie dałbyś mi rady! - odkrzyknęła i weszła z Ramirem do środka.

— Proszę. — Podał jej serwetkę, którą przycisnęła do ust. ~ Trzeba będzie przyłożyć lód. Już puchnie. — Spuchnięte

czy nie, miała najbardziej kuszące usta, jakie w życiu widział. - Dla mnie to samo, a dla pani szkocka! - zawołał do barmana.

Wypiła whisky duszkiem, krzywiąc się, gdy alkohol dotykał ranki. Przyjrzała się sobie w lustrze za barem.

— Wie pan, gdzie mogę się doprowadzić do porządku?

— Może w łazience?

— Nie, nie chcę się tak pokazywać. Poza tym tamten mógłby mnie znaleźć.

— Mam tu pokój. - Wyjął z kieszeni klucz i przesunął go ku niej po blacie. - Piąte piętro. Winda na lewo od recepcji. Proszę się nie spieszyć.

Otaksowała go przenikliwym spojrzeniem szarych oczu, jak gdyby starając się nauczyć na pamięć jego twarzy. W półmroku jej źrenice rozszerzyły się. Powoli rozchyliła wargi w delikatnym uśmiechu. Dotknęła skaleczenia. Ramiro wbił wzrok w jej ponętne usta.

— Porządny z ciebie facet. Chciałabym, żebyś poszedł ze mną.

Ramiro wychylił drinka jednym haustem.

Dziesięć minut później to on całował ją zapamiętale i niezgrabnie. Rozpuścił jej włosy, a na jej ramiona spadła burza złotych loków. Koniuszkiem języka zlizął krew z wargi. Ona wsunęła mu dłonie pod sweter i zaczęła pieścić jego skórę. Przesunęła palcami po włoskach rosnących pośrodku klatki piersiowej i pokierowała dłonie w dół, gdzie owłosienie zniknęło pod paskiem. W pokoju robiło się gorąco.

Zdjął sweter i zabrał się do rozpinania guzików z tyłu jej sukienki. Jedwabista materia zsunęła się z jej ramion i wylądowała na podłodze. Ramiro nie widział wcześniej, żeby kobieta wyglądała tak ponętnie.

- Kim jesteś?

- Podpuszczalską — odparła i rozpięła mu pasek.

Pod ciężarem sprzączki spodnie osunęły się na jego wojskowe buty. Popatrzyli na swoje nogi zaplątane w stercie ubrań i równocześnie parsknęli śmiechem, jakby znali się od dawna. Ona wyszła z sukienki, on usiadł na łóżku, by rozwiązać buty.

- Jesteś żołnierzem.

- Walczyłem w wojnie domowej w Hiszpanii. - Zdjął spodnie i skarpetki.

Usiadła przy nim i musnęła palcami bliznę.

- Szrapnel?

- Zgadłaś. - Kłamstwo pasowało jak ulał.

- Ciągle utykasz.

- Mogło być gorzej. - Położył rękę na jej pończosze i zaczął zataczać kciukiem leniwe koła po mlecznym udzie. - A ty?

- Żadnych pytań. - Odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy.

- Nie powiesz mi, kim jest tamten facet? Otworzyła oczy. Błyszczały jak stal.

- Przyszłam z nim na zabawę. To był błąd.

- Żaden mąż, chłopak? Nie powinienem się martwić? Usiadła na nim okrakiem.

- Skoro się dopytujesz: poznałam go tydzień temu na tańcach. Wtedy też za dużo wypił.

- I dlatego przyszłaś z nim dzisiaj? Dziobnęła go figlarnie w ramię.

- Na trzeźwo jest całkiem miły. A poza tym nudziło mi się. Lubię tańczyć fokstrota. — Polizała końcem języka skaleczenie na wardze.

— Rany, powinnam być mądrzejsza, jestem przecież wdową.

Przysunął ją do siebie.

- Czyli zakładam, że nie robimy nic złego.

- Słusznie zakładasz.

A następnie przeleciała go, aż furczało.

Otworzył oczy w chwili, kiedy wychodziła z pokoju. W bladym blasku świtu *zobaczył tylko* jej jasną twarz i opadające na ramiona loki.

- Jak się nazywasz?

- Carmina - odparła i zamknęła za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 24

Spotkanie

Robiło się późno. Amada była tak pochłonięta książką dziadka, że straciła poczucie czasu. David nie miał nic przeciwko temu. Zawierucha po zerwaniu już minęła. Ona i on wrócili do spokojnego biegu swojej przyjaźni. Istniała tylko muzyka Davida i słowa zapisane przez Ramira. Kiedy tak ją obserwował, zapominał na chwilę o starości swojego ciała. Skupiał uwagę na jej skórze, brwiach zmarszczonych nad lekturą maszynopisu i przygryzionej wardze. Gdyby miał pięćdziesiąt lat mniej i komplet zębów, sam chętnie by ją przygryzł.

Historia dobiegała końca, więc Amada przychodziła do niego coraz częściej. Przeczytane strony leżały w schludnej kupce na stoliku do kawy naprzeciwko krzesła, które sobie przywłaszczyła. David doszedł do wniosku, że tak musi wyglądać udane małżeństwo. Kobieta na swoim krześle, mężczyzna na swoim. Pokój wypełniony muzyką Sibeliusa. Czułość i zaufanie. Wspólna cisza. I spajająca ich związek głęboka przyjaźń.

Amada odłożyła na stertę ostatnią kartkę. Bez zdziwienia spostrzegła, że David się jej przygląda. Umościła się na krześle

i przez chwilę siedziała bez ruchu. Lampa ją razila, więc zamknęła oczy. David czekał, pochłaniając wzrokiem jej twarz.

— Kiedy dziadek dawał ci maszynopis, wiedziałeś, że to jego wspomnienia?

-Nie.

— Nie miałam pojęcia, że on i Carmina...

— Jaki ten świat mały.

— To dlatego sprzeciwiała się małżeństwu moich rodziców? David wzruszył ramionami.

— Możliwe. I pewnie dlatego tak nie lubiła mówić o przeszłości.

Carminę do domu Hildy córka z narzeczonym musieli zaciągnąć niemal siłą. Co zrobić, nie lubiła chłopaka. Przypominał jej bzyzącą nad głową muchę. Pochodził z dobrego domu, owszem, ale Carmina nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w tej rodzinie kryje się jakaś tajemnica — z rodzaju tych, które rzucają się w oczy nawet zamiecione pod dywan. Młodzi zamierzali świętować zaręczyny bankietem w domu jego matki. Pomysł wydał się Carminie nieznośnie pretensjonalny.

Ze względu na córkę udawała, że robią na niej wrażenie szykowne wnętrza, przestronny salon, gustowne, choć przewidywalne obrazy na ścianach, puszyste orientalne dywany i japońskie maski. Weszła do biblioteki, gdzie kelnerzy serwowali szampana. Jej wzrok padł na portret Ramira. Pobladła i zadrzała pomimo gorąca buchającego z kominka. David ani na chwilę nie spuszczał jej z oka. Było to ich pierwsze spotkanie od pamiętnej sceny w salonie fryzjerskim. Carmina zachwiała się i złapała za gzyms kominka.

David wstał. Nogi miał jak z waty, ale ruszył w stronę Carminy. Hilda była jednak szybsza. Carmina obróciła się, a gdy zobaczyła przed sobą Hildę, otworzyła szeroko oczy.

— To ty! — syknęła Hilda.

Twarz Carminy upodobniła się kolorem do ściany za jej plecami.

— Co robisz w moim domu?

Carmina wskazała wzrokiem swoją córkę, uczeponą ramienia Venancia. Hilda wydała cichy okrzyk zgrozy.

— Nie ma mowy! - warknęła.

Wściekle przemaszerowała przez pokój. Carmina popędziła za nią.

— Matka twojej dziewczyny źle się czuje. - Hilda rzuciła swojej przeciwniczce pogardliwe spojrzenie. - Musi iść do domu.

— A bankiet? - Venancio był rozczarowany.

— Odwołany.

— Mamo, chyba żartujesz. Mamy gości.

— Należysz do rodu Gonzagów. Mój syn nie poślubi córki fryzjerki. - Ostatnie słowo zabrzmiało w ustach Hildy jak nazwa choroby.

— Odwiozę je - zaproponował David, zanim burza rozpełtała się na dobre.

Hilda obróciła się ku niemu na pięcie.

— Świetnie. Mają tu nigdy nie wracać — oświadczyła i wyprowadziła Venancia z pokoju.

— Drogie panie... - zaczął David.

Carmina była tak oszołomiona, że w pierwszej chwili go nie poznała. Jej córka spojrziała na drzwi, gdzie zniknął jej narzeczony, najwyraźniej gotowa rzucić się za nim. David złapał ją za ramię, żeby nie zrobiła z siebie widowiska.

— Tędy proszę — powiedział i pociągnął dziewczynę ku drugim drzwiom.

Widząc, że zakochani rozeszli się w dwie różne strony, goście natychmiast zaczęli plotkować. David był ciekaw, jak

Hilda *wytłumaczy im, co się stało*. Przed domem otworzył swój samochód i wpuścił Carminę na siedzenie pasażera. Dziewczyne upchnął z tyłu i dopiero wtedy puścił jej ramię. Wsiadł i włączył silnik.

— Dlaczego nie mogę zostać na własnym przyjęciu zaręczynowym?
— odezwała się córka.

Carmina zamknęła oczy.

— Nie wyjdiesz za niego.

— Bo mi zabraniasz?

— Jego matka też - przypomniała jej Carmina.

— Kochamy się. Nie rozdzielicie nas. — Dziewczyna teatralnie rzuciła się na oparcie fotela.

W lusterku wstecznym David podziwiał jej urodę. Miała świeżą cerę, piwne oczy - teraz pociemniałe od gniewu - i smukły, elegancki nos. To pewnie Carmina uczesała ją w stylu obecnej pierwszej damy USA. Ubrana była dorośle, lecz i tak wyglądała przeraźliwie młodo. Policzki płonęły jej oburzeniem, a usta wydeła jak dziecko.

— Gdzie was zawieźć?

Carmina podała adres. Kiedy zaparkował pod ich budynkiem, dziewczyna wyszła z samochodu, trzasnęła drzwiami i oddaliła się chodnikiem, stukając wysokimi obcasami. Wkrótce zniknęła za rogiem.

— Dasz się zaprosić na kawę?

— Wolalabym coś mocniejszego.

— To tak dowiedziałeś się, co zaszło między nią a moim dziadkiem? - odezwała się Amada.

— Nie żartuj. Wiesz przecież, jak trudno coś wyciągnąć z Carminy. Próbowала się wypierać, ale w końcu powiedziałem o maszynopisie.

Amada spojrzała na niego z wyrzutem.
— Mogłeś wszystko naprawić. Wiesz o tym, prawda? Westchnął.
— Tak. Mogłem. Jeżeli dobrze pamiętam, po drugim drinku dla kurażu Carmina zasugerowała nawet, żebyśmy spróbowali jeszcze raz.
— No i?—Amada uniosła brew. -Odmówiłem.
- Rany. Daridzie. Nawaliłeś. -Wiem.
— Carmina była bardzo śmiała, prawda?
- Prawdziwa emancypantka.
— Rozumiem. Tremowała cię, więc zmarnowałeś życie, uganiając się za niedostępną Hildą.
- Żałosne, co?
— Owszem.
- Nie owijasz w bawełnę. Jak Carmina.
- Babcia nie ma czasu na hipokryzję. Powie, co jest nie tak, zamiast mydlić oczy. Dziwne, że nie znasz jej od tej strony.
- Znam. Dawniej mnie to drażniło. Amada uśmiechnęła się i pokręciła głową.
- Jesteś niemądry. A jak to było z rodziną od strony taty? Hilda umiejętnie podsyciła manię wielkości Venancia, przypominając mu o szlachetnym pochodzeniu Gonzagów i walącym się zamku, który kupiła w Hiszpanii. Kiedy narzeczona zadzwoniła do ukochanego z telefonu w sklepie fa rogu, usłyszała, że zaręczyny zostały zerwane. Carmina przytuliła córkę w nadziei, że trochę popłacze i zapomni.
W wieku piętnastu lat dziewczyna została wybrana na królową szkoły. Zaraz potem porwał ją były chłopak, które

go dopiero co rzuciła, żeby poświęcić się swoim królewskim obowiązkom. Carmina walczyła jak lwica, aby ją odzyskać. Jej córka była piękna, ale niestety nieszczególnie bystra. Nie zdobyła się na odwagę, żeby uciec sama, więc Carmina musiała ją wykraść. Następnie z pomocą rodziny zapakowała ją do pierwszego pociągu na północ i wysłała telegram do ojca dziewczyny, zawiadamiając o jej przyjeździe. Kiedy zadzwonił, poprosiła go:

- Ukryj ją. Ten facet wywraca do góry nogami całe miasteczko.

Ale dziewczyna miała skłonność do pakowania się w miłosne tarapaty. Interwencja Carminy i knucia Hildy nie na wiele się zdały; kiedy Venancio do niej wrócił, zaszła w ciążę. Po pierwszym dziecku przyszła kolej na następnych pięciorgo — po jednym na pamiątkę każdego ponownego zejścia. Mieli skakać sobie do oczu przez całe czterdzieści lat małżeństwa.

ROZDZIAŁ 25

Amada

- Masz szczęście, że zostałeś kawalerem - stwierdziła Amada.
David nie był tego taki pewien. Samotność dawała mu się we znaki.
- Jak długo mieszkałaś u Hildy? - zapytał, żeby zmienić temat.
- Jakies dwa lata. Aż do jej śmierci. Pamiętasz stół w jadalni? Ten stary, zabytkowy, który przywlokła pół wieku temu z Hiszpanii. Podczas podróży przez ocean statek przewróciła fala. Stół byłby zatonał, ale marynarze przywiązali się do nóg i dowiosłowali na nim na ląd. Potem został pieczołowicie wypiaszkowany i wypolerowany, ale morski zapaszek pozostał. I zawsze miał w sobie coś z wypralonego na słońcu wraku statku. Lubiłam gładzić jego popękany blat, kiedy odrabiałam przy nim lekcje. Hilda w pewnym sensie przypominała ten stół. Na zewnątrz wypolerowana, ale w środku twarda. Chociaż była skropiona drogimi perfumami, dawało się wyczuć, że wiele przeszła. Niełatwo było ją kochać, ale pewną małą

dziewczynkę uratowała, kiedy jej rodzina zdryfowała na górę lodową.

- Z Carminą też mieszkałaś?

- Tak. Kiedy byliśmy z siostrami małe, rodzice podzucili nas babci. Sami byli zajęci kłótniami i nie mieli dla nas czasu. — Wzruszyła ramionami. — Może to i lepiej. Przynajmniej miałyśmy spokojny, stabilny dom, bez ciągłych awantur. Carmina zawsze będzie moją kochaną babunią. Trudno mi sobie wyobrazić, że ona i dziewczyna z twoich wspomnień to ta sama osoba. Albo uwodzicielka z książki dziadka.

- Odziedziczyłaś jej temperament, wiesz? Uśmiechnęła się do niego półgębkiem.

- Mama od dziecka stara się go ze mnie wyplenić.

Wstała i zgasiła górne światło. Na parapecie paliły się waniliowe świece. David zgodził się na nie, bo Amada żartowała, że pachnie u niego zmumifikowaną naftaliną.

- Opowiedz o swoim dzieciństwie.

- Jak u psychoterapeuty. - Opadła z powrotem na krzesło.

- Chciałbym się dowiedzieć, jakie było.

- Zwyczajne.

David spojrzał na nią znacząco.

- Wszystkiego bym się po tobie spodziewał, tylko nie zwyczajnego dzieciństwa.

- No dobrze... W wieku sześciu lat zaczęłam bawić się z dziećmi w lekarza.

- Z chłopcami? Amanda pokręciła głową

Nigdy nie udawało nam się żadnego zwabić. Strasznie się nas bali, mnie i koleżanek. Uniósł brwi.

- No co? Chodziłam do żeńskiej szkoły. Z kim miałam ćwiczyć, jeśli nie z koleżankami? W domu nas kontrolowano, w klasie uczono wstydu. Na złość wszystkim byłyśmy niegrzeczne.

Był zaintrygowany.

- Nie ciekawiło cię, jak to jest całować się z chłopcem?

- Jasne. Przecież właśnie po to ćwiczyłam z koleżankami. Wszystko dla chłopców.

- Dlatego tak wcześnie wyszłaś za mąż? -Wyszłam za mąż, żeby uprawiać seks.

- Ale do tego nie potrzeba małżeństwa!

- Powiedz to nazi-siostróm, które nas tyranizowały. Mój były mąż mawiał, że jestem ofiarą wychowania. Tyle że nie da się ot tak wymazać tego, czego uczono cię całe życie.

- No tak, odwieczny dramat Meksykanek. Kościół wkłada im do głowy, że są nic niewarte, a społeczeństwo tylko utwierdza je w tym przekonaniu. Przykro mi, że twoja mama nie zdawała sobie sprawy, jak jest naprawdę.

- Podwójne standardy to nie tylko problem Meksyku. Po prostu tutaj, w krainie *macho*, jesteśmy cywilizacyjnie zapóźnieni.

- Nie rozumiem tego mitu z czystością przedmałżeńską. To głupie. W Veracruz pełno było dziewczyn młodo wychodzących za mąż i rodzących dzieci, żeby sprostać oczekiwaniom. Większość po skończeniu trzydziestki była już zupełnie wypruta. Niszczyły je kolejne ciąży i domowa harówka. Stawały się przezroczyście. Na kolanach usługiwały mężom, dla których nie istniały. Przymykały oczy na zdrady, bo tak je wychowano. Rozwód, rzecz jasna, nie wchodził w grę, bo zostałyby napiętnowane na zawsze. Były skazane

na rolę świętej służącej. Twoja matka, zamiast ustrzec córki przed tym losem, robiła wszystko, żeby ulepić je na swoje podobieństwo. Kobieta, zachowując dziewictwo dla męża, osiąga jedynie tyle, że mit zostaje przekazany kolejnym pokoleniom.

- Niby wiesz to wszystko, ale dałeś kosza babci.

- Wtedy nie byłem taki mądry. Czterdzieści lat temu, kiedy po tylu latach Carmina ponownie pojawiła się w moim życiu, zwyczajnie mnie wystraszyła. Doskonale wiedziała, czego chce. Jest niezwykłą kobietą, a ja czułem się przy niej słaby.

Amada uśmiechnęła się zwycięsko.

- Dlatego wolałeś nieodwzajemnioną miłość do Hildy. Tak było bezpieczniej. Nie musiałeś się angażować.

- Byłem tchórzem, przyznaję. Teraz płacę za to samotnością. Jestem skazany na śmierć w opuszczeniu, chociaż marzę tylko o jednym: żeby umrzeć w ramionach kobiety, którą kocham. A wcześniej się z nią przespać.

Zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

- Davidzie, przecież...

- Daj spokój, Amado. Mężczyzna jest mężczyzną, dopóki nie odpadnie mu język.

- Och. — Zarumieniła się.

- Chciałbym zobaczyć się z Carminą.

- Tak przypuszczałam.

- Możesz to jakoś zorganizować?

- Jasne. Choćby teraz.

- Teraz?!

- A co? Wolisz wpisać się do księgi audjencji? Na za dwa miesiące, bo może być bardzo zajęta, tak?

- Wiesz, która godzina?

Drżącymi dłońmi David odgarnął resztki włosów. Nie będzie nachodził bez zapowiedzi kobiety, której nie widział blisko czterdzieści lat.

— Dobrze, jak wolisz. Za tydzień może być?

- Tak. — David odetchnął.

ROZDZIAŁ 26

Domino z Carminą

Rodzina mieszkała w przestronnej willi, w dzielnicy, która niegdyś była elegancka. Hilda osobiście sfinansowała kupno domu dla syna i jego powiększającej się rodziny, on sam bowiem nie kochał się pracą.

Po tym jak Hilda zachorowała i odeszła przedwcześnie, jej długo gromadzony majątek odziedziczył Venancio. Oboje z żoną rzucili się w wir zakupów i w mgnieniu oka doprowadzili interes do bankructwa. Stracili prawie wszystko. Nawet dom został zagrożony. Wokół nich wszystko świetnie prosperowało, ludzie się bogacili, tymczasem oni woleli przejąć majątek zamiast zostawić go dzieciom. Z całej sieci sklepów przetrwał jeden. Amada starała się go uratować, mimo że ojciec regularnie podbierał utargi.

— Ciągłe to robi? - zapytał David.

— Jak to?

— Zaczął już jako dziecko.

— No nie. — Przygryzła wargę. - Czym skorupka za młodu nasiąknie...

— Z tą różnicą, że teraz okrada siebie samego. A twoja mama? Nie może przemówić mu do rozumu?

— W ramach zemsty za niewierność zamierza doprowadzić go do bankructwa. Żyje przeszłością. Codziennie karmi swoje zatrute serce porcją nienawiści.

— To straszne.

— Nie chcę teraz o tym mówić. Gotowy na wizytę w modelowym dysfunkcyjnym domu?

— Nie. - David odpiął pas i wysiadł.

Weszli do długiego korytarza, który dzielił dom na dwa skrzydła. Po prawej stronie rozciągała się duża, zatopiona w półmroku przestrzeń. Jedynym źródłem światła był telewizor na przeciwległej ścianie. Wchodząc do pokoju, Amada nacisnęła pstryczek. David zastygł w bezruchu. Ze swojego miejsca widział profil starszej kobiety na wózku, zajętej oglądaniem telewizji.

Amada pocałowała babcię w policzek.

— Masz gościa.

Carmina popatrzyła na drzwi. Uśmiechnęła się, a dookoła jej szarych oczu, teraz zamglonych starością, pojawiła się siateczka zmarszczek. Z gardła dobiegł chichot.

— David.

Poczuł, że zbiera mu się na płacz. Przemierzył energicznie pokój, a z każdym jego krokiem ubywało lat, które ich dzieliły. Ukląkł przy Carminie. O dziwo, jego ciało nie zaprotestowało. Ucałował jej ręce — skórę miała cienką jak bibuła. Nadal pachniała cytrynowe. Ile to lat przeżył bez tego zapachu? Amada zniknęła w pokoju po drugiej stronie korytarza.

— Co tak długo? - Głos Carminy drżał lekko niczym wysłużone skrzypce.

— Bałem się, że będziesz zła.

— Zła? — Uniosła brwi. — Nie byliśmy sobie pisani.

Davidą olśniła prostota tego wyjaśnienia. Opadł na krzesło.

- Powinienem być poprosić cię wtedy o rękę.

- Odmówiłabym.

- Jak to?

- Ano tak. Jestem przywiązana do moich kończyn. Nie chciałabym stracić ręki tylko dlatego, że o nią prosisz.

Oczy Davidą zaszły mgłą.

- Tęskniłem za tobą.

- Mam pomysł. - Uśmiechnęła się przekornie i przez sekundę wyglądała jak tamta dziewczyna z jego młodości. - Zagrajmy w domino.

- Zgoda - zachrypiał David. Nie miał wyboru: taka była cena złych życiowych decyzji.

Amada wróciła, niosąc tacę z trzema filiżankami, ciastkami i podłużnym pudełkiem. Zsunęła wieczko i odwróciła pudełko do góry dnem, wysypując kostki domina. David przysunął wózek Carminy do stołu.

- Poprosisz tatę, żeby zagrał na czwartego? - zapytała starsza pani.

- Wolałabym nie. Tata znowu rąbnął utarg. Mogłabym nie zdzierżyć jego obecności.

- Ja też — dodał David.

Z kuchni dolatywał zapach lasek cynamonu gotujących się w rondlu. David z roztargnieniem kładł kostki, nie przejmując się specjalnie wynikiem. Przez ostatnich pięć godzin ożyły wspomnienia, które - jak sądził — dawno zostały pogrzebane w najdalszym kącie jego pamięci. Z przyjemnością wdychał zapach Carminy i przysłuchiwał się jej zniekształconemu wiekiem głosowi.

Amada uśmiechała się cierpliwie, nieco znudzona plotkami sprzed półwiecza. Pewnie w jej oczach byli parą głupców wskrzeszających zmarłych. Później ilekroć usiłował przywołać nową twarz kobiety, którą pamiętał z młodości, przed oczyma stawała mu Amada. Postacie Hildy i Carmi-ny coraz bardziej rozplywały się we mgle. Ułożył przed sobą kostki i wydał pomruk zadowolenia. Miał niesamowite szczęście, bo czas, niczym woda polerująca kamienie, zatarł jego dawne błędy.

Ciemność za oknem zaczęła ustępować. Kształty rzucone na szybę znikwały, w miarę jak szkło odzyskiwało przezroczystość; odbicia trzech postaci ostatecznie rozpędziło szarawe światło dnia. David zamrugął zdezorientowany. Zupełnie zagubił się w rozpamiętywaniu przeszłości i stracił rachubę czasu. Amada położyła Carminę do łóżka, a potem odwiozła go do domu. Przez czerwone chmury przedzierało się słońce. David oparł się o zagłówek na siedzeniu samochodu, zamknął oczy i wrócił myślami do wydarzeń tej nocy. W *wyobraźni* studiował *nowy tembr głosu Carminy, choć jednocześnie bez skrupułów pożyczał jej twarz wnuczki.*

- Dasz radę zasnąć? - odezwała się.

- Zasnę jak dziecko. - Zaskoczyło go, że pamiętała o jego bezsenności. - A ty? Jakież plany?

- W niedzielę rano? - Pokręciła głową i zwolniła, żeby dać się wyprzedzić. — Nic specjalnego. No chyba że oddasz mi kuferek babci.

- Amado.

Spojrzała na niego.

- Błagam, patrz na drogę. Wróciła na swój pas.

- Kiedy go dostanę?

— Amado, jestem zmęczony.

— Chryste, Davidzie! Czas zamknąć ten rozdział.

— Nie mogę. Czuję się winny.

— Daj spokój.

— Życie mogło potoczyć się inaczej. Twój dziadek mógł być szczęśliwy. A z czasem może i nam z Hildą by się ułożyło.

Pokręciła głową. Był taki naiwny. -Wiesz, co stanowiło problem mojej babci? David popatrzył na nią leniwie.

— Była niesamowitą snobką. Tak, tak, była damą, miała świetny gust - dodała, zanim zdążył zaprotestować — ale zgubiła ją własna mitomania. Zastanawiałeś się kiedyś, czemu ze wszystkich wnuków uznała tylko mnie?

— Nie. Czemu?

— Bo podobno mam mantuańskie oczy. Sama mi to powiedziała. Byłam dowodem na prawdziwość rodzinnej legendy. Tak bardzo chciała dowieść, że ma szlacheckie korzenie, że zapisała mi zamek. Z powodu moich oczu! Jakby ta sterta kamieni cokolwiek znaczyła.

David uśmiechnął się mimo woli.

— Miała *cojones*.

— Miała - przytaknęła Amada. - Była wyjątkowa. I bardzo dumna. Niełatwo było ją kochać, ale ja ją kochałam. Rozpaczliwie i z odrobiną złości.

Westchnął.

— Zachowywałam się jak dureń.

— To dlatego, że w głębi duszy straszny z ciebie romantyk. - Zaparkowała pod jego domem. Ulica była cicha, powietrze pachniało drzewami owocowymi. — Czas, żebym pojechała do Polski.

— Amado, tylko nie tam. Czujnie uniosła brew.
— Coś przede mną zataiłeś, prawda?
— Minęło sześćdziesiąt lat. Nie warto się tym zajmować.
— Naprawdę uważasz, że o wszystkim zapomnę, bo ty sam masz coś do ukrycia?

— Nie obnażaj moich grzechów.

- A ty nie dramatyzuj.

- Nie dramatyzuję. Jestem współwinny morderstwa.

- O czym ty mówisz?

— Jeżeli Lea zginęła w obozie koncentracyjnym, ja i Hilda jesteśmy tak samo winni jak naziści.

— Przecież dziadek w końcu o niej zapomniał.

— Przeze mnie i przez Hildę.

- Jak to?

David wydobył zza pazuchy telegram, który przed dwudziestu laty wyjął z kuferka Hildy. Telegram donosił: „Mamy syna”. Jakimś niezrozumiałym zrzędzeniem losu wpadł w ręce Hildy, która czterdzieści lat później usiłowała zabrać go ze sobą do grobu, żeby jej przestępstwo nigdy nie wyszło na jaw. David podał telegram Amadzie.

- O Boże!

- Być może jesteśmy z Hildą pośrednio winni śmierci tej kobiety.

- Davidzie. — Dotknęła jego ramienia. — Dziadek sam przestał jej szukać.

- Dlatego, że mu przeszkodziliśmy. Gdyby wiedział, że ma syna, stanąłby na rękach, żeby ich uratować. — Wsunął telegram do pożółkłej koperty i włożył z powrotem do kieszeni. - Na swoje usprawiedliwienie mam tyle, że dowiedziałem się o tym dopiero po śmierci Hildy.

- I od tego czasu nosisz przy sobie ten telegram?
- Tak. Jako przypomnienie o złu, które wyrządziłem.
- Uwielbiasz się gnębić, prawda?
- Skrzywdziłem niewinną kobietę. Może nawet nieświadomie posłałem ją na śmierć. Zasługuję na karę.
- Tym bardziej powinnam pojechać do Polski. Czas dowiedzieć się, co naprawdę się wydarzyło, zamiast snuć przypuszczenia. Tymczasem ty możesz odszukać syna Carminy.
- Ja?! — David pokręcił głową. - Niby jak?
- W sieci.
- Żaden ze mnie rybak, Amado. , Zachichotała.
- W sieci, czyli w internecie. Internet to coś, dzięki czemu każdy ma dostęp do informacji z całego świata. Potrzeba tylko komputera.
- Za stary jestem na takie sztuczki - mruknął David. - Wcale nie, zobaczysz. W dodatku nie będziesz musiał nawet wychodzić ze swojego pokoju. W poniedziałek przywiozę ci mój komputer i nauczę go obsługiwać.
- Entuzjazm Amady wydał się Davidowi czarujący, ale sam jakoś nie mógł przekonać się do jej pomysłu.
- Nie rozumiem, po co to całe zamieszanie.
- Och, daj spokój. Myślisz, że zapomnę o wszystkim, co przeczytałam w książce dziadka? Musimy się dowiedzieć, co stało się z tymi chłopcami. Jesteśmy to winni zarówno Carminie, jak i Ramirowi.
- David zerknął na nią sprawnym okiem.
- Przyjmijmy, że nam się uda i ustalimy, gdzie są. Co dalej? Powiesz Carminie? Swojemu tacie?
- Myślę, że tata wie.
- Venancio?

— Zawsze był z niego antysemita. Nie rozumiałam dlaczego, ale teraz już rozumiem. W którymś momencie życia musiał poczuć się zagrożony.

- Hmm. - David dotknął policzka. - Może to przez tony wieprzowiny, którą twoja babcia karmiła synów. W końcu jesteśmy tym, co jemy.

- W takim razie ja, jako wegetarianka, jestem marchewką.

— Od dawna jesteś wegetarianką?

- Z przerwami, odkąd skończyłam piętnaście lat.

- Aha. — Spojrzał na nią. — Lubisz Żydów, prawda? Amada uśmiechnęła się przewrotnie.

- Dwóch moich chłopaków było Żydami.

— Po prostu kubek w kubek. - David zachichotał, rozpiął pas i wysiadł z auta.

-Kto?

— Ty i Hilda. — Zamknął za sobą drzwi i zajrzał przez okno.

— Carmina ucieszy się, że tak bardzo przypominam jej przeciwniczkę. Właściwie możesz jej wszystko opowiedzieć pod moją nieobecność. Zwłaszcza to o spotkaniu z dziadkiem. Jak on to ujął? „A następnie przeleciała go, aż fur...”

— Chryste Panie!

- Co? — Popatrzyła na niego niewinnie.

— Młoda damo, co to za słownictwo?

- Nie moje. To cytat z książki dziadka - podsunęła usłudze. — Do zobaczenia w poniedziałek. Przyniosę komputer.

Uśmiechnęła się i włączyła silnik.

ROZDZIAŁ 27

Na tropie duchów

W przeszłości Amada wspominała niejednokrotnie, że marzy o wizycie w Budapeszcie i Pradze. Nie przypominała sobie jednak, żeby kiedykolwiek mówiła: „Muszę koniecznie pojechać do Warszawy”. Polska była dla niej równie pociągająca jak Syberia w środku zimy. Dlatego też z duszą na ramieniu wysiadła z samolotu na lotnisku Chopina pewnego deszczowego letniego poranka. Czekala ją misja odnalezienia kobiety na podstawie skrawka papieru sprzed sześćdziesięciu lat.

Podala adres taksówkarzowi, lecz on popatrzył na nią, jakby była kosmitką, która dopiero co wysiadła z *latającego* spodka, a nie z boeinga 767.

— Nie ma takiej ulicy jak Zegarmistrzowska.

— Mam ją na telegramie. - Podsunęła mu poślódką kartkę. Wyjął jej telegram z ręki.

— Skąd pani to ma?

— Dostał go mój dziadek.

— Teraz ludzie wysyłają faksy.

— Albo maile, wiem. Ale to było dawno temu. Przyjrzał się niewyraźnej dacie w górnym rogu.

- Trzydziesty dziewiąty! Od tamtej pory nazwy ulic zmieniały się wiele razy. Za okupacji, w czasach PRL-u, potem po upadku komunizmu... Najlepiej, jeśli pani zapyta w Muzeum Historycznym na Starówce.

Amada westchnęła zniechęcona.

— Dobrze. Może mnie pan zawieźć do hotelu w cichej okolicy?

- Tyle mogę zrobić - odparł i odjechali.

W hotelowym pokoju Amada zdrzemnęła się, a potem uzbrojona w rozmówki i mapę wyszła do miasta. O dziwo, Warszawa okazała się bardzo ruchliwa i kosmopolityczna, a także chaotyczna. Przypominała inne europejskie metropolie. Również tutaj krajobraz psuły wszechobecne McDo-naldy.

Amada przyjrzała się mapie. Dlaczego nie posłuchała Davida i nie zapisała się przed wyjazdem na lekcje polskiego? Pod tym względem była słabo przygotowana, lecz za to w torbie miała zdjęcia i notatnik dziadka, a także jego niewysłane listy. No i najważniejsze: telegram od Lei. Słusznie z Davidem stwierdzili, że pewne rzeczy trzeba wyjaśnić i dopiero wtedy można o nich zapomnieć. Z takim zaaferowaniem szukała potrzebnych słówek, że aż upuściła rozmówki. Podniósł je przechodzień.

— *Tkanką you* — odpowiedziała odruchowo. — *I mean...* - Zaczęła gorączkowo kartkować książeczkę.

— Nie ma za co - odparł mężczyzna po angielsku. - Mogę jakoś pomóc?

- Którędy na cmentarz żydowski?

Niebo pociemniało w mgnieniu oka. Błysnęło, rozległ się grzmot. Kiedy spadły na nią pierwsze ciężkie krople ulewy, schroniła się w bramie jednego z peerelowskich bloków, tak

powszechnych w tym mieście. O dziwo, to nie komuniści przygotowali fundament pod te szkaradzieństwa, tylko Niemcy, którzy na rozkaz Hitlera zrównali Warszawę z ziemią.

Amada postawiła kaptur i ruszyła w stronę bramy cmentarza żydowskiego. Wydawało się rozsądne szukać duchów przeszłości właśnie tam. Skuliła się pod naporem deszczu i rozchlapując kałuże, pomaszerowała dróżką biegnącą pomiędzy nagrobkami i bujną roślinnością. Kiedy dotarła do pierwszej mogiły, niebo rozdarł kolejny grzmot. Dżinsy miała przemoczone aż do kolan, ale śmiało manewrowała między kałużami, nie dopuszczając do siebie strachu. Przyszło jej do głowy, że Polacy mają dosyć dobre relacje ze zmarłymi, gdy tymczasem Amerykanie przypisują im nadprzyrodzone zdolności, w tym umiejętność wstawania z grobów. A przynajmniej tego dowiedziała się z filmów oglądanych w czasach, gdy miała w zwyczaju słono płacić, żeby ktoś porządnie ją nastraszył.

Pochyliła głowę. Przed oczyma miała głównie trawę i zielsko rosnące między grobami. Czowała woń mokrej ziemi i liści, a także niezidentyfikowany zapaszek zgnilizny. Po chwili zamajaczyła przed nią stara, na wpół zarośnięta ławka na ozdobnych nóżkach. Zielona farba odłaziła, ukazując napuchnięte wodą drewno. Siedzący na ławce człowiek w kapeluszu z szerokim rondem przyglądał się jej, najwyraźniej nie przejmując się deszczem.

- *Fm sorry* - odezwała się, sądząc, że przeszkodziła mu w modlitwie.
— Przepraszam.

- Zgubiła się pani? - Zapytał po angielsku.

Chyba spadł jej z nieba. W kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki — mieszanka życzliwości i rozbawienia. Usiadła obok niego na ławce, doszczętnie mocząc sobie spodnie.

- Tropię duchy - oznajmiła. I ani się obejrzała, kiedy opowiedziała obcemu losy swojego dziadka.

- Lea. — Nieznajomy obracał imię w ustach. Przestało padać, a przez chmury przebijało niewiarygodnie ciepłe słońce. - Jak miała na nazwisko?

- Winter. Mężczyzna wstał.

- Leży tu kobieta o takim nazwisku. Pokażę pani gdzie. Ruszył labiryntem alejek w stronę tylnego muru cmentarza. Amada poszła za nim.

- Oto grób Winterów. - Zmrużył oczy, próbując przeczytać litery wyżłobione w granicie. — Ale nie ma żadnej Lei.

Amada pochyliła się nad tablicą.

- Litery ledwo co widać.

- Tak, ale proszę spojrzeć na daty. Pochowano ją w roku 1924.

- Piętnaście lat przed wojną — powiedziała do siebie Amada i wyprostowała się. - Jeśli nie tu, to gdzie?

- Jeżeli przeżyła Holokaust, mogła wyemigrować do Palestyny, USA, Ameryki Południowej... Diaspora jest wszędzie.

- Da się to gdzieś sprawdzić?

- Proszę spróbować w Żydowskim Instytucie Historycznym na Tłomackiem.

- A ten adres, gdzie to jest? — Wyjęła z kieszeni telegram. Mężczyzna pokręcił głową.

- Po wojnie nazewnictwo się zmieniło, ale w archiwum instytutu na pewno znajdzie pani przedwojenną mapę. Układ ulic jest teraz inny, ale przy Próżnej stoi jeden z niewielu budynków, które przetrwały likwidację getta. Łatwo S^o pani rozpozna. Jest zabity deskami. Wisi na nim jeszcze stara tabliczka z nazwą ulicy.

— W takim razie mogę nałożyć na niego nową mapę i *znaleźć* adres, którego szukam.

-Nie.

— Nie?

— Adres z pani telegramu nie należał do getta.

— Skąd pan wie?

— Zajmuję się tym. W Muzeum Historycznym znajdzie pani przedwojenną mapę. Mogę zerknąć na pani przewodnik? Tak, budynek, o którym pani mówiłem, jest tutaj - wskazał palcem - na Próżnej. A tutaj - przeciągnął palcem w górę — na Miłej pod numerem 18 znajdował się ostatni żydowski bastion. Tu żydowscy powstańcy popełnili samobójstwo, żeby nie kapitulować przed Niemcami.

— Dam panu długopis i poproszę o zaznaczenie tych miejsc. — Amada zanurkowała ręką w torbie.

Mężczyzna zakreślił, co trzeba, i oddał mapę.

— Mogę panią o coś prosić?

— Jak najbardziej.

— Da mi pani znać, jak poszły poszukiwania?

— Oczywiście. A czy ja mogę przychodzić do pana po pomoc, kiedy zabrnę w ślepią uliczkę?

— Liczę na to. — Wstał i wyciągnął rękę. — Izmael Stein.

— Amada Montalvo. - Uścisnęła jego dłoń. - Dziękuję za urocze popołudnie.

— I owocne, mam nadzieję.

— O, tak. Panie Stein...

— Izmael - wtrącił, mrużąc oczy. — Jak bohater *Moby Dicha*. Amada uśmiechnęła się.

— Mnie też mów po imieniu.

— Dobrze. Chciałaś mnie o coś zapytać.

— Ilu w Polsce zostało Żydów?

- Niestety, niewiele.
- Czyli to jak szukanie wiatru w polu.
- Trochę tak. Przygryzła wargę.
- No cóż. Na mnie już czas.

Odprowadził ją do bramy. Tam odwróciła się do niego.

- Przepraszam, jeśli się narzucam, ale jestem tu sama i nie mówię po polsku, a zadanie trochę mnie przerasta. Może mógłbyś mnie któregoś wolnego dnia oprowadzić po terenie getta?

- Zmarli chyba nie będą mieć nic przeciwko temu, jeżeli pójde na przechadzkę w dzisiejsze deszczowe popołudnie. - Uśmiechnął się do niej *promiennie*. — Tylko przebiorę się w coś suchego. Daj mi pięć minut.

ROZDZIAŁ 28

Z listów Lei Winter do Ramira Montalvy, 1939-1943

Kiedy Ramiro zniknął na pokładzie statku, Lea z Maćkiem opuścili port. Dziewczyna mrugała, żeby się nie rozpłakać. W drodze na stację kilka razy przystawała i byłaby pobiegła z powrotem, gdyby nie to, że Maciek mocno trzymał ją za ramię.

„Wróci”, powtarzała sobie, choć sama w to nie wierzyła. Przed Maćkiem udawała, że cieszy się z powrotu do domu, chociaż jej serce ścisnął żal. Wojna w Hiszpanii tak wiele jej już zabrała, a teraz i Ramira. Chociaż pewnie niemądrze było pokładać tyle nadziei w jego słowach. Mężczyźni mówią różne rzeczy, a potem i tak znikają z życia kobiet. Ale Ramiro przecież poprosił, żeby pojechała z nim.

W pociągu do Paryża mówili niewiele. Całe szczęście Maciek nie należał do wylewnych i nie poruszał drażliwego tematu. Postanowiła, że cierpienie zachowa dla siebie. Zamknęła oczy, udając, że śpi, i zaczęła w duchu roztrząsać swoją tęsknotę. Po policzkach popłynęły jej łzy. Wytarła je dłońmi.

- Mamy szczęście, że wyszliśmy z Hiszpanii żywi - odezwał się Maciek.

- O, tak. - Otworzyła oczy i wbiła wzrok w krajobraz za oknem. - Tylko powiedz mi: jak mam żyć po wszystkim, co tam widziałam?

- Spróbuj zapomnieć.

- Łatwo ci mówić!

- Winisz mnie, że przeżyłem?

- Nie. - Spojrzała na niego przybita. — Po prostu zazdroszczę tym, którzy zginęli. Ich nie prześladują wspomnienia.

- Niczego nie zmienisz, winiąc siebie.

- Ramiro miał szczęście. - Lea skwapliwie skorzystała z okazji, by o nim wspomnieć.

- Cholerny szczęściarz.

Popatrzyła na Maćka z ukosa, niepewna, co miał na myśli.

- Nie tylko przeżył wojnę, lecz także wyszedł z niej nietknięty koszmarem zabijania.

- W głowie mi się nie mieści, jak można zabić drugiego człowieka.

- Żeby być w stanie mordować niewinnych, stajemy się bestiami. Demonizujemy wroga. Politycy wysyłają nas na front, bo wojna to biznes, a ludzkie życie stanowi część transakcji.

W Paryżu zjedli prosty posiłek i zameldowali się w hotelu blisko dworca. Lea zamknęła się na chwilę w łazience; zadaniem Maćka było wytyczyć najlepszą trasę do Polski.

- Najszybciej będzie przez Berlin.

- A dokumenty?

- Kupimy jakieś za pieniądze od Ramira. Inaczej Niemcy zgarną nas na granicy.

-Nie ma innej drogi?

- W każdym wypadku musimy jechać przez Niemcy.

- To chyba niebezpieczne. Maciek położył jej rękę na ramieniu.

- Wiem, ale nie mamy wyboru.

Nie cofnął dłoni. Przez chwilę szukał oczami jej oczu i pytał milcząco o to, o co nie miał śmiałości zapytać na głos. Ona jednak odwróciła się i poszła z powrotem do łazienki. Maciek popatrzył za nią, a ręka, która przed chwilą jej dotykała, opadła do boku, pusta.

Wyjechali z hotelu przed świtem trzy dni później. Wszystkie ich rzeczy zmieściły się do skózanego chlebaka; sfałszowane dokumenty ukryli w kieszeniach. W nieruchomej, czarnej jak smoła godzinie ich oddech krzepł w powietrzu. Ulice straszyły pustką, bo śmiech i zabawa schowały się przed chłodem. Na dworcu zacisnęli zziębnięte palce na filiżankach kawy. Zasiedzieli się trochę i do wagonu wbiegli w ostatniej chwili, zaalarmowani gwizdkiem konduktora. Pociąg nabierał prędkości, a z lokomotywy buchała para wymieszana z pachnącym węglem dymem.

W przedziale siedział tęgi mężczyzna z obwisłymi policzkami, który rzucił im spojrzenie przekarmionego psa. Maciek przepuścił Leę na miejsce przy oknie, a sam usiadł obok. Mężczyzna zmierzył ich wzrokiem, jakby byli parą kundli, na które chętnie by poujadał. Lea na granicy drzemki patrzyła na oddalające się budynki. Swit podnosił zasłonę, która do tej pory przykrywała sterty śmieci i cygańskie namioty na przedmieściach.

Po jakimś czasie zbliżyli się do pierwszego punktu kontroli.

- Daj kurtkę - poprosił Maciek. - Lepiej jej tu nie pokazywać.

Lea bez słowa rozpięła kurtkę i podała Maćkowi, który schował ją do chlebaka.

- Nie podoba mi się tutaj - stwierdziła. Popatrzyła na wiszące na balkonach Kancelarii Rzeszy czerwone flagi z czarnym orłem teutońskim. - Boję się myśleć, co ci ludzie planują.

- Sądzę, że zadowolili ich tylko szach-mat. A jak dotąd idzie im świetnie.

Lea zmarszczyła brwi.

- Zobacz. Najpierw Hitler wciągnął Włochy w wojnę domową w Hiszpanii, żeby odciągnąć uwagę Mussoliniego od Austrii. - Maciek wyliczał na palcach. - Zaangażował się w Hiszpanii i w tym samym czasie dokonał anszlusu. Potem dostał Czechosłowację na talerzu, ponieważ zachodni politycy sądzili, że w ten sposób zagwarantują Europie pokój. Niektórzy wolą udawać, że problem nie istnieje. Hitler wie o tym doskonale i robi, co mu się żywnie podoba, bo alianci nadal liżą rany po pierwszej wojnie.

- Co będzie dalej?

- Nie wiem.

- Myślisz, że zadowolili się Austrią i Krajem Sudeckim? Maciek wcisnął ręce do kieszeni i wzruszył ramionami.

- Oby.

Następnego dnia wcześnie rano pociąg zatrzymał się na granicy z Polską. Czekala ich kontrola dokumentów. Lea ocknęła się z niespokojnego snu. Ledwie panowała nad szalejącą w niej burzą sprzecznych uczuć. Przy dobrych wiatrach jeszcze tego samego dnia będą z Maćkiem w Warszawie. Najpierw uściskają stęsknioną rodzinę, ale potem przyjdzie czas na dostarczenie hiobowych wieści tym, którzy stracili kogoś na wojnie. Lea czuła się podle, że nie będzie w stanie pomóc cierpiącej matce, która tyle czasu wyglądała powrotu syna — jak się okazało, nadaremnie.

Odsunęła głowę od szyby. Niedaleko torów rozciągały się pola, po których przesuwają się zaprzężone do pługów konie. Trochę dalej jakaś kobieta pochylała się nad brylastą ziemią. Była stara i zgarbiona od wieloletniej pracy, pewnie na tym samym poletku. Mimo że Lea siedziała wygodnie w swoim przedziale, niemal czuła rozpaczliwą bezsilność kobiety, która karmiła ten wilgotny skrawek ziemi swoim sercem, aż nic już nie zostało. Pociąg oddalał się, a chłopka stawała się coraz mniej wyraźna. Wkrótce przypominała już tylko kropkę wielkości ziarna, jakie siała; w końcu znikła zupełnie.

Na dworcu w Warszawie powitał ich tłum ludzi, którzy czekali na swoich bliskich. Dookoła rozlegały się radosne okrzyki. Lea i Maciek opuścili pociąg w milczeniu. Dopiero teraz przyszło im do głowy, że mogli zawiadomić swoje rodziny o powrocie. Ściany dworca aż poszarzały ze wstydu z powodu pokrywającej je warstewki gołębic odchodów, ale im bliżej wyjścia, tym prezentowały się coraz lepiej. Wybebeszony z pieniędzy chlebak objął się o biodro Maćka.

- W którą stronę idziesz?

- Na Tłomackie.

- To po drodze - skłamał. - Odprowadzę cię. Lea wzruszyła ramionami i weszła do tramwaju. Po jakimś czasie zajechali pod Wielką Synagogę.

- To mój przystanek - oznajmiła i wysiadła. — Ojciec pewnie jest w bożnicy. - Przysłoniła oczy przed słońcem i przyjrzała się budynkowi.

- Twój ojciec to duchowny?

- Nie, nie. Zajmuje się zwojami i pomaga młodym w nauce, ale nie jest rabinem.

-Jakimi zwojami?

- Torą. Talmudem, tymi wszystkimi tajemniczymi sprawami. Właściwie to nie wiem dokładnie. — Przeszła na drugą stronę ulicy i zatrzymała się pod portykiem. — Czas się pożegnać.

- Spotkajmy się.

Łagodnie dotknęła jego ramienia.

- To nie jest dobry pomysł.

- Bo twój ojciec się nie zgodzi?

Spuściła wzrok, ale zanim zdążyła się odwrócić, Maciek złapał ją za rękę.

- Poproszę go o pozwolenie, żebym mógł czasem cię odwiedzać. — Widząc, że Lea marszczy czoło, dodał pospiesznie: — Jako kolega, oczywiście.

- To nie front w Hiszpanii. Muszę przestrzegać tutejszych zasad.

- Ja też chciałbym ich przestrzegać, tylko musisz mi powiedzieć, na czym polegają. Zamierzam przyjść i sprawdzić, jak się masz.

Zawahała się, a potem uśmiechnęła blado.

- To potrwa. Czekaj mnie kadysz za mężczyzną, który zginął w Hiszpanii. A potem będzie Purym.

- Był twoim chłopakiem, tak?

- Narzeczoną. Jestem po nim wdową. Maciek uniósł brwi.

- Nie wiedziałem, że to tak działa.

- Mamy inne prawa.

- Chcę cię zobaczyć, nawet jeśli to wbrew waszym prawom.

- Nie chodzi o prawa. To po prostu skomplikowane.

- Bo jestem gojem?

- Daj spokój.

- Do zobaczenia po Purymie?

- Dobrze. - Kiwnęła głową i odwróciła się.
- Zaczekaj. Spojrzała na niego.
- Nie wiem, gdzie mieszkasz.
- Na Zegarmistrzowskiej. Pytaj o dom Jaszy Wintera.

ROZDZIAŁ 29

Córka marnotrawna

Amada i Izmael wysiedli z tramwaju pod wieżowcem na placu Bankowym. Amada nie wiedziała, że stanęła dokładnie w tym samym miejscu co pół wieku wcześniej Lea; i tak samo jak ona zasłoniła sobie oczy przed słońcem.

- Tutaj stała Wielka Synagoga — powiedział Izmael i wskazał palcem drapacz chmur. - Biblioteka instytutu żydowskiego znajduje się zaraz za nim.

- Co się stało z synagogą?

- Została wysadzona na rozkaz generała Stroopa.

- Zupełnie nie znam historii! Opowiedz mi więcej?

- Z przyjemnością. - Izmael uśmiechnął się i poprowadził ją do przejścia podziemnego, a potem do środka budynku.

- Fontannę zbudowano dokładnie w miejscu, gdzie przechowywano Torę - wyjaśnił. - Widzisz łukowate okna tam w górze? Nawiązują do architektury żydowskiej. Mają przypominać, że przed wojną stała tutaj synagoga.

Amada musnęła dłonią chłodny marmur fontanny. Krople wody wystrzeliwały w powietrze i nurkowały w wodzie. Plusk niósł się echem po pustym korytarzu.

- Tu było getto? Izmael przytaknął.
- Leo, jak mam cię znaleźć? - Amada westchnęła.
- Jeżeli wyteżysz wzrok, być może dostrzeżesz jej cień.
Lea weszła do pomieszczenia, gdzie pracował Jasza. -Lea!
Ojciec postarzał się. Na twarzy miał nowe zmarszczki od zmartwień, broda mu posiwiiała. Lea poczuła wyrzuty sumienia. Jasza rozkładał właśnie świece i obrus na szabas. Za nim stała ogromna drewniana arka z torą; padał na nią wydłużony, niepewny cień Lei. Znikł, gdy zamknęła za sobą drzwi.
- Jak się masz, tato?
- Dobrze, bo wróciła moja córka marnotrawna. — Wyszedł zza stołu, a ona rzuciła mu się w ramiona. - Lea, Lea
— westchnął przez ściśnięte gardło.
Wtulila twarz w jego pierś. Pachniał jak zawsze: świeżą bawełnianą koszulą i wyprażoną na słońcu wełną.
- Moja Lea. - Odsunął ją na długość ramienia. - Stałaś się kobietą. Zarumieniła się.
- Hmm — westchnął ze zrozumieniem i znowu ją przytulił.
Była zadowolona, że może ukryć zakłopotanie.
- Musimy odmówić kadysz.
- Odmówimy. — Pogładził jej włosy, a potem chwycił za podbródek i uniósł lekko twarz, żeby się jej lepiej przyjrzeć.
- Jesteś cała i zdrowa?
Skinęła głową. Ojciec nadal trzymał rękę na jej policzku.
- Co u Hani? - zapytała, żeby zmienić temat.

- Rozpuszczona jak dziadowski bicz. Jeszcze bardziej niż kiedyś. Pod twoją nieobecność bardzo ją rozpieszczałem, przyznaję. - Cofnął rękę.

Lea wolałaby, żeby ją tam zostawił.

- Na pewno owinęła sobie ciebie dookoła palca. — Ku swojemu przerażeniu usłyszała we własnym głosie zazdrość, więc dodała, by złagodzić pretensję: — Trudno będzie znaleźć dla niej męża.

- Już zdążyła odrzucić rękę młodego Goldfedera.

- To brzydki i knypek. A włosy ma ryże jak orangutan. Zresztą kradnie też jak małpa. - Lea bezwiednie stanęła w obronie siostry.

- Ale wiesz przecież, że jego pradziadkiem był Maksymilian Goldfeder, ten słynny łódzki bankier.

- Chciałbyś mieć brzydkie wnuki?

- Ach, to błogosławieństwo mieć rozsądną córkę. — Jasza westchnął.

- Nie jestem rozsądna. Hania też nie. Po prostu twardo stąkam po ziemi. Trzeba było nazwać ją Rachela.

- Lea...

Skrzyżowała ramiona i nachmurzyła się.

- Rozpieszczasz ją, bo jest śliczna. Spojrzał na nią zdumiony.

- Rozpieszczam Hanię, bo wychowywała się bez matki. Chciałem jej to wynagrodzić, ale udało mi się tylko skrzywdzić ciebie. Teraz wiem, że dla ciebie tamta strata była dotkliwsza. I dla mnie. Lea, kochana, ty zawsze byłaś taka silna i niezależna.

- Musiałam, bo na ciebie nie mogłam liczyć. — Zabrzmiało to okropnie, jakby zebrała o uczucia ojca.

- Dlatego wyjechałaś?

- Nie sądziłam, że zauważysz moją nieobecność. Popatrzył na nią ze smutkiem i pogładził jej policzek.

- Przepraszam, jeśli cię zawiodłem.

Lea poczuła, jak do oczu napływają jej łzy.

- A teraz straciłaś też kochanka - dodał. Zaskoczyło ją, z jaką naturalnością ojciec powiedział

„kochanek” zamiast „narzeczony”. Ludzie zwykle unikali tego określenia, bo bali się skojarzeń z cielesnością, jakie ze sobą niesie. Stało się jasne, że przebaczył jej wyjazd do Hiszpanii za mężczyznę, którego żoną jeszcze nie była, chociaż przed wyjazdem okropnie się o to pokłócili. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Był dobrym człowiekiem.

- Inaczej nie pojechałabyś za nim do Hiszpanii, prawda? Teraz musisz chyba odwiedzić jego matkę. Obiecuj, że obejdiesz się z nią delikatnie.

- Jak mam powiedzieć delikatnie, że jej syn nie żyje?

- Przynajmniej nie zostałeś panią Szeftel. To się rymuje z „falafel” — oznajmiła w domu Hania, jak zwykle bezceremonialnie.

Lea miała ochotę pokręcić głową z naganą, jak robiła to mama. Była jednak tak zmęczona, że tylko położyła się na łóżku i wbiła wzrok w sufit. Kątem oka przyglądała się lśniącym włosom i nieskazitelnej cerze siostry. Usta Hanny przypominały pączek róży, nos miała delikatnie zakrzywiony, a ciemne oczy błyszczały przekornie, zapraszając do wspólnych żartów. Jej szczupłe ciało wyciągnęło się pod nieobecność Lei. Miała na sobie gustowny wełniany kostium i buty na niewiarygodnie wysokich obcasach. Za to Lea była rozczochrana, nie zdjęła jeszcze kurtki

wojskowej, za dużych butów i męskich spodni. Czuła się niezgrabna i zaniedbana.

- Powinnaś się wykąpać. - Hania chyba czytała w jej myślach.

Głowa Lei opadła na bok.

- Ładny kostium.

Hania uśmiechnęła się niczym kot trawiący mysz.

- Dostałam od Benia Goldfedera.

- Zanim złamałaś mu serce czy potem?

- Tata ci wszystko powiedział?

- Haniu, posłuchaj. — Lea usiadła na łóżku po turecku. - Nie możesz przyjmować prezentów od chłopaka, za którego nie zamierzasz wyjść.

- Jestem za młoda na małżeństwo.

- Ale wystarczająco dorosła, żeby flirtować z mężczyznami?

- Zależy, co rozumiesz przez „mężczyzna” — odparła Hania bardzo poważnie. - Benio raczej nim nie jest.

Lea przypomniała sobie nieco małpowatego chłopca ściskającego w ręce naszyjnik. Uśmiechnęła się.

- Boże, tylko nie mów, że znowu okrada mamę! Hania spiorunowała ją wzrokiem i wyszła.

Wiele lat wcześniej, kiedy Hania była w pierwszej klasie, wplątała swego ojca w drobny skandal. Pewnego dnia za gadanie na lekcji została odesłana do kąta w oślich uszach. Mały Benio kochał się w dziewczynce, więc sprowokował nauczycielkę, żeby i jego ukarała. Ku zdziwieniu reszty klasy, tego samego popołudnia Hania zakolegowała się z chłopcem. Ich przyjaźń trwała aż do końca roku szkolnego. Wdzięczny Benio zaczął obdarowywać dziewczynkę prezentami. Przynosił jej to diamentowy naszyjnik, to pier-

ścionek ze szmaragdem czy bransoletkę z szafirów. Hania chowała wszystko do teczki. Trzeba dodać, że prezenty pochodziły ze szkatułki mamy Benia. Jego ojciec, mężczyzna o cokolwiek małpim wyglądzie, dzięki pieniądzom swojego dziadka ożenił się z wyjątkową piękną. Dziękował niebiosom za urodziwą żonę i co jakiś czas kupował jej nową biżuterię, którą z kolei jego syn przekazywał Hani.

Wkrótce pani Goldfeder zauważyła, że jej skarby znikają. Benio powodowany poczuciem winy w końcu przyznał się, co zmalował. Następnego dnia państwo Goldfederowie zawlekli Jaszę Wintera do szkoły. Jego córce znudziły się już klejnoty, więc bez ceregieli wyrzuciła zawartość swojej teczki na biurko dyrektorki. Na myśl o tym, że Hania paradowała po okolicy z biżuterią w teczce, pani Goldfeder pobladła. Rumieniec jej policzkom przywróciła dopiero obietnica nowych klejnotów.

- Masz herbatę. - Hania postawiła na nogach Lei tacę. Lea przyjrzała się filiżance.

- Nie jest zatruta.

- Z tobą nigdy nie wiadomo.

- Okropnie wyglądasz - stwierdziła Hania.

Lea odstawiła tacę na bok, oparła się o poduszkę i zamknęła oczy.

- Haniu, jestem zmęczona. Nie mam nawet siły się wykąpać.

Siostra popatrzyła na nią podejrzliwie, ale nic nie powiedziała.

Leę zaintrygowało to spojrzenie, ale nie miała ochoty na nową kłótnię. Zwalczyła lenistwo, zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki. Tam zmyła z siebie cały pot i brud nagromadzony przez trzy dni podróży. Potem wróciła do pokoju

i dała się skusić poduszce. Co jakiś czas budziła się, ale nie pamiętała, co jej się śniło. Całe szczęście. Dwukrotnie wydawało jej się, że widzi siostrę przyglądającą jej się w półmroku sypialni, ale nie była pewna, czy to sen czy jeszcze mniej uchwytna jawa. Raz, musiało to być bardzo wczesnie rano, zobaczyła nad łóżkiem tatę. Uśmiechnęła się leniwie i zamknęła oczy.

Podczas odmawiania kadyszu zemdląca. Pani Szeftel, wzruszona jej żalem, podsunęła jej sole trzeźwiące i objęła ją w pasie, kiedy już się ocknęła. Goście zebrali się w wianuszek dookoła niej.

Gdy wieczorem kładły się spać, Hania powiedziała z uznaniem:

- Leo, pokaz był pierwsza klasa. Przebiłaś w żałobie nawet panią Szeftel, a ona prawie rwała sobie włosy z głowy, żeby pokazać, jak jej smutno.

- To nie był pokaz — rzuciło sucho Lea i położyła się do łóżka. - Haniu, śpijmy już. Jestem zmęczona.

- Odkąd wróciłaś, nic, tylko jesteś zmęczona. - Hania zgasła lampkę.

ROZDZIAŁ 30

Wizyta *Maćka*

Dwa tygodnie po przyjeździe Lea miała wrażenie, że przytyła, mimo że w czasie Purymu nie była w stanie utrzymać talerza z jedzeniem.

- Jestem za gruba - mruknęła, zapinając sukienkę. Tata i siostra ciągle tuczili ją słodyczami.

Do kuchni weszła Hania.

- Wylewasz się ze stanika! A tak w ogóle, masz gościa.

- Gościa? Gdzie?

- Czeka w salonie. - Hania zaczęła ustawiać na tacy filiżanki i talerzyki. — Idź, ja przyniosę herbatę.

Lea zmarszczyła brwi.

- Tata chyba nie mówił, że rabin...

- To nie rabin — odparła Hania tajemniczo. Lea poszła do salonu.

- O! - wykrzyknęła na widok Maćka. Ogolił się i ostrzygł. On także przytył. Lea była tak zapatrzona w Ramira, że nie zauważyła, jaki Maciek jest przystojny. Gdy weszła do pokoju, zerwał się na równe nogi. Jego mydlany zapach budził zaufanie.

- Świetnie wyglądasz — powiedział do jej piersi.

Lea zdała sobie sprawę, że Maciek po raz pierwszy widzi ją w sukience, z której w dodatku się wylewa. Uśmiechnęła się.

- Też się cieszę, że cię widzę. - Usiadła na krześle, pilnując się, żeby nie gmerać przy dekolcie.

- Jak Purym?

- To, co zawsze. Czytanie, jedzenie... Nasze tradycje mało się zmieniają.

- Szkoda, że tak mało wiem o judaizmie.

Lea uśmiechnęła się. W korytarzu rozległ się stukot obcasów. Po chwili do pokoju weszła Hania. Na tacy, którą niosła, piętrzyła się chyba cała porcelana Winterów.

- Pomogę. — Lea pospieszyła siostrze z odsieczą. Zdjęła z tacy imbryk i postawiła go na stoliku. Kątem oka

zauważyła, że oczy Maćka prawie wyszły z orbit. Najwyraźniej razem z herbatą zaserwowała mu swój przepełniony dekolt. Cała się spłoniła. Poszła do kuchni po mleko, a przy okazji chwyciła wiszący na oparciu krzesła sweter taty i zarzuciła go sobie na ramiona.

- Inaczej wyglądasz - westchnął Maciek, nieco rozczarowany, kiedy wróciła do salonu opatulona w swetrzysko.

Hania zgrabnie nalewała herbatę do filiżanek. Jedną podała Maćkowi.

:

- Ciasta? — zaproponowała.

- Chętnie.

- Twój kolega... Maciek mówił mi, że poznaliście się w Hiszpanii. Czemu się nie pochwaliłaś, że wracałaś do Polski z tak czarującym mężczyzną?

„Hania, Hania...” Lea pokręciła w duchu głową. Wystarczyło, że zobaczyła przystojnego chłopaka, i od razu zmieniała się w uwodzicielkę.

- Uratował mi życie.

Hania zerknęła na Maćka z podziwem. On się zarumienił.

- Wcale nie...

- To prawda - przerwała mu. — Wróciłeś po mnie i Ra-mira z narażeniem życia. Inaczej skąd byśmy wiedzieli, że trzeba uciekać?

- Kim jest Ramiro? - Hania patrzyła to na Leę, to na Maćka, który wpakował sobie do ust porcję ciasta i zaczął zapamiętane przeżuwać.

- Nasz znajomy Hiszpan. Rozstaliśmy się z nim we Francji.

Lea spojrzała na Maćka z wdzięcznością. Będzie musiała uważać na słowa. On dalej jadł, jak gdyby nigdy nic.

- Tyle masz tajemnic. - Jej siostra ledwo maskowała wyrzut.

- To nikt ważny. Po prostu jeden z żołnierzy.

- Ale ten przyjechał z tobą do Polski.

Maciek odchrząknął, żeby przypomnieć pannom Winter o swojej obecności. Obie popatrzyły na niego pytająco. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że powinien teraz coś powiedzieć.

- Haniu, myślisz, że wasz ojciec będzie miał coś przeciwko temu, jeśli jeszcze kiedyś przyjdę do twojej siostry?

- Jestem pewna, że nie. - Hania była najwyraźniej zachwycona perspektywą odwiedzin tego przystojnego mężczyzny. - Pod warunkiem że będę przyzwoitką.

- Nie potrzebuję przyzwoitki. Jesteśmy z Maćkiem tylko znajomymi z wojny, w dodatku przegranej.

- Ale nasi sąsiedzi tego nie wiedzą.

- No dobrze. — Maciek wstał. - Porozmawiam z waszym ojcem. Zastanę go w synagodze?

- Dzisiaj chcesz z nim rozmawiać? — zapytała Lea.

- Owszem. Zanim dotrą do niego plotki. Lea skrzyżowała ramiona na piersi.

- To zły pomysł.

Hania wzięła Maćka pod ramię.

- Chodź, zaprowadzę cię.

Nawet jeśli sąsiedzi zauważyli, że Maciek jest częstym gościem w domu Winterów, nikt nic nie mówił. Polscy ochotnicy, którzy walczyli na wojnie w Hiszpanii, zostali w domu uznani za komunistów, co znacznie utrudniało im znalezienie pracy. Część z nich nękała policja, niektórzy nawet poszli do więzienia. Lea i Maciek przedostali się przez granicę inną trasą, przez góry, dlatego uniknęli zamknięcia w obozie koncentracyjnym we Francji. Całe szczęście społeczność żydowska miała gdzieś uprzedzenia polityków i Maciek dostał po znajomości posadę u przyjaciela rodziny Winterów.

W marcu Lea miała zacząć pracę w Szpitalu Staroza-konnych. W dni wolne Maciek zabierał siostry Winter na spacer do parku, na Pragę po drugiej stronie Wisły albo po prostu na wycieczki po Warszawie. Lea z Maćkiem zachwycali się budynkami, które wzniesiono podczas ich nieobecności, i ku irytacji Hani, zawsze chcieli zwiedzać je od środka. Wyjścia zazwyczaj kończyły się w kinie, gdzie chowali się przed zimnem, a potem w cukierni po sąsiedzku. Siostry jadły na spółkę jednego gofra z bitą śmietaną i owocami, bo Lea martwiła się, że przybiera na wadze. Maciek uśmiechał się, rozbawiony kobiecą próżnością, i pożerał swojego.

Miesiąc później sielanka rozsypała się jednak w drobny mak. Pewnego dnia Lea usiłowała wcisnąć się w swój farach pielęgniarski.

~ Jesteś w ciąży — oznajmiła Hania, widząc to.

Lea zbladła i zaczęła liczyć na palcach.

- Niemożliwe.

Hania przyglądała jej się, jakby doznała olśnienia.

- Hmm, *mazel tow* — rzuciła i wyszła z pokoju.

Lea, cała drżąca, popędziła za nią do kuchni. Tam usiadła na krześle i wbiła wzrok w ścianę, jak gdyby usiłując wymyślić nowy sposób liczenia dni. Hania podała jej filiżankę herbaty i usadowiła się po drugiej stronie stołu.

- Pani Szeftel będzie skakać z radości. Lea zacisnęła palce na filiżance.

- Tata pewnie też, kiedy minie pierwsze oszołomienie. Z nazwiskiem coś wymyślimy...

- Haniu, przestań - jęknęła Lea.

- Nie martw się tym, co ludzie powiedzą. Ty przynajmniej byłaś zaręczona. Córka Perlmanów zaszła w ciążę z anonimem.

Lea zgromiła Hanię spojrzeniem. Potem popatrzyła w swoją herbatę, ale tam też nie znalazła odpowiedzi.

- Miło byłoby mieć wesele, ale bez pana młodego... - Hania zorientowała się, że przesadziła, i w końcu się zamknęła.

Lea zerknęła na swoją siostrę.

- Obiecuję, że nikomu nie powiesz. Hania przewróciła oczyma.

- Przynajmniej przez jakiś czas. Kiedy jeszcze nic nie widać.

-Dlaczego?

- Chcę to zachować w tajemnicy.

- Za miesiąc, dwa wszyscy i tak się domyślą.

- Gratuluję dedukcji, ale muszę przemyśleć, co robić.

- Sama? Lea, to nie jest tylko twoja sprawa. Jest tata, jestem ja, no i pani Szeftel.

-Ona?

- Oczywiście. W końcu zostanie babcią.

Lea otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zmieniła zdanie. Siostra by nie zrozumiała.

Tego samego popołudnia Maciek jak zwykle czekał na nią po zakończeniu jej zmiany w szpitalu.

- Jesteś głodna? - zapytał, prowadząc ją na zewnątrz. -Nie.

- Jak ci minął dzień?

- Źle.

Popatrzył na nią kątem oka, ale nic nie powiedział. Leę ścisnęło w dołku.

- Jestem w ciąży.

- Co takiego?!

- Zbadał mnie dzisiaj doktor Wolsztein.

- Z Ramirem? Przytaknęła.

W jego oczach malowały się ból, żal i zaskoczenie. Wsunął dłonie do kieszeni.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

Położyła rękę na jego ramieniu, ale strącił ją.

- Dopiero dzisiaj się dowiedziałam.

- O Ramirze.

Lea wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Myślałam, że to oczywiste.

- Wolałem tego nie widzieć.

- Nie chciałam cię zranić.

- Jasne — rzucił. I odszedł, zostawiając ją na środku chodnika.

Lea nie potrafiła zmusić się, żeby wrócić do domu. Chodziła więc po mieście, aż odezwały się stare rany na stopach.

Z pokorą przyjęła ból. Taka była jej kara za ukrywanie prawdy przed porządnym człowiekiem. Niekiedy lepiej jest nie wyprowadzać ludzi z błędu niż łamać im serce prawdą. Zbyt późno zdała sobie jednak sprawę, że Maciek nade wszystko wolałby brutalną prawdę.

Wojna ją zmieniła. Widziała teraz, że nawet w bezro-zumnej walce na froncie sprawy nigdy nie są dobre albo złe, białe lub czarne. Sama nie była ani całkiem szczerą, ani całkiem nieszczerą, nie była grzesznikiem, nie była kłamcą, tylko po prostu kobietą i miała w sobie wszystkie sprzeczności, które są w kobietach cudowne. A jeżeli chodzi o świat transcendentny, wojna odarła ją z resztek złudzeń.

W czasie Purymu, gdy czytali księgę Estery, do Lei zaczęła docierać naiwność religii. Najbardziej wstrząsająca była dla niej jednak łatwość, z jaką ludzie dawali się okpić — i to tylko dlatego, że ciężko jest żyć ze świadomością, iż świat powstał w wyniku przypadku. Od jakiegoś czasu Lea czuła, że Bóg nie istnieje, nawet jeśli nie uświadamiała sobie tego w pełni. Osobnik zwany przez ludzi Bogiem to przecież magik, który — z nudy bądź złośliwości — wyczarował świat i zaludnił go dzikusami.

Ale ów magik ma wady. Jeżeli to prawda, że zostaliśmy stworzeni na jego obraz i podobieństwo, to siłą rzeczy odbiega od ideału. Skoro magik nie potrafi powstrzymać bratobójczych wojen człowieka, nie jest także wszechmogący (Lea ciągle myślała o nim w rodzaju męskim).

Magik stworzył świat dla swojej rozrywki. Bawiło go obserwowanie, jak ludzie niszczą ziemię. Bo w jaki sposób inaczej wytłumaczyć głód, niesprawiedliwość, wojny? Zeby było jeszcze śmieszniej, niektórym pionkom przydzielił nieco władzy, a potem z rozbawieniem obserwował ogólne zamieszanie.

Ludzie przeczuwali, że ich los jest przypieczętowany, dlatego rozpaczliwie usiłowali ustalić własne reguły gry. Sądzieli, że da się zaprowadzić pewien porządek poprzez system kar i kontroli. Niestety, ich system okazał się wewnątrznie sprzeczny, a na świecie panował coraz większy bałagan. Niektórzy znajdowali w ogólnie obowiązujących prawach nieścisłości i manipulowali nimi na swoją korzyść. Prawdziwość Boga uprawomocniała prześladowania bliźnich, jednocześnie nakazując ich kochać. Innowiercy stali się wrogami, których można było w imię Boga zabijać.

Lea wróciła do domu. Hania starała się zachowywać, jakby nigdy nic, ale widać było, że coś ukrywa. Lea posadziła więc tatę przy kuchennym stole i oznajmiła, że jest w ciąży. Potem złapała solniczkę i pobiegła na górę. W łazience zdjęła buty i wymoczyła nogi w gorącej wodzie z solą.

ROZDZIAŁ 31

Sekret Lei

Jasza szybko otrząsnął się z szoku i zaczął cieszyć, że zostanie dziadkiem. Hania zaniepokojona tym, że jej pozycja jest zagrożona, zdwoiła troskliwość. Niebawem zjawiła się pani Szeftel - dowód na to, że ściany mają uszy.

— Dlaczego nikt nie przekazał mi radosnej nowiny? — W oczach pani Szeftel, w których, od czasu gdy Lea przekazała jej hiobowe wieści, na stałe zagościł smutek, teraz zatliła się nadzieja.

Lea otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Nie mogła zabierać jej wnuka zaraz po tym, jak zabrała jej syna. Nie mogła powiedzieć jej prawdy, bo to by ją kompletnie załamało. Zwinęła dłonie w pięści i uśmiechnęła się, mimo że zbierało jej się na płacz. Ramiro przestał pisać. Owszem, wysłał pocztówkę z *Nowego Jorku*, w której zawiadamiał, że podróż minęła bez przeszkód, Ale nic więcej. W Marsylii powiedział, żeby nie pisała, dopóki on sam nie poprosi ją o to w liście. Dotychczas jednak dostała tylko tę pocztówkę. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek dojdzie do siebie. Ku konsternacji pani Szeftel, która przyszła do domu Winterów tylko po to, by dowiedzieć się o samo

poczucie synowej, Lea wybiegła z salonu i zamknęła się w swoim pokoju.

- Pani Falafel stała i mówiła do siebie — zauważyła później Hania.

Lea mimowolnie się uśmiechnęła.

- Poranne nudności. Zrozumie.

- To dlatego cały czas jesteś nie w sosie?

- Cięża strasznie mnie męczy.

- Powinnaś więcej jeść.

Na samą wzmiankę o jedzeniu Lei zrobiło się niedobrze.

- Czemu Maciek już nie przychodzi? — chciała wiedzieć Hania.

- Powiedziałam mu, że spodziewam się dziecka.

- I dlatego zniknął? Nie wierzę.

- To nie takie proste, jak myślisz.

- Kocha się w tobie. I czuje się zdradzony.

Lea zerknęła na Hanię. Jej siostra nie była już podlotkiem.

- Nic na to nie poradzę. Przepadł i już.

- Szkoda — westchnęła Hania.

- Tak będzie lepiej.

Ale Lea wcale nie czuła się pokrzepiona. Wręcz przeciwnie, coraz bardziej podupadała na duchu. Popatrzyła na siostrę, zastanawiając się, jak zareagowałyby na wieść o tym, kto jest ojcem dziecka i w jakich okolicznościach zostało poczęte. Na samą myśl o tym poczuła uderzenie gorąca. Obróciła się na bok, twarzą do ściany.

- Odpocznij. — Hania wyszła z pokoju.

Przygotowania do nadejścia dziecka zaczęły się na dobre, 3ć Lea nie wykazywała przy tym wielkiego zapału. Za to

Hania, najwyraźniej pogodzona z młodym *Goldfederem*, ciągała go po najdroższych sklepach w Warszawie i kupowała haftowane śliniaki oraz kocyki dla niemowlęcia.

Entuzjazm Hani sprawił, że i Jasza przestał maskować radość. Odkurzył swój warsztat na tyłach domu i zabrał się do strugania kołyski. Pani Szeftel dziergała buciki i czapeczki - „w kolorach podstawowych, bo tylko takie widzą niemowlęta”.

Pod pretekstem nawału obowiązków w szpitalu Lea przypięła sobie pielęgniarzki czepek i wyszła do pracy. Atmosfera w domu trochę ją przytłaczała. Na zewnątrz od razu odetchnęła z ulgą. Wiosenne powietrze było rześkie i przyjemne. Bezustannie zastanawiała się, jak sobie poradzi, jeśli Ramiro nie wróci. Szła ulicą i przyglądała się mijanym mężczyznom, szukając w ich twarzach ukochanego.

Mróz zelżał, nadeszła wiosna. Wkrótce drzewa zaczęły uginać się od liści. Po ulicach mknęły samochody, ale zdarzały się również dorożki, których pasażerowie nie mieli nic innego do roboty niż patrzenie na kwitnące gałęzie i słuchanie kopyt stukających o bruk.

Kiedy kilka lat później Lea przypominała sobie wiosnę owego roku, gdy czekała na narodziny dziecka, miała ochotę przenieść się w czasie i na nowo poczuć tamtą niezwykłą beztroskę i nadzieję, która pomimo niepokoju towarzyszyła jej wtedy. W Hiszpanii widziała piekło, ale jednocześnie były to najszczęśliwsze tygodnie jej życia - u boku tego, który zrobił z niej kobietę.

Miała ochotę opowiadać na prawo i lewo o miłości do Ramira. Musiała jednak zachowywać pozory i udawać, że jedynym mężczyzną jej życia był narzeczony. Narzeczony, który kochał ją z obowiązku. Zresztą Lea też pomyliła obowiązek z oddaniem. Dlatego pojechała za nim do Hiszpanii.

Najlepiej utrzymać w tajemnicy, co działo się po jego śmierci. Ludzie dookoła widzieli w niej tylko matkę, w którą przeobrażała się w miarę rozkwitania ciąży. Oto kolejna niekonsekwencja religii: uczynienie z kobiety dającej życie Madonny. Najłatwiej zapomnieć, że poczęcie jest efektem zbliżenia. Życie kobiety sprzed macierzyństwa się nie liczy. Odtąd pełni funkcję naczynia, a jej jedyną radością ma być pielęgnowanie potomstwa.

Trudno się dziwić, że Hania nie paliła się do małżeństwa. Lea jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że jej siostra rodzi dziecko za dzieckiem tylko ze względu na wymogi religii. Hania była zbyt nieposkromiona.

Mimo że Lea spodziewała się dziecka, koło jej ojca kręcili się mężczyźni zainteresowani ręką panny Winter. Głównie wdowcy, których przyciągnęła jej płodność. Nienawidziła ich taksujących spojrzeń, którymi kalkulowali, ilu synów im urodzi, zanim padnie jak poprzednia żona.

ROZDZIAŁ 32

Blitzkrieg

W kwietniu 1939 roku według propagandy hitlerowskiej Polska rozpoczęła kampanię terroru wymierzoną przeciwko mniejszości niemieckiej. Dyplomaci niemieccy ślali do Berlina noty o podpaleniach i pobiciach, a nawet morderstwach dokonywanych na niemieckich obywatelach. Goebbels wykorzystał te doniesienia w akcji propagandowej przeciwko Rzeczypospolitej. Dwudziestego ósmego kwietnia Hitler wypowiedział polsko-niemiecką deklarację o niestosowaniu przemocy z 1934 roku i brytyjsko-niemiecką umowę morską z 1935. Podał do publicznej wiadomości niemieckie żądania terytorialne, zaznaczając, że Polska wszystkie odrzuciła. W dodatku - jak wskazywał Berlin - mniejszość niemiecka w Warszawie była prześladowana, a Polska nie zamierzała oddać Gdańska ani udostępnić korytarza pomorskiego. Niemcom zatem nie pozostawało nic innego, jak tylko zbrojnie wystąpić o to, co im się zgodnie z prawem należy. Minister spraw zagranicznych Józef Beck ogłosił, że Polska pragnie pokoju, ale nie za cenę honoru.

Konflikt dotyczył Polski i Niemiec, skłóconych ze sobą od dawna państw, których stosunki pogorszył jeszcze bardziej traktat wersalski. Architektem tego konfliktu były jed-

nak Stany Zjednoczone w osobie prezydenta Wilsona, który opracował warunki pokoju z Niemcami, a potem skorygował je *post factum*, gdy Niemcy dokonały demilitaryzacji. Za namową Bernarda Barucha, doradcy do spraw polityki zagranicznej, Wilson nie tylko wycofał się z raz danego słowa, ale przyznał Polsce rozległe tereny należące dotąd do Niemiec.

Na Starym Kontynencie nikt nie wiedział, kto dał Amerykanom prawo do mieszania się w europejską politykę, ale wzburzenie szybko ucichło, gdy nowi właściciele domów zaczęli napastować Niemców, którzy nie chcieli opuścić posiadłości należących do ich rodzin z dziada pradziada. Polska agresja względem owych Niemców zaczęła przybierać tak dramatyczne rozmiary, że francuscy i brytyjscy obserwatorzy, których zadaniem było monitorowanie przesiedleń w tych rejonach, wszem wobec trąbili o niegodziwościach, jakich byli świadkami. Był to jednak głos wołającego na puszczy. Dwadzieścia lat później okazało się, że Niemcy cały czas pałają żądzą zemsty.

Po przejściu władzy w 1933 roku Hitler wdrożył reformy, które tchnęły w Niemcy nowe życie. Kraj rósł w siłę. Kanclerz prowadził politykę „Niemcy dla Niemców”. Żądał korytarza pomorskiego i Gdańska, a także usunięcia z Niemiec Żydów.

Rzesza powzięła plan wyekspediowania prawie tysiąca Żydów na Kubę. W maju 1939 roku Heinrich Muller wycarterował w tym celu od spółki morskiej obsługującej linię Hamburg - Ameryka transatlantyk m/s St. Louis. Osobiście załatwił Wszystkim pasażerom paszporty i zadbał o wykupienie odpowiednich zezwoleń na zejście na ląd. Trzynastego maja, niedługo po tym, jak statek wypłynął z portu, amerykański

Departament Stanu na polecenie prezydenta Roosevelta wymusił na rządzie Kuby anulowanie zezwoleń. Prezydent nie życzył sobie, by tyłu Żydów znalazło się tuż przy granicy USA.

Lea dostała dwudniowy urlop w szpitalu, a ponieważ pogoda była przepiękna, razem z siostrą wybrały się do lasu. Całe popołudnie objadały się jagodami i malinami; w końcu zmęczona długim spacerem Lea przysiadła na kępie mchu pod rozłożystym dębem, żeby dać odpocząć plecom. Wyciągnęła przed siebie nogi i z przyjemnością wdychała grzybowy aromat lasu. Brzuch ciążył jej coraz bardziej. Oparła się wygodnie o pień i starała się ręką poczuć dziecko. Była senna i zadowolona. Zmrużyła oczy i spojrzała w niebo. Przez liście przeświecał bezkresny, dodający otuchy błękit.

Hania tańczyła na bosaka do melodii, którą słyszała tylko ona. Jej ciemne włosy opadały kaskadami na barki. Była rusalką, leśną boginką, kimś nierzeczywistym. Lea zrozumiała to dopiero teraz. Żałowała, że czasem zachowuje się wobec niej małostkowo: podcina jej skrzydła, zabrania głośno się śmiać i gani za niestosowne zachowanie w bożnicy. Tego nauczyła ją matka.

Lea bezwiednie powtarzała te same schematy, które wtłoczyły w nią religia i normy społeczne. Starala się dawać dobry przykład, była skromna i potulna. Jasza nie widział, co dzieje się z jego starszą córką, bo całą uwagę poświęcał młodszej. Leę skręcało z zazdrości. W głębi duszy obwiniała Hanię za śmierć matki.

A teraz nagle doznała olśnienia: jej siostra umrze młodo. „Przeżyję ją”, pomyślała mimo woli, i pokręciła głową, żeby odpędzić tę straszną myśl.

— Nic nie mówisz — odezwała się Hania.

-Myślę.

- Chyba o czymś okropnym, bo jesteś blada jak ściana.

- Zgadłaś. Zamartwiam się na śmierć.

- Zaczekaj z tym, aż dzieciak będzie nastolatkiem.

- Boję się, że wszystkich rozczaruję.

- Wróciłaś w jednym kawałku. Przedłużysz ród małym, cudownym stworzeniem. Rodzina jest w komplecie, na świecie panuje pokój. Czego chcieć więcej ?

- Chciałabym być lepszym człowiekiem. Hania usiadła przy niej.

- Jesteś dobrą córką. Czasem nawet dobrą siostrą. Przestań się zamartwiać.

Lei zaczynało być niewygodnie, więc zmieniła pozycję.

- Wiem, że z nas dwóch ty jesteś poważna, a ja jestem od bujania w obłokach, ale ostatnio zupełnie sposepniałaś - rzekła Hania.

- Po co mi to mówisz? — Atmosfera sprzyjająca zwierzeniom prysła.

- Bo czuję, że coś jest nie tak. Nie warto się tak gryźć.

- Niedługo zostanę matką. To chyba normalne, że się martwię.

Hania odgarnęła z twarzy siostry kosmyk włosów i dotknęła jej policzka.

- Ciężko ci wytrzymać bez niego, prawda?

Przez kilka uderzeń serca Lea sądziła, że Hania poznała jej tajemnicę. Miała ochotę krzyknąć.

- Rób jak pani Szeftel: koncentruj się na dziecku, a zapomnisz, że umarł.

Lea przełknęła ślinę.

- Masz rację. Nie ma co niepotrzebnie rozlewać łez. Hania pomogła jej wstać.

— Wiesz, na co mam ochotę?

— Niech zgadnę. Lody? - Lea poczuła ulgę, że temat się zmienił.

— Czytasz w moich myślach.

W lipcu niemieccy żołnierze zaczęli zalewać Gdańsk jako turyści. Tym sposobem Rzesza uzbroiła miasto po zęby. Pomimo tak oczywistych przygotowań do agresji Londyn naciskał na polski rząd, żeby nie postępował pochopnie i dążył do kompromisu z Hitlerem. Führer jednak nie był w nastroju do negocjacji. *SS-Gruppenführer* Reinhard Heydrich wydał rozkaz przeprowadzenia ataku na własną radiostację w Gleiwitz (Gliwicach). Trzydziestego pierwszego sierpnia grupa esesmanów przebranych za Polaków przejęła gliwicką jednostkę i rozpoczęła nadawanie antyniemieckich komunikatów. Pozornie wyglądało to na atak polskich sabotażystów.

Następnego dnia drzwi wejściowe do szpitala rozsadził wybuch. Korytarz na parterze zasypały odłamki cegieł i gruzu. Lea była w siódmym miesiącu ciąży, nie dała więc rady uciec z oddziału razem z pozostałymi pielęgniarkami. I to ocaliło jej życie. Budynkiem wstrząsnęła druga eksplozja. Lea skuliła się na jednym z łóżek, żeby nie upaść na brzuch. Leżący tam pacjent patrzył na nią szeroko otwartymi z przerażenia oczyma. Rozległ się łoskot i piorunujący trzask. Przytomni pacjenci wyrywali sobie kroplówkę, chwytali cewniki i wyskakiwali z łóżek. Buchnęła piętrząca się niczym lawina chmura pyłu. Wszyscy mieli w ustach posmak gipsu. Lea złapała się jedną ręką za brzuch, rzuciła ku schodom i zbiegła na dół, ledwie dysząc w tumanie ceglanego kurzu. W rejestracji osłabiona ściana frontowa zawałiła się pod ciężarem dachu, a część sufitu runęła na uciekające

pielęgniarki. Lea uklękła i zaczęła kopać dłońmi w rumowisku. Po jakimś czasie palce miała całe we krwi.

- Proszę zostawić. - Lekarz pomógł jej wstać. — Jest pani potrzebna w ambulatorium.

- Ale tu są ludzie!

- Wyciągną ich. Proszę iść się umyć.

Lea pracowała, dopóki zupełnie nie opadła z sił. W głowie huczało jej od zwycięskich tyrad Hitlera, w których obiecywał, że zaprzestanie ataków, jeżeli Polska się podda. Oficjalnie zapewniał, że kobietom i dzieciom nie stanie się krzywda, gdy tymczasem po cichu rozkazał pilotom, by „byli bez litości”. Tydzień wcześniej, dwudziestego drugiego sierpnia, podczas odprawy dowódców zakomenderował: „Na wojnie liczy się zwycięstwo, nie prawo. Bądźcie brutalni, pozбудьте się miłosierdzia. Prawa ustanawiają silni [...]. Bez skrupułów zabijajcie każdego mężczyznę, kobietę czy dziecko polskiego pochodzenia”.

Nastał czas zemsty.

Dwudziestego trzeciego sierpnia Niemcy podpisały z Sowietami pakt Ribbentrop-Mołotow. W tajnym protokole dodatkowym państwa te ustaliły, jak podzielią między siebie polskie ziemie. Siedemnaście dni po niemieckiej inwazji na terytorium Polski wkroczyła od wschodu Armia Czerwona. Polskiemu rządowi cudem udało się przedostać do Rumunii. Gdy ambasador w Moskwie Wacław Grzybowski przypomniiał komisarzowi spraw zagranicznych Władimirowi Potiomkinowi o polsko-sowieckim pakcie o nieagresji, usłyszał, że skoro nie ma rządu polskiego, to nie ma też żadnego paktu o nieagresji.

Razem z Armią Czerwoną w Polsce zjawily się grupy operacyjne NKWD, których zadaniem było tropienie

i aresztowanie przedstawicieli polskiej administracji i policji, jak również wszystkich osób uznawanych za niebezpieczne, na przykład prawników i wykładowców uniwersyteckich. Agentom NKWD, w znacznej części pochodzenia żydowskiego, pomagali w tym zadaniu młodzi polscy Żydzi o poglądach komunistycznych. Polacy byli wściekli, zwłaszcza że społeczność żydowska nie przyłączyła się do walki o niepodległość na radiowe wezwanie prezydenta Mościckiego. Żydzi zamieszkujący wschodnią Polskę byli z reguły głęboko wierzący. Odmówili chwycenia za broń z dwóch powodów: nie pozwalała im na to religia, a poza tym Polska „nie była ich ojczyzną”. W dodatku w Wojsku Polskim służyło już sto trzydzieści tysięcy żołnierzy pochodzenia żydowskiego. Uważali, że Polska nie ma prawa domagać się kolejnych poświęceń. Synowie Żydów ze wschodniej Rzeczypospolitej szybko nawiązali współpracę z Sowietami.

Na wschodzie NKWD dokonywało rzezi na Polakach, tymczasem na zachodzie SS uruchomiło operację Tannenberg. Od września do grudnia 1939 roku na terenach okupowanych przez Rzeszę zamordowano około sześćdziesięciu tysięcy Polaków. Niemcy, których dwadzieścia lat wcześniej brutalnie wysiedlono, chętnie powetowali sobie krzywdy.

Zdziesiątkowana polska armia broniła się dzielnie jeszcze przez trzy tygodnie, *stawiając czoło* obu *agresorom* w nadziei na posiłki sprzymierzeńców. Sztab Generalny WP spodziewał się, że Francja i Wielka Brytania zgodnie z umową dostarczą wsparcia militarnego. Francuzi ograniczyli się jednak do obsadzenia wojskiem linii Maginota i kilku nieśmiałych rajdów na terytorium nieprzyjaciela. Tymczasem sytuacja osamotnionej Polski pogarszała się z dnia na dzień. Generał Maurice Gamelin, naczelny wódz

francuskiego Sztabu Generalnego, dwunastego września oznajmił Brytyjczykom, że wycofał siły z Niemiec, by zyskać na czasie. Polacy nie zdawali sobie wówczas sprawy, jak głęboko sięga niechęć Francuzów do działań zaczepnych. Francuscy dowódcy mieli w pamięci poważne straty poniesione w czasie pierwszej wojny światowej, a zwłaszcza śmierć na jej frontach całego pokolenia potencjalnych żołnierzy. Zrozpaczony polski rząd apelował do Brytyjczyków o zbombardowanie Niemiec, ale lord Halifax poinformował ambasadora w Londynie, Edwarda Raczyńskiego, że interwencja w Polsce możliwa będzie dopiero po zwycięstwie aliantów. Sprzymierzeńcy Polski czekali z założonymi rękami, aż ulegnie ona pod naporem dwóch miażdżących ją jak w imadle armii.

W czarny poniedziałek, dzień najcięższego bombardowania stolicy, gdy w szpitalu wrzało jak w ulu, Lei odeszły wody. Zawieszono ją na salę porodową. Nie zdążyła nawet zdjąć fartucha pielęgniarskiego. Mimo że od smrodu fenolu i wymiocin kręciło jej się w głowie, zdała sobie sprawę, że poród wypadnie pięć tygodni za wcześnie, w żydowski dzień pojednania zwany Jom Kippur. Oblężenie trwało już trzy tygodnie, a sytuacja w szpitalu była opłakana: ściana frontowa zawaliła się, łóżka zajmował personel. Lea nie dawała dziecku wielkich szans na przeżycie.

Urodziła syna w żalu i łzach; rozpacz odebrała jej wszelką nadzieję. Sytuacja rokowała fatalnie. Natura jednak posiada niezwykłą zdolność robienia, co trzeba. W tym samym czasie, gdy ziemia pochłaniała tysiące żołnierzy, Lea wyparła z łona nowe życie.

ROZDZIAŁ 33

Z dwóch stron

Warszawa skapitulowała trzy dni później. Przygnębiona Lea leżała w szpitalnym łóżku i wpatrywała się w sufit, kiedy pielęgniarka przyniosła jej maleńkie zawiniątko. Z roztargnieniem nakarmiła dziecko i zaraz znowu je zabrano. Chciało jej się płakać - nie wiedziała, czy z powodu słabowitości syna czy kapitulacji miasta. Świat dookoła niej runął. To wszystko nie miało sensu. Może trzeba było zostać w Hiszpanii. Może dałoby się inaczej zapisać karty historii, gdyby tylko Neville Chamberlain wykazał się większą stanowczością i powstrzymał Hitlera, kiedy to było jeszcze możliwe, zamiast ustępować dyktatorowi, a w Monachium podawać mu Sudety na talerzu. W marcu tego roku, niedługo po jej i Maćka powrocie z wojny, Niemcy zajęli Czechy i podporządkowali sobie Słowację. Polityka *appeasementu* nie zdała egzaminu.

Chamberlain zbyt późno zdał sobie sprawę, że celem Hitlera od samego początku było odzyskanie ziem, które dureń Wilson przekazał Polsce, by upokorzyć Niemcy. Polska miała pecha znaleźć się pomiędzy dwoma olbrzymami, którzy udają przyjaźń, nieustannie przeciwko sobie knując.

- Ten człowiek próbuje nam wmówić, że jedynym sposobem na przeciwdziałanie niesprawiedliwościom wobec Niemiec jest faszyzm — zauważył któryś z lekarzy. — Jego propaganda zalewa gazety.

- Ludzie są zbyt inteligentni, żeby się nabrać na jego brednie - odparł inny. — Alianci rozprawią się z nim szybciej, niż jesteś w stanie powiedzieć „amputacja”.

Polska tkwiła w kleszczach dwóch armii. Tymczasem Hitler postanowił przejść do następnego etapu wojny, zanim Sowieci zdążą zwrócić się przeciw Niemcom. Zdawał sobie sprawę, że Stalin ostrzy sobie zęby na Zagłębie Ruhry, i nie zamierzał stać się łatwym łupem. Jego dywizja pancerna niczym błyskawica wypruła na wschód. Gdy naziści zajęli Warszawę, zażądali dwunastu zakładników jako gwarancji, że stolica nie będzie się buntować. Do aresztu zgłosił się Szmul Zygielbojm, lider Bundu.

Leę wypisano ze szpitala tydzień po porodzie. Syn cały czas wymagał stałej opieki medycznej, zatem, choć niechętnie, zgodziła się zostawić go na oddziale noworodków. Zaskoczyło ją, jak szybko Niemcy uporali się z gruzami po bombardowaniach — zupełnie jak dziecko, które zamiata pod dywan rozbitą filiżankę, żeby ukryć, co zmalowało. Ze szpitala poszła na pocztę. Po hiszpańsku napisała: „Mamy syna”, a potem uważnie obserwowała urzędnika wpisującego tekst jej telegramu.

- Ustanawiają Judenrat — oznajmił ojciec, kiedy weszła do domu.

- Kto?

- Niemcy. Rada będzie co prawda kontrolowana przez nazistów, ale żydowska społeczność ma dostać pewną autonomię.

Pośrednikiem między nami a okupantami będzie właśnie rada. W jej skład wszedł nie kto inny jak Szmul Zygielbojm.

- Wypuścili go z aresztu?

- Na to wygląda. -Jak się czuje?

- Chyba dobrze, chociaż z nim nigdy nie wiadomo. Zgolił wąsy.

- Nareszcie. Były okropne.

Następnego dnia zjawiała się w szpitalu, żeby nakarmić dziecko. Personel pracował w pocie czoła. Gruz z parteru uprzątnięto; pod resztką dachu robotnicy budowali nowe, mniejsze pomieszczenie rejestracyjne. Przed wejściem co chwila zatrzymywała się karetka z rannymi. Przełożona poprosiła Leę, żeby wróciła do pracy szybciej. Lea zgodziła się. I tak spędzała więcej czasu tutaj, z dzieckiem, niż w domu. Jedzenia nie brakowało jeszcze dramatycznie, ale niełatwo było zdobyć przedmioty codziennego użytku, na przykład mydło. Z okazji powrotu do pracy Lea kupiła dwie kostki po niebotycznie zawyżonej cenie.

- Mydło! - wykrzyknęła Hania. - Pewnie kosztowało majątek! — Wzięła mydło w ręce, jakby było delikatnym zwierzątkiem.

- Zamierzam umyć włosy - odparła z uśmiechem Lea. Ach, Hania. Jeszcze trzy tygodnie temu nie posiadała się

z radości, że zostanie ciocią, ale na widok siostrzeńca była wyraźnie zawiedziona. Wyglądał jak pół nieszczęścia. Miał zaczerwienioną, pokrytą strupkami skórę, garstkę ciemnych, wychodzących całymi kępkami kosmyków i pajęcze nogi.

Hania nie rozumiała, dlaczego świat stanął na głowie. Nie była to jej wina. I tata, i starsza siostra chowali ją jak pod kloszem.

I wtedy wrócił Maciek.

- Widzę, że w szpitalu wreszcie remont — powiedział.
- Spadła na nas bomba.
- Właśnie się dowiedziałem. Przyszedłem sprawdzić, jak się czujesz.

Słyszałem dobre wieści.

Lea popatrzyła na niego zdezorientowana.

- O dziecku - dodał Maciek.
- Jeszcze nie wiadomo, czy przeżyje. Maćkowi zrzedł uśmiech.
- To wcześniak.
- Przykro mi. Nie wiedziałem. Wzruszyła ramionami.
- Nic dziwnego.
- Może pójdziemy coś zjeść? - zapytał, przyglądając się jej. Lea z zakłopotaniem zdała sobie sprawę, że przód fartucha wypychają jej uniesione mlekiem piersi.

- Chętnie zjem zupę.

- Dobrze. Zabiorę cię do świetnej knajpy.

Usiedli w barze. Z bulgoczących w kuchni garnków roznosił się po sali cudowny zapach jedzenia.

- Ramiro napisał? — zapytał Maciek. Serce Lei ścisnął ból.

- Wysłał pocztówkę, żeby dać znać, że jest cały i zdrowy. - A potem? Pokręciła głową. Kelnerka postawiła przed nimi dwa talerze zupy.

-Wie o dziecku?

- Zatelegrafowałam, ale nie odpowiedział. -Wciąż na niego czekasz? Pokręciła głową.

-Ale ma prawo wiedzieć. Leopold to jego syn.

- Idealne imię dla przyszłego naukowca.

Lea uśmiechnęła się blado i szybko włożyła do ust łyżkę zupy, żeby ukryć gorzki grymas.

Maciek ugryzł chleb i przez chwilę żuł w milczeniu, unikając jej wzroku. Lea zyskała chwilę na opanowanie łez.

- Zjesz pierogów?

- Po to wróciłeś? Żeby faszerować mnie jedzeniem?

- Wróciłem, żeby poprosić cię o rękę. Nieomal zakrzuszyła się zupa.

- Moglibyśmy wziąć ślub w przyszłym tygodniu. Potem wprowadziłabyś się do mnie z dzieckiem.

- Mieszkam z rodziną.

- Wiem, ale ludzie mówią. Pokręciła głową.

- Nie mogę.

Oczy pociemniały mu z bólu.

- Nadal go kochasz?

- Czasami tak. - Odsunęła zupę. Już nie była głodna. — Co dzień żałuję, że nie pojechałam z nim, kiedy prosił.

- Dlaczego nie pojechałaś?

- Bałam się.

Mocno ścisnął jej dłoń.

- Nie mogę pozwolić, żeby coś ci się stało. Nie szkodzi, że mnie nie kochasz. Chcę, byś była szczęśliwa.

- Na wojnie nie ma miejsca na szczęście.

- To żadna wojna! Tylko okrutna okupacja. Nie dano nam nawet prawa do godnej obrony. — Odsunął od siebie zupę. Jego talerz stuknął o talerz Lei.

- Bandy Polaków odpędzają nas od kolejek po żywność i atakują każdego, kto nosi tradycyjne ubranie. Nic mnie nie obchodzi godność albo honor.

Maciek wyjął z teczki egzemplarz „Nowego Kuriera Warszawskiego”.

— Widziałaś?

Lea przebiegła wzrokiem po gazecie, po czym zabrała ją Maćkowi i zagłębiła się w lekturze.

— Kiedy kupiłeś?

— Dzisiaj.

— „Od pierwszego grudnia wszyscy Żydzi powyżej dwunastego roku życia mają nosić na prawym ramieniu białą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida. Gwiazda ma mieć szerokość ośmiu centymetrów”. Chcą nas napiętnować! Symbol naszej religii ma być czymś, czego należy się wstydzić!

— Wyjdź za mnie, a tego unikniesz.

Patrzyła na niego tak długo, że cisza między nimi zaczęła gęstnieć w mur.

— Prosisz o zbyt wiele. Nie opuszczę rodziny. — Odsunęła krzesło, wstała i położyła mu rękę na policzku, żeby go rozchmurzyć. On jednak odwrócił głowę. - Zegnaj, Maćku - rzuciła i odeszła.

On siedział jak zamroczony.

Po powrocie do domu w skrzynce pocztowej znalazła list z meksykańskim znaczkiem. Była zdziwiona, że Hani nie udało się go przechwycić. Zauważyła jednak, że koperta nie była zaadresowana pismem Ramira, chociaż jako nadawca figurował on. W kuchni otworzyła list nożem. W środku znajdował się jedynie plik formularzy pocztowych. Czy Ramiro sobie z niej kpi? Zbladła. Czy chce jej w ten sposób powiedzieć, że do niej nie wróci?

— Boże — jęknęła.

Do kuchni weszła Hania.

- Co się stało? — zapytała.

Lea wybiegła jak burza i popędziła do łazienki. Tam zwymiotowała do muszli wszystko, co miała w żołądku. Wyrzuciła również list.

Nazajutrz w szpitalu dowiedziała się, że musi zabrać syna. Podskórnie przeczuwała, że ma to coś wspólnego z jej żydowskim pochodzeniem.

- Przecież ja tu pracuję - zaprotestowała — a moje dziecko wymaga opieki.

- Jest pani zwolniona. Szpital zajęli Niemcy, a pani jest Żydówką. I tak ma pani szczęście, że nie jedzie do obozu pracy.

Lea wydała stłumiony okrzyk. W szpitalu nigdy nie zwracano się do niej w ten sposób. Zawinęła syna w kilka koców i wzięła na ręce. Był taki kruchy.

- Już dobrze — szepnęła w przypominające muszelkę ucho. - Mama cię pilnuje. Jeśli będzie trzeba, obroni cię własną pierś.

Przedarła się do domu, pokonując zamieć śnieżną. W domu opowiedziała Jaszy, co zaszło.

- Dowiedziałam się, że żaden szanujący się Niemiec nie pozwoli, by dotykał go Żyd. Mógłby się zakazić. Cholerni hipokryci! Co oni sobie myślą? Ze szpital przestanie być żydowski tylko dlatego, że go zarekwirowali?

- To najlepiej wyposażony szpital w kraju — zauważył ojciec.

Lea uklękła przy nim.

- Co mamy robić?

- Dzisiaj wybrali mnie do Judenratu.

- No to mają cię w garści.

- Leo, to wyróżnienie. - Jasza położył dłoń na policzku córki. - Będę pomagał radzie w kwestiach administracyjnych. Dostanę za to pewnie przywileje.

- Przywileje?! — Wstała. — Tato, Niemcy piętnują Żydów gwiazdą Dawida! Zabraniają nam wstępu do restauracji i kawiarni!

- To nasi rabini postanowili, że będziemy nosić gwiazdę Dawida — odparł Jasza, przyprawiając Leę o dreszcze. - W ten sposób unikniemy mieszanych małżeństw.

Popatrzyła na ojca, jakby postradał zmysły.

- Naprawdę wierzysz - ciągnął — że Niemcy poświęcają nam tyle uwagi? Ze sprawdzają, kiedy przypadają nasze święta? Przecież siedzą tu jak niepyszni. To rabini im wszystko mówią.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Skoro taka ważna jest dla ciebie współpraca z nimi, to przynajmniej mnie tu nie zatrzymuj. Nie każ mi się za ciebie wstydić.

Jasza pobladł i wstał. Wcisnął ręce w kieszenie, żeby nie było widać, jak drżą. Podeszedł do okna i niewidzącym wzrokiem popatrzył na zasypany śniegiem ogród. Gdy się odwrócił, jego twarz była biała jak tamten śnieg.

- Możesz wyjechać, ale musisz wziąć ze sobą Hanię.

- Sprytnie! Mówisz tak, bo wiesz, że ona cię nigdy nie zostawi.

- Ona też ma prawo do ucieczki.

Z piętra zeszła Hania, ściągnięta podniesionymi głosami Jaszy i Lei.

- O co się kłóćcie? Obudzicie dziecko.

- Twoja siostra chce wyjechać za granicę. Ty jedziesz z nią.

- A dziecko? Umrze z zimna.

Lea poczuła, jak krew odpływa z jej twarzy.

- Poczekaj przynajmniej, aż mały nabierze siły - poprosił Jasza.

Lea usiadła ciężko na krześle i zamknęła oczy, pokonana.

ROZDZIAŁ 34

Getto warszawskie

W nowym roku Poldek nieco podrosł i zaczął wyglądać jak mały człowiek. Jego policzki zaróżowiły się, miał czarne, jedwabiste włosy i oczy koloru hiszpańskich oliwek. Był podobny do ojca i pewnie dlatego tak zawzięcie walczył o życie. Pani Szeftel oświadczyła, że to wypisz wymaluj jej syn. Lea uśmiechnęła się, ale nie wyprowadziła starszej pani z błędu. Jasza gaworzył nad malcem, jakby to było jego własne dziecko. Wszystko pod czujnym okiem Hani, której uwielbienie wobec siostrzeńca nie pogłębiło się tylko dlatego, że było to już niemożliwe. Lea oddała synowi całe swoje serce. Kochała ten mały cud nad życie.

Zeby utrudnić komunistom żydowskiego pochodzenia formowanie szyków, SS zakazało Żydom podróży pociągiem. To jednak nie ukróciło akcji sabotażowych. Następnie Niemcy zablokowali konta bankowe dywersantów, by uniemożliwić diasporze przekazywanie pieniędzy na kupno broni. W wyniku tych działań udało im się jedynie skłócić żydowską społeczność. Kolejnym krokiem hitlerowskiego terroru było zamrożenie starszym Żydom emerytur i konfiskata żydowskich przed-

siębiorstw. W ten sposób cała wspólnota została ukarana za nieroztropność garstki osób.

Poldkiem zajęła się pani Szeftel, a Lea z Hanią zgłosiły się do pracy w kuchni ludowej. Każdemu potrzebującemu wydawały miskę zupy i kawałek chleba, a w zamian za swój czas i energię otrzymywały garnek zupy i bochenek chleba dla rodziny. Pani Szeftel wprowadziła się do Winterów. Jasza zaproponował, by zamieszkała z nimi i pomogła przy dziecku; uratował ją tym przed głodem, była bowiem za stara do pracy, a jej emeryturę wstrzymano i powoli wyprzedawała wszystko, co miała. Jasza też pracował na utrzymanie rodziny w pocie czoła. Poza obowiązkami w Judenracie wciąż pełnił swą funkcję w synagodze, a codziennie po pracy szedł po przydział węgla do ogrzania kuchni; dzięki temu córki i pani Szeftel miały na czym podgrzać zupę.

Rozniosła się wieść, że Żydzi pomagają NKWD mordować Polaków. Bandy rozwścieczonych Polaków zaczęły więc napadać na Żydów w rewanżu za ich zdradę, za to, że tak odpłacają tym, którzy przez wiele setek lat gościli ich u siebie, podczas gdy w pozostałych krajach Europy czekały ich tylko prześladowania. Zeby odstraszyć napastników, Niemcy odgradzili dzielnicę żydowską barykadami i rozlepili ostrzeżenia o epidemii. W końcu Judenrat otrzymał polecenie otoczenia terenu murem. Zygielbojm otwarcie sprzeciwił się rozkazowi. W obawie o bezpieczeństwo swojego kolegi inni działacze Bundu zorganizowali mu ucieczkę z okupowanej Polski. W grudniu przedostał się do Belgii, a następnego roku na zjeździe europejskich partii socjaldemokratycznych w Brukseli opisał dramatyczną sytuację polskich Żydów.

Z powodu wojny dostęp do podstawowych dóbr był ograniczony. Warszawiakom zaczął doskwierać głód. Właścicie-

le sklepów nie chcieli sprzedawać jedzenia podejrzanym o komunistyczne sympatie Żydom. Niektórzy oskarżali ich nawet, że kradną żywność Polakom.

- Nie bardzo jest co kraść. - Leę rozbawiłaby ta ironia, gdyby rzeczywistość nie była tak straszna. — W szpitalu instruowano nas, jak żywić pacjentów. Polacy otrzymują siedemset kalorii na posiłek, a Żydzi czterysta.

- Czemu akurat tyle? - zapytał Jasza.

- Tak wyszło lekarzom w wielce naukowych badaniach. Zmierzyli dokładnie przykładowych przedstawicieli obu ras i wyliczyli dawki kalorii. Jako rasa jesteśmy drobniejsi, a czasy są ciężkie, więc przydzielono nam czterysta kalorii na posiłek.

- A Niemcy, ile dostają? — chciała wiedzieć Hania.

- Dwa tysiące sześćset kalorii dziennie. Niektóre niemieckie zdziury wyrzucają jedzenie, bo się odchudzają.

- Lea, jak ty się wyrażasz? — upomniał ją Jasza.

Lea miała ochotę odwinąć się tacie, ale ugryzła się w język.

W maju 1940 roku Niemcy najechały Belgię, więc Zy-gielbojm uciekł do Francji. Stamtąd popłynął do USA, gdzie przez osiemnaście miesięcy usiłował nakłonić Amerykanów do uratowania Żydów przed nazistami.

- W Europie nie ma dla nas miejsca - tłumaczył. — Pozwólcie nam osiedlić się tutaj.

Niestety, mówił jak do ściany.

W dzień Jom Kipur modły w synagodze przerwało nowe obwieszczenie. Drugiego października gubernator Fischer podpisał zarządzenie dotyczące utworzenia getta. W ciągu sześciu tygodni mieli się tam wprowadzić wszyscy Żydzi

spoza wskazanego terenu. Nazajutrz Jasza przyszedł do domu z mapą, na której zaznaczono obszar getta.

— Jak mamy się tam zmieścić? — zdziwiła się Lea.

- W Warszawie jest pół miliona Żydów.

— Według Niemców to żaden problem. Większość diaspory i tak już tam mieszka. Trzeba teraz wysiedlić sto trzysta tysięcy Polaków, a ich mieszkania udostępnić jakimś stu czterdziestu tysiącom Żydów.

— To znaczy, że na trzech kilometrach kwadratowych upchną pół miliona ludzi! Będziemy ściśnięci jak sardynki w puszcze. Tato... - szepnęła zrozpaczona - trzeba było mnie puścić.

Jasza westchnął.

— Zaślepiła mnie miłość. Samolubnie chciałem zatrzymać rodzinę przy sobie.

— Nie zamierzałam nas rozdzielać - przypomniała mu.

- Najlepiej by było, gdybyśmy wszyscy uciekli.

— Do Hiszpanii? Nie daliby nam tam zostać.

— Moglibyśmy przedostać się do Portugalii, a stamtąd do Ameryki.

— W Ameryce też nas nie chcą.

— Tato, spójrzmy prawdzie w oczy. Nigdzie nas nie chcą. Jeżeli będziemy prosić o pozwolenie, nikt nas nie przyjmie, ale przecież nas nie odeślą, kiedy już będziemy na miejscu.

— Odeślą. Tak samo jak odesłali m/s St. Louis. Wolałabyś utknąć na środku oceanu jak tamci biedacy? Tutaj przynajmniej mamy dach nad głową, naszą społeczność i Boga.

Lea nie odpyskowała, ale nie udało jej się powstrzymać pogardliwego prychnięcia.

— Co to ma znaczyć? Znowu jesteś bezczelna. Lea zacisnęła usta i z trudem stłamsiła gniew.

- Tato, wiesz już, gdzie będziemy mieszkać? — zapytała z udawaną pokorą.

Jasza przyglądał jej się dłuższą chwilę, aż wreszcie zdecydował, że nie ma sensu się pieklić. Nabrał głęboko powietrza.

- Mieszkania przydziela Judenrat. Nie mogę żądać zbyt wiele, ale zapewnię mojej rodzinie minimum wygody.

Exodus przedstawiał osobliwy widok. Tysiące Żydów taszczyły ze sobą wszystko, co mieli, jedni w tobołkach, inni na wozach. Tę rzekę ludzi Niemcy wtłoczyli do „dzielnicy żydowskiej”, jak nazywali ten obszar. Więźniowie wznoszący mury harowali dzień i noc. Wkroczywszy do getta, zaferowani rodzice wpychali dzieci, meble, a na końcu siebie do ciasnych, ponurych pomieszczeń. Przed wyjazdem niektórzy przedsiębiorczy Polacy udekorowali ściany swastykami, a na podłodze zostawili ekskrementy.

Rodzina Winterów znalazła się w mieszkaniu kilka razy mniejszym niż to, z którego ich wyrzucono. Przystąpiwszy próg, Hania usiadła na podłodze i wybuchnęła płaczem.

- To najlepsze, co udało mi się załatwić - powiedział Jasza i zakasał rękawy.

- Zobaczcie, mamy nawet balkon! — zaćwierkała pani Szeftel. - Wystarczy tylko trochę tu posprzątać i wstawić nasze meble. Od razu będzie przyjemniej.

Lea odczepiła od siebie Poldka i podała go pani Szeftel. Chłopiec rozglądał się po pokoju dużymi, czujnymi oczyma i ssał kciuk, ale nic nie powiedział. Lea uklękła przy siostrze.

- Nie marnuj łez na straty materialne.

- Dlaczego właśnie my? — szepnęła Hania.

Lea pogłaskała siostrę po włosach, a potem po mokrych łez policzkach.

-Nie wiem, naprawdę.

- Czy to prawda, co o nas mówią?
- Nie bądź niemądra.
- Skoro to kłamstwa, to dlaczego ludzie nas atakują?
- Bo ich lękami manipuluje ktoś inteligentniejszy. Pamiętasz, co Platon napisał o ignorancji?

Hania pokręciła głową.

- Trzeba było się uczyć, a nie uganiać za chłopakami. Napisał tak: „A jak taki retor, który nie wie, co jest dobre i złe, a ma przed sobą zgromadzenie, które także tego nie wie, i on je przekonywa i nakłania... ale jeśli on zło przedstawi jako dobro, a dbając o opinię tłumu, nakłoni ich do czynu złego, zamiast do dobrego, to jak myślisz, jaki plon zbierze sztuka retoryczna z takiego posiewu?”*

- Jeszcze więcej zła? - podsunęła drżącym głosem Hania. Lea przytuliła siostrę.

Do pokoju wszedł Jasza, trzymając wiadro mydlin i szczotkę. Na pierwszy ogień poszła swastyka na ścianie.

- Chodź, pomożemy tacie — powiedziała Lea. — Zobaczysz, alianci nie opuszczą nas w potrzebie.

Kiedy mieszkanie było już uprzątnięte, Lea wyszła na szalejącą na dworze wicherę, żeby zobaczyć, jak postępuje wznoszenie muru. Robotnicy ślaniali się z wycieńczenia. Przerażenie ścisnęło ją za gardło. Zdała sobie sprawę, że z każdą kładzioną cegłą maleje jej szansa na wydostanie się na zewnątrz. Kiedy obwód muru zostanie zamknięty, znajdzie się w potrzasku. Stało się dla niej jasne, że ten mur przypieczętuje los jej braci i sióstr.

- Niech bogowie się nad nami zlitują - wyszeptwała i runęła na ziemię.

***Przełożył Władysław Witwicki.**

* * *

Sześćdziesiąt lat później w tym samym miejscu, gdzie *zemdlała* Lea, stała pewna kobieta, która uparła się, żeby zrekonstruować przeszłość.

- Tylko tyle zostało - rzekł Izmael. - Mur miał trzy metry wysokości, górą biegł drut kolczasty. Bramy były dwadzieścia dwie. Strzegła ich *Hilfspolizei*, a także oddziały polskiej i żydowskiej policji. Żeby opuścić getto, potrzebna była specjalna przepustka. Tych, którzy znaleźli się poza murem bez takiej przepustki, czekała śmierć. To samo za *füttern den Feind*, czyli żywienie wroga. - Wsunął ręce do kieszeni i zapatrzył się w jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni. — Są plany, żeby wykorzystać resztki muru do budowy mennicy.

- Okropność. Dlaczego go po prostu nie zburzą?

- Nie mogą. Polsce nie wolno też pozbyć się obozów koncentracyjnych.

- To niesprawiedliwe skazywać kraj na życie z takim dziedzictwem.

- Niby tak. Ale trzeba zachować ślady historii. Jak inaczej mamy pamiętać, co się stało?

- Nie wiem. - Amada wcisnęła ręce do kieszeni. — W jakimś sensie to upiorne chcieć pamiętać taki koszmar.

- Upiorne to są plany, żeby budować tu mennicę. Amada popatrzyła na niego pytająco.

- U zarania drugiej wojny doradcy ekonomiczni w Anglii i USA naciskali swoje rządy, żeby zalały rynek międzynarodowy fałszywymi markami. Miało to zniszczyć niemiecką gospodarkę, a przynajmniej wywołać gigantyczną inflację, która znacząco osłabiłaby Hitlera.

Brytyjczycy byli mistrzami w rozpętywaniu wojen gospodarczych właśnie w ten sposób: wypuszczając fałszywki. Strategia była więc wypróbowana. Ale Trzecia Rzesza odplaciła im pięknym za nadobne. W sumie wprowadzili na rynek około trzystu milionów funtów i pięćdziesięciu milionów dolarów. W podrabianiu funtów, a potem i dolarów, specjalizował się Salomon Smolianow, rosyjski Żyd pracujący w zespole fałszerzy złożonym z więźniów obozu koncentracyjnego.

Niebawem utworzono Judischer Ordnungsdienst, czyli żydowską Służbę Porządkową, pełniącą wewnątrz getta funkcję policji. Na jej pierwszego nadkomisarza Himmler wyznaczył Józefa Szeryńskiego. Szeryński urodził się jako Szenkman, a nazwisko zmienił, przechodząc na chrześcijaństwo. Był zajadłym antysemitą. By upewnić się, że zgodnie z życzeniem Himmlera żaden Żyd nie wymknie się poza mury getta, strażnikami bram uczynił zwolnionych z więzień skazańców. Żydowscy bandyci sądzili, że przykładną pracą zaskarbią sobie przychyłość Niemców, więc ustawiali się w kolejkach, aby zapisać się do SP. Służąc w jej szeregach, nadgorliwie wypełniali swoje obowiązki i dręczyli współwyznawców jeszcze brutalniej niż strażnicy bram. Inni za wszelką cenę starali się zdobyć *Ausweis* - dowód zatrudnienia, czasem nawet po trupach.

Jako członek Judenratu Jasza cieszył się pewnymi względami, mógł na przykład mianować Leę kierowniczką izby chorych. Był zadowolony, że nie musi wydawać córek za pierwszego z brzegu niepodlegającego deportacji Żyda, czyli najpewniej kogoś ze Służby Porządkowej albo „trzynastki” - znienawidzonej przez Jaszę formacji kola-

boracyjnej, będącej *de facto* żydowskim oddziałem gestapo. Codziennie widywał takich w synagodze. Agenci i bandyci biorący za żony dobrze wychowane żydowskie panny, o których w innych warunkach nie mogliby nawet marzyć - co za hańba.

Dawny Szpital Starozakonnych przejęli Niemcy. Żydzi musieli zadowolić się izbą chorych, dopóki klinika położona kilka przecznic dalej nie zostanie przekształcona w szpital z prawdziwego zdarzenia. Prawie całą pensję Lea przeznaczała na żywność. Co bardziej przedsiębiorczy Żydzi kupowali od Niemców jedzenie i sprzedawali swoim sąsiadom po zawyżonej cenie. Wykładając ciężko zarobione pieniądze, Lea przeklinała ich w duchu, ale nie miała wyboru. Za podstawowe produkty, takie jak ziemniaki czy mąka, płaciła dwa razy więcej niż po stronie „aryjskiej”.

Pani Szeftel była zbyt stara, by pracować. Całe dni spędzała zamknięta z Poldkiem w mieszkaniu, drżąc ze strachu przed łajdakami ze Służby Porządkowej, którzy potrafili wyzywać kobiety od najgorszych i mieli w zwyczaju proponować, żeby zajęły się intymnymi częściami ich ciała. Upatrzyli sobie zwłaszcza tradycyjnie ubrane, skromnie zakryte chustami dziewczyny z dobrych rodzin. Czy to z chęci przypodobania się niemieckim zwierzchnikom, czy z sadystycznej przyjemności, członkowie SP prześladowali też brodatych mężczyzn w tałasach, którzy tak śmiesznie biegali z jednego miejsca w drugie, zupełnie jak wystraszone szczury.

Pewnego razu, gdy rodzina zasiadła do obiadu, Jasza oznajmił:

- Niemcy naciskają, żeby Judenrat oddał przydziałowych stu dwudziestu robotników do obozów pracy.

— Ciekawe, co jeszcze wymyślą? - mruknęła Hania.

— Nie domyślasz się? Co miesiąc skazują na śmierć pięć tysięcy osób. Chorzy umierają na czerwonkę, a ja jestem bezradna. - Lea popatrzyła na ojca z wyrzutem.

Za przydział wody, jedzenia, węgla, leków i mieszkań odpowiadał Judenrat. Rada decydowała również, kto zostanie deportowany z getta. Członków Judenratu dawało się czasem przekupić, żeby uniknąć zsyłki.

— Myślisz, że nie widzę, co się dzieje? - wtrąciła młodsza siostra, zanim Lea zdążyła oskarżyć ojca o blokowanie dostaw lekarstw czy, co gorsza, łapówkarstwo. — Przychodzą do kuchni, ale nie są nawet w stanie utrzymać jedzenia. Dzisiaj na przykład jeden człowiek zwymio...

— Haniu, dosyć — upomniał ją Jasza. - Jemy obiad. Pani Szeftel postawiła na stole garnek zupy.

— Dziś napijemy się herbaty — poinformowała.

— Moja droga, jak pani tego dokonała?

— Herbata nie jest takim rarytasem jak kawa.

— Prawda, prawda. — Jasza rozłożył serwetkę. — Czy chłopak Perlów dalej szmugluje z zewnątrz jedzenie?

— Tak - odparła pani Szeftel. - Pomogłam jego matce zrobić mu płaszcz podszyty specjalną warstwą kieszeni. Dzisiaj dzieciak zrobił cztery kursy. Jest nieustraszony. A pani Perl sprzedała mi trochę herbaty i garść cukru.

— Cukru? - Hani zaświeciły się oczy.

— Tak, skarbie. Zrobię chleb marchewkowy na szabas.

Lea posadziła sobie Poldka na kolanach i zaczęła karmić go zupą. Aż serce się krajało, że ten uroczy chłopczyk jest skazany na życie w tak okropnych warunkach. Nigdy nie jadł lodów. Nigdy nie biegał po polu, nie głaskał żadnego zwierzęcia. W jego wieku Hania ganiała po parkach,

a w czasie wycieczek do lasu *zbierała* całe garście świeżych owoców, tymczasem świat Poldka zamykał się w tych pokojach. Fascynowało go, co znajduje się na zewnątrz, i błagał Jaszę, żeby zabrał go ze sobą do synagogi. Lea nie mogła znieść, że musi wychowywać syna w ciągłym strachu, zamkniętego w klatce.

ROZDZIAŁ 35

Rządy terroru

Jasza wrócił do domu zdruzgotany.

- Co się stało? - Hania pomogła mu zdjąć płaszcz.

- Nie przekazaliśmy Niemcom stu dwudziestu robotników, więc zastrzelili dziesięciu członków Judenratu. - Opadł ciężko na krzesło. — Zresztą wybrali ofiary nieprzypadkowo. Tamtych dziesięciu beczelnie brało łapówki. Ktoś musiał donieść. - Uniósł głowę i popatrzył córce prosto w oczy. Hania aż poczuła się nieswojo. — To było ostrzeżenie. Obiecuj, że będziesz uważać.

- Obiecuję, tato.

Westchnął, wcale nie uspokoiony.

- W teatrze grają dziś *Matkę Courage* - powiedziała, żeby go rozchmurzyć. - Wybierz się, dobrze ci to zrobi.

- Nie jestem w nastroju. — Pokręcił głową. - Ale ty idź. Weź siostrę i panią Szeftel. Zajmę się Poldziem.

Pani Szeftel nie trzeba było namawiać, za to Lea zgodziła się dopiero po długich perswazjach Jaszy. W przedstawieniu pierwotnie grała Ida Kamińska z córką Ruth, jednak po ich ucieczce z kraju w obsadzie znalazły się dublerki. Pomimo to widownia pękała w szwach.

Następnego ranka Lea brnęła do pracy po kolana w śniegu. Szalała wichura, więc opatulila się szczelnie chustą. Ulica świeciła pustkami. Poza nią był tylko człowiek zbierający z ulicy zwłoki dzieci, które umarły z głodu albo zmarzły wkrótce po tym, jak rodziców wywieziono do obozu za domniemane komunistyczne sympatie. Niektóre dzieci przygarnął Korczakowski Dom Sierot, te tutaj jednak nie miały tyle szczęścia. Lea starała się odwracać wzrok, ale i tak nie uszło jej uwagi, że przypominają szkielety. Żałosne resztki ubrań, które okrywały je za życia, zostały już rozdane tym, które przetrzymały noc. Nagle w stercie ciał poruszyła się ręka.

- Tutaj ktoś żyje! - zawołała. Człowiek zatrzymał się i popatrzył na nią.

— Dokończy umierać w dole.

- Grzebie je pan żywcem?! Chyba pan zwariował. Człowiek wzruszył ramionami i już chciał odejść.

— Niech pan zaczeka! — Dogoniła go. - Wezmę to żywe.

- Jak pani chce. - Zatrzymał się, żeby Lea mogła wyciągnąć dziecko ze sterty.

Odór rozkładających się ciał przyprawiał ją o mdłości, ale zacisnęła zęby. Owinęła wycieńczonego chłopca w swój płaszcz i zaczęła się oddalać.

— Izba chorych, mówi pani? Przyjadę po niego wieczorem. - Człowiek uniósł rączki taczki i odjechał wraz ze swoim przerażającym transportem.

Lea wynurzyła się zza rogu. Jej oczom ukazał się agenci „trzynastki” ustawiający w rzędzie grupę kobiet. Wyglądało na to, że ich celem są te w futrach. Leę zastanowiło, co eleganckie panie robią na ulicy o tak wczesnej porze. Prawdopodobnie szły na brydża do „klubu”, gdzie bogaci Żydzi

jadali posiłki przyrządzone z produktów, które sami sprzedawali na czarnym rynku po niebotycznie wysokich cenach.

Jeden z trzynastkowców przepędził ją, gdy zauważył, że się im przygląda. Lea przycisnęła do siebie zawiniątko i przyspieszyła kroku. Łapówka, jaką ci gangsterzy wymuszali na kobietach, tylko pogorszy życie pozostałych mieszkańców getta, bo stratę trzeba będzie powetować, jeszcze podnosząc ceny żywności. Lea zacisnęła pięści. „Trzynastka” — żydowskie gestapo - oficjalnie funkcjonowała jako Urząd do Walki z Lichwą i Spekulacją. Agenci mieli dbać, żeby ceny w getcie nie były zbyt wyśrubowane; tymczasem w zamian za ogromne łapówki przymykali oko na machinacje spekulantów. A pieniądze wyłudzone przez przekupnych trzynastkowców handlarze rekompensowali sobie podwyższaniem cen żywności. „Podli zdziercy”, piekliła się w duchu Lea. Wszyscy bez wyjątku liderzy „trzynastki” - Abraham Gancwajch, Moryc Kohn, Zelig Heller - wzbogacili się na szantażowaniu Żydów w pierwszym roku wojny. A nie tak dawno wyposażyli własne pogotowie ratunkowe w ambulans, za który nałożyli na ludność getta podatek; pojazd służył jednak do przewożenia kontrabandy, podczas gdy ludzie umierali na ulicach. Prowadzili też dom publiczny w hotelu Britannica. Lea nie mogła przeboleć, że tyle lekarstw idzie na leczenie przenoszonych tam chorób. Teraz, jak można sądzić, szefostwo „trzynastki” ostrzyło sobie zęby na czarny rynek i dlatego szykanowali żony spekulantów.

Chłopiec umarł w jej ramionach tego samego dnia po południu. Lea wygrażała niebiosom, ale to nie przywróciło mu życia. Niespecjalnie zdziwiła się, gdy wieczorem zjawił się w izbie chorych niejaki Henryk Goldszmit, znany jako profesor Korczak. W getcie wiadomości rozchodziły się lotem

błyskawicy. Po utworzeniu getta jego Dom Sierot znalazł się po stronie „aryjskiej”, a wychowankowie się rozproszyli. Korczak wybłagał więc w Judenracie kilka pokoi i trochę węgla na ogrzanie, żeby umierającym na ulicach getta dzieciom umożliwić przynajmniej spokojną śmierć w ciepłym miejscu. Lepiej rokujące dzieci przyprowadził do Lei.

- Nie mam tylu łóżek - zaprotestowała.

- Ale ma pani wielkie serce — zauważył profesor. — Wiele słyszałem o pani dobroci. Podobno oddaje pani własne jedzenie potrzebującym.

- Musiał mnie pan z kimś pomylić - rzuciła, jednak współczujące oczy zdradziły jej prawdziwe uczucia. — Dobrze, dziś wyjątkowo je przyjmę, ale będą musiały spać po dwoje w jednym łóżku.

- Są tak wychudzone, że w łóżku spokojnie zmieściłaby się i czwórka.

- Ile pan ich jeszcze ma?

Następnego dnia w izbie chorych zjawiono się dwóch funkcjonariuszy Służby Porządkowej pod przewodnictwem Niemca. Najwyraźniej na bieżąco informowano ich o poczynaniach profesora Korczaka. Lea myślała akurat ciało zmarłej dziewczynki. Inne dzieci dało się uratować, ale mała była zbyt słaba. Niemiec z miejsca zarządził inspekcję. Lea rzuciła dwóm Żydom nienawistne spojrzenie, oni jak mogli starali się unikać jej wzroku. Minęli pokój zajmowany przez Korczakowskie dzieci i weszli schodami na górę. W powietrzu unosił się odór rozkładu. Niemiec skrzywił się i zakrył nos i usta chusteczką, po czym wmaszerował na salę, a dwóch Żydów za nim. W kącie po przeciwnej stronie pokoju leżała na łóżku dziewczynka. Matka przemywała jej czoło wilgotną szmatką.

— Dlaczego pacjentka leży oddzielnie? - zapytał Niemiec.

— Ma tyfus — odparła Lea i ugryzła się w język.

Złe, że w ogóle ich tu przyprowadziła. Matka była młoda i tak chuda, że przypominała szkielet. Patykowate ramiona wystawały jej z bezkształtnej sukienki. Perukę zgubiła dawno temu. Szmata, którą zwilżała czoło córki, była pewnie kiedyś jej chustą. Dziewczynka miała żółtawą, pokrytą jątrzącymi się pęcherzami skórę i wzdęty brzuch. Niemiec złapał klamkę okienną przez chusteczkę i wpuścił do środka podmuch mroźnego powietrza. Potem upuścił chusteczkę na podłogę, jakby była skażona, i podszedł do łóżka chorej, rzucając na ścianę długi cień. Kobieta skuliła się ze strachu.

— Tracisz czas - odezwał się do matki. - Zaprowadźcie ją do szopu — rozkazał Żydom. — Rzesza nie będzie łączyć na pasożyty.

Przerażona kobieta zgarnęła córkę z łóżka i rzuciła się do wyjścia. Drogę zagrodzili jej ludzie ze Służby Porządkowej. Lea chciała zabrać dziecko i z powrotem położyć je do łóżka, ale zapędzona w kozi róg Żydówka odwróciła się i wyrzuciła dziewczynkę przez okno. Mało brakowało, a sama by za nią skoczyła.

— Nie! — wrzasnęła Lea.

Jeden z policjantów złapał zdesperowaną kobietę. Ona szarpała się ze wszystkich sił i syczała niczym wściekłe zwierzę.

Niemiec przyjrzał jej się z pogardą.

— Hiena - rzucił. Na dźwięk jego głosu Żydówka zastygła w bezruchu. Niemiec zwrócił się do Lei: - Dla takich pasożytów nie ma *miejsca* w Rzeszy. To ścierwa *zarażające* wszystko swoim brudem. - I wyszedł, stukając po schodach obcasami.

Policjant pociągnął matkę ku drzwiom. Ona jednak splunęła mu w twarz, wykręciła się i rzuciła przez okno. Lea zbiegła na dół. Na szczęście kobieta skręciła kark. Jej córka leżała kilka kroków dalej, w kałuży krwi przyprószonej świeżym różowym śniegiem. Lea uklękła na lodzie i poprosiła policjantów, żeby jej pomogli, ale oni tylko odwrócili się na pięcie i pobiegli za Niemcem.

Kiedy tego dnia Lea przekroczyła próg mieszkania, oświadczyła Hani:

— Zabiłam dziś matkę z dzieckiem.

— Lea, jesteś cała mokra.

— Nie słyszałaś, co powiedziałam?

— Słyszałam, ale najpierw musisz się przebrać. Gdzie masz płaszcz?

Lea popatrzyła na siostrę skołowaną.

— Płaszcz.

— Musiał zostać w izbie chorych.

— Wyszłaś tak na mróz? Wykończysz się!

Hania zaciągnęła Leę do łazienki, gdzie pani Szeftel robiła w wannie pranie.

— Co się dzieje?

— Trzeba ją włożyć do wanny — rzekła Hania, rozbierając Leę. —

Przyszła cała przemoczona.

— Ale z niej skóra i kości! — Pani Szeftel przełożyła ubrania do wiadra.

— Nic dziwnego, skoro całe jedzenie oddaje Poldkowi. Starsza kobieta westchnęła i odkręciła kurek z gorącą wodą.

— Jeszcze trochę i chłopiec zostanie bez matki.

Kiedy Jasza wrócił do domu i dowiedział się, co zaszło w izbie chorych, powiedział:

- Nie masz się co obwiniać. Żyjemy na wulkanie. Donosiciele są wszędzie. Nie utrzymują się z pracy, tylko ze sprzedaży nazistom informacji albo szantażowania własnych sąsiadów. Dowiedz się, kto cię zdradził. Dopilnuję, żeby ta osoba znalazła się na następnej liście wyznaczonych do wywózki. A tak w ogóle, musisz więcej jeść.

- Nie starcza jedzenia. Nie mogę przecież pozwolić, żeby Poldek nie dojadł.

—Je tyle, ile trzeba. A ty robisz sobie krzywdę.

Pani Szeftel zjawiała się w pokoju z jedzeniem. Położyła tacę na stoliku nocnym i wyszła. Jasza pomógł córce usiąść i postawił jej tacę na kolanach.

- Przypilnuję, żebyś wyczyściła talerz — powiedział jak do małej dziewczynki.

- Poldek zjadł?

- Dostał obiad od pani Szeftel. Teraz śpi jak zabity. Jedz. Lea włożyła łyżkę do ust, po czym pochłonęła posiłek niczym wygłodzony drapieżnik.

W roku 1940 Churchill, główny przeciwnik ugodowej polityki względem Niemiec, odrzucił wysuniętą przez Hitlera propozycję zawarcia pokoju. Na początku 1941 roku Einsatzgruppen — specjalne oddziały likwidacyjne SS — zaczęły robić obławy na Żydów celem zesłania ich do obozów pracy. Pierwotny plan przetransportowania europejskich Żydów na utworzoną specjalnie kolonię na Madagaskarze został zbojkotowany. Jak napisał Bernard Wasserstein: „Podczas pierwszych dwóch lat wojny Berlin robił wszystko, co mógł, by wyekspediować Żydów z Rzeszy i terytoriów okupowanych, tymczasem rząd brytyjski skutecznie zablokował wszelkie możliwości ucieczki Żydów z Europy”.

Dziesiątego lipca w Jedwabnem niecała setka rozwścieczonych Polaków zapędziła czterystu Żydów do stodoły, zamknęła, a następnie podpaliła. Pozostali mieszkańcy wioski nie zrobili nic, by zapobiec pogromowi, żywili bowiem do Żydów niechęć za ich współpracę z Sowietami. Istnieli Polacy, którzy ryzykowali życie, ukrywając swoich żydowskich przyjaciół i stanowczo odmawiając udziału w prześladowaniach, niestety w Jedwabnem nie znalazł się nikt sprawiedliwy.

ROZDZIAŁ 36

Zsyłka

Gdy getta zostały szczelnie otoczone murami, naziści zaczęli zwozić do nich pociągi pełne Żydów. Zgodnie z doktryną Heinricha Himmlera czystość rasową należało osiągnąć za wszelką cenę; Himmler uważał, że jego powołaniem jest oczyścić imperium z zarazy. Zlecił skupienie milionów Untermenschów w Generalnym Gubernatorstwie, które stanowiło dla SS zaplecze taniej siły roboczej.

Tymczasem Brytyjczycy zablokowali emigrację Żydów do Palestyny, ponieważ, ich zdaniem, osiągnięto tam już „maksymalne nasycenie”. Himmler zaproponował zatem, by „kwestię żydowską” rozwiązać, kierując strumień żydowskiej *emigracji do którejś* kolonii, na przykład w *Afryce*, lecz pomysł nie został przyjęty zbyt entuzjastycznie.

Dotychczas naziści, zgodnie z nakazem Adolfa Eichmanna, który zarządzał zsyłkami, umieszczali Żydów w getcie łódzkim. Eichmann nie musiał nawet używać siły. Wystarczyło, że obiecał Żydom nieprzebrane bogactwa, rzekomo czekające na nich w gettach. Według propagandy Łódź miała zostać przekazana nowym osadnikom. Eichmannowi udało się przemówić do ich chciwości. Głodni, zawszeni Zy-

dzi hurmem zalali mieszkania, w których - jak się okazało - mieszkały już rodziny przesiedlone tam wcześniej. Kiedy Łódź została wypełniona ludźmi po brzegi, Niemcy zaczęli kierować pociągi do Warszawy.

Lea po całym dniu leczenia ludzi bez lekarstw wbiegła do domu, pokonując po pięć stopni naraz. W mieszkaniu panował nieopisany chaos. Krzyki jej siostry dało się słyszeć na kilometr.

- To mój płaszcz! I moje buty! — Hania wypadła z pokoju z naręczem ubrań. - To najazd!

Lea weszła do pokoju. Na łóżku Hani siedziała kobieta i karmiła niemowlę. Nieszczęsne stworzenie ssało zwiędłą pierś zapamiętałe, ale najwyraźniej bez powodzenia. Obok siedział mężczyzna o wyglądzie uwięzionego w klatce zwierzęcia. Ze wszystkich okropieństw, jakie zdarzały się w getcie, Lea najmniej rozumiała jedno: jak ludzie znajdowali jeszcze siły, żeby płodzić dzieci. Obróciła się z niesmakiem i stanęła twarzą w twarz z kobietą, której mokre od kąpieli włosy oblepiały czaszkę tłustą płataniną. Bez mydła była w stanie co najwyżej wymoczyć się w letniej wodzie i nadal wydzielala zwierzęcy smród. Na podłodze leżała kupka niewyobrażalnie cuchnących szmat.

Lea przeniosła wzrok ze sterty brudnych gałganów na siedzących na łóżku biedaków. Poczula obrzydzenie. W jednej chwili stało się dla niej jasne, jak patrzą na nich Niemcy. Śmierdzący, bezradni, nieznośnie bierni ludzie, którzy ożywiali się tylko na widok pieniędzy. Przez pięć tysięcy lat istnienia przedstawiciele jej rasy borykali się z przeciwnościami, bo od zawsze w ich żyłach płynęła chciwość. Energię wykazywali tylko wtedy, gdy trzeba było zwrócić się przeciwko braciom, zupełnie jak wściekły

pies gryzący własną nogę. Z odrazą cofnęła się o krok, by znaleźć się jak najdalej od nich, i wpadła na Hanię. Zamknęła za sobą drzwi.

— Otwórz okna, strasznie śmierdzi.

Zapukała do pokoju pani Szeftel, która zabarykadowała się w swojej sypialni. Starsza pani wychyliła się ze zmarszczoną niesmakiem twarzą. Jej spódnicy uczeplił się Poldek.

— Musimy przeorganizować podział na pokoje — oznajmiła Lea. - Ten pokój ma dwa łóżka. Przeniesiemy się tu z Hanią.

— Chyba nie sądzisz, że będę spała w jednym łóżku z waszym ojcem? — Pani Szeftel aż zadrżała ze świętego oburzenia, tak charakterystycznego dla osób starszych.

— Jesteśmy w trudnej sytuacji. To nie czas i miejsce na skromność.

— Nie. - Usta staruszki aż zbieleły ze zgorzienia. — Poczekajmy na decyzję pana Jaszy.

Rzeczywiście, Jaszy udało się znaleźć salomonowe rozwiązanie. Własną przestronną sypialnię oddał córkom i Poldkowi, sam zaś przeprowadził się do mniejszego pokoju z panią Szeftel. W dodatku połowę swoich ubrań oddał przyjezdnemu, co bardzo zawstydziło jego córki. Następnie skierował przybysza do łazienki. Nieszczęśnik zostawił po sobie w wannie czarny ślad.

— Getto nie jest w stanie wykarmić wszystkich mieszkańców - niepokoiła się Lea. - Znowu wybuchła epidemia tyfusu. Nie mam już siły.

Jasza popatrzył na nią z troską.

— Nie zamartwiaj się tak. Została z ciebie skóra i kości. Lea nie potrafiła przyznać się tacie, że robi jej się niedobrze na widok pacjentów. Personel szpitala nie zdejmował

zmarłych z łóżek tak długo, jak tylko się dało, żeby dalej otrzymywać ich porcje żywności. Któregoś dnia w pracy Lea nie wytrzymała i zwymiotowała do basenu.

W lutym 1942 roku Jasza wziął udział w nadzwyczajnej, ściśle tajnej sesji Oneg Szabatu*. Z obozu w Chełmnie nad Nerem uciekł Jakub Grojanowski. Następnie przedostał się do warszawskiego getta i dokładnie opowiedział o swoich przejściach.

— W obozie dzieją się straszliwe rzeczy — mówił, a oczy lśniły mu jak zaszczutemu zwierzęciu.

Podziemie przemyśliło jego raport poza granice getta, a stamtąd do Londynu. Relacja była jednak tak niewiarygodna, że uznano ją za część żydowskiej propagandy. Koniec końców została zignorowana.

Szum Zygielbojm był zdruzgotany obojętnością Amerykanów. W marcu przyjechał do Londynu i dołączył do Rady Narodowej przy polskim rządzie emigracyjnym (poza nim w radzie zasiadał tylko jeden Żyd). Zygielbojm w dalszym ciągu podejmował wysiłki, by zwrócić uwagę opinii publicznej na los polskich Żydów. Przemawiał na temat sytuacji swoich braci, ilekroć nadarzała się okazja. W maju naziści rozpoczęli operację Reinhardt, której celem była masowa deportacja Żydów. Zygielbojm o tym nie wiedział. W czerwcu jedno z jego przemówień zostało nadane przez radio BBC, dalej bez odzewu.

Jan Karski, kurier między polskim podziemiem a rządem emigracyjnym, w tajemnicy przedostał się do warszawskiego getta, naocznie przekonując się o tragicznej sytuacji Żydów. Kiedy zapytał działacza Bundu Leona Feinera, jakie działanie powinien zasugerować amerykańskim i brytyjskim Żydom,

***Działająca w getcie tajna organizacja żydowska [przyp. tłum].**

usłyszał: „Proszę przekazać żydowskim prominentom, że muszą znaleźć w sobie siłę i odwagę, by ponieść ofiarę, jakiej nie poniósł jeszcze żaden mąż stanu, ofiarę równie bolesną jak los moich umierających współbraci, i tak samo wyjątkową”.

Pomimo że w „Timesie” i „New York Timesie” ukazały się artykuły na podstawie raportu Karskiego, nikt nie kiwnął palcem, by pomóc Żydom.

Niemcy zdali sobie sprawę, że przekupstwo w „żydowskim gestapo” wymknęło się spod kontroli, i w kwietniu zastrzelili jego funkcjonariuszy (Abraham Gancwajch zdołał uciec, zawczasu zawiadomiony przez swojego szpiega). Getto odetchnęło z ulgą.

Z kanałów bił odór nie do zniesienia. Kolejki do kuchni ludowej osiągały długość kilku kilometrów. W letnim upale ludzie często mdleli, zanim znaleźli się w stołówce, a osoby stojące za nimi zwyczajnie przestępowały leżące ciało i zajmowały ich miejsce.

W niektórych ludziach doszły do głosu najniższe instynkty. W bocznych uliczkach zdarzały się napady na przechodniów niosących kupione na czarnym rynku jedzenie. Gang rozpaczliwców zaatakował pewnego razu Hanię, gdy wracała ze stołówki z racją jedzenia dla rodziny. Napastnicy byli brudni, wstrętnei i brutalni, mieli przerośnięte, powykęcane paznokcie u stóp i stęchły oddech. Nie został w nich cień człowieczeństwa. Popchnęli Hanię, która w ferworze szarpaniny upuściła garnek. Upiory przypadły do ziemi i zaczęły chłeptać zupełnie prosto z chodnika.

— Ścierwa! — Hania kopnęła ich, dygocząc z obrzydzenia. Nawet zwierzęta miały więcej godności.

Kiedy napastnicy zauważyli, że ścisła jeszcze bochenek chleba, rzucili się na nią z nową energią.

Hania wróciła do domu podrapana i posiniaczona. Lea, widząc to, obiecała jej zatrudnienie w izbie chorych.

- Praca jest ciężka i niewdzięczna, ale przynajmniej dostaniesz fartuch pielęgniarski. Zawsze to pewna ochrona.

- Dobrze - zgodziła się Hania - pod warunkiem że nie będę musiała babrać się w gównie.

Lea skrzywiła się. Całe getto tonęło w gównie, co w połączeniu z wszechobecnym zdziczeniem dawało przerażający efekt. Do izby chorych zgłaszali się często pacjenci z infekcjami. Ci, których żony nie były w stanie znieść kolejnej ciąży, a których nie stać było na wizyty w hotelu Britannica, polowali na okoliczne sieroty i zjawiali się w przychodni z penisami pokrytymi zaschniętymi fekaliami. Dziewczyny, zamiast pracować, sprzedawały swoje ciała, żeby mieć na kromkę chleba, a potem błagały Leę, żeby usunęła ciążę. Lea przestała je odsyłać, kiedy zauważyła, że i tak do niej wracają, tym razem na czyichś rękach, całe zakrwawione i z drutem do robótek ręcznych wciąż tkwiącym w kroczu.

- Mogę umieścić cię na oddziale dziecięcym - zaproponowała siostrze.

Hania przygryzła wargę.

- A co z przydziałem zupy?

- Zastąpią cię nasze sąsiadki. Po skończonej pracy w szopie Miłosz zajmie się odprowadzaniem ich do domu. Wszyscy będziemy zrzucać się na jedzenie. A tata wystara się o więcej węgla.

W lecie getto nawiedziła najgorsza do tej pory epidemia tyfusu. Na ulicach prażyły się odchody, rozprzestrzeniając chorobę. I wtedy z odsieczą przyszła jeszcze gorsza katastrofa.

Dwudziestego drugiego lipca 1942 roku getto warszawskie otoczyły specjalne oddziały granatowej policji oraz ukraińskie, łotewskie i litewskie jednostki pomocnicze. Likwidacja zaczęła się na dobre, choć ludzie w swojej naiwności sądzili, że zostaną po prostu przesiedleni na wschód. Pierwsi jechać mieli rezydenci centrów uchodźczych, żebracy i więźniowie.

Między piątym a ósmym sierpnia Niemcy załadowali do pociągów i wysłali do Lublina cztery tysiące sierot. Dwieście z nich było wychowankami Korczaka. Na Umschlagplatz profesor stawiał się razem z nimi. Od razu podszedł do niego funkcjonariusz Służby Porządkowej.

— Proszę odejść. Nie musi pan jechać z nimi.

— Nie zostawię moich podopiecznych - odparł Korczak.

— Jak pan chce. - Policjant wzruszył ramionami i odszedł.

Podczas operacji Grossaktion lwiał część brudnej roboty wykonała Służba Porządkowa. Jej funkcjonariusze bili i kopali czekających na wywózkę mieszkańców getta, nawet gdy w pobliżu nie było Niemców. Za cel stawiali sobie oczyszczenie okolicy z jak największej liczby Żydów, wdzierali się więc do mieszkań i z bezprzykładną brutalnością wyciągali ludzi z kryjówek. Bili każdego, kto odmawiał pomaszerowania ze *spuszczoną* głową na Umschlag. Niemcy nie dali im broni palnej, ale policjanci radzili sobie i bez niej. Paralityków spychali ze schodów, dzieci wyrzucali przez okno. Nie znali współczucia. Liczyła się tylko wydajność zabijania.

Polscy *lekarze* dopuszczeni na Umschlag ratowali Żydów, przebijając ich w białe fartuchy pielęgniarskie. Sanitariuszki wyprowadzały z placu dzieci, a grabarze ładowali żywych na taczki pełne zwłok. Ilekroć zbliżała się policja

z zamiarem przeszukania sterty, grabarze odstraszaali ich, utrzymując, że wiozą ciała zmarłych na tyfus.

Miłosz wątpił, czy na placu będzie w stanie ochronić rodzinę, wobec czego kazał żonie i jej siostrze uciec na dach. Potem wrócił po Poldka i panią Szeftel. Chłopca podniósł i podał żonie, ale staruszcze brakowało siły, żeby wdrapać się do wjazdu.

— Idźcie beze mnie - powiedziała Miłoszowi.

Wróciła do mieszkania i wcisnęła się do komórki za piecem. Kiedy przyszedli po nią funkcjonariusze Służby Porządkowej, z przerażenia narobiła w majtki.

W izbie chorych Lea wyciągała pacjentom kroplówki.

— Co robisz? - chciała wiedzieć Hania.

— Pomagam im umierać.

— Oszalałaś?

Lea obróciła się ku niej.

— Mogą umrzeć w łóżku, spokojnie, albo tam, gdzie esesmani ich zabierają.

Rzeczywiście, do izby wparowali żołnierze i obłożnie chorych wystrzelali w łóżkach, a tych, którzy byli w stanie chodzić, zapędzili na Umschlag. Jasza użył wszystkich swoich wpływów w Judenracie, żeby oszczędzono personel medyczny, w tym jego córki. Widząc, jak getto pustoszeje, jeden z lekarzy wybrał śmierć przez powieszenie zamiast czekania na kolejną falę czystek. Hania zwinęła się w kłębek na łóżku polowym i zapłakana zasnęła. Lea gapiała się w sufit. Sprzedała swoją duszę jak wielu Żydów przed nią. Była zbyt odrętwiała z bólu, by płakać.

Odjechał ostatni transport. Ci, którzy zostali w getcie, musieli posprzątać. Personel medyczny układał zwłoki w stertach na chodniku, a Służba Porządkowa je podpalała.

Dopiero po ukończeniu pracy dostali pozwolenie na powrót do domów. Na półpiętrze ich kamienicy Lea opadła z sił.

- Jeszcze kawałek. - Hania chciała jej pomóc. Nie zdawała sobie sprawy, czego najbardziej boi się jej siostra: że mieszkanie zostanie puste. - Chodź. Nie spędzimy tu reszty dnia. - Ujęła Leę pod ramię.

Lea na ołowianych nogach pokonała resztę schodów.

- Mama! — Poldek wybiegł z sypialni i rzucił się jej w ramiona.

Ona uklękła i ze wszystkich sił przycisnęła syna do serca. Potem odsunęła go, przerażona tym, co musi zrobić. Było to potworne, ale lepsze niż oddanie syna Niemcom.

- Mama. - Chłopiec dotknął jej łez. Z pokoju wyszedł Miłosz.

- Widziałeś tatę? - spytała go Hania. Pokręcił głową.

- A panią Szeftel? Spuścił smutno wzrok. -Och.

Miłosz przycisnął palec do ust i gestem pokazał siostrze, żeby schowały się w pokoju. Ktoś wchodził po schodach. Poldek sam wczuł się pod łóżko. Cztery kobiety skuliły się przerażone na jednym z łóżek, a Miłosz stanął w drzwiach, żeby je w razie czego osłaniać. Do mieszkania ktoś wszedł.

- Hania? Lea? - zawołał Jasza.

- Tata! — Hania wybiegła z pokoju i przytuliła się do niego.

- Gdzie pani Szeftel?

- Zabrali ją — odparł Miłosz. Jasza zmarkotniał.

- A mój wnuk?

— Pod łóżkiem - powiedziała Lea, przelękając gorycz, która zatrzymała jej duszę.

— Szukam igły w stogu siana. — Amada kopnęła kupkę błota.

— To poświęcona ziemia — zwrócił jej uwagę Izmael. Stał w pustym grobie i zawiązywał liny, na których miała zjechać na dół trumna.

Amada cofnęła się i czubkiem buta zgarnęła rozsypaną ziemię z powrotem na kupkę. Izmael uśmiechnął się, marszcząc kąćki oczu.

— Śmiejesz się ze mnie.

— Bo bawi mnie twoje obrazoburstwo.

— A mnie twoja pobożność. Odsunął kapelusz z czoła.

— Chyba jestem pobożny z przyzwyczajenia.

— Nie spodziewałam się takiego wyznania po żydzie. Izmael zacisnął liny i wyszedł z grobu. Zawiesił wzrok na rozpadających się coraz bardziej mogiłach.

— W takim miejscu jak to, gdzie cisza aż dzwoni w uszach, trudno nie zastanawiać się nad sensem tego wszystkiego. - Wyrzucił ramiona na boki. — Kiedy widzisz naokoło tyle śmierci, nabierasz ochoty na życie. Ale my zapomnieliśmy, jak cieszyć się życiem na ziemi, bo tyle czasu i energii poświęcamy planowaniu tego, co po śmierci. A potem lądujemy tutaj. A jeżeli to wszystko nieprawda? Jeśli niebo nie istnieje?

Amada zmarszczyła brwi.

— Zanudzam cię.

— Wręcz przeciwnie. Po prostu usiłowałam przypomnieć sobie słowa piosenki Johna Lennona.

Izmael otrzepał dłonie z ziemi.

- Ale już chyba za późno, żebym został ateistą.
- Daj szansę bezbożności.
- Ależ daję. — Puścił do niej oko. - Poprzez ciebie. Uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem.
- Cały piątek przesiedziałam w bibliotece Instytutu Żydowskiego, a sobotę w Muzeum Powstania, gdy tymczasem mogłam przyjść podkopywać twoją wiarę. - Oparła się nonszalancko o nagrobek, strącając kilka kamyczków. Podniosła je z westchnieniem.
- I jak, znalazłaś coś ciekawego? Pokręciła głową.
- Jeszcze nie doznałam oświecenia. Co gorsza, kończy mi się czas. Wyjeżdżam za trzy dni. - Wrzuciła jeden z kamyczków do pustego grobu.
- Izmael zamknął oczy z udręczoną miną.
- Co tym razem?
- Te kamyki — wyjął je z dłoni Amady i ułożył na mogile - symbolizują modlitwę. Oznaczają, że ktoś przyszedł wspomnieć zmarłych.
- Ojej. — Usiłowała przybrać skruszoną minę.
- W twojej religii przynosi się kwiaty.
- Jestem ateistką - przypomniała.
- ...a w mojej kamyki.
- Jest w tym pewna mądrość. — Włożyła ręce do kieszeni. - Kamienie nie więdną.
- To interesujący punkt widzenia. Słyszałaś o Irenie Send-lerowej ?
- Nie. Jest gdzie tutaj? - Amada rozejrzała się w nadziei, że któryś z nagrobków do niej pomacha.
- To nie Żydówka. A mimo to wyprowadziła z getta ponad dwa tysiące dzieci.

- Czemu wcześniej nie mówiłeś?
 - Bo dopiero wczoraj przyszło mi to do głowy. Jako znak solidarności z Żydami nosiła na ramieniu gwiazdę Dawida. Przemyciała dzieci w pudłach, skrzyniach, workach i walizkach. Potem załatwiła wszystkim fałszywe papiery, a prawdziwe imiona i nazwiska dzieci zapisała na karteczkach, włożyła do słoja i zakopała.
 - Można gdzieś obejrzyć ten słoje?
 - Słoje? — Izmael nie zrozumiał.
 - Tak. Powinien być w jakimś muzeum, prawda?
 - Nie wolałabyś odwiedzić samej Ireny? -To ona żyje?!
- Izmael potaknął*.
- Trzeba było tak od razu!
 - Przecież mówiłem. A słyszałaś o projekcie „Zycie w słoiku”?
 - Izmael — powiedziała Amada bardzo powoli. — Ledwo nad sobą panuję. Posłuchaj: nigdy w życiu nie słyszałam o niczym, co ma związek ze słoikiem, tą kobietą czy przemycaniem dzieci z getta. Czeka cię naprawdę dużo tłumaczenia. Rozumiem, że mnie do niej zabierasz?

***Irena Sendlerowa zmarła 12 maja 2008 roku (przyp. tłum.).**

ROZDZIAŁ 37

Z zapisków Ireny Sendlerowej, getto warszawskie 1942-1943

Gdy pewnego zimnego grudniowego poranka 1942 roku Irena Krzyżanowska została wpuszczona przez bramę getta, za zamkniętym oknem któregoś domu paliła się tylko jedna świeca chanukowa. Na kamienice padał ponury cień muru dookoła, nadając im bury kolor; niebo było zaledwie o ton jaśniejsze. Irena szła przez chwilę wzdłuż muru, a potem skręciła w lewo. Jej buty chrzęściły w śniegu. Przytłaczała ją wisząca w powietrzu klaustrofobiczna pustka. Miała wrażenie, że ktoś pogrzebał ją tu żywcem. Przyspieszyła kroku.

Weszła do izby chorych.

— Jest ktoś z kierownictwa? — zapytała od progu. Chuda dziewczyna w przydużym fartuchu wskazała jej

odpowiednie drzwi. Irena zastukała energicznie i weszła. Przy szafce stała jakaś kobieta i liczyła butelki.

— Jestem Jolanta. - Podanie prawdziwego imienia w czasie akcji podziemia byłoby samobójstwem. - Podobno pani tu dowodzi, czy tak?

— Dlatego, że większość personelu znalazła się w transporcie. — Kobieta wygięła usta w próbie uśmiechu i wyciągnęła przed siebie rękę. - Lea Winter.

Irena uściskała jej dłoń.

- Przepraszam, strasznie zziębły mi ręce.

- Co robić. W końcu mamy zimę - odparła Lea bezbarwnym tonem.

— Zaproponowałabym pani herbatę, ale dawno się skończyła, jak się pani domyśla. W czym mogę pomóc?

- Może mnie pani oprowadzić po szpitalu? - Irena rozpięła płaszcz.

Lea uśmiechnęła się smutno.

- To nie szpital, tylko izba chorych, co oznacza, że nie dostajemy lekarstw. Szpital jest niedaleko stąd. Potrafi pani leczyć śliną i siłą woli? Jeżeli tak, ozłocę panią. Jest pani lekarką?

Irena pokręciła głową.

- Przeszłam szkolenie pielęgniarские. Prowadzę dziecięcy oddział Zegoty. Chcę pomóc.

- W takim razie proszę za mną. - Lea wyszła ze składziku.

Irena miała ochotę rzucić się na któreś z łóżek i płakać. Pacjentom można było policzyć wszystkie kości. Leżeli bez lekarstw, bez jedzenia i bez żadnej nadziei. Czują na sobie ich zrozpaczony wzrok. Przy jednym z posłań siedziała kobieta i śpiewała małej dziewczynce. Kobieta była niegdyś piękna, ale teraz jej twarz zapadła się z głodu. Dom Sierot zamknięto. Odpowiedzialność, by ulżyć dzieciom w ich ostatnich chwilach, spoczywała teraz na Hani i Lei.

- Jak ich leczycie? - zapytała Irena.

- Pomagamy im umrzeć.

- Co takiego?!

- To wszystko, co możemy dla nich zrobić.

- Tutaj rzeczywiście niewiele możecie... - Irena wciąż nie potrafiła przyjąć do wiadomości, w jak strasznej sytuacji

znaleźli się ci ludzie. Nie śmiała nawet spytać, od jak dawna to trwa.
- Mogą umrzeć albo tutaj, albo z rąk policji - wyjaśniła matowym głosem Hania. Twarz miała zupełnie nieruchomą.

Zal ścisnął Irenę za gardło. Z trudem przełknęła ślinę.

- Musimy ich stąd wydostać.

Siostry popatrzyły na nią z szeroko otwartymi ustami.

Irena i jej pomocnicy przemycali dzieci z getta we wszystkim, w czym się dało. Budynek Sądów miał różne zakamuflowane drzwiczki, którymi podobno podawano przed wojną łapówki. Teraz służyły do szmugłowania maluchów. Na zewnątrz Irena zaopatrywała je w fałszywe dokumenty i umieszczała w sierocińcu lub w polskich rodzinach.

- Przyszedł do mnie chłopak — powiedziała do Lei niedługo po Nowym Roku - i pytał o ciebie.

Lea spojrzała na nią zdumiona.

- Jak wyglądał?

- Wysoki, rudy.

- Maciek.

- Znasz go?

- Poznaliśmy się na wojnie domowej w Hiszpanii. Razem wróciliśmy do Polski.

- To właśnie powiedział. Dał mi adres i poprosił, żebyś do niego napisała. Zadbam o to, żeby trafiły do niego twoje listy.

Lea ścisnęła Irenę za rękę.

- Chciałabym, żebyś przekazała mu mojego syna.

- Jesteś pewna?

Lea nie była w stanie wykrztusić ani słowa, ale jej oczy mówiły wszystko.

Następnego ranka o wyznaczonej godzinie Lea z Hanią przyszły do izby chorych. Za nimi stąpił starszy mężczyzna niosący na barana chłopczyka. Mały miał czarne, jedwabiste włosy i czujne, inteligentne spojrzenie. Był bardzo szczupły, ale wyglądał zdrowo. Lea nieomal krzyknęła ze zgrozy na widok czekającej na stole skrzyni.

- Pamiętaj, robimy wujkowi niespodziankę - powiedziała do chłopca. — Obiecuj, że będziesz siedział cichutko jak myszka, dopóki wujek Maciek nie otworzy skrzynki.

Poldek wsunął kciuk do ust i skinął głową. Lea przytuliła go ze wszystkich sił, a potem dała mu połówkę proszku na sen.

- I zawsze pamiętaj, że kocham cię nad życie - szepnęła mu do ucha i po raz ostatni wciągnęła jego zapach.

Irena skinęła głową. Jasza wyjął dziecko z ramion Lei i umieścił je w skrzyni. Poldek uśmiechnął się, jego powieki zaczynały opadać, a kciuk ciągle trzymał w buzi. W końcu wieko skrzyni opadło. Lea przycisnęła dłoń do ust. Jasza przytulił córkę i dał jej się wypłakać w swój rękaw.

Następnego dnia Irena przyniosła skrzynię do izby chorych. Właśnie usiłowała wtaszczyć ją na stół, kiedy do pomieszczenia weszła blada jak śmierć Lea.

- Dobrze się czujesz?

Lea pokręciła głową. Widać było, że jest zdruzgotana. Sytuacja Polaków była opłakana, ale Irena nawet nie próbowała sobie wyobrazić, jakie piekło musieli przechodzić Żydzi. Wskazała Lei skrzynię. Płaską końcówką młotka wyciągnęła gwoździe i uniosła pokrywę.

W środku znajdowały się cztery kanistry benzyny, kilka pistoletów, naboje i dziesięć granatów ręcznych. Obok leżał też zawiązany sznurkiem worek jutowy. Lea wyjęła z nie-

go kilka słoików z przetworami, mąkę, cukier i dwadzieścia ziemniaków.

— Boże. Wymieniłam syna na dwadzieścia ziemniaków.

— Twój syn jest bezpieczny.

— A jeżeli i tak trafi w ich ręce? Żałuję, że nie miałam dość odwagi, aby sprawić, by już nigdy go nie znaleźli.

Irena nie potrafiła spojrzeć Lei w twarz. Zżerało ją potworne poczucie winy.

Tydzień później getto odwiedził Heinrich Himmler. Na jego rozkaz Niemcy rozpoczęli nową akcję wysiedleńczą. Jeszcze tego samego miesiąca miano deportować osiem tysięcy osób. Osiemnastego stycznia o 7.30 rano oddziały niemieckiej policji pod dowództwem Ferdinanda von Sammern-Frankennegga zaczęły chodzić od domu do domu i po kolei aresztować pozostałych przy życiu Żydów. W mieszkaniu Winterów były żona Miłosza i jej siostra. Z przerażeniem przysłuchiwały się krokom wchodzących po schodach Niemców, waleniu w drzwi i krzykom: „*Raus, raus, Juden raus!*”.

Na klatce rozlegały się wrzaski dzieci, które naziści wyrzucali przez barierkę, a w mieszkaniu przerażone wrzawą niemowlę zaczęło kwilić. Zdesperowane kobiety postanowiły uciec na dach. Szczękając z zimna zębami, żona Miłosza wyjęła pierś i wepchnęła ją córce do ust. Kiedy na dole Niemcy otworzyli kopniakiem drzwi, niemowlę znowu się rozpłakało. Matka przycisnęła je do siebie.

Razem z siostrą siedziały na dachu jeszcze długo po odejściu żołnierzy. Śnieg padał, a one tuliły się do siebie i dygotały ze strachu. W pewnej chwili matka zawyła. Okazało się, że przestraszona nadejściem Niemców udusiła swoją córkę.

Tymczasem w getcie członkowie żydowskiego podziemia wmieszali się w kolumnę więźniów prowadzonych na

transport i zaskoczyli Niemców ogniem. Naziści byli święcie przekonani, że wszystko idzie zgodnie z planem, i zupełnie nie spodziewali się oporu. Buntownicy uratowali ponad pięć tysięcy osób, w tym i Miłosza. Wyzwoleni Żydzi z całą nagromadzoną wściekłością zaatakowali swoich oprawców za pomocą kamieni i narzędzi z warsztatów. Udało się zabić kilkudziesięciu, wśród nich kilku esesmanów i znienawidzonych żydowskich policjantów.

Kiedy reszta funkcjonariuszy uciekła, Miłosz pognął do domu. Zawołał żonę, ale odpowiedziała mu cisza. W pewnej chwili z góry doszło go ciche popłakiwanie. Wszedł na dach. Kiedy zobaczył, że jego córka nie żyje, zaczął okładać żonę po twarzy, aż musiała go powstrzymać jej siostra. Zona Miłosza zatoczyła się do tyłu i skuliła; jej krew wymieszana ze łzami kapłała na martwe ciało. Miłosz, szarpany żalem i wstydem, wyszedł i już nigdy więcej tam nie wrócił.

Naziści opuścili getto, nie wykonawszy rozkazów Himmlera. Żydzi przystąpili do budowy podziemnych schronów; w wypadku kolejnej próby wywózki byli gotowi walczyć do ostatniej kropli krwi.

- Chodzą słuchy o „ostatecznym rozwiązaniu” — powiedziała Irena Lei.

- „Nie proszę Żydów o nic, wystarczy, że znikną”, tak?
- Słyszałaś mowę Fischera?
- Owszem. Zresztą nie tylko tę.
- On jest chory.
- Jolanto, historia lubi się powtarzać. Andrew Jackson już sto lat temu głosił, że dobry Indianin to martwy Indianin. Niemcy wyrośli na podobnej tradycji nienawiści, teraz po prostu skorzystali z okazji. Tyle że tym razem to my jesteśmy Indianami. Naziści zamknęli nas w gettach, tak jak kolo-

nizatorzy zamknęli Indian w rezerwach. Tylko tak mogą przejąć nasze mienie. Niemcy zabrali nam pieniądze, domy, wreszcie — życie. Amerykanie zlikwidowali Indian, a teraz naziści chcą nas zetrzeć z powierzchni ziemi, żebyśmy nie mogli wrócić i upomnieć się o swoje.

W obliczu nadciągającej zagłady Irena zdwoiła wysiłki, żeby wyprowadzić z getta jeszcze więcej dzieci. Niekiedy musiała wręcz odrywać niemowlęta od piersi matek.

- Zastanów się nad własną ucieczką - poradziła Lei. Ta pokręciła głową. :

- Szykuje się zbrojny opór.

— Widziałam obwieszczenia.

— W getcie jest nas wciąż sześćdziesiąt tysięcy. Lepiej zginąć z godnością niż jak stado owiec czekać na transport. Do boju został wezwany każdy, kto da radę nosić broń.

— Maciek ciągle na ciebie czeka. Z twoim synem. Lea obróciła się i spojrzała Irenie w twarz.

- Nie rozumiesz, że byłam gotowa go zabić? Wciąż bym się na to zdobyła, byleby Niemcy go nie zabrali. Dopóki po Polsce pętają się naziści, moje dziecko nie będzie przy mnie bezpieczne. Na miłość boską, czymkolwiek jest dla ciebie Bóg - nie każ mi iść do syna.

Szesnastego lutego 1943 roku SS-Obergruppenführer Friedrich Wilhelm Krüger, Wyższy Dowódca SS i Policji w Generalnym Gubernatorstwie, otrzymał od Heinricha Himmlera tajny rozkaz całkowitej likwidacji warszawskiego getta.

ROZDZIAŁ 38

Powstanie w getcie

Generał Władysław Sikorski, premier rządu RP na uchodźstwie, ku niezadowoleniu alianckich dowódców domaga się określenia, jak będzie wyglądała po wojnie granica polsko-rosyjska. To żądanie doprowadza do wściekłości Stalina, który nienawidzi Sikorskiego. Roosevelt znajduje się między młotem a kowadłem. Usiłuje ugłaskać Stalina, jednocześnie starając się zadowolić Sikorskiego. Walczy wszak o poparcie okazałej amerykańskiej Polonii, ale ten cholerny Polak nie chce się zamknąć.

I wtedy dzieje się coś, co nikomu nie mieści się w głowie.

Kwiecień 1943 roku. Katyń. Niemieccy żołnierze odkrywają w lesie masowe groby.

Wiosną pierwszego roku okupacji NKWD zamordowało dwadzieścia tysięcy polskich oficerów. Sowieci chcieli w ten sposób osłabić potencjał obronny Polski. Znaczna większość funkcjonariuszy realizujących krwawy plan była pochodzenia żydowskiego. Mordem dowodził Leonid Fedorowicz Raichman, prawa ręka Berii. Pomimo oczywistych dowodów Sowieci wypierają się winy. Stalin będzie usiłował zrzucić odpowiedzialność za tę zbrodnię na Niemców.

Sikorski z londyńskiego wygnania żąda przeprowadzenia niezależnego śledztwa, prosząc Czerwony Krzyż o zajęcie się sprawą. Stalin w napadzie szału zrywa stosunki z polskim rządem i gani Churchilla i Roosevelta za rzekomy brak zaangażowania w walkę z narodowym socjalizmem. Pomimo to Sikorski nie chce złagodzić swego stanowiska. Wręcz przeciwnie: zwraca na zbrodnię uwagę międzynarodowych mediów. Stalin jest wściekły, że Polak miał czelność go oskarżyć. Grozi, że wycofa wsparcie dla aliantów. Roosevelt z Churchillem oświadczają, że Sikorski powoduje swoim zachowaniem „wielkie niezadowolenie i gniew na Kremlu. Alianci nie mogą sobie teraz pozwolić na rozłam”. Roosevelt w tajemnicy zgadza się z Churchillem, że „Sikorskiego należy usunąć”. Głosy polskich wyborców z Chicago liczą się w wyścigu do Białego Domu, a medialne zamieszanie nie służy Rooseveltowi. Naziści wykorzystują mord na polskich oficerach do własnej działalności propagandowej i zapraszają aliancką delegację do lasu katyńskiego. Alianci dochodzą do wniosku, że to niemożliwe, by za zbrodnią stali Niemcy.

Wtedy Sikorski ginie w katastrofie lotniczej. Zbrodnia katyńska znika z nagłówek gazet. Alianci mogą odetchnąć z ulgą.

W tym czasie z Auschwitz ucieka Witold Pilecki. Z obszernego materiału, jaki udało mu się zebrać, sporządza dwuczęściowy raport, który następnie wysyła do Londynu. Opisuje w nim szczegółowo szalejące w obozie epidemie tyfusu i likwidowanie ludzi w krematoriach.

Zaledwie pięć miesięcy wcześniej, 17 grudnia 1942 roku, brytyjska Izba Gmin uczciła pamięć pomordowanych przez nazistów Żydów minutą ciszy. Pomimo to raport Pileckiego spotyka się z niedowierzaniem; zarzuca mu się wątpliwość

wiarygodność. Zostaje wciągnięty do dokumentacji i zapomniany. Za tą postawą kryje się pewien znamieny fakt: nikt nie chce u siebie Żydów.

Jedną z przyczyn tej niechęci była rewolucja październikowa, w której Żydzi odegrali niebagatelną rolę, i jej następstwo

- niemiecka rewolucja listopadowa. Niemcy mieli Żydom za złe działalność rewolucyjną w kraju, który ich przygarnął. Po bitwie warszawskiej 1920 roku Józef Piłsudski wypędził z Polski wszystkich Żydów sympatyzujących z komunistami. Większość przeniosła się z rodzinami do Berlina i zajęła zarabianiem, nie ucząc się jednak niemieckiego. Trafili niestety na wyjątkowo niekorzystne czasy. Szybko stali się kozłem ofiarnym zapaści gospodarczej. Ludzi denerwowało, że zamiast się asymilować, zamykają się we własnym kręgu. Podobnie jak ortodoksyjnym Żydom w Polsce, w Niemczech udało im się zrazić do siebie wszystkich w rekordowo krótkim czasie.

Dwa miesiące po tym, jak Izba Gmin uczciła pamięć żydowskich ofiar, premier Rumunii Ion Antonescu oświadcza, że umożliwi siedemdziesięciu tysiącom Żydów ucieczkę do Palestyny. Brytyjczycy odrzucają tę sugestię. Gdyby pozwolili na ucieczkę z rąk nazistów tak dużej grupie, ich plan militarny mógłby wziąć w łeb. Ponadto — ich zdaniem

- w Palestynie znajduje się już wystarczająco dużo Żydów.

Mimo sprzeciwu Wielkiej Brytanii SS rozpoczyna akcję przesyłania Żydów z obozów koncentracyjnych do Palestyny. Londyn naciska na Hitlera, żeby przerwał operację, grożąc zatopieniem statków. Informacja o tym dociera do uszu żydowskich partyzantów. Zatapiają oni płynący do Palestyny okręt pełen Żydów, a potem obwiniają o to Brytyjczyków.

Tymczasem alianci organizują na Bermudach potajemny szczyt w sprawie opracowania dalszej strategii wojennej.

Do karaibskiego rajy przedstawiciele rządów zjeżdżają dzień-
wienastego kwietnia 1943 roku. Tego samego dnia o szóstej rano
naziści wkraczają do getta bramą od ulicy Nalewki. Zamierzają
wywieźć ostatnich Żydów i zrównać getto z ziemią. Ulice jednak
świecą pustkami.

Wznowienie akcji deportacyjnej stanowi dla żydowskiego podziemia
sygnał do rozpoczęcia powstania. Pluton Żydowskiej Organizacji
Bojowej uderza na esesmanów. Wzięci z zaskoczenia Niemcy
ustępują, ale wkrótce nadchodzą posiłki. Z okna jednego z budynków
Miłosz zabija dwóch nazistów. Jasza przeładowuje karabin.

- Nie mam odwagi zabijać — mamrocze starszy mężczyzna.

Miłosz strzela Niemcowi prosto w głowę.

- To za moją córkę.

W izbie chorych Lea robi wszystko, żeby pomóc rannym. Pacjentów
bez szans na przeżycie uśmierca bez mrugnięcia okiem. Działa szybko,
wydajnie i bezdusznie. Hania wymiotuje podczas asystowania przy
amputacji nogi powstańca.

Nagle ziemia drży, a na pracujące kobiety osypuje się sufit. Lea
widzi, że lekarz jest blady jak ściana.

- To pewnie artyleria.

Pierwsza wjeżdża do getta brygada motocyklowa. Za nią dywizja
pancerna i kawalkada ciężarówek z żołnierzami piechoty. Kolumnę
zamyka kilka karet. Zbliżające się pojazdy obserwują w milczeniu
ukryci na poddaszu Jasza i Miłosz. Zresztą nawet gdyby mieli ochotę
porozmawiać, w ryku silników i tak by się nie słyszeli. Jasza zapala
pierwszą butelkę z benzyną i zrzuca ją na czołg. Butelka rozpryskuje
się i rozprzestrzenia ogień na motocyklistów. Jeden z żołnierzy biega w
kółko w płonącym hełmie. Miłosz, nie

spuszczając wzrok z Niemców, wyciąga rękę. Jasza podaje mu karabin. Niedobitki eskadry biegną do kryjówek.

Miłosz pakuje kule w czterech żołnierzy. Wtem rozlega się wybuch, który odrzuca go do środka. Czołg na ulicy pod nimi staje w ogniu. Ze środka dobiegają jęki palonych żywcem Niemców. Jeden z postrzelonych przez Miłosza żołnierzy usiłuje odczołgać się od płonącego pojazdu. Chcąc się podnieść, chwyta za leżące obok zwłoki. Przekrzykując huk płomieni, błaga kolegów, żeby mu pomogli, ale oni boją się wyjść z ukrycia. Oficerki martwego żołnierza zajmują się ogniem; iskry padają na ubranie żywego. Gorączkowo stara się je ugasić dłońmi, ale bezskutecznie. Zaczyna płonąć. Jego wrzask rozsadza uszy.

Z trupów unosi się czarny dym. Śmierdzi palonym ludzkim ciałem i zwęglonymi włosami. Jaszy robi się niedobrze. Miłosz przeciera oczy chusteczką, a potem przewiązuje nią nos i usta. Jest niezmordowany. Znowu unosi karabin i przez chwilę stara się namierzyć kryjących się żołnierzy. Potem cofa się, kuca i opiera plecami o ścianę koło okna.

- Co się stało?

Miłosz pokazuje ręką, że żołnierze się schowali. Jest zamknięty w sobie i oszczędny w słowach, ale od samego początku Jasza potrafi się z nim bez problemu porozumieć. Z biegiem czasu tych dwóch mężczyzn połączyła głęboka przyjaźń.

— Dobrze. Nie można marnować amunicji — stwierdza Jasza.

Niedaleko rozlega się kolejny wybuch i terkot ognia krzyżowego. Potem słychać kilka wybuchów w różnych miejscach getta. I cisza. Mijają chyba godziny. Jasza i Miłosz siedzą oparci plecami o ścianę po dwóch stronach okna. Powietrze wypełnia zapach strachu i benzyny, którą nasiąkły

szmatki wetknięte w butelki czekające na swoją kolej. Z braku zajęcia starszy mężczyzna rozładowuje karabin, sprawdza lufę i z powrotem ładuje. Burczy mu w brzuchu. Miłosz patrzy na niego — jemu też kiszki marsza grają. Z głodu Jasza nie może spać, ale Miłoszowi udaje się zdrzemnąć. Z ciekącą śliną Jasza wspomina ucztę, jaką kobiety przygotowały z jedzenia, które przysłał im Maciek. Odpowiednio się skoncentrowawszy, niemalże czuje w ustach smak placków ziemniaczanych i tego cudownego ciasta z powidłami. Ale mimo pysznego jedzenia nie było im wówczas wesoło. Nieobecność Poldka bolała ich wszystkich niczym otwarta rana. Tydzień później znowu zaczęły się deportacje, a wtedy... Patrzy na Miłosza. Jego kompan ma otwarte oczy. Przykłada palec do ust, przysuwa się do okna i wygląda na zewnątrz. Słyszy głosy żołnierzy. — Daj butelkę — szepcze Miłosz.

Jasza podpala szmatę i podaje bombę Miłoszowi, który ciska nią w Niemców. Nie czekając, żeby przekonać się, czy trafił, kuli się pod oknem. Drugi wybuch strąca na nich odłamki sufitu. Pomimo huku ognia słychać krzyki palących się na ulicy żołnierzy. Miłosz uśmiecha się opętańczo.

Zachęceni początkowymi sukcesami powstańcy walczą zaciekle. Naziści kipią ze złości. W obliczu takiej porażki dowodzenie przejmuje SS-Gruppenführer Jürgen Stroop. Dwa dni później przypuszcza kolejny atak. Jego oddziały zaczynają systematycznie palić zabudowania getta. Chodzą od jednego domu do drugiego z miotaczami ognia i wykurzają powstańców z ukrycia. Budynek, gdzie chowają się Jasza z Miłoszem, ma zostać spalony jako jeden z pierwszych.

Po „aryjskiej” stronie Armia Krajowa przygotowuje akcję wysadzenia części muru od strony ulicy Bonifraterskiej. Ktoś

ich jednak wydaje. Na miejsce przyjeżdża policja i otwiera ogień. Akowcy uciekają. Mur stoi, jak stał.

Tymczasem na Bermudach alianci z drinkami w dłoniach omawiają sytuację europejskich Żydów, ale nie dochodzą do porozumienia. Nikt nie chce ich przecież przyjąć do siebie.

Jasza spogląda na szalejące poniżej piekło i kładzie sobie na klatce piersiowej lufę karabinu.

- Zastrzel mnie.

Miłosz patrzy na niego wymownie. Albo nie rozumie, albo udaje, że nie usłyszał.

- Zastrzel mnie — powtarza Jasza. -Nie.

Z niższych pięter dochodzą ich jęki palonych żywcem ludzi.

- Nie chcę skończyć w płomieniach.

-Nie, nie... — Miłosz kręci głową. Po policzkach płyną mu łzy. Przez szczeliny w podłodze do pomieszczenia wdziera się czarny dym. Śmierdzi palonymi włosami.

- Błagam.

- Nie! — wrzeszczy Miłosz i naciska spust.

Kula trafia Jaszę w mostek. Mężczyzna upada na ścianę, a potem bez życia osuwa się na podłogę.

- Nie! — Miłosz krzyczy i rzuca się do okna. Ociera łzy i obrzuca nazistów wyzwiskami. Zanim kula roztrzaska mu żuchwę i wbije się w mózg, zastrzeli pięciu Niemców.

Zorganizowany wojskowy opór w getcie trwał wszystkiego trzy dni.

Budynki płoną. Doprowadzone do ostateczności matki obwiązują dzieci poduszkami, a potem wyrzucają je przez okna. Same skaczą z niemowlętami w ramionach. Spodni-

ca pewnej kobiety zahacza się o sztachety balkonu. Dziecko spada na chodnik, jego czaszka roztrzaskuje się jak owoc. Matka wyje z rozpacz. W końcu strzela do niej żołnierz. Te, którym udaje się wyskoczyć z mieszkania, często muszą uciekać ze złamaną nogą. Pod murem nie pozostaje im nic innego, jak tylko przerzucić dziecko na drugą stronę, w nadziei, że ktoś je tam złapie. Nierzadko dzieci zaczepiają się o drut kolczasty i płaczą z głodu i przerażenia; w końcu giną od kuli zirytowanego esesmana. Inne umierają z wycieńczenia. Z jednego z balkonów płonącego budynku zwiesza się na rękach starsza kobieta. Przeklina Niemców za barbarzyństwa, jakich się dopuszczają. Wreszcie traci siłę w palcach i spada.

Pod koniec kwietnia żydowscy powstańcy przejmują kanał prowadzący na zewnątrz getta. Walczą, żeby utrzymać go jak najdłużej i zdążyć ewakuować rannych i dzieci.

Siostry Winter transportują na plac Muranowski nosze pełne rannych.

- Idź! — prosi Hanię Lea, kiedy wszyscy chorzy zostali już przeniesieni.

- Nie zostawię taty.

- Nie bądź uparta - mówi Lea gniewnie. - Ratuj się!

- Nie. — Hania jest zawzięta. — Póki ty i tata tu jesteście, nigdzie się nie wybieram.

Lea zgrzyta zębami i wraca do rannych. Zazwyczaj jedyne, co może dla nich zrobić, to ułatwić im szybką śmierć. Nielicznym udaje się cało wyjść z getta. Apelują do aliantów o pomoc, lecz ich prośby spotykają się z obojętnością. Gancwajch pracuje dla Niemców również po stronie „aryjskiej” i gorliwie tropi Polaków, którzy ukrywają Żydów.

Alianci dalej grają w golfa na Bermudach. Casy świat siedzi z założonymi rękami, podczas gdy Hitler przeprowadza systematyczne oblężenie getta. Skoro Odilo Globocnik może jak gdyby nigdy nic prowadzić w Lublinie fabrykę śmierci, to czemu naziści mieliby się powstrzymać od niszczenia załączków oporu?

Ani Polak, który walczy u boku Żydów, a potem ucieka z getta i mówi światu, co się dzieje za murami; ani byli więźniowie obozów koncentracyjnych zdający relację ze swoich doświadczeń; ani uciekinier z Auschwitz, który udaje się do Wielkiej Brytanii, a stamtąd do USA, gdzie opowiada o okrucieństwach nazistów sędziemu Sądu Najwyższego, też zresztą Żydowi - nikt nie jest w stanie obudzić sumienia świata.

W końcu Polacy poruszeni dramatem palonego getta odkładają na bok dawne urazy i nie zważając na niemieckie obwieszczenia zakazujące pomocy Żydom (karze śmierci podlega każdy, „kto w jakikolwiek sposób dopomaga im w ukrywaniu się”), zbierają się pod murem, żeby przechwytywać uciekinierów. Himmler zaczyna tracić cierpliwość. Naciska na Hitlera, żeby do tłumienia powstania wysłał swoich najbardziej bezwzględnych generałów. Fuhrer jest zirytowany, że zawraca mu się głowę „kwestią żydowską”, i nakazuje Himmlerowi, aby sam się z nią uporał. Himmler wysyła więc do Polski Jurgena Stroopa z rozkazem zrównania getta z ziemią. Oddelegowuje też do Warszawy Franza Kutschere, którego zadaniem jest tłumienie wszelkich przejawów oporu.

Kutschera z sadystyczną przyjemnością wprowadza do miasta terror o wyjątkowym nasileniu. Codziennie odbywają się uliczne egzekucje i masowe rozstrzeliwania. Teren

patroluje gestapo. Einsatzgruppen wykurzają ludzi z kryjówek z pomocą specjalnie wyszkolonych psów. Ilekroć znajdą Żyda, do obozu zsyłani są zarówno uciekinierzy z getta, jak i ukrywający ich Polacy.

Dwóch funkcjonariuszy nawiedza też dom Maćka. On sam na wiosnę zaciągnął się do AK, powierzając Poldka swojej siostrze Dorocie. Gdy rozlega się łomotanie w drzwi, rodzina je akurat obiad w kuchni.

- Ja otworzę! - piszczy podekscytowany Poldek. Ciągle czeka na przyjście mamy.

- Ani mi się waź! - Dorota chwyta go za kołnierz koszuli i sadza sobie na kolanach. — Tato, możesz zobaczyć, kto to? — prosi, chociaż doskonale wie, że to zniechęceni esesmani. Jej ojciec niespiesznie kieruje się do drzwi. — Słuchaj uważnie — szepcze Poldkowi w ucho — musisz być bardzo grzeczny. Nie odzywaj się niepytany. I mów do mnie „mama”, tak jak prosił wujek Maciek.

Poldek patrzy szeroko otwartymi oczyma to na Dorotę, to na jej matkę, aż w końcu kiwa głową i wsadza sobie kciuk do ust. Wolną ręką bawi się srebrnym krzyżykiem na szyi Doroty. Ojciec Doroty odmyka zasuwę i otwiera drzwi. Słychać kroki wojskowych butów na drewnianej podłodze. Do kuchni wchodzi dwóch żołnierzy. Groźnie wyglądający mastiff obwąchuje Dorocie buty.

— Gdzie Żydzi? — chce wiedzieć oficer. Ma zupełnie pozbawioną owłosienia twarz, przeszywające, nieprzyjemne oczy, tak jasne, że prawie bezbarwne, wpadające w biel blond włosy, prosty nos, kwadratowy podbródek i zaskakująco zmysłowe usta.

— Nie ma u nas Żydów. — Dorota nie potrafi oderwać wzroku od tych niepasujących do reszty twarzy ust.

Esesman wyjmując parabelkę i przykładając lufę do czoła Poldka. Matka Doroty wydaje cichy okrzyk zgrozy.

- Gdzie są Żydzi? — Niemiec odbezpiecza pistolet.

- U nas nie ma Żydów - odpowiada chłopiec.

- Przeszukać — rozkazuje oficer swojemu podkomendnemu.

Ten szarpie psa za łańcuch i wychodzi z kuchni. Słychać jego dudniące na schodach kroki, potem skrzypienie desek na piętrze. Otwiera szafę, zamyka. Poldek znowu zaczyna ssać kciuk, niezmiernie przytkniętym do czoła pistoletem. Dorota patrzy na żołnierza wściekle, a on odpowiada jej beznamyślnym spojrzeniem.

Do kuchni wraca pies, ciągnąc na łańcuchu esesmana, który kręci głową.

- Gdzie macie piwnicę?

Dorota wskazuje właz w podłogę. Żołnierz wchodzi tam z psem i po chwili wynurza się z powrotem, lekko znudzony.

- Idziemy. - Oficer wkłada pistolet do kabury, szyderczo stuka obcasami i wychodzi. Za nim idzie pies, a potem szeregowy. Trzaskają drzwi.

Matka Doroty zakrywa sobie twarz fartuchem i zaczyna szlochać. Dorota obsypuje chłopca pocałunkami. Jej ojciec płacze cicho w nieoświetlonym salonie.

Świadectwa Żydów, którym udało się uciec z ogarniętego pożogą getta, są wstrząsające. Irenie kraje się serce. Powstańcy schodzą do kanałów i przegrupowują się, ale mają ograniczone pole manewru - mogą co najwyżej dokonywać rajdów po niemieckie uzbrojenie. W odwecie Stroop atakuje szpital. Naziści wywlekają rannych powstańców z łóżek i pod groźbą śmierci żądają ujawnienia kryjówki dowództwa.

- Pocałuj mnie w żydowską dupę — odpowiada żołnierzowi jeden z powstańców. Esesman strzela mu między oczy.

W izbie chorych pielęgniarki uwijają się w pocie czoła. Każdego rannego Hania pyta, czy widział jej ojca. Niektórzy rozpoznają ją i ze smutkiem kręcą głową. Inni tylko się jej przyglądają.

- Czy ktoś go widział? Nazywa się Jasza Winter. - Hania chodzi od jednych noszy do drugich.

- Podaj jodynę - mówi Lea, żeby odwrócić myśli siostry od ojca.

Wtem ktoś krzyczy:

- Niemcy podpalili szpital! I idą tutaj!

- Zabierz kobiety do schronu — instruuje Lea Hanię. - A ty?

- Dojdę za chwilę. Szybko! — Zaczyna ściągać chorych z łóżek. - Da pan radę iść? — pyta jednego z nich. On niepewnie kiwa głową. - To proszę za kobietami. Niemcy idą.

Mężczyzna łapie się za brzuch i kuśtyka ku tylnym drzwiom. W tej samej chwili do izby chorych wsypuje się od frontu gromada żołnierzy. Całe szczęście wartownik zdążył zawiadomić personel; budynek jest prawie pusty. Lea spokojnie mierzy temperaturę człowiekowi, którego dopiero co wyprawiła na tamten świat. Lekarz zamknął się w składziku i stara się ocalić jak najwięcej lekarstw. Do schronu zagonieni zostali wszyscy z wyjątkiem najciężej rannych. Żołnierze szybko pojmują, że z leżących na łóżkach trupów niewiele wyciągną.

- Gdzie Juden? - pyta Leę esesman. Gdy ona udaje, że nie rozumie, strzela jej w udo. - No gdzie? — Klęka tuż przy niej. Okropnie śmierdzi mu z ust.

Lea zamyka oczy i zaciska zęby. Oficer przykłada jej do policzka lufę parabelki i naciska spust. Słychać suche kliknięcie. Lea podnosi gwałtownie powieki. Niemiec szuka zapasowych nabojów, ale ich nie znajduje.

- Spalić budynek - rozkazuje.

Wyjmuje z kieszeni chusteczkę, wyciera nią pistolet i rzuca na Leę. Na odchodnym staje jej na udzie i depta kość obcasem. Lea traci przytomność.

ROZDZIAŁ 39

Ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej

Od dymu wypełniającego izbę chorych łzawią Hani oczy.

- Lea! - woła.

Pomieszczenie wypełniają płomienie. Smród palonych, prześlakniętych moczem i brudem materacy jest nie do zniesienia.

- Lea!

Po prawej stronie Hania dostrzega ruch. Pościel jednego z łóżek się zajęła; leżący tam ranny spadł na podłogę i zaczął się turlać, żeby ugasić ogień. Obok niego Hania zauważa Leę w kałuży krwi.

- Nie! - Jest tak gorąco, że białka oczu prawie jej się ścinają, ale daje radę wyciągnąć siostrę z płomieni.

- Ja ją wezmę. — Lekarz przerzuca sobie Leę przez ramię niczym worek mąki. — Pani niech bierze lekarstwa.

Wybiegają tylnymi drzwiami prosto do najbliższego schronu. Lekarz kładzie Leę na ziemi i rozdziera jej spodnie. Z rany cieknie krew.

- W torbie jest spirytus. - Mężczyzna zakłada Lei na udo opaskę uciskową. — Potrzebuję też skalpela. Muszę wyjąć kulę, zanim Lea się ocknie.

Hania patrzy na niego struchlała.

- Nie mamy nic na znieczulenie - wyjaśnia lekarz.

Hania rzuca się po skalpel i kleszcze chirurgiczne. I nieomal mdleje, kiedy lekarz zanurza skalpel w udzie Lei. Po chwili wyrzuca kulę na ziemię.

- Może pani opatrzeć?

Hania nie może wydobyć z siebie głosu, ale kiwa głową. Oby tylko nie trzeba było amputować siostrze nogi. Modli się tak zapamiętane, że już sama nie wie, co chciała powiedzieć Bogu. Kiedy zamyka oczy, nie czuje przynajmniej wszechobecnego odoru wymiocin ani nie słyszy jęków rannych.

- Co robisz? — chrypi Lea.

- Modlę się.

- Boga nie ma.

- Cśś. Nie mów tak.

- Ten ktoś na górze postawił na nas krzyżyk. Nie trać czasu na modlitwę. Pomóż mi umrzeć.

- Lea, nie. — Z oczu Hani płyną łzy. Nie jest w stanie znieść błagalnego spojrzenia siostry, więc odchodzi.

Pozbawiona lekarstw i wycieńczona z głodu Lea balansuje na granicy życia i śmierci.

- Chcę umrzeć. Pomóż mi - prosi siostrę, kiedy ta wraca.

- Nie. - Hania szlocha. - Tobie nie mogę. I idzie do lekarza.

- Pani siostra jest za słaba, żeby zwalczyć infekcję - słyszy.

- Chcę oddać jej krew. Czy to pomoże?

- Ona potrzebuje nie tyle krwi, ile lekarstw. Proszę jej w miarę możliwości ulżyć.

Naziści pustoszą getto. Cały mur zalepiają obwieszczeniami, że pomoc Żydom karana jest śmiercią. Polacy podcierają sobie nimi tyłki. Na początku maja w getcie ukrywa

się jeszcze około dwudziestu tysięcy osób. Stroop ogłasza, że się z nimi rozprawi. Powstańcy dalej walczą.

W tym samym czasie bezsens szczytu na Bermudach staje się coraz bardziej oczywisty. Alianci pakują kije golfowe i wracają do domów. Siódmego maja na getto spada straszny cios: naziści odnajdują i otaczają kryjówkę dowództwa ZOB-u przy ulicy Miłej. Następnego dnia wkraczają do budynku, ale natykają się na kilkadziesiąt trupów. Powstańcy woleli popełnić zbiorowe samobójstwo niż dostać się w ręce Niemców. Wiadomość o porażce i planach ostatecznej likwidacji getta dociera do Zygielbojma. Na znak protestu wobec obojętności alianckich rządów dwunastego maja popełnia on samobójstwo.

Załamani, odarci z nadziei ludzie dalej siedzą w kryjówkach. Esesmani mordują wszystkich odnalezionych powstańców, a resztę Żydów pędzą na Umschlagplatz, skąd przewożą ich do Treblinki.

- Uciekaj — prosi Lea Hanię. — Jeszcze zdążysz. Przeskocz przez mur, znajdź Jolantę. Ona zabierze cię do Maćka. Poldek potrzebuje matki.

- Bez ciebie nie idę.

Szesnastego maja 1943 roku Stroop wysadza w powietrze Wielką Synagogę. Czekaający na deportację Żydzi zawodzą, rwą sobie włosy z głowy i drapią się po twarzach do krwi. Skoro świątynia zniszczona, gdzie teraz podzieje się Bóg?

- Głupcy - mamrocze Lea. - Ich Boga nigdy tam nie było.

- Lea, ćśś. — Hania obejmuje ją ramieniem. - Majaczysz. - Wcale nie. Boga nie ma.

Brama się otwiera. Tłum prawie zdeptuje siostry. Nie ma Judenratu, nie ma taryfy ulgowej. Rana na udzie Lei krwawi.

- Haniu, nie dam rady. Pomóż mi umrzeć... - Mdleje.

- Nie! Pomocy!

Jakiś mężczyzna pomaga Hani nieść ranną. Potem kto inny dźwiga Leę do wagonu i pomaga wsiąść Hani. Ludzie z ociąganiem robią Lei miejsce na podłodze. Hania siada obok siostry i kładzie sobie jej głowę na kolanach. Pociąg rusza.

Niemcy przyzwyczaili się, że Żydzi są wobec nich niezwykle ulegli i chętnie ustępują w zamian za przywileje, wobec czego rozwściecza ich zapamiętanie powstańców. Nasilają ataki.

Kutschera chce wykurzyć ostatnich Żydów ukrywających się po stronie „aryjskiej”, więc zaciska pętlę na szyi warszawiaków. Bezskutecznie. Nawet dowódca Auschwitz donosił, iż „miejscowi to fanatyczni Polacy, gotowi wykorzystać każdą okazję, by zwrócić się przeciwko znienawidzonemu personelowi obozu. Uciekinierzy otrzymają pomoc w każdym z okolicznych gospodarstw”.

Hania otwiera gwałtownie oczy. Obudził ją wystrzał. Na twarzy czuje chłodny podmuch. Gdy spała, zapadła noc. To dziwne — nie przypomina sobie, żeby widziała jakieś okno, wsiadając. Wagon, w którym ludzie siedzą upchani jak sardynki w puszcze, został otwarty. Ktoś wyskakuje z pociągu. W ciemności rozlega się kolejny strzał. Lea ściska ją za rękę.

- Teraz.

- Nie. — Hania kręci głową. - Nie zostawię cię samej.

- Ja już właściwie nie żyję. Znajdź Poldzia.

- Nie. Bez ciebie nie idę. - Hania zaczyna płakać z przerażenia.

Po dachu stukają buty esesmanów strzelających do uciekinierów.

- Uciekaj - szepcze Lea. - Może spudłują. Umrę szczęśliwa ze świadomością, że ci się udało.

- Nie. Przestań.

- Słuchaj! - Lea ściska jej dłoń. — Nie zostało mi wiele czasu. Umrę, jeszcze zanim dojadę tam, gdzie nas ciągną. A nawet jeżeli nie, to i tak mnie tam zabiją. Ciebie też. Dlatego uciekaj. Powiedz Poldziowi, że kochałam go bardziej niż własne życie.

- Lea, nie mogę. — Hania szlocha tak gwałtownie, że ledwo mówi.

- Poldek musi wiedzieć, że matka go kochała. Ze nigdy bym tego nie wytrzymała, gdyby nie...

- Cśś. - Hania przytula się do Lei, ale ta ją odpycha. Młodsza siostra całuje oczy, usta, dłonie starszej, a potem wyskakuje w ciemność. Z dachu wagonu wystrzeliwuje kanonada pocisków. Hania umiera, zanim zdąży upaść na ziemię.

Hitler nie przejmując się sromotną porażką w bitwie o Stalingrad i postanawia wykorzystać lato, by nadgonić z ofensywą na Moskwę. Czwartego lipca 1943 roku naziści rozpoczynają operację Cytadela. W sierpniu jest już jasne, że obie strony prowadzą wojnę na wyniszczenie. Podczas jednej z bitew na łuku kurskim Niemcy tracą dywizję pancerną, pomimo że atakują z całą mocą. Starcie na łuku kurskim zostanie później określone mianem największej bitwy z użyciem czołgów. Ale na szczęście dla reszty świata w Hitlerze nad rozsądkiem górę biorą rasistowskie przekonania. Brakuje mu dwóch dywizji. Ukraińcy proponują mu swoje dwadzieścia dwie dywizje, ale to przecież Słowianie. Hitler pragnie zetrzeć ich z powierzchni ziemi tak samo jak Stalin. Armia Czerwona odnosi zwycięstwo.

Po serii wielkich przegranych Rzesza rozpaczliwie potrzebuje drobnych zwycięstw. W październiku 1943 roku esesmani wdzierają się do mieszkania Ireny i zabierają ją na Pawiak. Zostaje skazana na śmierć. Zamykają ją w wąskiej celi z wiadrem nieczystości, na widok którego zbiera jej się na wymioty. Odlicza dni do egzekucji. Nawet gdyby ze Izami upadła na kolana i godzinami gniotła paciorki różańca, nic by to nie zmieniło. Bóg porzucił Polskę. Irena przeklina niebiosy. Jej życie wisi na włosku, ale jest wdzięczna losowi za niewielkie przejawy łaski: SS nic nie wie o dzieciach, które uratowała z getta. Zegota w porę dowiaduje się o jej sytuacji i przekupuje strażnika. W noc poprzedzającą egzekucję zostaje wyprowadzona z budynku i porzucona na opustoszałej ulicy. Stamtąd zabiera ją samochód Zegoty. Miesiąc później Himmler nakazuje Globocnikowi zlikwidować będące pod jego nadzorem obozy i zatrzeć po nich wszelki ślad. Nie podoba się to Kurtowi Gersteinowi — człowiekowi odpowiedzialnemu za zagazowanie lubelskich Żydów w zamian za część bogactwa Globocnika.

Kiedy amerykańscy żołnierze zaczynają wyzwalać obozy, gnębiony poczuciem winy Gerstein wiesza się w stodole. Amerykanie nie wiedzą, jak ochoczo pomagał on Globocnikowi w rzezi. Wzrusza ich dyndające z belki ciało; obwołują go bohaterem.

ROZDZIAŁ 40

Zniszczenie Warszawy

- A Lea? — zapytała Amada przez ściśnięte gardło.

— Jeżeli niestety przeżyła transport, to zagazowano ją w Treblince.

- Na pewno nie miała szansy, żeby przeżyć? Irena popatrzyła na nią dobrotliwie.

— Na pewno. A świat siedział i patrzył. W kwietniu czterdziestego czwartego, równo rok po powstaniu w getcie, z Auschwitz uciekło dwóch więźniów. Przekazali przedstawicielom Agencji Żydowskiej trzydzieści dwie strony raportu opisującego warunki w obozie: eksperymenty na ludziach, sterylizację, szerzące się w barakach epidemie tyfusu. Słowackie podziemie porównało dokument z listami deportowanych. Zgadzały się. Alianci w końcu uwierzyli w prawdziwość raportu. Ale zamiast rzucić się więźniom na ratunek, Churchill, Roosevelt i Stalin zorganizowali tajny zjazd w Teheranie, na którym omawiali podział łupów po wojnie. Nikt nie chciał przyjąć do siebie Żydów. Sądzę zatem, że powstrzymywanie Niemców nie leżało w ich interesie. A jako nagrody za pomoc aliantom Stalin zażądał dla siebie Polski.

Franz Kutschera zginął w śmiałym ataku zorganizowanym przez AK. Na pewien czas powstrzymało to egzekucje. Naziści wreszcie zrozumieli, co to strach. Korzystając z chwili oddechu, polscy komuniści utworzyli w Lublinie rząd tymczasowy. Zawieszenie terroru nie trwało jednak długo. Od wschodu zbliżali się Sowieci. Represje wznowiono po oficjalnym pogrzebie Kutschery.

Gubernator dystryktu warszawskiego ogłosił nabór stu tysięcy cywilów do kopania na granicy okopów, które powstrzymałyby marsz Armii Czerwonej. W odpowiedzi AK zorganizowała zakrojony na dużą skalę bojkot, który wkrótce przerodził się w zbrojny opór. Pierwszego sierpnia 1944 roku rozpoczęło się w Warszawie powstanie. Około czterdziestu tysięcy Polaków pospieszyło do punktów zbornych. Choć powstańcom brakowało podstawowych środków do walki, musiało stanąć z nimi w szranki piętnaście tysięcy uzbrojonych po zęby niemieckich żołnierzy. Polacy nie mieli wiele do stracenia, dlatego walczyli do upadłego. W bezpośrednim starciu udało im się zabić pięciuset żołnierzy. Wieczorem na ulicach leżało prawie trzy tysiące martwych powstańców, a co najmniej pięć tysięcy zostało rannych.

W nocy do rzezi ludności cywilnej przystąpił oddział karny Dirlewangera. Oskar Dirlewanger, zwyrodnialec skazany za gwałt na nieletniej, został wysłany do Warszawy przez Himmlera, który miał dosyć sprawiających problemy Polaków. Dirlewangerowcy byli to wyjątkowo okrutni kryminaliści, warunkowo zwolnieni z więzień; tak bezwzględni, że zostali w końcu wycofani przez Hitlera, ale dopiero po zamordowaniu czterdziestu tysięcy warszawiaków, w tym kobiet i dzieci.

Irena oparła się na krześle. Oczy miała zamglone.

- Źle się stało, że powstanie warszawskie doszło do skutku — wtrącił Izmael.

- Jak to?

- Od samego początku była to przegrana bitwa - oświadczył. — Armia Krajowa miała czterdzieści tysięcy żołnierzy, ale tylko dwa tysiące karabinów. Z powodu głupoty dowództwa AK w ciągu dwóch miesięcy walki życie straciło ćwierć miliona cywilów. Zachęcali żołnierzy do maszerowania prosto na rzeź, podczas gdy sami siedzieli bezpiecznie za granicą. Prawie wszyscy powstańcy zginęli, za to dowódcy przeżyli.

- Nie wiedziałam.

- Nikt o tym nie wie. Według generała Andersa decyzja AK o mobilizacji miała charakter przestępczy. Skazała na zagładę całe miasto i jego mieszkańców. Stalin podobnie oceniał powstanie, choć, rzecz jasna, z innych powodów. Jan Ciechanowski, który walczył w Warszawie, a potem wyemigrował do Wielkiej Brytanii, z całą mocą krytykował decyzję o zbrojnym zrywie. Za rządów komunistów powstanie potępiono jako zbrodnię polityczną. Oczywiście, kiedy zawierucha minęła, dowódcy zabrali się do pisania wspomnień, w których przedstawiali się w kostiumie bohaterów, mimo że nie postawili nawet stopy na polu bitwy. Żołnierzy odmalowywali jako świętych męczenników, ale jakoś nie wspominali, że zginęło również około trzystu tysięcy cywilów. Tych ofiar można było uniknąć, gdyby tylko dowództwo zdało sobie sprawę, że ich plany skończą się kolejnym ludobójstwem. Ludzie siedzieli w walących im się na głowy mieszkaniach i przeklinali żołnierzy, którzy chcieli zostać bohaterami, podczas gdy było jasne jak słońce, że tylko się ośmieszają.

- A czy alianci wspomogli powstanie?
- Po co? Przecież Polska została już przydzielona Stalinowi.
- To może Stalin zrobił coś dla Polaków?
- Ten człowiek na początku wojny zamordował dwadzieścia tysięcy polskich oficerów - włączyła się do rozmowy Irena. - Oczywiście, że nie. Palcem nie kiwnął. Jego wojska stały na Pradze i obserwowały niszczenie Warszawy bez mrugnięcia okiem.

Amada popatrzyła na starszą panią. Wciąż nie mogła sobie wyobrazić, że ta krucha starowinka była kiedyś dzielną Amazonką, która nie bacząc na własne bezpieczeństwo, uratowała tysiące dzieci. Izmael fantastycznie przetłumaczył jej opowieść. Amada znalazła odpowiedź na pytanie, które ściągnęło ją do Polski z drugiego końca świata. Tyle że nie taką odpowiedź chciała usłyszeć.

- Jest pani rozczarowana — odezwała się Irena.
- Miałam nadzieję, że Lea odnalazła syna.
- Wyobraziła sobie pani romantyczną historię. A przecież na pewno uczono panią, że historia jest motorem zniszczenia. Przegrywamy, nawet jeśli wygrywamy. — Irena zamilkła i wygładziła spódnice. — Mówi pani, że ojcem dziecka Lei był pani dziadek?

-Tak.
- Ze też nie podzieliła się z nikim taką wiadomością!
- To chyba dosyć wstydlivy temat. Zwłaszcza w tamtych czasach, kiedy piętno ciąży z nieprawego łoża było jeszcze dotkliwsze.
- Niewiele się w tej kwestii zmieniło — odparła Irena. - Istnieją kraje, w których kobiety topi się za pieszczoty z kochankiem. Niestety, pomimo całych doświadczeń wo-

jennych Europy, to samo dzieje się dziś w innych krajach, z innymi dyktatorami.

- Jest pani pesymistką.

Irena przeszła Amadę spojrzeniem intensywnie błękitnych oczu.

- Pobyt na Pawiaku odarł mnie ze wszelkich złudzeń na temat ludzkiej natury. Proszę pomyśleć: najeźdźcy wybijają naukowców i intelektualistów. Kto zatem zostaje, żeby po wojnie uzupełniać populację? Wojna nie tylko pustoszy kraj z ludzi, ale pozbawia go również szans na wielkość.

- Czy właśnie to swoiste cofanie się w rozwoju sprawia, że nie potrafimy uczyć się na błędach? - zapytała Amada.

- Bez wątpienia. A jednak, po wszystkim, co Polska przecierpiała, nadal istnieją ludzie, którzy negują Zagładę. Za dziesięć lat Niemcy przestaną przeproszać nas za wojnę. Kolejnych dziesięć i wszyscy zapomną, że byli agresorem, a oni zaczną mieć do nas pretensje. Nawet wcześniej, jeżeli gospodarka wejdzie w kryzys. Kiedy tylko pogorszy się sytuacja na rynku pracy, Niemcy zaczną szukać kozła ofiarnego. Od setek lat jesteśmy ich naturalnym wrogiem. Tylko patrzeć, jak zaczną robić z siebie ofiary, bo pięćdziesiąt lat temu Roosevelt i Churchill przesunęli granice Polski na zachód, żeby ich drogi Stalin mógł zagarnąć wschodnie rubieże Polski. Wielka trójka zdecydowała w Teheranie, że wschodnia Polska zostanie wcielona do ZSRR. Stalin potrzebował portu, w którym woda nie zamarzałaby w zimie, zażądał więc Kaliningradu, zwanego wówczas Królewcem. Dostał też Litwę, Łotwę i Estonię, a także Bukowinę i Besarabię. Nieźle się obłowił za zdradę, nieprawdaż?

- Ale dlaczego?

Irena popatrzyła na nią, nie rozumiejąc.

- Z perspektywy czasu to wszystko wydaje się takie bezcelowe — wyjaśniła Amada. - Od początku dwudziestego wieku tyle się wydarzyło: znikły monarchie, powstała i upadła Trzecia Rzesza, władzę w Europie Wschodniej przejął komunizm, ale i on nie przetrwał. Zamordowano miliony ludzi. Dlaczego?

- Z chciwości — odparła Irena. - Nie myśli pani chyba, że wojny toczy się dla idei. O nie, wojna to najlepszy możliwy interes. Widziałam... — zaczęła, ale urwała.

- Przeżyła pani koszmar wojny.

- Ale ominęło mnie najgorsze. Nie byłam w obozie.

ROZDZIAŁ 41

Izmael

— Czy to prawda, że Hitler był Żydem? - zapytała Amada, kiedy wyszli od Ireny.

- Słyszałem takie plotki — odparł wymijająco.

- Czytałam gdzieś, że jego dziadek był Żydem.

- No tak. Ta historia ciągle gdzieś wpływa.

- Tak samo jak ta, według której to Żydzi rozpętali drugą wojnę światową, bo chcieli przejąć władzę nad Europą. Jeżeli Hitler rzeczywiście był Żydem, ta druga teoria ma sens.

— Insynuacje można znaleźć na każdy temat. Niektórzy, jak wspominała Irena, negują Holokaust. Inni twierdzą, jakoby to Żydzi wywołali wojnę, żeby wzbudzić we wszystkich poczucie winy i dostać własne państwo.

— I tak właśnie się stało — zauważyła Amada. — Jeśli się nie mylę, państwo Izrael powstało na terenie zabranym Palestynie. Ulokowano tam Żydów przymusowo wysiedlonych w czasie wojny. Z deszczu pod rynnę, że tak powiem.

— Tak postanowili alianci. W dodatku wcześniej dostaliśmy już inną ziemię.

Amada zatrzymała się przy samochodzie i spojrzała na Izmaela, który otworzył jej drzwi.

- Kolonia nazywa się Birobidżan — wyjaśnił. — Została utworzona w trzydziestym czwartym przez Stalina. Leży na samym końcu świata, tuż pod chińską granicą. Nasza ziemia obiecana.

- Poważnie? Dlaczego Żydzi nie uciekli tam po wybuchu wojny?

- Było za daleko.

- Rany, Izmael! Kiedy cię prześladują, to nieważne, czy daleko.

- Nikt nie miał ochoty przeprowadzać się na pustkowie siedem tysięcy kilometrów na wschód od Moskwy. Poza tym, jaką mielibyśmy gwarancję, że Hitler i tam nas nie dorwie?

- Ten region go nie interesował. Planował rozszerzyć terytorium Niemiec po Ural, nie dalej. Nie sądzę, że chciałoby mu się fatygować aż tam.

- Był szaleńcem. Kto wie, do czego by się posunął.

- Może i tak - zgodziła się Amada. - Ale prawda jest taka, że Żydzi mieli otwartą furtkę. Po prostu nie skorzystali z okazji.

- Chcieliśmy zamieszkać w Krakowie i Łodzi.

- Żydzi uwierzyli w kłamstwa Eichmanna?

- Wsiedliśmy do jego pociągów.

- Rzeczywiście. — Amada zamilkła. Otworzyła drzwi i zajęła miejsce w samochodzie. - A dlaczego Stalin był taki wspaniałomyślny?

- Stalin nie chciał Żydów w Rosji. Nakłaniał nas do wyjazdu, chociaż podejrzewał, że nie pojedziemy.

Amada zmarszczyła brwi.

- Czy nie ożenił się z dwiema Żydówkami?

- Owszem — odparł Izmael — ale to była Rosja bolszewicka. Stalin za wszelką cenę chciał wniknąć we frakcję żydow-

ską. Sądzę, że pomogło mu w tym najbliższe otoczenie. Na przykład Lazar Kaganowicz, który zasłynął z przechwałek, że: „Matka Rosja upadła. Zerwaliśmy z niej spódnicę”. Był odpowiedzialny za wymordowanie milionów Rosjan. Zona Mołotowa też była Żydówką. Uważa się, że ich córka Swietłana wyszła za syna Stalina, Wasilija. Z kolei Lenin sam był pół-Zydem i choć starał się pieczołowicie ukrywać swoje pochodzenie, ustanowił prawo, zgodnie z którym antysemityzm był w Rosji karany śmiercią. Swojego przyjaciela Lejbę Bronsztejna, znanego dziś jako Lew Trocki, uczynił komisarzem do spraw wojny i powierzył mu pieczę nad Armią Czerwoną, a Stalina postawił na czele Ludowego Komisariatu do spraw Narodowości. Stalin i Lenin blisko współpracowali; w ten sposób Gruzin zdobył zaufanie Władimira Iljicza. To Lenin, gdy w maju 1922 roku doznał wylewu, poparł awans Stalina na stanowisko sekretarza generalnego. Żydowskie towarzystwo trzęsło Rosją i ruszało właśnie na podbój świata. A więc Stalin mógł się w nie wkręcić, tylko żeniąc siebie lub swoje dzieci z krewnymi wpływowych Żydów. Później założył kolonię Birobidżan, ponieważ nie mógł ścierpieć chasydów, tak samo zresztą jak jego nowi żydowscy krewni.

- Słyszałam, że Żydzi nie kryli się z planami pozbycia się Polaków i stworzenia żydowskiej enklawy w sercu Europy. I że bez skrupułów wyrzucali na bruk ubogich chrześcijan, których nie było stać na czynsz. Mówili podobno: „Kamienice należą do Żydów, a ulice do Polaków”. Czy to też prawda?

Z Izmaela jakby uszło całe powietrze. Nic nie odpowiedział.

- To o wiele bardziej skomplikowane, niż piszą w podręcznikach — zauważyła Amada po chwili.

— Biorąc pod uwagę, co się potem stało, historycy wolą raczej opisywać uproszczoną, czarno-białą wersję wydarzeń, niż przedstawiać problem w całej złożoności. Na pewno lepiej się czyta o drugiej wojnie światowej odmalowanej jako konflikt dobra ze złem. Nie trzeba się zastanawiać, co kierowało zbrodniarzami po obu stronach barykady albo dlaczego zawieszono znowu milczenia. Ignorowanie prawdy zwalnia nas z pytań o pobudki szaleńców albo przyczyny moralnego lenistwa reszty świata. Podobno historię piszą zwycięzcy. Lew Trocki jest autorem sążnistej *Historii rewolucji rosyjskiej*, w której poczynania bolszewików przedstawia w lepszym świetle, a część faktów pomija milczeniem. Nie wspomina na przykład, że bolszewicy, którzy po zamordowaniu cara przejęli władzę w Rosji, byli Żydami. Albo że do jego obowiązków należało „likwidowanie” ludzi. Na temat wojny opowiadano wiele bajek, ale szczyt monopolizowania prawdy osiągnął Stalin. Bez przeszkód narzucił ludziom mit o swojej boskości, ponieważ większość osób, które mogłyby podważyć jego wersję, została przez niego zamordowana.

- Kształtowali historię wedle swojego widzimisię - stwierdziła Amada.

Izmael przytaknął.

-1 jeszcze coś. Kiedy porządkujemy szpargały, lubimy wkładać je do schludnie opisanych pudełek, prawda? Tak samo myślą historycy. Dla nich pierwsza i druga wojna światowa to dwa różne wydarzenia. Oddzielne pudełko ma też historia ZSRR, zupełnie jakby nie wywarła żadnego wpływu na Europę. Moim zdaniem wszystko jest jedną wielką, bardzo długą wojną, z rzadka przedzieloną chwiejnymi okresami pokoju. Europejczycy chwyтали się rozpaczliwie nadziei, że wojna, która właśnie się skończyła, była tą

ostatnią. Ale w Rosji nie było pokoju. Atrament na traktacie wersalskim jeszcze dobrze nie wysechł, kiedy bolszewicy najechali Polskę. Niemcy zbuntowali się przeciwko kryzysowi ekonomicznemu wywołanemu przez traktat, a Franco rozpętał w Hiszpanii wojnę domową.

— Mój dziadek twierdził to samo. Według jego teorii jedna wojna wynika w prostej linii z drugiej. Nasza chęć zemsty jest zbyt silna, żeby przerwać ten łańcuch. Sądziłam, że mówi od rzeczy, ale teraz rozumiem.

— Miał na myśli teorię ciągłości. Głosi ona, że istnieje proste, naturalne przejście od jednej wojny do drugiej, a wszystko to w ramach wielkiej wszechwojny. Łatwo zauważysz jej prawdziwość, kiedy przypomnisz sobie, że Stalin i Trocki zaatakowali Polskę w 1920 roku, a znowu potem Stalin i Hitler wmieszali się w wojnę domową w Hiszpanii.

Amada zmarszczyła czoło.

— Rzeczywiście, w książce dziadek wspominał o jakiejś bitwie, nazywała się chyba „cud nad Wisłą”. Dlaczego Armia Czerwona napadła na Polskę?

— Dla Lenina Polska stanowiła most, przez który można było wprowadzić komunizm do Europy Zachodniej. Rewolucja miała trafić na zachód na bagnietach żołdatów. Bolszewicy mawiali, że najkrótsza droga do Berlina i Paryża wiedzie przez Warszawę. David Francis, ambasador USA w Moskwie, wysłał do Waszyngtonu pilny meldunek, w którym ostrzegał, że „tutejsze władze bolszewickie, w większości Żydzi i byli wygnańcy, niewiele dbają o Rosję czy jakikolwiek inny kraj i zamierzają rozpętać międzynarodową rewolucję proletariacką”. Wojna, która miała położyć kres wojnom, spustoszyła Europę, a w rozmaitych częściach kontynentu narastało niezadowolenie. Zwłaszcza w Niem-

czech, które alianci ograniczyli zarówno terytorialnie, jak i ekonomicznie, wierząc, że słabe Niemcy nie będą zagrażać pokojowi. Surowe warunki traktatu wersalskiego spowodowały coś dokładnie odwrotnego. Z kolei osłabiona Europa stanowiła łatwy łup dla bolszewików, ale najpierw musieli podbić Polskę, która dopiero co odzyskała niepodległość. W sierpniu 1920 roku Armia Czerwona stanęła pod Warszawą. Zajęcie stolicy odniosłoby wspaniały efekt propagandowy i skłoniło Komintern do organizowania przewrotów w wielu krajach równocześnie. Armia Czerwona mogłaby wtedy bez przeszkód dołączyć do rewolucji w Niemczech. Dwa dni po rozpoczęciu bitwy zarówno dowódcy bolszewików, jak i zachodni eksperci byli przekonani, że Polska nie ma szans. I wtedy szesnastego sierpnia polskie siły pod wodzą Józefa Piłsudskiego z zaskoczenia przypuściły kontratak od południa. Przerażeni bolszewicy zaczęli wskakiwać do rzeki, ale na drugim brzegu już czekali na nich uzbrojeni w widły i sierpy wieśniacy. Do niewoli dostało się sześćdziesiąt sześć tysięcy żołnierzy, dziesięć tysięcy zginęło. Część rozpląnęła się w powietrzu.

- Boże - westchnęła Amada.

— Wielu historyków uważa tę bitwę za cud. Armia bolszewicka wyszła z niej znacznie osłabiona. Chcąc nie chcąc, Rosja musiała podpisać traktat pokojowy, który określił wschodnią granicę Polski na następnych dwadzieścia lat. Kiedy w trzydziestym szóstym roku w Hiszpanii wybuchła wojna domowa, Stalin mógł zakończyć ją w kilka miesięcy, ale nie leżało to w jego interesie. Hitler, żeby wykurzyć stamtąd bolszewików, posłał na odsiecz nacjonalistom Legion Kondor. I Hitler, i Winston Churchill zgadzali się wówczas co do tego, że ZSRR jest „wytworem intryg, władzy

i bogactwa Żydów" i że „bolszewizm to synonim katastrofy zaplanowanej przez Żydów z różnych krajów, którym zależy na zniszczeniu chrześcijaństwa". Kiedy Furher dokonywał anszlusu, Chamberlain udawał, że nic nie widzi, a potem uwierzył zapewnieniom, że Niemcy zadowolą się Krajem Sudeckim. Hitler uderzył na wschodzie, ponieważ wiedział, że Stalin ostrzy sobie zęby na Zagłębie Ruhry. W dodatku szczerze nienawidził bolszewizmu i postawił sobie za cel zniszczyć go, zanim się rozprzestrzeni.

-Wszystkich Żydów uważał za bolszewików? Czy to dlatego ich prześladował?

- Każdy tyran jest opętany swoją wizją prawdy. Ludzie, którzy zabijali w imię Boga, ani przez chwilę nie zastanawiali się, czy ten ich Bóg aby się nie myli. Wolter powiedział, że „ci, którzy sprawią, że uwierzysz w nedorzeczność, są w stanie nakłonić cię do najgorszego". Wystarczy przekonać masy, że nedorzeczność jest prawdą, i polowanie na czarownice gotowe.

- Dlatego za każdym poważniejszym ludobójstwem w historii stoi religia.

Izmael włączył silnik.

— Steven Weinberg, również Żyd, powiedział: „Religia uwłącza ludzkiej godności. Bez niej dobrzy ludzie czynią dobro, a źli - zło. Ale potrzeba religii, żeby dobrzy ludzie zaczęli postępować źle".

— A wojna? Dlaczego mężczyzn tak do niej ciągnie?

— Z powodu adrenaliny. Amada przewróciła oczyma.

- Około dziewięćdziesięciu procent mężczyzn jest uzależnionych od adrenaliny — oznajmił Izmael. — Jesteśmy zaprogramowani, żeby walczyć albo uciekać. Nic lepiej

nie uświadamia człowiekowi, że żyje, niż balansowanie na granicy śmierci.

— Niby skąd to wiesz?

Izmael zerknął na Amadę kątem oka i wyjechał z parkingu.

— Cmentarzem zajmuję się na emeryturze. Wcześniej robiłem co innego.

— No dobra. Byłeś żołnierzem Mossadu czy łowcą nazistów?

Roześmiał się.

— Po prostu nie lubię chaosu pojąć.

— Czyli księgowy. Wszystko jasne. Ale wiedzę na temat Hitlera masz imponującą.

— Prawie wszyscy moi znajomi Żydzi mają na jego punkcie obsesję.

— Trochę to patologiczne.

— Gdyby twoją rodzinę zagazowano, też byś się nim interesowała.

Na chwilę zapadła cisza.

— Nie myślałam o tym w ten sposób. Przepraszam.

— Nie przepraszaj. To nie twoja wina.

— Jestem gruboskórna. Zasypuję cię pytaniami i żartami nie na miejscu...

— Daj spokój. Lubię, jak mnie maglujesz. Twoje pytania dają do myślenia.

— Jak chcesz, ale potem nie mów, że nie przepraszalam.

— Nie ma za co, naprawdę.

— Dobrze. Zawsze zastanawiało mnie, dlaczego po tym wszystkim Polacy nie mają do Niemców większego żalu.

— Pewnego starego akowca zapytali, przeciw komu walczył, kiedy Polska została zaatakowana z dwóch stron. „Naj-

pierw przeciw Niemcom — odpowiedział — a potem przeciw Rosjanom". Ale dlaczego? „Bo najpierw obowiązek, potem przyjemność". - Izmael uśmiechnął się, rozbawiony własnym żartem. - Niemcy zawsze byli naszymi wrogami, więc atak z ich strony to żadne zaskoczenie. Hitler nie krył się z zamiarami względem nas. Jasno mówił, że gardzi Polakami i chce nas zmieść z powierzchni ziemi. Za to Stalin udawał przyjaźń, żeby wykorzystać naszą nieuwagę i połknąć połowę kraju, a potem narzucić nam komunizm. Obaj byli szaleni, ale to Stalin był naprawdę niebezpieczny.

- Nie mówisz poważnie.

- Szaleństwo Hitlera było metodyczne, natomiast Stalina — paranoiczne. Na dokładkę Churchill cierpiał na chorobę dwubiegunową i całe dni spędzał przyssany do butelki. Roosevelt pragnął zapisać się jako prezydent czasów wojny. Zrobił więc wszystko, żeby wciągnąć w konflikt USA. Bez nich dwóch Hitlerowi nie udałooby się zagazować sześciu milionów ludzi. Za Stalina zamordowano sześćdziesiąt milionów.

- Dlaczego nikt go nie powstrzymał?

- Bo jego sojusznicy musieliby przyznać się do błędu. Poza tym to dzięki nim mocarstwo Stalina stało się jednym z najpotężniejszych na świecie. Potem mógł robić, co mu się żywnie podobało. Efektem prowadzonej przez niego polityki była druga klęska głodu na Ukrainie. Kolejne ludobójstwo.

- Druga? — zdziwiła się Amada. — Chcesz powiedzieć, że były dwie? Czytałam gdzieś, że w czasie wielkiego głodu zmarło od pięciu do dziesięciu milionów ludzi.

- Masz na myśli pierwszą klęskę. Drugi głód był również poniekąd spowodowany osobistą decyzją Stalina, tym razem wynikającą z chęci pozbycia się Polaków z Ukrainy

Zachodniej. W całym ZSRR szalały czystki wycelowane we „wrogów ludu”, w czasie których zginęło co najmniej sześćdziesiąt milionów ludzi. W Polsce komunizm zwracał męża przeciw żonie, brata przeciw bratu, ojca przeciw córce. Stalin udawał przyjaźń, ale zmienił nas w naród donosicieli. Polacy nigdy mu tego nie wybaczą.

— Dlaczego alianci wspierali go w czasie wojny?

- Sądzieli, że wybierają mniejsze zło.

— Boże. Jak mogli tak się oszukiwać?

- Polityka to brudna gra, moja droga. Chcieli wojny, więc ją sprowokowali. Roosevelt wręcz obawiał się, że wojna się skończy, zanim Stany się do niej przyłączą.

- A ludzkie życie?

— Nigdy się nim nie przejmowano. Stalin od początku miał apetyt na Zagłębie Ruhry. Z kolei Churchill chciał zniszczyć Niemcy, do czego potrzebował pomocy Roosevelta. Stalin wmówił wszystkim, że robi im przysługę, dołączając się do aliantów, a potem w ramach zapłaty za tę „przysługę” zażądał Polski. Jeżeli dobrze pamiętam, generał Eisenhower powiedział: „Chyba poparliśmy nie tego, co trzeba”. Świetnie zdawali sobie sprawę z sytuacji.

- A mimo to pozwolili Stalinowi dokonywać ludobójstwa?

- Po pierwsze, USA nie miały ochoty przyznawać się do błędu. Zaraz po wojnie zabrały się do demonizowania niegdysiejszego sprzymierzeńca. Tak stworzono zimną wojnę. Po drugie, zabijał „komunistów”. Co z tego, że cała Europa Wschodnia nienawidziła systemu, który ją uciskał. To była „czerwona zaraza”. Przypomnij sobie McCarthy'ego.

Amada była zdezorientowana.

— Ale żeby pozwolić szaleńcowi zabijać ludzi? A potem innemu wariatowi umożliwić polowanie na czarownice...

— Nie mówiąc o przeprowadzanej przez CIA defenestracji - wtrącił Izmael. - Sama widzisz, że po obu stronach działy się rzeczy straszne. W tej walce znowu obowiązywała retoryka walki dobra ze złem. Amerykanie łyknęli to jak coca-cole. I domagali się jeszcze, bo im większa wojna, tym większy zysk. Pewien historyk trafnie zauważył, że „zabójstwo ostatniego przedstawiciela dynastii, która od trzech stuleci rządziła Rosją, było nie tylko symboliczną zapowiedzią masowych mordów dokonywanych w następnych dziesięcioleciach przez komunistów, ale również znamionowało systematyczne tłamszenie przez nich rosyjskiej duszy". Można dodać, że równocześnie amerykańską duszę podtruwał szowinizm.

— To wszystko wywołali bolszewicy?

— Sprawa jest bardziej skomplikowana. Masłów pisał przecież, że w stresie albo sytuacji zagrożenia człowiek podlega regresowi na niższy poziom potrzeb. Głodni myślimy tylko o jedzeniu. Kiedy nasze podstawowe potrzeby nie są zaspokojone, wracamy do poziomu, na którym rządzą nami instynkty. Lubimy sądzić, że jesteśmy cywilizowani, ale w każdym drzemie instynkt zabójcy, który przejmuje kontrolę w sytuacji zagrożenia. Walczymy wtedy bezmyślnie jak zwierzęta. Politykom łatwo jest pozbawić nas bezpieczeństwa albo pożywienia, a potem sterować naszym lękiem, żebyśmy zgodzili się na wszystko, czego chcą. A zwykle chcą wojny, bo wojna to świetny interes dla uprzywilejowanych. Wystarczy wywołać sztuczną inflację albo zabrać z półek sklepowych jedzenie czy, jak ostatnio, podnieść cenę benzyny. W obliczu wyimaginowanego zagrożenia ludzie będą głośno domagać się ukarania winnych.

— Jak podczas rewolucji francuskiej. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Izmael westchnął głęboko.

— Zabójstwo cara Mikołaja II było tym godniejsze ubolewania, że - pomijając jego potknięcia jako władcy — był z niego naprawdę porządny człowiek. Ani on, ani jego rodzina nie zasłużyli sobie, żeby tak skończyć. Mord ten uruchomił łańcuch tragicznych wydarzeń, których reperkusje trwają do dziś. Richard Pipes napisał, że „jest coś wyjątkowo ohydneho w sposobie, w jaki zmasakrowano Romanowów, najpierw zaprzeczając zbrodni, a potem ją usprawiedliwiając. To królobójstwo radykalnie różniło się od dotychczasowych. Stanowiło zapowiedź masowych rzezi dwudziestego wieku". Porządek świata zaczął się wtedy zmieniać. Nadal się zmienia, głównie na gorsze. Holenderski konsul w Rosji przewidział, że „jeżeli bolszewizmu nie wykorzeni się natychmiast, w tej czy innej postaci rozszerzy się na Europę i cały świat, ponieważ za bolszewizmem stoją pozbawieni narodowości Żydzi, których jedynym celem jest niszczenie istniejącego porządku dla swojej własnej korzyści".

— Wydaje mi się, że te wydarzenia wywarły wpływ na psychikę co najmniej kilku przyszłych tyranów. Odebrały życiu wartość. Wyrzynanie niewinnych z chęci zysku stało się w pewnym sensie moralnie usprawiedliwione.

— Z chęci zysku albo, jak powiedział Churchill, ze złej woli wynikającej z zazdrości. Car był władcą absolutnym, uciskał poddanych, owszem, ale nie był mordercą. Za to ludzie, którzy zajęli poniekąd jego miejsce, niemal natychmiast zabrali się do czystek. Na spotkaniu komunistów w 1918 roku bolszewicki agitator Grigorij Zinowjew powiedział: „Spośród stu milionów mieszkańców Rosji sowieckiej, dziewięćdziesiąt ma prawo zachować życie. Reszcie nie mamy nic do powiedzenia. Trzeba ich unicestwić".

— Bez mrugnięcia okiem posłał na śmierć dziesięć milionów ludzi?
— Na początek poszło dwadzieścia - doprecyzował Izmael. - Za Lenina zginęło dwadzieścia milionów. Potem, za Stalina, jeszcze co najmniej sześćdziesiąt.

— Trzydzieści lat tyranii... — westchnęła Amada. — Teraz widzę, że to Józef Wissarionowicz najbardziej skorzystał na konflikcie.

— Po wojnie przyznano mu solidne łupy — zgodził się Izmael.

— Tak więc wracamy do punktu wyjścia: stwierdzenia, że to Żydzi doprowadzili do wojny.

— Druga wojna światowa nie była rewolucją społeczną. Poza tym nie zapominaj, że zginęły w niej miliony Żydów.

— To wszystko kwestia definicji. Sam powiedziałaś, że sprawy nie są tak proste, jak niektórzy chcą nam wmówić. Jeżeli chodzi o Żydów, trzeba pamiętać, że z każdą akcją wiąże się reakcja. W czasie wojny dokonywano, rzecz jasna, szeroko zakrojonych czystek społecznych, ale to samo działo się wcześniej w ZSRR, nawet na większą skalę, pozwolę sobie zauważyć. W dodatku wojna utrwaliła komunizm w Europie Wschodniej, Chinach, na Kubie i w mnóstwie innych krajów. A o tym właśnie marzyli bolszewicy. Bardzo długo byłam wściekła, że Pius XII w czasie wojny stanął po stronie Hitlera, a dokładniej rzecz biorąc, przyjął wobec nazistów postawę leseferyzmu. Nie walczył z nimi otwarcie, bo uważał, że bolszewicy zagrażają światu bardziej niż naziści. Pius XII nienawidził komunizmu, powiedział nawet, że „Niemcy stanowili awangardę walki z czerwoną zarazą”. Teraz rozumiem dlaczego.

— Osiemdziesiąt lat później nadal nie możemy się swobodnie rozwijać. - Izmael się zadumał. I po chwili wyjaśnił:

- Churchill powiedział w roku 1920, że bolszewizm to „ogólnoświatowa konspiracja, której celem jest obalenie cywilizacji i zbudowanie społeczeństwa od nowa poprzez krępowanie rozwoju, zazdrosną złośliwość i mrzonkę równości”.

— Chyba nie przepadasz za bolszewizmem, prawda?

— Nie przepadam. A jeszcze mniej lubię Żydów, którzy siłą narzucili go Europie Wschodniej. To byli psychopaci.

— Ze wszystkimi „izmami” jest coś nie tak. Marksizm, komunizm, kapitalizm, socjalizm, feminizm, bolszewizm... wszystko to subiektywne, sztywne systemy idei, zamknięte na rozumowanie. W sytuacji konfliktu jednej ideologii z drugą ich zwolennicy zapominają o możliwościach pośrednich. Stawiają sprawę na ostrzu noża: „albo jesteś z nami, albo przeciw nam”.

— A humanizm? — Izmael najwyraźniej chciał się z nią podroczyć.

— Humanisci kochają ludzkość. Tylko ludzi nie znoszą.

ROZDZIAŁ 42

Spadek Davida

Siedział w swoim fotelu, zwiotczały niczym nadjedzony przez mole garnitur.

— Znalazłaś ją? Amada pokręciła głową.

W piersi Davida coś zarzęziło. Oparł się w fotelu i utkwiał w niej swoje dobre oko.

— Puściłeś Chopina - zauważyła.

— Chciałem uczcić twój przyjazd. - Wiele tygodni nie czuł jej zapachu. Wdychał go teraz łapczywie. Pachniała cudownie, ta Izebel. Trochę jak Hilda. - Byłaś w Paryżu.

Popatrzyła na niego. Już jej nie dziwił jego dar jasnowidzenia.

— Miałam tam przesiadkę. I mnóstwo czasu, żeby odwiedzić sklepy w strefie wolnocłowej. To dla ciebie. — Podała mu niewielką torebkę.

Położył nierozpakowany prezent na stoliku do kawy.

— Co się z nią stało?

— Prawdopodobnie została zagazowana.

David zamknął oczy i przeklął, na czym świat stoi.

— A jej syn?

— Zniknął. David zacharczał.
— Przykro mi.
— To mnie powinno być przykro. Przez ostatni rok zrobiłaś więcej niż ja przez dwadzieścia lat.
Amada usiadła ciężko na krześle.
— Znalazłeś ślad drugiego chłopca? Westchnął z przygnębieniem.
— Założę się, że nawet nie szukałeś.
— Komputery mnie przerastają.
— Davidzie.
— Nie strofuj mnie jak przedszkolaka. System ciągle się zawieszał. Trzeba było dać mi łatwiejsze zadanie.
— Miałeś łatwe zadanie. Wystarczyło przeszukać rejestry urodzeń, porównać z ewidencją adopcji, a potem sprawdzić w listach uczniów, podaniach o karty kredytowe i tak dalej. Wszystko bez wychodzenia z domu.
— Przez dziewięćdziesiąt lat radziłem sobie bez komputera. Niech tak zostanie.
— Proszę bardzo - fuknęła Amada. - Sama go znajdę.
— Powinienem był zrobić to czterdzieści lat temu, kiedy znowu spotkałem Carminę.
— Przestań żyć przeszłością.
— Dlaczego?
— Bo będziesz się bez końca zadreczał. David prychnął niecierpliwie.
— Babcia wspominała, że przychodzisz do niej na domino.
— Starzy ludzie potrafią jak nikt przechytryć upływ czasu. Muzyka się skończyła. Przez chwilę słuchali, jak igła szoruje po gładkiej części winylu, wreszcie Amada wstała i przelożyła płytę. Pokój zalały dźwięki fortepianu.

— Znam to. To scherzo Chopina. Skomponował je w środku zimy. Ten wolniejszy fragment nawiązuje do znanej polskiej kolędy.

— Słyszałem, że często używał polskich melodii ludowych.

— Z biegiem czasu coraz częściej. Jego choroba postępowała, a polskie melodie przypominały mu o ojczyźnie.

David uniósł brwi.

— Sporo się nauczyłaś na wyprawie.

— Trudno się nie nauczyć. W Polsce wszystko nosi imię Chopina. Albo Jana Pawła II.

— Dobrze, przejdź do sedna i mów, co ustaliłaś.

Siedział w fotelu jeszcze długo po jej wyjściu. Ile to już razy narzekał, że Hilda i Carmina nieodwracalnie zmieniły jego życie? Ile razy przeklinał bogów za samotność? A jednak jego życie było usłane różami w porównaniu z tym, na co skazał Leę.

— Zagazowana! - jęknął. Nie mógł sobie wyobrazić gorszej śmierci. Zmusił się, żeby nabrać powietrza. W pokoju nadal unosił się zapach perfum Amady. Zmienił się zapach, zmieniła i ona. Ze też wpadła na tak nedorzeczny pomysł: aby pojechać do Hiszpanii, sprzedać zamek Hildy, a potem zaszyć się gdzieś w Europie i napisać książkę, bo „tę historię trzeba opowiedzieć”.

— Po moim trupie!

Wyjął z kredensu kuferek Hildy, ułożył jej listy w kominku i podpalił je. Przeszłość prześladowająca go przez ostatnich dwadzieścia lat zajęła się ogniem. David czuł wszechogarniającą radość. Potem wrócił na fotel i obserwował, jak siedemdziesięcioletni papier wije się w płomieniach.

— Jestem wolny - westchnął.

— Ty stary złośliwcze! — Amada odgarnęła popiół w poszukiwaniu ocalałych skrawków.

— Musiałem. - Uciekł wzrokiem, bo patrzyła na niego z okropnym wyrzutem. - Zostały ci listy i książka dziadka, prawda? Chyba wystarczy.

— To było moje dziedzictwo. Nie miałaś prawa niszczyć czegoś, co nie należy do ciebie — wysyczała, po czym wstała i wyszła.

David zamknął się w pokoju i złorzeczył bogom, że splatali mu takiego figła, kiedy on jest stary i słaby i nie może się nawet bronić. Przez następny tydzień słuchał tych samych płyt, które puszczał w jej obecności, gdy jego haniebne zachowanie nie wyszło jeszcze na jaw. Postanowił o niej zapomnieć, ale nie potrafił. Zniknęła z jego życia równie bezceremonialnie, jak się w nim pojawiła.

To prawda, zachował się okropnie, karząc ją za własne pomyłki. Trudno się dziwić, że nie wróciła. Dała mu więcej niż ktokolwiek przedtem: gdy powoli przygotowywał się na śmierć, ona tchnęła w niego nowe życie. A on zamiast być wdzięczny, zemścił się, że nie odwzajemnia jego miłości.

Jego sprawne oko otwarło się gwałtownie. Ktoś łomotał w drzwi. Serce ścisnęło mu się z rozrzewnienia. Czemu ona zawsze musi nachodzić człowieka jak milicja?

Poszedł otworzyć.

— Carmina nie żyje - wypaliła od razu. -Co?!

Zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Było widać, że płakała.

— Wczoraj położyła się spać i już się nie obudziła.

— To najlepsza śmierć.

Objął ją, a ona wtuliła się w niego i zaczęła płakać. Łapczywie wdychał jej zapach - czysty, miętowy, przypominający letni deszcz ze świeżo umyтыми zębami. Ze wszystkich rzeczy, jakich nie będzie mógł zabrać ze sobą na tamten świat, najbardziej żał mu było jej zapachu.

— Chodź. - Wciągnął ją do salonu i posadził na krześle. Amada wczepiła się w jego rękaw.

— Myślisz, że za dwa dni...

— Prawdopodobnie tak. — Nie dał jej skończyć. — Twoja babcia pomogła mi przyjść na ten świat. Czuję, że pomoże mi też go opuścić. Jestem gotów.

— Davidzie! - łkała. - Będzie mi ciebie brakować.

Pogładził jej włosy. Były jedwabiste, pachniały ciepło, trochę jak dojrzewające na słońcu jabłka. Miał ochotę zanurzyć w nich twarz, ale się powstrzymał.

— Będą ci mnie przypominać mój dom i biblioteka.

— Nie rozumiem. — Wydmuchała nos.

— Zamierzam ci wszystko zapisać.

— Mnie?

— Pewnie. Nie miałem nigdy córki, ale mam ciebie. — Wolałby otwarcie powiedzieć, co do niej czuje, ale pewnie by nie zrozumiała.

Zmięła chusteczkę w garści.

— No nie wiem.

— Ja wiem. I to się liczy. Poza tym ktoś musi zająć się książkami. Bóg raczy wiedzieć, co by się z nimi stało, gdybyś pojechała na drugi koniec świata.

— Wcale nie na drugi koniec. Na Kubę. Skrzywił się.

— Carmina podskórnie czuła, że trafię tam na jakiś ślad. Takie było jej ostatnie życzenie.

- Naprawdę o tym rozmawialiście?
 - Jasne. Ale najpierw pokazałam jej książkę dziadka. Starszy pan zbladł.
 - Nie wierzę!
- Popatrzyła na niego, jakby mówiła: „A jaki miałam wybór?”.
- Skąd pewność, że uda ci się to, co nie udało się jej?
 - Teraz są komputery.
 - Hmm.
 - Wiedziałam, że się ze mną zgodzisz.
 - To absurd.
 - Trzech moich wujków zniknęło w podejrzanych okolicznościach. Zamierzam zbadać dlaczego.
 - Takie jest życie. Nie doszukiwałam się spisku.
 - Sam podsunąłeś mi tę myśl - przypomniła mu.
 - Bo pytałaś.
 - Posłuchaj. W książce przedstawię cię jako najbardziej przebojowego stulotka w historii, więc przestań marudzić.
 - Proszę bardzo, znowu na bakier z faktami.
 - Tak?
 - Jeszcze nie mam stu lat. - Mrugnął dobrym okiem; przez chwilę był zupełnie ślepy.
- Dwa dni później umarł w jej ramionach.

Posłowie

Od zarania dziejów historia służyła zapisywaniu międzyludzkich niesnasek, często gloryfikując to, co powinno być uważane za kompromitujące. Właściwie nie da się zatem oddzielić historii od wojen.

Zadaniem autora powieści historycznych jest przypominanie, skąd jesteśmy, gdzie zmierzamy i o kim być może zapomnieliśmy. Może to naiwne, ale w książce starałam się oddać głos uciszonym. Chciałam zwrócić uwagę na to, co w naszej kulturze często ulega zapomnieniu. Moim celem było przywołanie z cienia osób zepchniętych na margines. Tak się składa, że osobami tymi zwykle są kobiety. Tradycja uczy nas, że bycie kobietą to tragedia. Na przestrzeni wieków kobiety musiały nierzadko ukrywać głęboko w sercu zakazane opowieści i niezliczone wstydlive tajemnice. W książce opisuję rzeczy nigdy niewypowiedziane i takie, o których nikt nie chce pamiętać - pomimo że ktoś może uznać je za niewygodne. Historia uświadamia nam prawdę, choć akceptowanie faktów, które przez lata starano się wyprzeć z pamięci, przychodzi często z trudem. To właśnie zadaniem pisarzy jest naświetlanie obszarów, które dla pewnych narodów są niewygodne.

Historia opisana w tej książce całe lata czekała na ujrzienie światła dziennego. Była zakopana głęboko, zasypała ziemią i przydeptana, żeby nie został po niej ślad. Przyszłam niepokoić zmarłych. Nie zamierzałam zostawić przeszłości w spokoju. Nie było innego wyjścia. Gdyby kto inny zajął się tą historią, znalazłby co innego. A gdybym ja się tu nie zjawiała, niniejsza opowieść nigdy by się nie zmaterializowała. Na tym polega paradoks pisania: jest osobiste i niepowtarzalne. Stanowi świat stworzony z niczego, z poczucia pustki wywołanej przebywaniem sam na sam z naszymi demonami. Demony te podpowiadają, że najłatwiej jest zapomnieć, radzą omijać ryzyko i nie naruszać delikatnej równowagi mitu, pod którym kryje się prawda. Mówią, że męskich postępów lepiej nie kwestionować, bo prawo pisania historii i skazywania prawdy na zapomnienie przypada temu, kto wygrał wojnę.

Lorena Martin D. (Warszawa, Wielkanoc 2012)

Wybrana bibliografia

Abarinow Władimir, *Oprawcy z Katynia*, przeł. Walentyna Dworak, Klaudia Rumińska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2007.

Baigent Michael *et al.*, *Święty Graal, Święta Krew*, przeł. Robert Sudół, Książka i Wiedza, Warszawa 1994.

Bauer Yehuda, *Rethinking the Holocaust*, Yale University Press, New Haven 2002.

Beevor Antony, *Walfęa o Hiszpanie 1936—1939. Pierwsze starcie totalitaryzmów*, przeł. Hanna Szczerkowska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2009.

Berenbaum Michael, *The World Must Know*, United States Holocaust Memorial Museum, Johns Hopkins University Press, 2006.

Black Edwin, *Eugenics and the Nazis — the California connection*, „San Francisco Chronicle”, 9 listopada 2003 (dostęp przez stronę SFGate.com).

Conquest Robert, *Wielbi terror*, przeł. Władysław Jeżewski, Wydawnictwo Michał Urbański, Warszawa 1997.

Davies Norman, *Powstanie '44*, przeł. Elżbieta Tabakowska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008.

Davies Norman, *Orzeł biały, czerwona gwiazda. Wojna polsko-bolszewicka 1919—1920*, przeł. Andrzej Pawelec, Wydawnictwo Znak, Kraków 1997.

Dawkins Richard, *Bóg urojony*, przeł. Piotr J. Sz wajcer, Wydawnictwo CiS, Warszawa 2007.

Douglas Gregory, *Gestapo-Chief: The CIA & Heinrich Muller* (dostęp ze strony tbrnews.org).

Friedlander Henry, *The Origins of Nazi Genocide. From Euthanasia to the Final Solution*, University of North Carolina Press, Chapel Hill 1995.

Gilbert Martin, *Holokaust: ludzie, dokumenty, pamięć*, przeł. Zbigniew Dalewski, Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media, Warszawa 2002.

Graham Helen, *The Spanish Republic at War, 1936—1939*, Cambridge University Press, Cambridge 2002.

Gutman Israel, *Żydzi warszawscy 1939—1943: getto, podziemie, walka*, przeł. Zoja Perelmuter, Uniwersytet Warszawski, Centrum Badania i Nauczania Dziejów i Kultury Żydów w Polsce im. Mordechaja Anielewicza, Warszawa 1993.

Hilberg Raul, *The Destruction of the European Jews*, Quadrangle Books, Chicago 1961.

Hitler Adolf, *Moja walka*, przeł. Irena Puchalska, Piotr Marszałek, Wydawnictwo Werset, Kraków 1992.

Irving David, *Churchill's War*, Avon Books, London 1987.

Joachimsthaler Anton, *Śmierć Adolfa Hitlera. Legendy i dokumenty*, przeł. Magdalena Ilgmann, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2001.

Komorowski Tadeusz „Bór”, *Armia podziemna*, Bellona, Warszawa 1994.

Korboński Stefan, *Polskie Państwo Podziemne. Przewodnik po Podziemiu z lat 1939—1945*, Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media, Warszawa 2008.

Kozaczuk Władysław, *W kręgu Enigmy*, Książka i Wiedza, Warszawa 1979.

Levin Itamar, *Walls Around: The Plunder of Warsaw Jewry During World War II and Its Aftermath*, Greenwood Publishing Group, 2004.

Lukas Richard C., *Zapomniany Holocaust. Polacy pod okupacją niemiecką 1939—1944*, przeł. Sławomir Stodulski, Wydawnictwo Jedność, Kielce 1995.

Mak Geert, *W Europie. Podróże przez dwudziesty pierwszy wiek* przeł. Małgorzata Woźniak-Diederer, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2008.

Mark Bernard, *Powstanie w getcie warszawskim*, Idisz Buch, Warszawa 1963.

Mędykowski Witold, *Przeciw swoim. Wzorce kolaboracji żydowskiej w Krakowie i okolicy*, „Zagłada Żydów — Studia i materiały, Rocznik naukowy Centrum Badań nad Zagładą Żydów IFiS PAN”, nr 2 (2006).

Nałkowska Zofia, *Medaliony*, Spółdzielnia Wydawnicza Czytelnik, Warszawa 1956.

Piotrowski Tadeusz, *Poland's Holocaust: Ethnic Strife, Collaboration with Occupying Forces and Genocide in the Second Republic, 1918-1947*, McFarland, London 1998.

Preston Paul, *A Concise History of the Spanish Civil War*, Fontana Press, London 1996.

Preston Paul, *Franco*, Fontana Press, London 1995.

Ringelblum Emanuel, *Kronika getta warszawskiego. Wrzesień 1939—styczeń 1943*, przeł. Adam Rutkowski, Czytelnik, Warszawa 1983.

Wasserstein Bernard, *Britain and the Jews of Europe, 1939-1945*, Leicester University Press, 1999.

W przekładzie wykorzystano następujące źródła tłumaczeń:

Beevor Anthony, *Walchi o Hiszpanie 1936—1939. Pierwsze starcie totalitaryzmów*, przeł. Hanna Szczerkowska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2009.

Black Edwin, *Wojna przeciw słabym. Eugenika i amerykańska kampania na rzecz stworzenia rasy panów*, przeł. Hanna Jankowska, MUZA SA, Warszawa 2004.

Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1980.

Clausewitz Carl von, *O wojnie*, przeł. Franciszek Schoener, Wydawnictwo Test, Lublin 1995.

Irving David, *Wojna Hitlera*, przeł. Bartłomiej Zborski, Wydawnictwo Prima, Warszawa 1996.

Kershaw Ian, *Hitler, 1936—1941. Nemezis*, przeł. Przemysław Bandel, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2002.

Mak Geert, *W Europie. Podróże przez dwudziesty wiek*, przeł. Małgorzata Woźniak-Diederer, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2008.

Gilbert Martin, *Churchill. Biografia, t. II*, przeł. Jerzy Kozłowski, Zysk, Poznań 1997.

Maupassant Guy de, *Horla i inne opowiadania*, przeł. Irena Wieczorkiewicz, Czytelnik, Warszawa 1961.

Machiavelli Niccolo, *Książę*, przeł. Anna Klimkiewicz, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2005.

Platon, *Fajdros* (260d), przeł. Władysław Witwicki, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1958.

Szekspir William, *Król Lear*, przeł. Stanisław Barańczak, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008.

Wiesenthal Szymon, *Prawo, nie zemsta. Wspomnienia*, przeł. Andrzej Albrecht, Wydawnictwo Znak, Kraków 2010.

Podziękowania

W powstawaniu tej książki wzięło udział tyle osób, że bez podziękowań byłaby niekompletna. Przyjaciele pomagali mi, to czytając pierwszy szkic fabuły, to dzieląc się ze mną opowieściami i polecając książki, to wreszcie wierząc, że mi się uda. Z głębi serca dziękuję:

Moim braciom Baikalowi i Mishy, którzy zawsze mnie wspierają. Drogim przyjaciółkom Silvii, Patricii, Beatrice i Vanessie, które w różnych chwilach mojego życia służyły mi radą, czy tego chciałam czy nie. Dziękuję doktorowi Arizmendiemu, że pomagał mi iść dalej, ilekroć grzęzłam. Ogromne dzięki składam mojej polskiej ekipie, a zwłaszcza Iwonie Nowakowskiej, która przyjęła książkę pod swoje skrzydła, siostrze na wygnaniu Lourdes Estradzie i drogiemu przyjacielowi Jackowi Sowickiemu, który powiedział mi, że dziewczyna jest Żydówką, a także Witoldowi Raganowi, który podzielił się ze mną wspomnieniami. Bez przerwy zasypywałam pytaniami Piotra Kępińskiego i Waldemara Pokorę - dziękuję, że pomogliście mi zrozumieć polską mentalność. Serdecznie dziękuję pracownikom Żydowskie-

go Instytutu Historycznego za wygrzebywanie dla mnie trudno dostępnych materiałów. Jestem ogromnie wdzięczna profesor Annie M. Cienciale, do której zapisków na temat drugiej wojny światowej zaglądałam co rusz, tłumaczce Marcie Kitowskiej, która zrobiła więcej, niż do niej należało, a także redaktorce Katarzynie Kondrat. I przede wszystkim składam podziękowania Małgorzacie Wróblewskiej z wydawnictwa Bukowy Las - książka ukazuje się dzięki jej zaangażowaniu.